

NAJNOWSZY THRILLER AUTORA BESTSELLEROWEGO
SEZONU NIEWINNYCH.

„Strzeż się,
JO NESBØ!”

Bergens Tidende

S A M U E L B J Ø R K

SOWA

SAMUEL BJØRK

SOWA

Z języka norweskiego przełożyła
Iwona Zimnicka



Tytuł oryginału:
UGLEN

Copyright © Samuel Bjørk 2015
Published by agreement with Ahlander Agency
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Maria Zajęc, Anna Just

ISBN: 978-83-7999-906-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Część II

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Część III

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Część IV

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Część V

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Część VI

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Część VII

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Część VIII

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Część IX

Rozdział 80

Przypisy

W pewien piątek wiosną 1972 roku w Sandefjord, akurat w chwili, gdy proboszcz miał już zamykać kościół na noc, niezwykła wizyta zmusiła go do pozostania w kancelarii nieco dłużej.

Nigdy wcześniej nie zetknął się z tą młodą kobietą, dobrze natomiast wiedział, kim jest młody mężczyzna. Był to pierworodny syn najznamienitszego mieszkańca miasta, armatora, który zaliczał się do grona najbogatszych ludzi w całym kraju, lecz przede wszystkim stanowił jedną z podpór tutejszej parafii. Jego darowizny umożliwiły między innymi wykonanie przed dziesięcioma laty wielkiego ołtarza wyrzeźbionego w mahoniu przez artystę Dagfina Werenskiolda i ukazującego siedemnaście scen z życia Jezusa, z którego pastor był niezmiernie dumny.

Młodzi ludzie mieli wyjątkowe życzenie. Pragnęli się pobrać, ale chcieli, by pastor odprawił ceremonię w absolutnej tajemnicy. Taka prośba sama w sobie nie była niczym niezwykłym, ale związane z nią szczegóły okazały się na tyle dziwne, że pastor w pierwszej chwili uznał, iż musi chodzić o żart. Znał jednak dobrze armatora, wiedział, jak bardzo religijny i konserwatywny jest starszy pan, i z czasem zrozumiał, że młodzi mówią serio. Armator ostatnio poważnie podupadł na zdrowiu, plotki głosiły, że jest wręcz bliski śmierci. Siedzący przed pastorem młody człowiek miał zatem wkrótce odziedziczyć ogromną fortunę, lecz jego ojciec obwarował spadek warunkami. Zastrzegł, że do rodziny nie wolno mieszać obcej krwi. Kobieta, którą jego spadkobierca pojmie za żonę, nie może mieć dzieci z poprzedniego związku. I właśnie w tym tkwił problem. Ukochana syna armatora niestety miała już dzieci. Dwuletnią córeczkę i czteroletniego synka. Dzieci musiały zniknąć, aby młoda kobieta mogła stwarzać pozory takiej osoby, jakiej zażyczył sobie armator. Czy pastor zgodzi się udzielić im ślubu w tej sytuacji?

Plan przygotowany przez narzeczonych wyglądał następująco: młody człowiek miał w Australii daleką krewną, która zgodziła się zaopiekować dziećmi do czasu załatwienia formalności. Po roku lub dwóch dzieci zostaną od niej odebrane. A może armator trafi do nieba nawet wcześniej? Co pastor o tym myśli? Czy znajdzie w swojej duszy miejsce, które pozwoli mu pomóc młodym w pokonaniu tego kryzysu?

Pastor udał, że trochę się namyśla, chociaż w rzeczywistości już podjął decyzję. Młody człowiek dyskretnie położył przed nim na stole pękatą kopertę. No i dlaczego nie pomóc młodym ludziom w potrzebie? Żądanie starego armatora było wszak bardzo niesprawiedliwe, prawda? Duchowny zgodził się więc udzielić parze ślubu i zaledwie tydzień później podczas krótkiej ceremonii odprawionej przed kolorowym ołtarzem w zamkniętym kościele młodzi ludzie zostali mężem i żoną.

Niespełna rok później, w styczniu 1973 roku, pastor znów miał gościa w swojej kancelarii, ale tym razem młoda kobieta przyszła do niego sama. Wyraźnie coś ją trapiło i zaraz też przyznała, że nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało. Nie miała żadnych wieści o dzieciach. Obiecywano jej zdjęcia i listy, ale nie przyszło ani jedno słowo, zaczęła wręcz wątpić w istnienie owej krewnej w Australii. Przyznała również, że mężczyzna, którego poślubiła, okazał się zupełnie innym człowiekiem, niż jej się wcześniej wydawało. Przestali już ze sobą rozmawiać, przenieśli się do osobnych sypialni, a poza wszystkim miał swoje tajemnice, mroczne sekrety, o których bała się nawet myśleć, a co dopiero głośno mówić. Czy pastor mógł coś zaradzić? Duchowny uspokoił ją, mówiąc, że oczywiście postara się pomóc, tylko musi się trochę zastanowić. Poprosił, by wróciła do niego za kilka dni.

Nazajutrz młodą kobietę znaleziono martwą, zgiętą w pół nad kierownicą swojego samochodu, który wpadł do głębokiego rowu tuż przy luksusowej rodzinnej posiadłości na półwyspie Vesterøya w pobliżu Sandefjord. Artykuł w gazecie sugerował, że kobieta prowadziła po pijanemu, a policja uważa sprawę za tragiczny wypadek.

Po udzieleniu rodzinie wsparcia podczas pogrzebu pastor postanowił złożyć wizytę młodemu armatorowi. Powiedział mu, zgodnie z prawdą, że jego żona odwiedziła go dzień przed śmiercią. Że wyrażała niepokój o dzieci. Że chyba coś w tym wszystkim było, no cóż, nie całkiem tak, jak być powinno. Młody armator słuchał i kiwał głową. Tłumaczył, że żona ostatnio, niestety, ciężko chorowała. Brała leki. Za dużo piła. Pastor sam przecież widział, jak się to skończyło. Następnie młody dziedzic fortuny napisał jakąś liczbę na kartce, którą podsunął pastorowi. Czy to miasto nie było właściwie dla pastora za małe? Czy nie lepiej służyłby Panu w jakiejś większej parafii? Może bliżej stolicy? W ciągu paru minut uzgodnili szczegóły. Pastor wstał i nigdy więcej nie zobaczył młodego armatora.

Kilka tygodni później spakował walizkę.
Jego stopa już nigdy nie powstała w Sandefjord.

Dziewczynka leżała pod kocem na kanapie, starając się nie poruszać, i czekała, aż inne dzieci zasną. Podjęła już decyzję. To się stanie tej nocy. Nie będzie się dłużej bać. Nie będzie czekać. Miała już siedem lat, niedługo będzie duża. Postanowiła to zrobić, kiedy się trochę ściemni. Nie połknęła tabletki na sen, ukryła ją tylko pod językiem i trzymała tam przez cały czas, również wtedy, gdy pokazywała cioci Juliane, jaka jest grzeczna.

– Pokaż!

Język wysunięty.

– Grzeczna dziewczynka. Następny.

Jej brat robił tak od dawna. Od czasu kiedy zamknęli go w ziemiance. Powtarzał to co wieczór, po prostu kładł tabletkę pod językiem, nie przełykając.

– Pokaż!

Język wysunięty.

– Grzeczny chłopiec. Następny.

Trzy tygodnie w ciemności za to, że nie chciał przeprosić. Wszystkie dzieci wiedziały, że nie zrobił nic złego, ale dorośli i tak go zamknęli. Od tamtego czasu się zmienił. Co wieczór tylko udawał, że zażywa tabletkę, a ona przez mgłę, kiedy połknięty przez nią środek już zaczynał działać, widziała cień brata wymykającego się z pokoju.

Kilka razy śniło jej się, dokąd się wyprawiał. Raz przemienił się w księcia, który musiał wyjechać do dalekiego kraju, by pocałować od dawna uśpioną księżniczkę. Innym razem był rycerzem i zabił smoka magicznym mieczem, tkwiącym w kamieniu tak mocno, że mógł go wyciągnąć tylko wyjątkowy chłopiec. Tak było we śnie. Ale nie w rzeczywistości. Dokąd chodził w rzeczywistości, nie wiedziała.

Odczekała, aż wszystkie dzieci zasną, i ostrożnie poruszając się na palcach, wyszła z domu. Była zima, ciągle gorąco, chociaż zmierzch miękko ułożył się już wśród drzew. Dziewczynka na bosaka przeszła przez podwórze, kryjąc się w cieniu, dopóki nie dotarła do zagajnika. Upewniwszy się, że nikt jej nie widział, pobiegła ścieżką między wielkimi drzewami w stronę bramy z napisem „Trespassers Prosecuted”. Postanowiła, że właśnie tu zacznie

poszukiwania.

Słyszała, jak jej brat szepcze z innym chłopcem o tym, że istnieje takie miejsce, gdzie można siedzieć w samotności, stara rozpadająca się szopa, niewielka chata ukryta gdzieś na skraju ogrodzonego terenu, ale dziewczynka nigdy jej nie widziała. Codziennie wstawali o szóstej rano i kładli się spać o dziewiątej wieczorem. Zawsze punktualnie, porządek dnia był zawsze ten sam, nigdy się nie zmieniał. Zaledwie dwa kwadransy czasu wolnego, bez szkoły, odrabiania lekcji, jogi, prania i wszystkich innych rzeczy, które należało zrobić. Dziewczynka uśmiechnęła się, słuchając odgłosów świerszczy. Miękką trawą załaskotała ją w stopy, kiedy skręciła ze ścieżki i ostrożnie ruszyła wzdłuż ogrodzenia, kierując się ku miejscu, w którym jak sobie wyobrażała, może stać chatka. Z jakiegoś powodu się nie bała. Czuła się niemal lekko, ów straszny lęk miał nadejść dopiero później, akurat w tej chwili była radosna, wolna jak motyl, zupełnie sama z własnymi myślami, w pięknym lesie, który tak przyjemnie pachniał. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i palcami musnęła roślinkę przypominającą gwiazdę, czuła się niemal jak w jednym z tych snów, które jej się śniły, kiedy podawane im tabletki nie były aż tak mocne jak zazwyczaj. Schyliła się, przechodząc pod gałęzią, i nie przestraszyła się, nawet gdy w odległych o kilka metrów zaroślach coś zaszeleściło. Może to niedźwiadek koala ośmielił się zejść z drzewa albo kangur przeskoczył przez płot? Zaśmiała się do siebie na myśl o tym, jak miło byłoby pogłaskać koalę. Wiedziała, że te zwierzęta mają ostre pazury i właściwie nie można się z nimi bawić, lecz mimo to usiłowała sobie wyobrazić ciepłe puszyste futerko pod palcami, miękkie pyszczek łaskoczący ją w szyję. Prawie zapomniała, dlaczego się tu znalazła, lecz nagle znieruchomiała, przytomniejąc, bo kilka metrów przed sobą ujrzała ścianę chaty. Dziewczynka przekrzywiła głowę, z ciekawością patrząc na zszarzałe deski, które tak nagle się przed nią ukazały. A więc to jednak prawda. To, o czym szeptali. Istniało takie miejsce w lesie. Miejsce, gdzie można się schować. Być samemu. Ostrożnie podeszła do szarej ściany, czując przyjemne mrowienie na skórze, kiedy zbliżała się do drzwi.

Dziewczynka ciągle jeszcze nie wiedziała, że to, co zobaczy, odmieni ją na zawsze, będzie ją prześladowało każdej nocy przez następne lata, pod kocem na twardej kanapie, w samolocie lecącym na drugą stronę kuli ziemskiej, kiedy policja zabierze ich stąd zapłakanych, pod kołdrą w miękkim łóżku w tym nowym kraju, w którym wszystkie dźwięki były zupełnie inne. Nic

o tym nie wiedziała, kiedy unosiła rękę do drewnianej klamki i wolnym ruchem otwierała trzeszczące drzwi.

W środku było ciemno. Minęło kilka sekund, zanim jej oczy przywykły do mroku i pozwoliły jej cokolwiek zobaczyć, ale wtedy nie miała już żadnych wątpliwości. W pierwszej chwili widziała jedynie kontury, lecz zaraz już wyraźnie dostrzegła, że to on tam siedzi. Jej brat.

Był bez ubrania. Zupełnie nagi. Nagi, ale całe jego ciało pokrywały... pióra? Siedział skulony w kącie, przypominające ptaka zgarbione stworzenie z całkiem innego świata. Trzymał coś w zębach. Jakieś zwierzątko. Mysz? Jej brat miał ciało pokryte piórami, a w zębach trzymał martwą mysz.

To ten obraz miał odmienić jej życie. Widok brata, który wolno się obrócił i spojrzał na nią oczami wyrażającymi zdziwienie, jakby nie wiedział, kim ona jest. Światło padało przez brudne okno na pokrytą piórami dłoń, wolno poruszającą się w powietrzu. Jego usta rozszerzyły się w uśmiechu odsłaniającym białe zęby, w momencie gdy wyjął z nich mysz i przytrzymał wzrok dziewczynki swoim martwym spojrzeniem, szeleszcząc piórami i mówiąc:

– Jestem sową.

CZĘŚĆ I

1

Botanik Tom Petterson wyjął z samochodu torbę ze sprzętem fotograficznym i zanim zaczął iść pod górę przez las, poświęcił chwilę na podziwianie widoku ponad gładkim jak lustro fiordem. Był początek października, sobotnie chłodne słońce zalewało otaczający go krajobraz prześlicznym światłem, miękkie promienie odbijały się od jesienne żółtych i czerwonych liści, które wkrótce miały spaść, ustępując miejsca zimie.

Tom Petterson kochał swoją pracę. Zwłaszcza gdy mógł przebywać pod gołym niebem. Wojewoda okręgu Oslo i Akershus zaangażował go przy rejestrowaniu osobników pszczelnika wąskolistnego, zwanego smoczą główką, gatunku zagrożonego wyginięciem, rosnącego w okolicach nad Oslofjorden. Na prowadzonym przez siebie blogu dostał wiadomość o odkryciu nowego stanowiska tej bardzo rzadkiej rośliny i właśnie nim zamierzał się dzisiaj zająć, zarejestrować liczbę i dokładną pozycję nowo ujawnionych egzemplarzy. Smocza główka była roślinką wysoką na dziesięć–piętnaście centymetrów, o niebieskich, ciemnoniebieskich lub niebiesko-fioletowych kwiatach, które teraz, jesienią, zdążyły już uschnąć, pozostawiając po sobie brązowe owocki ułożone w kształt przypominający kłos zboża. Ale nie tylko roślina należała do rzadkości. Smocza główka była również mieszkaniem dla niesłychanie rzadkiego gatunku owada, maleńkiego, połyskującego niebiesko chrząszcza, który żył wyłącznie w jej kwiatach.

Cud natury, pomyślał Tom Petterson i pozwolił sobie na uśmiech, gdy zbaczał ze ścieżki zgodnie z opisem trasy przesłanym mu przez uważnego botanika hobbystę. Czasami – nigdy nie mówił tego głośno, bo wychował się w wierze w nieistnienie jakiegokolwiek boga, jego rodzice bacznie tego dopilnowali – ale cóż, czasami jednak tak właśnie myślał: boskie dzieło stworzenia. Wszystkie jego elementy, i te duże, i te małe, powiązane ze sobą w tak cudowny sposób. Ptaki, które każdej jesieni odlatują na południe, pokonując ogromne odległości i za każdym razem docierając w to samo miejsce. Liście, które co roku o tej samej porze zmieniają barwę, czyniąc z drzew i ziemi żywe dzieło sztuki. Tak, tak, nigdy nie powiedział tego głośno, ale często tak myślał.

Tom Petterson pracował w Instytucie Nauk Biologicznych na Uniwersytecie w Oslo. Tam studiował i tam po dyplomie zaproponowano mu pracę. Poprzedniej jesieni w korytarzach poszeptywano wręcz o objęciu przez niego stanowiska kierownika instytutu, ale Tom Petterson nie zrobił nic, by je otrzymać. Kierownik instytutu? Nie, zbyt dużo siedzenia za biurkiem. Lubił to, co robił dotychczas, lubił swoje przyrodnicze wyprawy, to dla nich został botanikiem, a nie po to, by przesiadywać na zebraniach.

Gdy zadzwoniono do niego z urzędu wojewódzkiego, z dumą podjął się zadania. Z wielką chęcią został obrońcą smoczej główki. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie odkrycia, którego kilka lat temu dokonał na półwyspie Snarøya. Znalazł duże zbiorowisko tych roślin w ulubionej piaskownicy milionerów. Oczywiście nie wszyscy tak samo ucieszyli się z jego sukcesu; ci, którzy kupili działki w miejscu, gdzie odkrył roślinki, pragnęli móc swobodnie budować swoje wille z basenami, ale smoczą główkę chroniła konwencja berneńska i roślinie pod żadnym pozorem nie należało zakłócać spokoju.

Zanurkował na prawo między dwa wielkie świerki i brzegiem strumienia ruszył ku miejscu, gdzie miały rosnać smocze główki, znów uśmiechając się do siebie. Tom Petterson był zagorzałym zwolennikiem ochrony przyrody i radował się wyjątkowym zwycięstwem niewielkiej roślinki w walce z koparkami.

Przeszedł przez strumień i nagle znieruchomiał, słysząc szelest w zaroślach przed sobą. Uniósł aparat gotowy do strzału. Borsuk? Czy to nie borsuk? Płochliwe zwierzę wcale nie było tak często spotykane, jak wydawało się wielu osobom. Ruszył za odgłosami i wkrótce dotarł do niewielkiej polany, ku swojemu rozczarowaniu niczego po drodze nie dostrzegając. Brakowało mu dobrego zdjęcia borsuka do zamieszczenia na blogu, a poza tym wyszłaby z tego ładna opowieść: trzy smocze główki i borsuk, idealne podsumowanie sobotniej wycieczki.

Na środku polany coś leżało.

Sinoniebieskie nagie ciało.

Dziewczyna.

Nastolatka?

Tom Petterson przestraszył się tak, że wypuścił z rąk aparat i nawet tego nie zauważył.

Na polanie leżała martwa dziewczyna.

Pióra?

O Boże.

W lesie leżała naga nastolatka.

Otoczona piórami.

Z białą lilią w ustach.

Tom Petterson obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i bez tchu zaczął się przedzierać przez gęste zarośla, a kiedy odnalazł ścieżkę, co sił w nogach pobiegł do samochodu. Stamtąd zadzwonił pod 112.

2

Holger Munch, śledczy, specjalista od spraw zabójstw, siedział w samochodzie przed swoim dawnym domem na Røa i żałował, że zgodził się tu przyjechać. W tym białym jednorodzinym domu mieszkał ze swoją ówczesną żoną, Marianne, ale wszystko skończyło się dziesięć lat temu i od tamtej pory nie przekroczył jego progu. Tęgi policjant zapalił papierosa i otworzył okno w samochodzie. Kilka dni wcześniej był na dorocznych badaniach, a lekarz znów zalecił mu ograniczenie tłustego jedzenia i rzucenie palenia, ale pięćdziesięcioletni śledczy nie miał takich planów, przynajmniej w kwestii tego ostatniego. Holger Munch potrzebował papierosów do myślenia, a jeśli było coś, co lubił, to właśnie gimnastykę mózgu.

Holger Munch uwielbiał szachy, krzyżówki, matematykę, wszystko, co mogło rozruszać szare komórki. Często przesiadywał przed komputerem, czatując z przyjaciółmi na temat rozmaitych partii szachów rozegranych przez Magnusa Carlsena albo o rozwiązaniach trudniejszych lub łatwiejszych zagadek matematycznych, na przykład takich jak ta, którą niedawno dostał w e-mailu od swego przyjaciela Jurija, profesora z Mińska, poznanego w sieci kilka lat temu:

Metalowa tyczka jest wbita w jezioro. Połowa tyczki znajduje się pod ziemią. Jedna trzecia znajduje się pod wodą. Osiem metrów tyczki sterczy nad powierzchnią wody. Jaką długość ma cała tyczka?
Pozdrowienia, J.

Munch chwilę pogłowił się nad odpowiedzią, w końcu ją znalazł i już miał wysłać e-maila, kiedy przerwał mu dzwoniący telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Mikkelson. Jego szef z komendy na Grønland. Munch pozwolił telefonowi dzwonić przez kilka sekund, rozważając, czy ma odebrać, ale w końcu zdecydował się na odrzucenie połączenia. Wcisnął czerwony guzik i schował aparat z powrotem do kieszeni. Teraz jest czas dla rodziny. Właśnie na tym polegał błąd, który popełnił nieco ponad dziesięć lat temu. Nie poświęcał odpowiednio dużo czasu rodzinie. Pracował przez całą dobę, a kiedy w końcu przychodził do domu, myślami i tak przebywał gdzie indziej. A teraz stał przed tym samym domem, tylko że ona mieszkała już z innym.

Holger Munch podrapał się w brodę i przejrzał w lusterku. Potem zerknął na leżącą na tylnym siedzeniu dużą różową paczkę przewiązaną złotą wstążką. Marion, ubóstwiana wnuczka, miała dziś urodziny. Źrenica jego oka kończyła sześć lat. To dlatego zgodził się przyjechać tu, na Røa, chociaż w zasadzie postanowił, że jego noga już nigdy więcej nie postanie wśród tych czterech ścian. Zaciągnął się dymem z papierosa i dotknął lekkiego wgłębienia na palcu, na którym jeszcze tak niedawno tkwiła ślubna obrączka. Nosił ją przez dziesięć lat po zerwaniu, nie potrafił się przemóc, by ją zdjąć. Marianne. Jego wielka miłość. Wyobrażał sobie, że zawsze będą razem, i po rozstaniu z żoną nie umówił się nigdy z żadną kobietą. Nie żeby nie miał szans, bo niejedna wodziła za nim wzrokiem, ale po prostu nie miał na to ochoty. Nie wydawało mu się to słuszne. Ale teraz to zrobił. Zdjął obrączkę. Została w domowej apteczce w łazience. Nie umiał jej wyrzucić. Chociaż stało się to już dziesięć lat temu, chyba wolno nie tracić nadziei? Czy może to z jego strony błąd? Może powinien zrobić tak, jak ciągle doradzali mu przyjaciele – iść w życiu dalej, poszukać innej.

Holger Munch westchnął ciężko, ponownie zaciągnął się dymem i znów spojrzął na wielki różowy prezent. Pewnie przesadził i tym razem. Jego córka, Miriam, stale na niego krzyczała, że rozpieszcza małą Marion, daje jej wszystko, co mała tylko wskaże palcem. Tym razem kupił coś, co nie było poprawne politycznie, ale wiedział, że wnuczka pragnie tego ponad wszystko inne. Lalkę Barbie z dużym domkiem dla Barbie i specjalnym samochodem dla Barbie. Już słyszał, jak Miriam prawi mu kazanie. O rozpieszczonych dzieciach. O kobiecym ciele, o wzorcach i ideałach. Ale na miłość boską, to przecież tylko lalka, prawda? Co może być w tym aż tak złego, skoro dziewczynka właśnie tego pragnie?

Telefon zadzwonił znów, a że kolejny raz był to Mikkelson, Munch wcisnął czerwony symbol. Gdy telefon odezwał się po raz trzeci, prawie go odebrał. Mia Krüger. Posłał młodej koleżance z pracy ciepłą myśl, ale mimo wszystko postanowił się nie łączyć. Czas dla rodziny. Oddzwoni później. Może wieczorem wybiorą się na herbatę do Justisen? Z pewnością przyda mu się coś takiego po rodzinnej przeprawie. Rozmowa z Mią. Od dawna nie rozmawiali dłużej i czuł, że się za nią stęsknił.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej przywiózł młodą koleżankę do domu z wyspy w okolicach Trøndelag. Odizolowała się tam od świata, bez telefonu, musiał więc samolotem polecieć aż do Værnes, wynająć samochód, a potem

prosić miejscowych policjantów o przewiezienie łodzią, aby znaleźć Mię. Miał wtedy przy sobie teczkę z aktami sprawy. Za jej pomocą zdołał nakłonić Mię do powrotu do stolicy.

Holger Munch żywił wiele szacunku dla wszystkich członków swojej jednostki, ale Mia Krüger była kimś zupełnie wyjątkowym. Wyłowił ją w Wyższej Szkole Policyjnej, jeszcze zanim ją ukończyła, gdy miała zaledwie dwadzieścia kilka lat, dzięki podpowiedzi rektora, starego kolegi. Spotkał się z nią w kawiarni, nieoficjalnie, poza komendą. Mia Krüger. Młoda dziewczyna w białym swetrze i czarnych obcisłych spodniach, z długimi ciemnymi włosami, niemal Indianka, z najbardziej przejrzystymi niebieskimi oczami, jakie kiedykolwiek w życiu widział. Natychmiast przypadła mu do gustu. Inteligentna, pewna siebie i opanowana. Jakby wiedziała, że chodzi mu o jej przetestowanie, ale mimo wszystko odpowiadała spokojnie, z leciutkim błyskiem w oku. „Masz mnie za głupią czy co?”

Wiele lat temu Mia Krüger straciła siostrę bliźniaczkę. Sigrid znaleziono martwą po przedawkowaniu heroiny w piwnicy na Tøyen. Mia obwiniała o to chłopaka Sigrid. Kilka lat później w trakcie rutynowego przeszukania przyczepy kempingowej nad jeziorem Tryvann przypadkiem znów się na niego natknęła, z kolejną ofiarą u boku. Nie panując nad emocjami, dwukrotnie strzeliła mu w pierś. Holger Munch był przy tym i wiedział, że Mia z łatwością mogłaby się wykręcić, powołując się na działanie w samoobronie, lecz ponieważ się za nią wstawił, sam został przeniesiony, a Mię wysłano na leczenie. Po blisko dwóch latach służby na posterunku policji w Hønefoss Muncha ściągnięto wreszcie z powrotem jako szefa specjalnej jednostki śledczej z siedzibą na Mariboegate. On z kolei sprowadził z powrotem Mię, lecz gdy sprawa, której akta leżały wtedy w tamtej teczce, została już rozwiązana, szef Holgera z komendy na Grønland, Mikkelson, stwierdził, że Mia wciąż wykazuje oznaki niestabilności psychicznej, i ponownie zawiesił ją w czynnościach, zapowiadając, że jej noga nie może postać w pracy, dopóki nie odbędzie rozmów z psychologiem, który potwierdzi, że jest zdrowa.

Munch odrzucił jeszcze jedno połączenie z szefem na Grønland i siedział dalej, patrząc na siebie w lusterku. Co on właściwie wyprawia? Minęło dziesięć lat, a on tkwi przed ich dawnym domem, w którym była żona mieszka teraz z innym mężczyzną, ciągle mając nadzieję, że to się jakoś ułoży?

Dureń z ciebie, Holgerze Munch. Zdaje się, że ktoś jeszcze powinien odwiedzić psychologa.

Munch westchnął i wysiadł z samochodu. Ochłodziło się. Lato definitywnie minęło, jesień najwyraźniej również, chociaż ledwie zaczął się październik. Obciągnął budrysówkę na brzuchu, wyjął telefon i wysłał odpowiedź do Jurija: „48 metrów ;) HM”.

Ostatni raz zaciągnął się papierosem, zabrał z tylnego siedzenia wielki prezent, dwa razy głęboko odetchnął i wolno ruszył wysypaną żwirem alejką w stronę białego domu.

3

Mia Krüger widziała poruszające się usta i cienki wąsik mężczyzny siedzącego za wielkim biurkiem, ale nie miała siły słuchać. Słowa nie docierały do jej uszu. Brakowało jej mew. Zapachu fal uderzających o skały. Ciszy. I znów zaczęła się zastanawiać, dlaczego się na to naraża. Na chodzenie do psychologa. Na mówienie o sobie. Tak jakby to mogło w czymś pomóc. Wyjęła z kieszeni pastylkę odświeżającą i jeszcze raz pożałowała, że w ogóle się na to zgodziła. Powinna była natychmiast złożyć wypowiedzenie.

„Niestabilna psychicznie i niezdolna do służby”.

Cholerny Mikkelson, który na niczym się nie znał, nigdy nie rozwiązał żadnej sprawy i tkwił na swoim stanowisku wyłącznie dlatego, że wiedział, jak trzeba włączyć w tyłek politykom.

Westchnęła i jeszcze raz spróbowała zrozumieć, co mówi do niej mężczyzna za biurkiem, bo powinna chyba teraz odpowiedzieć, ale nie słyszała pytania.

– Co masz na myśli? – odparowała, wspominając młodą szczupłą dziewczynę z wygolonym tyłem głowy i jasną grzywką; minęła się z nią w drzwiach do poczekalni zasłanej wydawnictwami, których tytuły nie miały dla niej żadnego sensu. *Bądź zdrow dzięki treningowi mentalnemu. Odzyskaj formę w trzech krokach.*

– Tabletki? – powtórzył psycholog, zapewne trzeci raz, odchylając się na krześle i zdejmując okulary.

Oznaka bliskości. Powinna się tu czuć bezpiecznie. Mia tylko westchnęła i położyła pastylkę na języku. Ten człowiek nie wiedział, z kim ma do czynienia, prawda? Ona już będąc dzieckiem, potrafiła zobaczyć ludzi od wewnątrz. Właśnie dlatego tęskniła za mewami. Tam nie było zła. Sama natura. Fale uderzające o skały. Cisza i nic więcej.

– Dobrze – odparła z nadzieją, że to właściwa odpowiedź.

– Więc z nimi skończyłaś? – spytał psycholog, znów wkładając okulary.

– Nie brałam od kilku tygodni.

– A alkohol?

– Od dawna nie miałam w ustach ani kropli – kolejny raz skłamała Mia.

Spojrzała na zegar nad jego głową, na wskazówki przesuwające się zbyt

wolno i mówiące jej, że będzie musiała tu zostać jeszcze przez pewien czas. Posłała kolejną nienawistną myśl Mikkelsonowi, a także temu psychologowi, którego gabinet mieścił się w najlepszej dzielnicy w zachodniej części Oslo, ale tę ostatnią szybko przegoniła. To nie jego wina. Chciał jej tylko pomóc. I podobno znał się na rzeczy. Psycholog Mattias Wang. Właściwie miała szczęście, że na niego trafiła, bo kiedy w końcu zdecydowała, że podejmie próbę, wybrała pierwsze lepsze nazwisko w Internecie. Nie chciała korzystać z pomocy żadnego ze specjalistów zaproponowanych jej przez policję. Obowiązek dochowania tajemnicy na Grønland? Mało prawdopodobne, przynajmniej w jej opinii.

– Chyba musimy porozmawiać trochę o Sigrid?

Mia lekko opuściła gardę, ale zaraz znów się osłoniła. Może i ten psycholog jest sympatyczny i dobry w tym, co robi, ale ona nie przyszła tu rozmawiać o swoim wnętrzu. Chciała po prostu wrócić do pracy. Odbębnić godzinki w gabinecie i dostać ten potrzebny papier. „Wydaje się w pełni zdrowa, uczestniczy w rozmowie, rozumie swoje problemy. Zalecam przywrócenie do pełnej służby ze skutkiem natychmiastowym”.

Uśmiechnęła się w duchu, a w wyobraźni kolejny raz pokazała wyprostowany palec Mikkelsonowi.

„Niezdolna do służby”.

Fuck you – taka, rzecz jasna, była jej pierwsza myśl. Ale po pięciu tygodniach spędzonych w samotności w nowo kupionym mieszkaniu na Bislett, w otoczeniu kartonowych pudeł, których nie miała siły otworzyć, uwięziona w ciele wciąż domagającym się gwałtownie tabletek, bo karmiła je nimi tak długo, w końcu się poddała. Straciła wszystkich, których kochała. Sigrid. Mamę. Tatę. Babcie. Na cmentarzu pod Åsgårdstrand brakowało tylko jej. Pragnęła jedynie rozstać się ze światem. Wyrwać się z całej tej okropności. Ale po jakimś czasie przyznała, że polubiła swoich kolegów z policji. Po samotności na wyspie czas spędzony w pracy obudził w niej uczucie, że może się da, może jednak życie mimo wszystko ma sens. Może warto przynajmniej spróbować. Przez jakiś czas. To byli mili ludzie. Dobrzy ludzie. Ludzie, na których naprawdę jej zależało.

Munch. Curry. Kim. Anette. Ludvig Grønlie. Gabriel Mørk.

– Sigrid? – powtórzył mężczyzna za biurkiem.

– Tak? – Mia znów pozwoliła myślom pofrunąć do dziewczyny, którą widziała wychodzącą z gabinetu. Najwyraźniej miała wizytę przed nią, na

pewno dzieliło je piętnaście lat, ale obie były równie zawstydzone: *Tak, ja też tu chodzę, ja też nie jestem normalna.*

– Musimy.

To znów ten psycholog, tym razem pewnie się nie wykręci.

Sigrid Krüger.

Siostra, przyjaciółka i córka.

Urodzona 11 listopada 1979. Zmarła 18 kwietnia 2002.

Kochana najmocniej. Nieodżałowana.

Psycholog znów zdjął okulary i odchylił się na krześle.

– Wkrótce powinniśmy zacząć o niej rozmawiać, prawda?

Mia podciągnęła suwak skórzanej kurtki i wskazała na wiszący na ścianie zegar.

– Jasne. – Kiwnęła głową i lekko się uśmiechnęła. – Ale to już następnym razem.

Mattias Wang sprawiał wrażenie niemal trochę rozczarowanego, kiedy odkrył, iż wskazówki zegara potwierdzają, że wizyta dobiegła końca.

– No dobrze – powiedział, odkładając pióro na leżący przed nim na stole notatnik. – Za tydzień o tej samej porze?

– Okej.

– Ważne, żeby... – spróbował jeszcze, ale Mia już była w drzwiach.

4

Holger Munch poczuł irytację, lecz również coś w rodzaju ulgi, gdy po raz pierwszy od dziesięciu lat wszedł do swojego dawnego domu. Irytację, ponieważ zgodził się na urządzenie urodzin Marion właśnie tutaj. Ulgę, ponieważ trochę się bał przebywania w otoczeniu starych wspomnień i nie bardzo wiedział, jak na nie zareaguje, ale dom, w którym się znalazł, nie przypominał już tego dawnego. Odnowili go. Wyburzyli kilka ścian. Pomalowali na inne kolory. Zaskoczony Munch przyłapał się na myśli, że jego dawny dom urządzono naprawdę ładnie, i im więcej się rozglądał, tym bardziej się uspokajał. Nigdzie nie widział też śladu Rolfa, nauczyciela z Hurum, więc może mimo wszystko to popołudnie wcale nie będzie najgorsze.

Marianne powitała go w drzwiach z taką samą miną jak za każdym poprzednim razem, gdy byli zmuszeni spędzić pewien czas w swoim towarzystwie, czy to na confirmacji, na urodzinach, czy na jakimś pogrzebie. Rzucając mu uprzejme i miłe „cześć”, żadnych uścisków, żadnej oznaki uczuć, ale też bez goryczy rozczarowania czy nienawiści w oczach, jak zdarzyło się kilka razy tuż po rozwodzie. Jedynie umiarkowany, ale mimo wszystko ciepły uśmiech: „Witaj, Holger, siadaj w salonie, akurat dekoruję tort dla Marion, sześć świeczek. Aż trudno uwierzyć, że jest już taka duża, prawda?”.

Munch odwiesił budrysówkę w przedpokoju i już miał wnieść prezent do salonu, gdy nagle usłyszał ściszony krzyk, po którym rozległy się szybkie kroki na schodach.

– Dziadek! – Marion podbiegła do niego i mocno go uściskała. – To dla mnie? – spytała, szeroko otwartymi oczami patrząc na różową paczkę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – uśmiechnął się Munch, głaszcząc wnuczkę po głowie. – Jak się czujesz jako sześciolatka?

– Właściwie bez różnicy. Prawie tak samo jak wczoraj, kiedy jeszcze miałam pięć – Marion uśmiechnęła się po dorosłemu, nie odrywając oczu od prezentu. – Dziadku, mogę od razu otworzyć? Mogę?

– Musimy poczekać na odśpiewanie urodzinowej piosenki – stwierdziła Miriam, która również zbiegła z góry.

Córka podeszła do Muncha, żeby się z nim przywitać.

– Fajnie, że mogłeś przyjść, tato. Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, jak najbardziej. – Munch pomógł jej przenieść wielką pakę do salonu na stół, na którym leżały już inne prezenty.

– O, to wszystko jest dla mnie! Kiedy wreszcie będę mogła rozpakować... – zaczęła prosić dziewczynka, wyraźnie przekonana, że już i tak czekała za długo.

Munch spojrział na córkę i w odpowiedzi otrzymał uśmiech. Jej spojrzenie sprawiło mu przyjemność. Po rozwodzie ich stosunki były, łagodnie mówiąc, dalekie od przyjacielskich, ale w ostatnich miesiącach zaczęło wyglądać na to, że nienawiść, którą córka czuła do niego przez wszystkie te lata, z wolna mija.

Dziesięć lat. Chłodne stosunki między ojcem a córką. Z powodu rozwodu. Ponieważ on za dużo pracował. A potem, o dziwo, to właśnie jego praca pozwoliła im ponownie zbliżyć się do siebie, jak gdyby na świecie mimo wszystko istniało coś w rodzaju sprawiedliwości. Niespełna pół roku wcześniej prowadził śledztwo w poważnej sprawie, być może jednej z najtrudniejszych, jakimi zajmowała się jednostka, w którą Miriam i Marion zostały wplątane bezpośrednio. Pięcioletnią wnuczkę Holgera porwała osoba chora psychicznie. Można by przypuszczać, że to zdarzenie jeszcze powiększy dystans między nimi, a córka i tym razem uzna go za odpowiedzialnego za wszystko, ale stało się inaczej. Miriam ani trochę go nie obwiniała, po prostu nie posiadała się ze szczęścia, że jego zespołowi udało się rozwiązać sprawę. Pojawił się w niej rodzaj nowego szacunku dla ojca. Holger miał wrażenie, że dostrzega go w jej oczach, że Miriam patrzy teraz na niego inaczej, docenia znaczenie jego pracy. Obie, i Miriam, i Marion, chodziły na terapię do dobrego policyjnego psychologa, aby uporać się z tamtymi strasznymi przeżyciami, ale szczęśliwie na wnuczce nie odbiły się aż tak mocno. Może była jeszcze za mała na to, by zrozumieć, jak fatalnie mogło się to skończyć. Przez kilka nocy budziła się z płaczem, dręczona złymi snami, lecz to szybko minęło. Jej matce oczywiście było znacznie ciężiej. Miriam dłużej spotykała się z psychologiem, już bez Marion, może nawet jeszcze teraz chodziła na terapię, Munch nie miał co do tego pewności, nie byli sobie aż tak bliscy, by córka zwierzała mu się ze wszystkiego. Czuł jednak, że są na dobrej drodze. Z każdym dniem zbliżali się do siebie o kolejny krok.

– A gdzie Johannes? – spytał Munch, kiedy już usiedli na kanapie.

– Ach, no wiesz, ma dyżur, zadzwonili ze szpitala i musiał jechać. Może

jeszcze przyjdzie, jeśli mu się uda. Praca, sam rozumiesz. Niełatwo się wyrwać, kiedy się robi coś ważnego. – Córka puściła do niego oko.

Munch w odpowiedzi uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Tort już gotowy – oznajmiła uradowana Marianne, wchodząc do salonu.

Holger obserwował ją ukradkiem. Nie chciał się otwarcie gapić, ale właściwie nie mógł oderwać od niej oczu. Na moment ich spojrzenia się spotkały, wtedy poczuł nagłą ochotę wywabienia jej z powrotem do kuchni, żeby tam ją objąć i uściskać, jak za dawnych dni, ale w porę się opamiętał, głównie dzięki Marion, której cierpliwość wyraźnie się kończyła.

– Mogę otworzyć? Przecież prezenty są o wiele ważniejsze od tej głupiej piosenki!

– Ale musimy zaśpiewać i zdmuchnąć świece, przecież wiesz. – Marianne pogładziła wnuczkę po głowie. – No i musimy poczekać, aż będą wszyscy, żebyśmy mogli zobaczyć, jakie śliczne prezenty dostałaś.

Marianne, Miriam, Marion i on. Holger Munch nie potrafiłby chyba wybrać lepszego grona na spędzenie miłego popołudnia. Ale tak jakby słowa ekszony, że muszą poczekać, aż zbiorą się wszyscy, były czymś w rodzaju kwestii wygłaszanej w teatrze, hasła, po którym zaczyna się następna scena, otworzyły się drzwi i wszedł Rolf, nauczyciel z Hurum, uśmiechnięty, z ogromnym bukietem w rękach.

– Cześć, Rolf! – Marion już biegła do drzwi, żeby go uściskać.

Munch na widok małych rączek obejmujących mężczyznę, którego zdecydowanie nie lubił, poczuł ukłucie w sercu, ale nieprzyjemne wrażenie szybko minęło. Wnuczka była mu droższa ponad wszystko, a jej świat przecież zawsze tak wyglądał. Dziadek sam. Babcia i Rolf razem.

– Zobacz, ile dostałam prezentów!

Marion zaciągnęła nauczyciela z Hurum do salonu, żeby mógł podziwiać stół zastawiony paczkami.

– Świetnie! – Pogładził dziewczynkę po głowie.

– To też dla mnie? – Rozpromieniona Marion wskazała na wielki bukiet.

– Nie, to kwiaty dla babci. – Nauczyciel zerknął na Marianne, która uśmiechnięta obserwowała ich od drzwi.

Munch zauważył spojrzenie, które ekszona posłała Rolfowi. I właściwie dla niego było już po wszystkim. Przepadło dobre samopoczucie i wrażenie idylli. Owszem, idylla, ale sztuczna. Wstał, żeby się przywitać, uściskał nauczycielowi dłoń, a potem patrzył, jak człowiek, którego w zasadzie

nienawidził, wręcza jego byłej żonie okazały bukiet kwiatów i całuje ją w policzek.

Sytuację na szczęście znów uratowała Marion, która odmówiła dalszego czekania, czerwona na buzi z przejęcia.

– No, zaśpiewajmy już wreszcie! – zażądała głośno, delikatnie przypominając tym samym Munchowi, dlaczego się tu zebrali.

Odśpiewali piosenkę, szybko, bo Marion właściwie w ogóle już nie słuchała. Zdmuchnęła świeczki na tortcie i rzuciła się na prezenty.

Pół godziny później dziewczynka uporała się już ze wszystkimi paczkami i siedziała teraz przed nimi niemal wykończona. Barbie i rzeczy dla lalki bardzo się małej spodobały, rzuciła się dziadkowi na szyję, a karcące spojrzenie Miriam, którego się spodziewał, bo znów rozpieszczał wnuczkę i niewłaściwie wybrał zabawki, wcale nie padło. Córka tylko się uśmiechnęła, prawie z wdzięcznością, pozwalając mu poczuć, że wszystko jest w porządku.

Po rozpakowaniu prezentów nadeszła dość nieprzyjemna chwila. Marianne z nauczycielem na kanapie po drugiej stronie stołu, oczekiwanie konwersacji, której właściwie nikt z obecnych sobie nie życzył, ale Munch po raz kolejny został wyratowany z opresji, tym razem przez telefon. Znów dzwonił Mikkelson, lecz teraz w samą porę. Munch przeprosił i wyszedł na schody, zapalił wytęsknionego papierosa i odebrał połączenie.

– Słucham?

– Przestałeś w ogóle odbierać telefon? – warknął zirytowany głos na drugim końcu linii.

– Sprawy rodzinne – odpowiedział Munch.

– Jak miło – rzucił Mikkelson sarkastycznie. – Doprawdy przepraszam, że zakłócam sielankę, ale jesteś mi potrzebny.

– A co się dzieje? – zaciekawiał się Munch.

– Nastolatka – wyjaśnił Mikkelson już trochę spokojniej.

– Gdzie?

– Na obrzeżach Hurum. Turysta znalazł ją kilka godzin temu.

– Mamy pewność?

– Że co?

– Że to paragraf dwieście trzydzieści trzy?

Munch głęboko zaciągnął się papierosem. Zza drzwi dobiegał śmiech małej Marion. Ktoś ją gonił po domu, pewnie ten bałwan, który zajął jego miejsce. Munch z irytacją pokręcił głową. Urodziny w starym domu. Co on sobie

właściwie wyobrażał?

– Niestety tak – ciągnął Mikkelson. – Potrzebny tam jesteś natychmiast.

– Już jadę. – Munch się rozłączył.

Wyrzucił papierosa i ruszył po schodach, gdy nagle za nim otworzyły się drzwi i wyszła z nich Miriam.

– Wszystko w porządku, tato? – spytała, patrząc z niepokojem.

– Co? Tak... Tylko... praca.

– Aha. A ja chciałam jedynie...

– Co takiego, Miriam? – zniecierpliwiał się Munch, ale zaraz się opanował i lekko dotknął ramienia córki.

– Powinnam cię przygotować na wielką nowinę – dokończyła, nie patrząc mu w oczy.

– Jakiego rodzaju nowinę?

– Oni zamierzają się pobrać – powiedziała prędko Miriam, wciąż odwracając wzrok.

– Kto?

– Mama i Rolf. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że to może nie jest właściwy moment na obwieszczenie tego, no ale... – Wreszcie na niego spojrzała, wyraźnie zmartwiona. – Wejdiesz z powrotem?

– Wzywają mnie – odparł Munch krótko, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

Pobierają się? Popołudnie zaczęło się tak miło, ale... co on właściwie myślał? Zirytował się na siebie. Czego się spodziewał? Idiotyczne. Teraz miał inne rzeczy na głowie. O wiele ważniejsze.

– To znaczy, że już uciekasz? – spytała Miriam.

– Tak. – Kiwnął głową.

– Zaczekaj chwilę, przyniosę ci kurtkę.

Za chwilę wróciła z jego budrysówką.

– Przekaż im moje gratulacje – powiedział Munch cierpko i ruszył do samochodu.

– Zadzwoń do mnie, dobrze? Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać. To dla mnie dość ważne, więc zadzwoń, kiedy ci będzie pasowało – zawołała jeszcze za nim córka.

– Oczywiście, Miriam. Zadzwonię – obiecał Munch i potruchtał alejką, szybko wsiadł do czarnego audi i zapuścił silnik.

5

Ledwie dochodziła piąta, a i tak było już ciemno jak w grobie, kiedy Holger Munch dotarł na odgradzony przez policję teren na samym skraju półwyspu Hurumlandet. Przez szybę pokazał swój identyfikator, wtedy młody funkcjonariusz pospiesznym gestem pozwolił mu jechać dalej, trochę zawstydzony, że w ogóle go zatrzymywał.

Munch zaparkował samochód na skraju drogi kilkaset metrów w głębi za taśmami i wysiadł. Uderzyło go zimne jesienne powietrze. Zapalił papierosa i mocniej owinął się kurtką.

– Munch?

– Tak.

– Jestem Olsen, dowodzę akcją w miejscu zdarzenia.

Munch uściśnął osłoniętą rękawiczką dłoń wysokiego policjanta w średnim wieku, którego nie rozpoznawał.

– Jak to wygląda?

– Ofiarę znaleziono w odległości około sześciuset metrów na północny zachód od tej drogi – odparł Olsen, wskazując na ciemny las.

– Kogo tam teraz mamy?

– Techników kryminalistycznych, patologa. Jest też jeden z twoich ludzi... Kolstad?

– Kolsø.

Munch otworzył bagażnik audi, wyjął kalosze i już miał je włożyć, kiedy odezwał się jego telefon.

– Słucham, Munch.

– Tu Kim. Przyjechałeś?

– Tak, stoję na drodze. A ty gdzie jesteś?

– Na górze, przy namiocie, Vik już skończył swoje i zaczyna tracić cierpliwość, ale powiedziałem, że mają ją tu zostawić, dopóki się nie zjawisz. Przyjdę po ciebie.

– Dobrze. Na co się zapowiada?

– Na pewien czas możemy zapomnieć o spaniu. To jakiś chory skurwiol.

– Co masz na myśli? – Muncha nagle ogarnął nieprzyjemny niepokój.

Chory skurwiel?

Holger Munch miał blisko trzydzieści lat w roli śledczego zajmującego się zabójstwami i widział już niemal wszystko, rzeczy, które normalnym ludziom odebrałyby sen, ale rzadko tracił równowagę, zazwyczaj udawało mu się zachować profesjonalny dystans do widoków, z którymi miał do czynienia, i gdyby te słowa padły z innych ust, ani trochę by się nie zmartwił. Z ust delikatnej Mii, prawie pozbawionej odporności, którą wszystkie sprawy wstrząsały głęboko, czy nawet z ust Curry'ego, który miewał różne nastroje – ale usłyszeć coś takiego od Kima Kolsø? Munch czuł, że ani trochę mu się to nie podoba.

– Chcesz, żebym teraz ci opowiedział, czy wolisz sam zobaczyć? – ciągnął Kolsø.

– Streść mi to – odparł Munch, jednocześnie zatykając palcem drugie ucho, bo jeden z radiowozów właśnie włączył syreny i przejechał tuż obok niego.

– Jesteś tam? – rzucił Kolsø do aparatu.

– Tak, tak. Powtórz jeszcze to ostatnie, co powiedziałeś.

– Nastolatka. Przypuszczalnie szesnaście albo siedemnaście lat. Naga. To wygląda na... jak to powiedzieć... rytuału? Dookoła pełno piór. I świec...

Munch znów zatkał ucho, bo kolejny radiowóz ruszył za poprzednim z włączonym kogutem.

– ...ustawionych jakby w kształt symbolu... – Głos Kolsø zginął. Zirytowany Munch spojrzał na głównodowodzącego Olsena, który rozmawiał przez telefon, wymachując ręką ku czemuś, co działo się przy policyjnych taśmach.

– Nie słyszę, co mówisz! – krzyknął Munch.

– Coś w rodzaju gwiazdy – ciągnął Kolsø.

– Co?

– Naga nastolatka. Ciało ułożone w dziwnej pozycji. Oczy szeroko otwarte. Pełno tu piór...

Głos Kolsø znów odpłynął.

– Nie słyszę cię! – Munch wsadził palec do ucha.

– ...kwiat.

– Co?

– Ktoś jej wetknął kwiat do ust.

– Co wetknął?

– Nie słyszę cię – zacharczał Kim. – Schodzę.

– Dobrze. Stoję przy... – zawołał Munch do komórki, ale Kolsø już się rozłączył.

Munch pokręcił głową. Palił papierosa, kiedy znów podszedł do niego Olsen.

– Mieliśmy dwóch natrętnych dziennikarzy, dotarli trochę za blisko. Ale wydaje mi się, że teraz już się nam udało odgrodzić cały teren.

– To dobrze. – Munch pokiwał głową. – Rozpoczęliście już rundę po okolicznych domach?

– Tak – potwierdził Olsen.

– Ktoś coś zauważył?

– Niczego takiego jeszcze mi nie zgłoszono.

– Okej. Dopilnuj, żeby nie ominęli tego kempingu położonego kawałek dalej przy drodze. Pewnie jest już zamknięty na zimę, ale przyczepy stoją. Kto wie, może będziemy mieć szczęście.

Olsen kiwnął głową i odszedł.

Munch włożył wysokie kalosze, z kieszeni kurtki wyjął czapkę. Wyrzucił niedopałek i przemarzniętymi palcami wyciągnął nowego papierosa. Ledwie udało mu się zapalić zapalniczkę. Cholera, przecież tak niedawno było lato. Załedwie piąta po południu, a już ciemno jak w nocy.

Kim wyłonił się z zagajnika i skierował w jego stronę z ponurą miną. Przyświecał sobie dużą latarką.

– Jesteś na to przygotowany?

Przygotowany?

Kolsø naprawdę zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Wyraźnie dało się zauważyć, że widok ujrzany w lesie podziałał na niego w sposób, który zaniepokoił Muncha jeszcze bardziej.

– Trzymaj się blisko mnie. Teren nierówny jak cholera, rozumiesz?

Munch kiwnął głową i ruszył za zwykle tak opanowanym kolegą w stronę ścieżki prowadzącej przez las.

6

Miriam Munch stała przed drzwiami mieszkania w domu przy Møllergata i zastanawiała się, czy wcisnąć dzwonek, czy nie.

Mieszkanie Julie. Jednej z jej starych przyjaciółek. Julie przysłała kilka esemesów, w których nalegała, żeby Miriam koniecznie przyszła. Kilka lat wcześniej, gdy plątały się po Blitzu, siedzibie anarchistów, i działały jako wolontariuszki w Amnesty International, były sobie bardzo bliskie; młode zbuntowane dziewczyny, które miały przed sobą całe życie i wiarę w to, że protesty przeciwko działaniom władz przyniosą skutek. Teraz wydawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Zupełnie inny czas. Zupełnie inne życie. Miriam westchnęła i wolno zbliżyła palec do przycisku dzwonka, ale zaraz go cofnęła i namyślała się jeszcze przez chwilę. Marion była u babci i Rolfa, miała tam przenocować. Uparła się, żeby spędzić u nich cały weekend po urodzinach. Johannes jak zwykle był w pracy, więc puste mieszkanie niezbyt kusilo, lecz mimo to Miriam nie mogła się przemóc, żeby nacisnąć dzwonek. Wcale nie zrezygnowała z imprez po urodzeniu Marion, na miłość boską, ani trochę, prowadziła przecież jakieś życie towarzyskie. Powstrzymywało ją co innego. Popatrzyła w dół na swoje buty i nagle uznała, że wygląda idiotycznie. Sukienka i eleganckie pantofle. Nie przypominała sobie, kiedy ostatnio tak się wystroiła. W domu ponad godzinę spędziła przed lustrem, przymierzając rozmaite stroje, malując się, zmieniając zdanie, zdejmując ubranie, usuwając makijaż, aż w końcu usiadła na kanapie i włączyła telewizor w poszukiwaniu czegoś, co choć trochę by ją uspokoiło, ale się nie udało. Wyłączyła więc odbiornik, ponownie się umalowała, zrobiła kolejną rundę przed lustrem w różnych przebraniach i w efekcie stała teraz tutaj. Zdenerwowana jak nastolatka, czując łaskotanie w brzuchu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Co ty wyprawiasz?

Pokręciła głową nad samą sobą. Przecież była szczęśliwa. W ciągu ostatnich tygodni tyle razy powtarzała w myślach to zdanie. *Jesteś szczęśliwa, Miriam. Masz Johanna. Masz Marion. Masz takie życie, jakiego pragnęłaś.* Mimo to nie mogła się powstrzymać od myśli, których nie powinna snuć.

Starła się, ale nie chciały zniknąć. Pojawiały się wieczorem, tuż przed zaśnięciem, kiedy leżała z głową na poduszce. Rano, zaraz po przebudzeniu. Przed lustrem w łazience przy myciu zębów. Kiedy odprowadzała Marion do szkoły i machała jej na pożegnanie zza wielkiej żelaznej bramy. Cały czas te same myśli i ten obraz w głowie. Twarz. *Ta twarz*. Cały czas ta sama twarz.

Nie, to niemożliwe.

Podjęła już decyzję.

Do tego miejsca, lecz ani kroku dalej.

Odetchnęła głęboko i szybko ruszyła schodami w dół, gdy nagle drzwi za jej plecami się otworzyły i stanęła w nich Julie.

– Miriam? Dokąd idziesz? – Przyjaciółka najwyraźniej zdążyła już sporo wypić. Kiwnęła trzymanym w ręce kieliszkiem z czerwonym winem i głośno się roześmiała. – Widziałam cię przez okno i pomyślałam, że może zabłądziłaś. Chodź, jest już mnóstwo ludzi!

Uniosła kieliszek jak do toastu i gestem przywołała Miriam do siebie.

– Pomyliłam piętra – skłamała Miriam. Zawróciła, wolnym krokiem weszła na górę i uściskała przyjaciółkę.

– Słodka jesteś – zachichotała Julie i pocałowała ją w policzek. – Wchodź, wchodź!

Krótko ostrzyżona przyjaciółka, z którą przed kilku laty Miriam dzieliła się wszystkim, pociągnęła ją do mieszkania i zamknęła drzwi, popychając je nogą.

– Nie, nie musisz zdejmować butów. Chodź, przedstawię cię.

Miriam niechętnie pozwoliła się wprowadzić do salonu, w którym było pełno ludzi. Siedzieli na parapetach, na kanapach, na oparciach foteli i na podłodze. W niewielkim mieszkaniu panował wręcz tłok. W powietrzu nad butelkami i kieliszkami wszelkiego rodzaju i kształtu unosił się zapach tytoniu, a także innych, bardziej nielegalnych substancji. Jakiś młody chłopak z zielonym irokezem na głowie zawłaszczył wieżę stereo i puszczał Ramones tak głośno, że aż dudniły ściany, a Julie musiała krzyczeć, by zwrócić na siebie uwagę, której Miriam chętnie by sobie oszczędziła, ale mimo wszystko musiała stawić jej czoło.

– Hej, Kyrre, hej! – gwizdnęła Julie. – Wyłącz tego udawanego punka!

Miriam nic nie powiedziała. Nagle poczuła się przesadnie wystrojona i zbyt widoczna, gdy tak stała w drzwiach z przyjaciółką, która trzymała ją za rękę.

– Hej, słuchajcie mnie, hej! – znów zawołała Julie, kiedy chłopak z irokezem niechętnie przyciszył muzykę. – To moja stara dobra przyjaciółka

Miriam. Zasiłła szeregi snobów, więc postarajcie się dziś wieczorem zachowywać jak ludzie, a nie jak mały, dobrze? – Roześmiała się głośno z własnego dowcipu i znów uniosła kieliszek do toastu. – Hej, hej, jeszcze nie skończyłam! Miriam jest córką policjanta. Tak, dobrze słyszycie. Jej ojciec to superdetektyw Holger Munch we własnej osobie, więc schowajcie zioło, bo jeszcze wpadnie tu szwadron antynarkotkowy. Tak, Geir, miałam na myśli ciebie. – Kieliszkiem wskazała chłopaka z dreadami, ubranego w islandzki sweter, który machał nogami, siedząc na parapecie, i uśmiechał się szeroko z grubym jointem w ustach. – A teraz możesz znów podgłośnić – zwróciła się do chłopaka z irokezem – tylko, *please*, jeśli chcesz puszczać punk, to puść przynajmniej coś porządnego. Black Flag albo Dead Kennedys. Prawda, Miriam?

Miriam lekko wzruszyła ramionami, miała ochotę zniknąć pod dywanem, najwyraźniej jednak nikt za bardzo się nie przejął słowami gospodyni. Dwie sekundy później muzyka znów grała, ludzie wrócili do swoich szklanek i kieliszków, jakby nic się nie wydarzyło, a Julie pociągnęła Miriam przez pokój do kuchni i tam z kartonu stojącego na blacie szczodrze nalała jej do kieliszka czerwonego wina.

– Fajnie, że przyszłaś. – Jeszcze raz uściskała Miriam. – Trochę jestem pijana, *sorry*.

– W porządku – Miriam uśmiechnęła się, ostrożnie omiatając wzrokiem kuchnię.

Tamtej twarzy nie było w salonie, tutaj także nie. Może niepokoiła się całkiem niepotrzebnie. Impreza. Zwyczajna impreza. Właśnie tak. Nic więcej. Pewnie trochę przesadziła ze strojem, ale to żaden problem. Impreza rozwrzeszczanych ludzi w jej wieku. Wszystko w porządku. Fajnie. Miała za sobą już dość proszonych obiadów w towarzystwie lekarzy. Wystarczająco się nagadała o samochodach i domkach na wsi, o markach srebrnych sztućców i porcelany. Ubrała się niestosownie, ale poza tym wszystko było jak za dawnych czasów. Po prostu impreza. Nic innego. Nic się nie stało.

– To prawda?

Miriam odwróciła się tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Julie. Ale gospodyni już odeszła. Przeniosła się do salonu i teraz nachylała się nad irokezem przy wieży stereo.

– To prawda? – powtórzył stojący przed Miriam chłopak, ostrożnie się uśmiechając.

– Co? – spytała, jeszcze raz omiatając wzrokiem kuchnię.

– Że Holger Munch, ten policjant, to twój ojciec. Śledczy od zabójstw, tak?

Miriam trochę zirytowało to pytanie. Słyszała je już tyle razy, musiała na nie odpowiadać od dziecka, „Tata Miriam jest policjantem, więc jej nic nie możemy powiedzieć”, ale kiedy napotkała wzrok chłopaka, zrozumiała, że nie miał na myśli nic złego. Zresztą nie była ośmiolatką, nie stała sama w kącie szkolnego podwórza. Chłopak w białej koszuli i okrągłych okularkach, który zadał jej to pytanie, spoglądał życzliwie, był po prostu ciekawy, nie dostrzegła w nim żadnych złych intencji.

– Tak, to mój ojciec – przyznała i po raz pierwszy od dawna poczuła, że nie mówi tego z przykrością.

– Fajnie. – Chłopak w okrągłych okularkach wypił łyk drinka z miną wskazującą na to, że zastanawia się, jak ją jeszcze zagadnąć, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Tak, fajnie. – Miriam kolejny raz rozejrzała się znad krawędzi kieliszka.

– A ty co robisz? – spytał chłopak.

– Co masz na myśli? – Miriam niemal odruchowo zareagowała dość ostro, ale od razu tego pożałowała.

Był po prostu nieśmiały i nie bardzo umiał się zachować. Usiłował tylko podtrzymać rozmowę, może nawet pokusić się o coś w rodzaju podrywu, do czego absolutnie nie był przyzwyczajony, w każdym razie w ogóle sobie nie radził. Miriam niemal mu współczuła, kiedy tak stał wczepiony w swojego drinka z nadzieją, że ten wieczór będzie należał do niego. Ze strojem nie trafił podobnie jak ona, był w białej koszuli, spodniach w kant i w butach, które miały chyba uchodzić za drogie, włoskie, a były jedynie tanią podróbką. Miriam zawstydziała się tego ostatniego spostrzeżenia. Jeszcze kilka lat temu sama siedziałaby na parapecie z jointem w ustach albo przyłączyła się do tych, którzy stali na stole rozczochrani, ze wzniesionymi butelkami. Teraz wiedziała, czym są buty marki Scarosso.

– Jestem mamą – wyjaśniła już spokojniej. – Trochę studiowałam dziennikarstwo i myślałam, że może znów do tego wrócę, ale akurat teraz jestem mamą na pełen etat.

– Aha. – Chłopak w okrągłych okularkach posłał jej nieco rozczarowane spojrzenie, które już tyle razy wcześniej widywała w barach i kawiarniach.

Miriam Munch była piękną dziewczyną i nigdy nie odczuwała braku zainteresowania. Ale oświadczenie „Mam prawie sześciolletnią córkę” na ogół

wystarczało, by wszyscy chętni uciekali od niej z podkulonym ogonem.

– A ty czym się zajmujesz? – spytała życzliwie, ale z balonu podrywania najwyraźniej uszło powietrze, bo chłopak w okrągłych okularkach kierował już spojrzenie gdzie indziej.

– Jest prawdziwym mistrzem projektowania plakatów. Mam rację, Jacob?

A więc jednak tu była.

Ta twarz.

– Jacob, to Miriam, Miriam, to mój przyjaciel Jacob. Widzę, że już się poznaliście, bardzo się cieszę.

Twarz mrugnęła do niej i się uśmiechnęła.

– A więc to ona... – Chłopakowi w okrągłych okularkach nagle zrobiło się wyraźnie głupio i zaczęło mu bardzo zależeć na wycofaniu się. – Chyba muszę się jeszcze napić – mruknął, wskazując na szklanę, i odszedł.

– Ona? Ach tak? Ta, która...? – spytała Miriam.

– No wiesz. – Twarz się roześmiała. – Poza wszystkim masz ładną sukienkę. Miło popatrzeć tutaj na kogoś, kto ma gust.

– Dziękuję. – Miriam leciutko dygnęła.

– No i co? – spytała twarz.

– Z czym?

– Nie za duży tu tłok?

– Za duży – potwierdziła Miriam.

– Podobno w Międzynarodówce serwują niezłą margaritę.

– Nie spodziewałabym się, że kiedykolwiek to powiem – roześmiała się Miriam – ale odrobina tequili naprawdę dobrze by mi teraz zrobiła.

– Wobec tego idziemy. – Twarz odstawiła drinka na kuchenny blat i spokojnie ruszyła przodem przez hałaśliwy tłum.

Policjant Jon Larsen, wśród przyjaciół lepiej znany jako Curry, usiłował wejść do mieszkania, ale miał problemy z dopasowaniem klucza do dziurki.

Tyle razy obiecywał swojej dziewczynie, że z tym skończy. Od dawna oszczędzali. Od roku co miesiąc wpłacali dwa tysiące koron. Fidzi, tam chciała jechać. Trzy tygodnie w raj. Egzotyczne drinki z parasolkami. Kąpiel wśród kolorowych rybek w lazurówoniebieskiej wodzie, oderwanie się od pracy, której właściwie nie chciała wykonywać, a teraz znów wszystko zniweczył.

Zaklął pod nosem, w końcu udało mu się wsunąć klucz do prawie niewidzialnej dziurki i wszedł do mieszkania najciszej, jak potrafił. Spróbował odwiesić kurtkę, ale nie wcelował w haczyk. Kołysząc się, stanął na środku przedpokoju i zaczął się zastanawiać, czy ma iść do sypialni, czy od razu sam siebie skazać na spanie na kanapie. Zwykle właśnie tam musiał nocować, kiedy wracał do domu w takim stanie, pijany jak bela, nie umiając się wytłumaczyć z przeputanych oszczędności. Jeszcze jeden pokerowy wieczór, tym razem również bez wygranej, znów przegrana, i to duża. Cały czas tak dobrze mu szło, ale postawił wszystko na strita, na co odpowiedzią był poker i wyszczerzone w uśmiechu zęby po drugiej stronie stolika. Nagle wszystkie jego żetony zmieniły właściciela. Po prostu musiał się upić, czy ona tego nie rozumiała? Po ośmiu godzinach przy stoliku, po tym, jak gra przez cały wieczór szła mu wręcz bosko. Pasował, kiedy powinien. Podwyższał stawkę, kiedy powinien. Blefował, kiedy tego potrzebował. Grał dobrze, naprawdę dobrze. Przy stoliku kiwano głowami, „dzisiaj Curry gra jak prawdziwy mężczyzna”, ale w końcu wszystko poszło w diabły. Chwilowy przyływ pychy, prawie czterdzieści tysięcy w puli, za czorta nie mógł tego odpuścić, to był jego wieczór, nareszcie, a mimo wszystko skończyło się jak zawsze.

Niech to szlag.

Oparty plecami o ścianę zdołał w końcu ściągnąć buty i chwiejnym krokiem przeszedł do salonu, biorąc kurs na kanapę.

Ostatnio tyle się działo. Czy ona tego nie rozumiała? Za dużo tego było,

więc potrzebował trochę oderwać się od wszystkiego. Fidzi to jej sprawa. Drinki zapowiadały się niezłe, ale czy naprawdę musieli lecieć na drugi koniec świata, żeby się napić? Przecież drinka mogli wypić w domu. Kąpiele i plażowanie nie bardzo go interesowały, już po pierwszym dniu na słońcu skóra robiła mu się czerwona i musiał się chować w cieniu.

Zdążył się trochę wkurzyć w chwiejnej drodze przez salon, ale w końcu zwalił muskularne ciało na białą kanapę z Ikei. Położył głowę na kanapowej poduszce i usiłował naciągnąć na siebie koc, ale dotarł z nim ledwie do kolan. Zorientował się, że zasnął, dopiero gdy ze snu wyrwał go telefon.

– Halo?

Za oknem był biały dzień. Słabe październikowe słońce świeciło mu w twarz, nie pozwalało oderwać się od rzeczywistości. Znow się uchlał i wydał wszystkie oszczędności, stawiając na strita przeciwko cholernemu pokerowi.

– Nie śpisz? – spytał Munch.

– Nie śpię? – powtórzył Curry, nie dając rady oderwać głowy od poduszki.

Munch wydawał się zestresowany i w bardzo złym humorze.

– Wzywamy wszystkich. Możesz się stawić na wspólnym briefingu za godzinę?

– W niedzielę? – Curry ziewnął.

– Dasz radę? – spytał Munch.

– Jestem... – podjął próbę Curry.

Przez sen się zaślinił. Czuł, że cały policzek ma mokry. Problemy z wyciągnięciem słów z mózgu i przepchnięciem ich przez usta.

– Za godzinę w biurze?

– Jasne – mruknął, lekko unosząc się z kanapy, ale ciało zaraz brutalnie przypomniało mu o poprzednim wieczorze i zmusiło go, żeby znow się położył. – Muszę tylko... z Sunnivą... odwołać niedzielną wycieczkę... Wybieraliśmy się do lasu poddychać świeżym powietrzem, ale...

Oczami, które nie do końca dawały się otworzyć, Curry ostrożnie rozejrzał się po salonie w poszukiwaniu narzeczonej, lecz chyba nie było jej w domu.

– Przepraszam, że zakłócam rodzinną sielankę, ale musisz się stawić – oświadczył Munch cierpko.

– A co... co się stało?

– Nie przez telefon. Za godzinę, okej?

– Jasne, jasne, przyjdę, muszę tylko... – ciągnął ekstremalnie skacowany

krępy policjant, ale Munch już się rozłączył.

Zgięty w pół Curry przemieścił się do kuchni, tam połknął trzy tabletki od bólu głowy, które popił prawie litrem wody. Zataczając się, poszedł pod prysznic i stał pod nim, dopóki z kranu nie popłynął lód.

Dotarłszy do budynku numer trzynaście przy Mariboës gate, wstukał kod do drzwi wejściowych akurat w chwili, gdy nadeszła Anette Goli. Curry lubił Anette. Policyjna prokurator była dość cichą osobą, nierzucającą się w oczy, ale znakomitą prawniczką, zawsze w porządku, nigdy nie było z nią żadnych problemów. Niektórzy wprawdzie uważali, że za bardzo podlizuje się Mikkelsonowi i robi wszystko, by awansować, on jednak nigdy tego nie zauważył.

– Cześć – powiedziała Anette i pierwsza wsiadła do windy.

– No cześć – mruknął Curry.

Whisky i cygarowy głos. Słyszał to teraz. Odchrząknął, żeby oczyścić gardło.

– Długi wieczór? – Anette uśmiechnęła się z przekąsem pod jasną grzywką.

– Nie... A co?

– Czuć od ciebie.

– Parę drinków, nie więcej – bąknął Curry, ale kiedy rozchwiana winda wolno ruszyła w podróż na trzecie piętro, poczuł, że wczorajszy wieczór w pełni do niego wraca. – A co się dzieje? – spytał, próbując się uśmiechnąć.

– Nastolatka znaleziona w Hurum – odpowiedziała krótko Anette.

– Aha. Jakieś... ślady? – próbował dopytywać się Curry, kiedy winda dotarła na trzecie.

Anette posłała mu dziwne spojrzenie, lekko pokręciła głową i przodem ruszyła w głąb biura.

Curry postanowił przyjąć to za znak, że dziś chyba lepiej będzie trzymać gębę na kłódkę. Po drodze zajrzał jeszcze do kuchni, wziął sobie dużą kawę, którą ostrożnie postarał się przenieść dalej do sali briefingowej.

Szybko skinął głową wszystkim członkom ekipy. Kimowi Kolsø, Ludvigowi Grønliemu, Gabrielowi Mørkowi, tej nowej, którą Munch zatrudnił jakiś czas temu, jak jej na imię? Jakoś na Y? Krótko obcięte jasne włosy, ładna na swój sposób, ale ubrana trochę zbyt po chłopięcemu jak na jego gust. Ylva, tak, to to imię. Curry znalazł sobie miejsce na samym końcu sali i ostrożnie odstawił filiżankę na stół, uważając, żeby nie rozlać.

Munch już stał gotowy przy podwyższeniu, z pilotem do projektora w ręce.

Na czole rysowały mu się głębokie zmarszczki i nie uśmiechał się, jak miał w zwyczaju podczas wspólnych briefingów.

– Zgasisz światło, Ludvig? – spytał krótko i wcisnął przycisk na pilocie.

Na ścianie za nim ukazało się zdjęcie. Fotografia przedstawiała nagą dziewczynę, która leżała z szeroko otwartymi oczami. Curry aż drgnął, kiedy ją zobaczył. Cóż, nerwy po przepiciu. Odezwały się teraz z pełną siłą i pożałował, że nie skłamał. Powinien był powiedzieć, że jest chory, zostać na kanapie. Poczł pot lejący się pod koszulą, ręce mu drżały, nie dawał rady kontrolować palców. Uchwycił się filiżanki i miał tylko nadzieję, że nikt inny tego nie zauważy.

– Wczoraj o dwunastej czterdzieści w lesie na skraju półwyspu Hurumlandet znaleziono zwłoki młodej dziewczyny – zaczął Munch. – W pewnej odległości od ścieżki prowadzącej na wzgórze nazywane Haraldsfjellet. Ciało znalazł Tom Petterson, czterdziestosześcioletni botanik zatrudniony na Uniwersytecie w Oslo. Petterson wybrał się fotografować jakąś roślinkę i na dziewczynę natknął się przypadkiem.

Curry już wiele widział w życiu i wydawało mu się, że w pewnym sensie zyskał odporność, lecz to było coś zupełnie innego, a rozedrganie po przepiciu ani trochę mu nie pomagało. Naga dziewczyna. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Oczy miała szeroko otwarte. Ciało wykręcone w dziwnej pozycji, z jedną ręką uniesioną, drugą dziwacznie odwiedzioną w bok.

Munch znów wcisnął przycisk. Kolejny obraz na ekranie.

– Według patologa dziewczyna została uduszona, możliwe, że w tym miejscu, a następnie ułożona tak, jak ją znaleźliśmy. Później zajmiemy się wszystkimi szczegółami, ale na to warto chyba zwrócić uwagę już teraz... – Munch zaczął przyciskać nieco szybciej, na ekranie wyświetliła się seria zdjęć.

– Pióra.

Kolejne zdjęcie.

– Świece.

Kolejne zdjęcie.

– Peruka.

Kolejne zdjęcie.

– Te figury na ziemi.

Kolejne zdjęcie.

– Ułożenie ramion.

Kolejne zdjęcie.

– Tatuaż. Koński łeb z literami A i F pod spodem.

Curry spróbował wypić trochę kawy, ale nie mógł przełknąć, więc jak najostrożniej wypłuł ją z powrotem do filiżanki. Przestał też kojarzyć, co się wokół niego dzieje. W oczach mu pociemniało i odczuł nagłą potrzebę świeżego powietrza. Kiedy Munch zadzwonił, wciąż był pijany i tylko dlatego zdołał jakoś dobrnąć do pracy, zupełnie się przy tym nie załamując, ale lawina przetoczyła się teraz. Musiał mocno wziąć się w garść, żeby nie paść na stół. Bimber? Czy to właśnie pił? Miał mgliste wspomnienie windy w jakimś bloku wysoko na... Østerås? Był tam jakiś facet z wąsami, używające zbyt ciężkich perfum kobiety na wysokich obcasach i duży karton alkoholu na stole. Cholera, nic dziwnego, że tak się czuł. I gdzie właściwie podziała się Sunniva? Czyżby już zrozumiała, co się stało? Znow wyjechała do matki, tym razem na dobre?

– A przede wszystkim to.

Głos Muncha dobiegał z oddali.

Kolejne zdjęcie.

– Kwiat w ustach.

– Pieprzony psychol – syknął za jego plecami Kim Kolsø.

Curry czuł, że dłużej nie wytrzyma. Wczorajszy wieczór za wszelką cenę chciał się z niego wydostać. Curry rozpaczliwie wpatrywał się w drzwi, postanowił wybiec, ale nogi go nie słuchały. Dalej siedział, ciężko oddychając i znow przytrzymując się filiżanki z kawą.

– Wstępny raport patologa – ciągnął Munch, nie zwracając uwagi na reakcje z sali – podkreśla szereg dziwnych odkryć, którym z czasem i my się bliżej przyjrzymy, ale przede wszystkim należy zwrócić uwagę na to.

Kolejne zdjęcia. Curry nie na wszystkie dał radę patrzeć.

– Siniaki na kolanach i łokciach. Dłonie pokryte pęcherzami. Poza tym dziewczyna jest straszliwie chuda, wychudzona, jak widzicie, niemal anorektycznie, a przyczyna jest być może następująca. – Zostawił ostatnie zdjęcie i zajrzał do rozłożonych przed sobą papierów. – Według patologa w jej żołądku znajdowały się wyłącznie granulki.

– Co?

Tym razem reakcje były gwałtowniejsze.

– Karma dla zwierząt? – spytał Ludvig Grønlie.

– Tak – potwierdził Munch.

– Ale, do diabła...

– Granulki?

– Jak to możliwe?

– Nie rozumiem – poskarżyła się ta nowa dziewczyna, Ylva.

Wyglądała na kompletnie wstrząśniętą, jakby nie do końca pojmowała, czego tak naprawdę jest świadkiem.

– W jej żołądku nie ma nic, co by przypominało zwykłe jedzenie – powiedział Munch.

– No tak, ale... nie rozumiem...

– Karma dla zwierząt – powtórzył Ludvig Grønlie.

– W jaki sposób...?

– Jak już mówiłem, to dopiero wstępny raport – podjął Munch. – Vik obiecał mi więcej na jutro, więc musimy po prostu czekać, a w tym czasie...

– Jak mogła mieć w żołądku jedynie karmę dla zwierząt? – nie odpuszczała Ylva i rozglądała się zdumiona.

Munch zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu dzwonek jego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i zdecydował, że odbierze.

– Cześć, Rikard. Dostałeś moją wiadomość? – spytał głośno, jakby chciał pokazać pozostałym, dlaczego odebrał telefon w trakcie briefingu.

Mikkelson. Szef z komendy na Grønland. Curry nigdy dotąd nie słyszał, żeby Munch zwracał się do zwierzchnika po imieniu. Zobaczył, że inni również patrzą po sobie i ze zdziwieniem wzruszają ramionami.

Munch wsunął papierosa do ust i wskazując na balkon, gdzie palił, dał znak, że mogą sobie zrobić pięć minut przerwy.

8

Mia Krüger klęczała na podłodze w swoim mieszkaniu nad ułożonymi w rzędek słoiczkami tabletek i usiłowała znaleźć powód, dla którego miałyby ich nie otworzyć.

Przez całą noc bez odpoczynku chodziła po pustym mieszkaniu, godzinami tam i z powrotem, rękami obejmując własne wychłodzone ciało, aż w końcu osunęła się na materac przy oknie.

Miała taki cudowny sen. O Sigrid. Ten sam sen, który śnił się jej tyle razy wcześniej. Siostra bliźniaczka w białej sukience biegła jak na zwolnionym filmie przez żółte pole zboża, uśmiechnięta, machała do niej.

„Chodź, Mio, chodź”.

To było takie przyjemne. Tak ją uspokoiło. Rozgrzało. Napełniło przekonaniem, że życie jest mimo wszystko piękne. Nagle jednak się obudziła. Usłyszała odgłosy miasta. Odgłosy rzeczywistości. Zobaczyła spowijającą wszystko mrokiem ciemność i nie mogła zrozumieć, dlaczego zgodziła się spróbować. Życ. Przecież już się zdecydowała, prawda? Przecież przeprowadziła się na Hitrę właśnie po to, żeby porzucić to wszystko. Prawda? Zdecydowała się już dawno, czy naprawdę musiała przechodzić przez to wszystko jeszcze raz?

„Chodź, Mio, chodź”.

Tak.

„Musisz przecież spróbować”.

Nie.

„Chodź, Mio, chodź”.

Mia na moment doszła do siebie i zorientowała się, że zmarzła tak, iż cała drży. Mocniej owinęła się kołdrą i wyciągnęła chudą białą rękę po jeden ze słoiczków z tabletkami. Usiłowała odczytać, co na nim napisano, ale nie widziała liter. Nie zapaliła światła. Nie miała nawet pewności, czy zapłaciła za prąd.

Wstała poszukać czegoś do picia. Do tej pory tak dobrze się sprawowała, odstawiła wszystkie butelki, podejmując próbę przeżycia, bycia zdrową i porządną. Schowała je na samym dnie kosza na brudną bieliznę w łazience.

Ja nie piję.

Mam tylko butelki pochowane pod brudnymi ubraniami, które powinnam uprać w pralce, a ona nawet nie jest podłączona. W łazience, w mieszkaniu, w kamienicy, w mieście, w świecie, którego nie mam ochoty być częścią.

Nagle w łazienkowym lustrze odkryła własną twarz i przeżyła *flashback*, przypomniała sobie swoje odbicie ujrzone kilka miesięcy wcześniej, w domu na wybrzeżu Trøndelag.

Wówczas prawie nie miała odwagi, by unieść głowę i napotkać własne spojrzenie, ale tym razem to zrobiła. Wpatrywała się w siebie, w coś w rodzaju upiora widocznego na tafli lustra.

Mia Promień Księżyca.

Indianka o intensywnie niebieskich norweskich oczach. Długie czarne włosy, które wijąc się, opadały na chude białe ramiona. Blizna przy lewym oku. Trzycentymetrowe cięcie, znak, który nigdy nie zniknie. Motylek wytatuowany na biodrze tuż ponad linią majtek, wynik młodszej głupoty w czeskiej Pradze. Pogładziła cienką srebrną bransoletkę na prawym nadgarstku. Obie, i ona, i Sigrid, dostały po takiej ozdobie na konfirmację. Dziecięca bransoletka. Z serduszkami, kotwicą i literką. M na bransoletce Mii. S na Sigrid. Tamtego wieczoru, kiedy przyjęcie już się skończyło i goście poszli do domu, siedziały razem w pokoju w Åsgårdstrand i Sigrid nagle zaproponowała, żeby się zamieniły.

„Chcesz moją? Ja wezmę twoją?”

Od tej pory Mia nie zdjęła bransoletki.

Mia Promień Księżyca.

Tak mówiła na nią babcia.

„Jesteś zupełnie wyjątkowa, wiesz? Inne dzieci też są cudowne, ale ty to wiesz, Mio, wiesz, prawda? Widzisz rzeczy, których inni w ogóle nie dostrzegają”.

Babcia, która właściwie nie była jej prawdziwą babcią, lecz która mimo wszystko uznała ją za osobę sobie najbliższą. Sigrid i Mia. Mia i Sigrid. Dwie śliczne bliźniaczki adoptowane przez starsze małżeństwo, Evę i Kyrrego Krügerów, ponieważ pewna dziewczyna, za młoda na posiadanie dzieci, nie chciała, nie mogła ich zatrzymać.

Mama. Tata. Babcia. Sigrid.

Cztery groby na tym samym cmentarzu. Brakowało tylko jej.

Mia wsunęła rękę pod brudną bieliznę w koszu, wyciągnęła butelkę i drząc

z zimna w samej bieliźnie, zaniósła ją z powrotem na kołdrę leżącą przy ustawionych w rzędek słoiczkach z tabletkami.

Iść do psychologa?

Pieprzyć to.

Przecież próbowała, prawda?

Mattias Wang. Z cienkim wąsem, w najlepszej dzielnicy Oslo. Miły i dobry, bystry i inteligentny. Wykształcony zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki, a mimo to kompletnie nic nie rozumiał.

„Wiesz, co mi się wydaje, Mio?”

Mia odkręciła korek.

„Nie?”

I przyłożyła butelkę do ust.

„Wydaje mi się, że chorujesz przez swoją pracę”.

Poczuła ciepło rozlewające się w gardle.

„O co ci chodzi?”

Niemal jak we śnie. Sigrid na polu.

„Nie bardzo wiem. Ale masz w sobie coś dziwnego. Nie jesteś taka jak inni policjanci”.

Mia wypiała jeszcze jeden łyk z butelki i ciepło rozlało się dalej po wnętrzu jej ciała.

„Jak to?”

Prawie nie miało już znaczenia to, że była nieubrana.

„Za bardzo się przejmujesz. Wydaje mi się, że to dosłownie odbiera ci życie”.

Mimo wszystko owinęła się kołdrą. Tak się czuła bezpieczniej. Kołdra była jak przyjaciel, który miał jej pomóc w tym, co zamierzała zrobić.

„Co takiego, Mattias?”

Pięć opakowań białych tabletek.

„To zło. Wszystko, przez co musisz przechodzić. Wszystko, co musisz oglądać. Wszystko, czego musisz dotykać. Dla innych to jest praca, a dla ciebie... No nie wiem. Tak jakbyś doświadczała tego sama. Jakby to ciebie dotyczyło całe to okrucieństwo. Uważasz, że zbyt dramatyzuję?”

Mia znów podniosła butelkę do ust.

„Wydaje mi się, że się mylisz”.

Pięć wieczek, które można otworzyć.

„No tak, oczywiście nie mieliśmy tak wielu spotkań, więc nie mogę

powiedzieć, że cię znam albo że cokolwiek o tobie wiem. Ale właśnie tak cię odbieram”.

Tym razem pozwoliła butelce pozostać przy ustach długo.

„Pogadamy o tym więcej w przyszłym tygodniu?”

Nie.

„Wydaje mi się, że zdołamy z tego wybrnąć, nie sądzisz, Mio?”

Nie.

Mia Krüger odstawiła butelkę i spokojnie pogładziła palcami srebrną bransoletkę na nadgarstku.

„Nie”.

„Nie sądzę”.

Delikatnie zaczęła odkręcać wieczka słoiczków z tabletkami stojących przed nią na pokrytej zimnym linoleum podłodze.

Zirytowany Holger Munch siedział za kierownicą czarnego audi jadącego w stronę Bislett. Na Ullevålsveien zatrzymał się na czerwonym świetle i zapatrzył na uśmiechniętą młodą parę, która tuż przed nim przeprowadzała przez skrzyżowanie wózek dziecięcy. Zapalił papierosa i lekko pokręcił głową. W jaki sposób właściwie doszedł do tego punktu? Przecież jeszcze niedawno on też tak spacerował. Razem z Marianne. I z Miriam w wózku. Dlaczego ciągle chodziło mu to po głowie? Pobierają się? Naprawdę miał inne problemy. Siedemnastoletnia dziewczyna, zabita i porzucona naga w lesie. Na posłaniu z piór. Z kwiatem w ustach. A poza tym usiłował podlizywać się Mikkelsonowi, być może właśnie to irytowało go najbardziej. Zrozumiał, co musi zrobić, gdy tylko wszedł do białego namiotu w lesie i zobaczył leżącą tam dziewczynę. Musiał odzyskać Mię Krüger. Miał znakomity zespół, owszem, najlepszych śledczych w kraju, ale drugiej takiej jak ona nie było.

Do rzeczywistości przywołał go trąbiący za nim samochód. Światło zmieniło się na zielone, a młoda para zniknęła. Munch wrzucił bieg i skręcił w stronę Stadionu Bislett.

Pobierają się? Dlaczego, na miłość boską, uznali to za konieczne?

Akurat zaparkował i już miał wysiąść, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Słucham, Munch.

– Tu Ludvig.

– Tak?

– Chyba wiemy, kto to jest.

– Już?

– Tak mi się wydaje.

Munch wyznaczył Ludviga Grønliego i swoją nową asystentkę Ylvę do sprawdzenia listy osób zaginionych.

– Świetnie, Ludvig. Więc kto to jest?

– Trzeba to jeszcze potwierdzić, ale jestem właściwie pewien, że to ona. Nazywa się Camilla Green. Zaginięcie zgłoszono trzy miesiące temu. Opis się zgadza. Wzrost, kolor oczu, tatuaż. Ale jest też coś dziwnego.

– To znaczy?

– Dlatego to trochę potrwało – ciągnął Grønlie.

Munch lekko się uśmiechnął i zapalił papierosa. Trochę potrwało. Nie minęły jeszcze dwie godziny od czasu, gdy rozdzielili zadania w grupie. Poczuli nawet lekkie wyrzuty sumienia wywołane myślą, że musi ściągnąć Mię. Przecież miał do dyspozycji zespół najlepszych śledczych w kraju. Bez Ludviga Grønliego też nie dałby rady pracować.

– No mów. – Munch wysiadł z samochodu.

– Camilla Green – kontynuował Grønlie takim tonem, jakby czytał z ekranu komputera. – Urodzona trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Zielone oczy. Włosy średni blond, długie do ramion. Wzrost metr sześćdziesiąt osiem. Waga około siedemdziesięciu kilogramów. Sierota. Zaginięcie zgłosiła niejaka Helene Eriksen, kierowniczka czegoś, co nosi nazwę Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet.

– Siedemdziesiąt kilo? – Munch wyjął z samochodu teczkę z papierami i zamknął drzwi. – To raczej nie może być ona, prawda? Przecież ta zamordowana dziewczyna była przeraźliwie chuda.

– Wiem – przerwał mu Grønlie. – Ale mam tu jej zdjęcie. To właściwie musi być ona. Camilla Green. Wszystko inne się zgadza. Tatuaz i w ogóle.

Grønlie nawiązywał do jednego ze zdjęć w teczce, którą Munch trzymał w ręce. Dziewczyna miała na prawym barku wytatuowany koński łeb z literami A i F na dole.

– Okej. A kiedy zgłoszono jej zaginięcie, jak mówiłeś?

– Dziewiętnastego lipca. Ale właśnie to jest dziwne. Dlatego odnalezienie jej w rejestrze zajęło trochę czasu.

– To znaczy co?

– Ta Helene Eriksen, która zgłosiła jej zaginięcie, najwyraźniej zgłosiła również... Nie bardzo wiem, jak to nazwać. Niezaginięcie? Zaledwie kilka dni później.

– Masz na myśli odnalezienie?

Grønlie przez kilka sekund milczał, jakby znów studiował ekran swojego komputera.

– Nie, nie chodzi o odnalezienie. Po prostu zgłoszenie wycofano.

– To trochę bez sensu. – Munch rzucił okiem w górę na mieszkanie Mii.

W obu oknach było ciemno. Usiłował do niej dzwonić, ale nie odbierała telefonu. Właśnie dlatego tu przyjechał.

– ...ale nie odpowiada – ciągnął Grønlie.

– Kto?

– Ta Helene Eriksen. Mam tu zapisany numer, ale nie odbiera telefonu.

– Okej. – Munch przeszedł na drugą stronę ulicy. – Mówiłeś, że to sierota? Ale ktoś musiał być za nią odpowiedzialny? Co jeszcze o niej wiemy?

– Na razie nic więcej tu nie mam – odparł Grønlie. – Jedyne nazwę tego miejsca. Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet.

– I co to jest?

Munch podszedł do wejścia na klatkę i przyjrzał się rządowi przycisków. Oczywiście niepotrzebnie. Mia nigdy nie umieściłaby tutaj swojego nazwiska. Cofnął się o kilka kroków i znów stanął, patrząc w okna. Właściwie to dziwne. Ich mieszkania dzieliło zaledwie kilka kwartałów. Do jego domu przy Thereses gate dałoby się stąd dojść zaledwie w ciągu kilku minut, a mimo to nigdy jej nie odwiedził. *No, może to wcale nie takie dziwne, tylko po prostu głupie*, pomyślał, wyrzucił niedopałek na ziemię, zapalił kolejnego papierosa i znów poczuł wyrzuty sumienia. Od czasu gdy Mikkelson ją zawiesił, spotkali się jedynie ze dwa razy, krótkie, wręcz odbębnione spotkania w Justisen. Mia wydawała się nieobecna, niewiele się odzywała. Może nie ma się co dziwić po tym wszystkim, co przeszła. Kilka rozmów przez telefon. Kilka filiżanek herbaty. Może powinien zrobić dla niej coś więcej. Być lepszym szefem. I przyjacielem. Ale Mia już taka była, ceniła swoją prywatność, nie chciała, by ją zakłócano, więc nauczył się po prostu zostawiać ją w spokoju.

– Jeszcze nie znaleźliśmy za dużo, ale wygląda na to, że to coś w rodzaju domu dla młodzieży w trudnej sytuacji życiowej – ciągnął Grønlie.

– Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet?

– Tak. Mają stronę internetową, ale wygląda na trochę...

– Jak z lat dziewięćdziesiątych – odezwała się Ylva gdzieś w tle.

– Nieuaktualniana – wyjaśnił Grønlie.

– Ale to ogrodnictwo?

– Tak, tak mi się wydaje. Miejsce dla młodych ludzi, którzy, tak, mają problemy, przychodzą pracować czy coś takiego. Już mówiłem, że niewiele jeszcze wiem. Na razie mam tyle.

– Dobrze. Próbuje dalej skontaktować się z tą... jak ona się nazywa?

– Helene Eriksen.

– Okej. Dzwońcie, aż odbierze. I sprawdźcie, co jeszcze da się znaleźć o tej Camilli Green. Sam wiesz, gdzie masz szukać.

– Już się robi – powiedział Grønlie.

– To dobrze. – Munch się rozłączył.

Jeszcze raz wybrał w telefonie numer Mii, ale odpowiedzi ciągle nie było. Postał przez chwilę, zastanawiając się, czy ma próbować po kolei wszystkich dzwonek, przy których nie było nazwiska, bo może przypadkiem trafiłby na właściwy, ale uratowały go nagle otwierające się drzwi. Wyszła z nich młoda kobieta w kolorowym stroju treningowym, a Munch zdążył jeszcze wyrzucić papierosa i pokonać kilka schodków, zanim drzwi się zamknęły.

Trzecie piętro, tyle wiedział. Raz wracali razem z Justisen, Mia mu wtedy pokazała.

„Tam mieszkam. To mój nowy dom”.

Była pijana i powiedziała to z sarkazmem.

„Dom”.

Zabrzmiało to tak, jakby w ogóle tak nie myślała.

Munch, ciężko sapiąc, wszedł na trzecie piętro. Na szczęście były tam zaledwie dwa mieszkania. Na jednych drzwiach wizytówka. „Tu mieszkają Gunnar i Vibeke”. Na drugich nie było nic.

Munch rozpiął kurtkę, dwa razy nacisnął dzwonek i czekał.

10

Miriam Munch obudziła się w obcym mieszkaniu. Nie w obcym łóżku, o nie; był dżentelmenem i nawet tego nie zaproponował. Przyniósł kołdrę i pościelił jej na kanapie w czarującym niedużym mieszkanku, ani trochę niepodobnym do jej własnego.

Zupełnie inne życie, przypominające to, które sama wiodła, zanim zaszła w ciążę z Johannesem, w pewnym sensie swobodniejsze. W jej nowym mieszkaniu, które niedawno kupili w dobrej dzielnicy, na Frogner, podłogę pokrywały włoskie kafelki, a w łazience zainstalowano światła typu downlights. Lodówka miała kostkarkę do lodu i osobną szufladę, w której warzywa niewiarygodnie długo zachowywały świeżość. Pralka z cyfrowym wyświetlaczem. Grzejniki sterowane zdalnie za pomocą aplikacji na telefon, mogli więc wracać do domu, w którym panowała idealna temperatura. Nowy samochód, Miriam nie pamiętała nawet jego marki, ale miał, zdaje się, wszystko, co powinien mieć, GPS, napęd na cztery koła, poduszki powietrzne z przodu i z tyłu, ekrany DVD, przeszklony dach i specjalny bagażnik na narty. Mieszkanie, w którym się teraz obudziła, reprezentowało coś zupełnie innego. Stare plakaty przymocowane do ściany taśmą klejącą. Gramofon w kącie. Wszędzie walające się ubrania. Kiedy usiadła na kanapie, poczuła, że ciągnie od okna. W środku było tak zimno, że musiała ciaśniej otulić się kołdrą. Sięgnęła po leżącą na stole paczkę papierosów.

Październik w Oslo. Zbliżała się już zima i w normalnej sytuacji przekreśliłaby przełącznik w kuchni kontrolujący temperaturę w całym mieszkaniu, żeby Marion było ciepło, kiedy wyjdzie zaspana z sypialni, żeby nie musiała marznąć, gdy usiadzie do śniadania przy kuchennym stole. Na myśl o tym znów odezwały się wyrzuty sumienia. Nie była dobrym człowiekiem, prawda? Poszła na tę imprezę, zgodziła się na drinka w Międzynarodówce, w dodatku później zdecydowała się przyjść tutaj. Całą noc przesiadziła na obcej kanapie, popijając czerwone wino i godzinami gadając o rzeczach, o których chyba nigdy z nikim wcześniej nie rozmawiała. O tacie. O rozwodzie. O tym, jak się naprawdę czuje. O Johannesie. O tym uczuciu, które podstępnie atakowało ją w ostatnich latach. O tym, że wybrała go

w ramach buntu, chcąc się wyrwać z domu. Urodziła dziecko, będąc bardzo młodą osobą, a miała je z człowiekiem, który był zupełnym przeciwieństwem jej ojca.

Zapaliła papierosa, po omacku wyjęła telefon z torebki stojącej pod stołem i kiedy sprawdzała esemesy, musiała stawić czoło kolejnej fali wyrzutów sumienia. Ale nic nie przyszło. Johannes się nie odezwał. Nie było żadnego „Tęsknię za Tobą”. Żadnego „Gdzie jesteś?”. Tylko jedna wiadomość od matki: „Czy Marion może zostać u nas jeszcze jedną noc? Chciałaby, żebyśmy jutro odprowadzili ją do szkoły”.

Miriam wstukała odpowiedź: „OK, mam, jasne. Ucałuj ją ode mnie”. Odłożyła telefon na stolik i dalej siedziała pod kołdrą, oglądając otaczające ją plakaty.

„Wolność zwierząt to nasza wolność”.

„Zamknąć Løken Gård”.

Plakat ze zdjęciem prawie zagłodzonego kota zamkniętego w klatce w gospodarstwie Løken Gård w Mysen. Norwegowie, którzy zarabiali na skupowaniu psów i kotów, trzymaniu ich w zamknięciu i sprzedawaniu za granicę do badań prowadzonych na zwierzętach.

Tak się poznali. Twarz i ona.

Ziggy.

Znów poczuła napływające wyrzuty sumienia, ale nie zdołała podjąć decyzji, czy ma wstać, ubrać się, pojechać taksówką na Frogner, przygotować się na powitanie Johanna, kiedy wróci do domu z dyżuru w szpitalu, jako dobra żona, kochanka i matka, którą powinna być, czy raczej znów naciągnąć na siebie kołdrę w tym malutkim, ale jakże pełnym życia mieszkaniu, tak bardzo przypominającym jej dawne czasy.

„Zamknąć Løken Gård”.

To tam się poznali. W siedzibie Towarzystwa Ochrony Zwierząt na Mosseveien. Poszła tam, ponieważ czuła, że musi coś zmienić w swoim życiu. Zająć się czymś innym niż tylko byciem mamą. Tove i Kari, dwie cudowne osoby zaangażowane wyłącznie w opiekę nad kotami, których nikt nie chciał. W karmienie ich. Głaskanie. Dbanie o to, by zrozumiały, że są ważne. Że chociaż ktoś użył ich w roli ozdób, a potem wyrzucił do rowu, to są również ludzie, których obchodzi ich los. Którzy je kochają. Wtedy jej to wystarczyło, ot, taka przerwa od codzienności. Opiekowanie się kimś.

Nagle jednak pojawił się on.

Twarz.

Ziggy.

W siedzibie Towarzystwa kręciło się wielu wolontariuszy, stale ktoś przychodził. Niektórzy pojawiali się tylko raz, inni częściej, ale Miriam natychmiast zrozumiała, że on, Ziggy, jest kimś wyjątkowym.

Kiedy pokazał się pierwszy raz, Tove i Kari zachowywały się niemal jak małe dziewczynki, z rumieńcami na policzkach, jakby odwiedziła ich jakaś gwiazda. Początkowo Miriam nie rozumiała dlaczego, bo nie różnił się zbyt wiele od pozostałych wolontariuszy.

Ani trochę.

Ale teraz to rozumiała.

Niech to szlag trafi.

Sięgnęła po kolejnego papierosa i właśnie go zapalała, kiedy otworzyły się drzwi do sypialni.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziała Miriam.

– Spałaś?

Potarł oczy, ostrożnie przeszedł po podłodze i usiadł w fotelu naprzeciwko niej, otulając się kołdrą, którą ze sobą przyniósł.

– Mało, ale trochę spałam – zaczerwieniła się Miriam.

– To dobrze – uśmiechnął się, sięgając po papierosa z leżącej na stole paczki.

Zapalił, lekko przechylając głowę, patrzył na nią ponad żarem tymi swoimi śmiejącymi się, pięknymi oczami.

Otworzył usta i powiedział wprost:

– Jak uważasz, co z tym zrobimy, Miriam?

Nagle poczuła się trochę niepewnie. Siedziała wpatrzona w palącego się papierosa, nic nie mówiąc. Wcześniej sądziła, że to odurzenie wywołane spędzeniem całej nocy w towarzystwie kogoś, przy kim czuła się sobą, minie, kiedy się obudzi. Zniknie.

– Muszę się napić kawy. Ty też się napijesz?

Chętnie.

– Nie, chyba muszę już iść.

Mogłabym tu siedzieć cały dzień.

– Rozumiem – uśmiechnęła się twarz. – Wydaje mi się, że nie powinienem cię wypuszczać bez śniadania, ale oczywiście sama decydujesz.

Nie mów nic więcej, bo zostanę.

– Rzeczywiście powinnam się zbierać.

– Jasne. Musisz robić to, co jak czujesz, jest dla ciebie najlepsze.

Kiedy już się ubrała i wyszła z mieszkania, Miriam Munch zrozumiała, że to może być trudne.

Zakochała się.

Na serio.

Nie na żarty.

Miała poczucie, że to bezwzględnie zakazane, ale mimo wszystko wydawało jej się najzupełniej słuszne.

Może nie będę się z nim kontaktować?

Złapała taksówkę i przez całą drogę do domu usiłowała trzymać się tej myśli.

Może to wtedy minie?

Kiedy weszła do pustego mieszkania na Frogner, prawie udało jej się przekonać samą siebie.

To minie.

Odłożyła klucze na stolik przy drzwiach wejściowych, rozebrała się w drodze do sypialni, wsunęła pod kołdrę i zasnęła, niemal jeszcze zanim przyłożyła głowę do poduszki.

11

Holger Munch zadzwonił jeszcze raz, kilka razy zastukał i już zamierzał odejść, gdy drzwi nagle się otworzyły i ukazała się w nich Mia.

– A cóż to za pora na budzenie ludzi? – Uśmiechnęła się krzywo i wpuściła go do mieszkania.

– Niedziela, godzina czwarta – oznajmił Munch.

Zdjął buty i zaczął się rozglądać za wieszakiem na kurtkę, ale nic takiego nie znalazł, więc po prostu położył ją na podłodze i poszedł za Mią do pokoju.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała Mia. – Jeszcze nie udało mi się w pełni zaprowadzić porządku. Masz na coś ochotę? Na filiżankę herbaty? Bo zakładam, że ciągle nie pijesz alkoholu.

Munch usiłował doszukać się podtekstu w tym ostatnim zdaniu, pretensji o to, że dawno się nie widzieli, że powinien był odwiedzić ją wcześniej, ale niczego takiego nie wychwytał.

– Właśnie szłam pod prysznic, mogę?

– Tak, oczywiście. – Munch kiwnął głową.

– Dwie minuty. Zaraz wracam.

Mia jeszcze raz krzywo się uśmiechnęła i zniknęła w łazience, Munch natomiast dalej stał na środku pokoju, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. To, że nie udało jej się w pełni zaprowadzić porządku, było wielkim niedopowiedzeniem. Mieszkanie przypominało mu tamto lokum, które wynajmował w Hønefoss. Do końca się w nim nie rozpakował, nie znalazł w sobie siły, żeby zrobić z niego dom, i tutaj wyglądało to tak samo. Pod oknem leżał materac z kołdrą i poduszką, najwyraźniej właśnie tam spała Mia. Po kątach stały jeden na drugim kartony, niektóre wyglądały na otwierane i z powrotem zamknięte. Nic nie wisiało na ścianach, nigdzie ani jednego mebla. Rozkład pomieszczeń podobny do tego w jego mieszkaniu, przypuszczalnie jakieś siedemdziesiąt metrów, salon z otwartą kuchnią, drzwi na balkon, korytarz prowadzący w głąb, prawdopodobnie do łazienki i dwóch sypialni, z których Mia najwyraźniej nie korzystała.

Wyglądało na to, że w jakimś momencie podjęła próbę. Zauważył nieotwarte kartony z Ikei, złożony do połowy biały fotel, nóżki od niego luzem

na podłodze, obok instrukcja montażu. Nieduży stolik, który przynajmniej udało jej się skrócić. Munch ciężko usiadł w niedokończonym fotelu, odłożył teczkę na stolik i poczuł, że nie podoba mu się to, na co właśnie patrzy.

Mia wyglądała na ekstremalnie zmęczoną. Znow. Prawie jak na wyspie Hitra. Wtedy aż przeszły go ciarki, kiedy ją zobaczył, a teraz to odczucie wróciło. Zazwyczaj silna Mia, pełna energii, z bystrym spojrzeniem, zredukowana do cienia samej siebie. Na podłodze przy materacu stała opróżniona do połowy butelka armaniaku i kieliszek, w kącie leżały trzy puste kartony po pizzy. Munch znow poczuł wyrzuty sumienia. To oczywiste, że powinien był odwiedzić ją wcześniej. Źle wyglądała. Kiedy widzieli się ostatnio, tamtego wieczoru w Justisen, wydawała się weselsza, wykazywała coś w rodzaju wiary, że wszystko się ułoży, ale teraz wyraz jej oczu był taki jak na Hitrze, nieobecny, bez życia.

Munch wstał po papierosy, które zostały w leżącej w przedpokoju kurtce.

– Można palić w domu czy na balkonie?

Zawołał to w stronę łazienki, ale Mia odkręciła już prysznic i nie doczekał się odpowiedzi, więc wybrał balkon. Stał na zimnie, patrząc, jak ostatnie resztki dziennego światła znikają, spowijając ciemnością Stadion Bislett i resztę miasta.

Chory skurwiel.

Munch zapalił papierosa i pozwolił, żeby zaczęła do niego docierać prawda.

Przy swoich ludziach starał się nie ulegać emocjom. Był opanowany. Małomówny. Powściągliwy. Konstruktywny. Właśnie dlatego został szefem. Nigdy przed innymi nie zdradzał, jak działają na niego wszystkie te sprawy. Ale teraz poczuł, że to nadciąga, że widok, który ujrzał w Hurum, wzbudził w nim wyjątkowy niepokój. Prowadzili wiele śledztw, stale coś mieli. I Munch zawsze współczuł ofierze, rodzinie, rozumiał, jak ogromna tragedia dotknęła ludzi, którzy stracili kogoś bliskiego. Ale większość spraw osadzona była w racjonalnym kontekście. Przypadkowe kłótnie z nieszczęśliwym skutkiem. Porachunki w znanych policji kręgach kryminalnych. Zazdrość. Na ogół sprawy, przy których pracował, miały w sobie coś ludzkiego. Oczywiście nawet w jego zawodzie nie powinno się mówić, że zabójstwo jest rzeczą ludzką, i oczywiście nigdy nie powiedział tego głośno, ale często tak myślał i zawsze odczuwał ulgę, kiedy istniał kontekst dający się objąć rozumem.

Ale nie tym razem.

To był zwyrodnialec.

Poszedł po kurtkę do przedpokoju, znów wrócił na balkon i zapalił kolejnego papierosa. Zobaczył, że Mia wychodzi z łazienki owinięta ręcznikiem i znika w pokojach w głębi, gdzie przypuszczalnie znajdowała się szafa albo karton z ubraniami. Znów poczuł się nieswojo z powodu całej tej sytuacji. Mia wybrała oderwanie się od rzeczywistości, ukryła się na wyspie na otwartym morzu. To on sprowadził ją z powrotem. Wykorzystali ją, ponieważ jej potrzebowali, a potem znów wyrzucili, zostawili samą. Ostatnie słowa cofnął w myślach. Nie oni. To Mikkelson ją zostawił. Firma. System. Nie on. Gdyby to zależało od Holgera Muncha, Mia Krüger mogłaby robić, co jej się żywnie podoba, byle tylko zgodziła się z nim pracować.

– Właściwie możesz palić w środku, skoro drzwi do pokoju i tak są otwarte, nie uważasz?

Mia przyszła ubrana w czarne obcisłe spodnie i biały golf. Z głową owiniętą ręcznikiem, który zaraz zdjęła i zaczęła wycierać nim włosy.

– O cholera, *sorry*. – Munch się zawstydził. Nie zauważył, co robi, myślami był zupełnie gdzie indziej.

Wyrzucił niedopałek na ulicę w dole, wszedł do mieszkania i tym razem zamknął za sobą drzwi na balkon.

– Gdybym dalej pracowała jako śledcza – uśmiechnęła się Mia i usiadła na materacu pod oknem – doszłabym do wniosku, że jeśli Holger Munch we własnej osobie przypadkiem przychodzi tu w niedzielne popołudnie z teczką pełną fotografii, to może oznaczać wyłącznie, że na świecie wydarzyło się coś naprawdę okropnego. Policja jest zdesperowana, więc pewnie wrócę do pracy?

Munch z powrotem usiadł w białym fotelu bez nóżek.

– Trochę mnie to kosztowało. – Pokiwał głową.

– Mam ci teraz podziękować? To chcesz mi powiedzieć?

Munch znów szukał podtekstu w jej słowach, ale nie znalazł go i tym razem. Mia sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło, była wręcz wesoła. W martwych oczach, które powitały go w drzwiach, na powrót pojawił się cień życia i wydawało się, że ceni sobie jego wizytę.

– No to co mamy? – spytała, odkładając ręcznik na podłogę.

– Chcesz od razu zobaczyć czy wolisz usłyszeć moje zdanie?

– A muszę wybierać? – Mia sięgnęła po teczkę.

Munch widział, jak wyraz jej oczu się zmienił, gdy ją otworzyła i zaczęła

rozkładać fotografie na podłodze przed sobą.

– Znaleźliśmy ją wczoraj przed południem – zaczął Munch. – Na skraju Hurumlandet. Kilkaset metrów w głębi lasu. Pewien turysta, biolog czy botanik, wybrał się fotografować jakąś roślinę i natknął się na nią. Znalazł ją tak, w samym środku...

– Rytuał – rzuciła Mia nieobecny tonem.

Munch odczekał, aż ułoży na podłodze ostatnie zdjęcia.

– Na to wygląda. Ale...

– Co? – Mia na moment oderwała się od fotografii.

– Chcesz, żebym milczał, czy raczej... – Munch nagle poczuł, że jej przeszkadza.

– Nie, nie, przepraszam, mów dalej – mruknęła Mia, otworzyła butelkę z armaniakiem i nalała do brudnej szklanki po sam brzeg.

– Rzeczywiście, tak jak powiedziałaś, to wygląda na jakiś rytuał – podjął Munch. – Peruka. Pióra. Świece. Ułożenie ramion.

– Pentagram. – Mia przyłożyła szklankę do ust.

– Tak, Ylva też tak powiedziała.

– Ylva?

– Kyrre został przeniesiony – wyjaśnił Munch. – A ona akurat skończyła szkołę, więc...

– Tak jak ja? – Mia się uśmiechnęła i znów przeniosła wzrok na zdjęcia.

– Nie, ty przecież nigdy nie skończyłaś szkoły, prawda?

– Więc jaka jest umowa?

– Z Ylvą?

– Nie, ze mną. – Mia podniosła jedno ze zdjęć.

– O co ci chodzi?

– Z Mikkelsonem. Na co się tym razem umówiłeś? Pozwól, że zgadnę. Mogę wrócić, jeśli obiecuję, że dalej będę chodzić do psychologa?

– Owszem – odpowiedział Munch i lekko uniósł się w fotelu.

– Możesz palić tutaj. Gdzieś powinna być popielniczka. Wydaje mi się, że w którejś szafce na górze. – Pokazała, nie odrywając oczu od zdjęć.

– Camilla Green – podjął Munch, kiedy z powrotem usiadł już z zapalonym papierosem. – Siedemnaście lat. Dziecko z rodziny zastępczej. Jej zaginięcie trzy miesiące temu zgłosił pewien zakład dla młodzieży z problemami, gospodarstwo ogrodnicze.

– Kwiat w ustach. – Mia pokiwała głową.

– Ze wstępnego raportu z sekcji wynika, że w jej żołądku znajdowała się karma dla zwierząt.

– Co? – zdumiała się Mia.

– Takie suche kuleczki – wyjaśnił Munch.

– *Fuck*. – Mia znów spojrzała na zdjęcie.

Wypiła kolejny duży łyk alkoholu. Wzrok miała teraz nieobecny, taki, jaki widział wiele razy wcześniej. Nie było jej już tutaj. Znajdowała się gdzieś daleko w głębi siebie i Munch znów poczuł, że w ogóle nie musi tu z nią siedzieć, równie dobrze może zostawić ją samą.

Nie zwróciła nawet uwagi, kiedy zadzwonił jego telefon i Munch wyszedł na balkon go odebrać.

– Słucham, Munch.

– Tu Ludvig. Mamy ją.

– Kogo?

– Helene Eriksen. Tę, która zgłosiła zaginięcie dziewczyny. Niedługo będzie u nas. Już jedzie.

– Wracam. – Munch natychmiast się rozłączył.

Kiedy wszedł z powrotem do mieszkania, okazało się, że Mia opróżniła szklanekę i znów ją napełniła.

– I co? – spytał.

– Co: i co? – Mia popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem.

– Co o tym myślisz?

– Przyjdę jutro. Teraz chcę zostać z tym sama.

– Okej. Pewna jesteś, że dasz sobie radę? Może przynieść ci coś do jedzenia?

Zbyła go machnięciem ręki, nie odrywając wzroku od zdjęć.

– Wobec tego widzimy się jutro.

Półprzytomna skinęła mu głową.

Munch włożył buty i zawiązał sznurowadła, delikatnie zamknął za sobą drzwi, niezbyt szybko zbiegł ze schodów, otworzył samochód i ruszył ku Mariboegate.

12

Czterdziestoletnia kobieta w czerwonej puchówce stała pod latarnią koło Stadionu Bislett i patrzyła, jak z kamienicy wychodzi gruby mężczyzna w beżowej budrysówce. Zapalił papierosa, chwilę jakby się zastanawiał, po czym wsiadł do czarnego audi i odjechał.

– Na co czekamy? – Stojący obok kobiety o dwadzieścia lat młodszy od niej chłopak rozejrzał się nerwowo i mocniej naciągnął czapkę na uszy. – Zimno mi.

– Cicho bądź.

Kobieta wsunęła rękę do kieszeni, by sprawdzić, czy to wciąż tam leży.

Bransoletka.

– To będzie trudne? – Chłopak drżącymi palcami zapalił skręta, którego trzymał w kąciku ust. – Mówiłaś przecież, że ona da nam pieniądze.

Kobieta w czerwonej puchówce pożałowała, że w ogóle zabrała ze sobą tego młodego. Właściwie wcale się nie znali. Powinna to zrobić sama, i to już dawno temu.

Ciaśniej owinęła się kurtką i dalej stała wpatrzona w mieszkanie na trzecim piętrze, w słabe światło widoczne na górze. A więc była w domu.

Brakowało jej jednak całkowitej pewności, że postępuje słusznie.

– Muszę niedługo dostać działkę. – Chłopak zakasłał.

– Cicho bądź – zganiła go kobieta w czerwonej puchówce i sama to teraz poczuła.

Tęsknotę za ukłuciem igły, dzięki któremu cała beznadzieja zniknie, a ją zaleje tak potrzebne ciepło.

– Pokaż – zażądał chłopak, wyciągając rękę.

– Co?

– Tę bransoletkę. Mówiłaś przecież, że ona nam za nią zapłaci.

Kobieta znów spojrzała w okna mieszkania, a potem pokazała chłopakowi, co trzyma w kieszeni.

– Za to? – zdumiał się, podnosząc bransoletkę do światła latarni. – Czy to w ogóle może być coś warte? Wygląda na tandetę, jaką noszą dzieciaki. Cholera, mogliśmy obrobić jakiś kiosk czy coś takiego. 7-Eleven.

Uwinęlibyśmy się w ciągu pięciu minut. Co nam przyjdzie z tego? Daj spokój! Kompletnie ci już odbiło?

Kobieta w czerwonej puchówce zdecydowanym ruchem odebrała mu bransoletkę i schowała ją z powrotem do kieszeni kurtki.

Srebrzystą bransoletkę z serduszkciem, kotwicą i literką M.

– To ma wartość emocjonalną – powiedziała cicho i poczuła, że głód nadciąga w pełni, z wręcz nieznośną siłą.

Potrzeba zastrzyku, który sprawi, że ciemność w jej ciele zniknie.

– Emo... co?

Młody chłopak nerwowo się rozejrzył i znów zaciągnął się dymem.

– Cholera. Może jednak gdzieś się włamiemy? Albo możemy spytać Leffego, czy nie da nam na kredyt. Jest mi winien przysługę, do diabła. Na pewno da nam na krechę. Przecież on mieszka tu niedaleko, no chodź. Jezu, ta bransoletka nie jest warta pięciu groszy, co to za pomysł! Ja w każdym razie zaraz spadam.

Kobieta w czerwonej puchówce uniosła wzrok, kiedy na balkon wyszła ciemnowłosa dziewczyna. W jednej ręce trzymała drinka. A w drugiej coś, czemu się przyglądała. Jakąś kartkę. Zdjęcie. Coś takiego. Stała tak kilka sekund, trochę tak, jakby wpatrywała się w ciemność miasta, po czym wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi za sobą.

Mia Krüger.

Kobieta poczuła napływające wyrzuty sumienia. Powinna to była zrobić już dawno temu.

Dawno, dawno temu.

Bo była tam tamtego wieczoru.

– No chodź – powiedział chłopak prawie błagalnym tonem i wyrzucił niedopałek. – Spadamy, do cholery, dobra? Dłużej nie dam rady.

– Zamknij się. Tu nie chodzi tylko o pieniądze.

– Co? – zdumiał się chłopak.

– Tu nie chodzi tylko o pieniądze.

– Ale przecież, do cholery, mówiłaś, że...

– Przyjaźniłyśmy się – przerwała mu kobieta, już nieco poirytowana. I znów pożałowała, że wzięła ze sobą tego młodego.

Powinna załatwić to sama.

I powinna zrobić to już dawno temu.

– Przyjaźniłyście się? Kto? Ty i ta tam, na górze?

– Nie możesz się zamknąć?

– Skoro się przyjaźnicie, to nie możesz po prostu poprosić jej o pieniądze? O rany, Cisse, to przecież kompletny idiotyzm. Dlaczego tu stoimy? Mówiłem przecież, że Leffe może nam dać na krechę. Chodź już.

– Nie, nie z nią. Z Sigrid.

– Z Sigrid? Z jaką Sigrid?

– Z jej siostrą.

Chłopak wyciągnął z kieszeni cienki już pakiet z tytoniem i z resztek, które w nim zostały, usiłował skręcić kolejnego papierosa, cały czas nerwowo się rozglądając.

– Do diabła, Cisse, mówię serio, dłużej tego nie wytrzymam! Potrzebuję czegoś już teraz. Ty nie? Idziemy do Leffego?

– Byłam tam. – Kobieta w czerwonej puchówce wciąż nie odrywała oczu od cienia w mieszkaniu na górze.

– Gdzie byłaś?

– Widziałam go.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy ją zabijał.

Chłopak umilkł. Stał z cienkim skrzywką w ustach i przytkniętą do niego zapalniczką, ale go nie zapalał.

– Cholera, Cisse, zwariuję przez ciebie. Kto kogo zabijał?

Sigrid.

Czuła, że to znów nadchodzi.

Powinnaś była zrobić to dawno temu.

Byłam tam.

Kiedy ją zabijał.

– Niech to szlag, Cisse, potrzebuję działki! Powiedziałaś, że idziemy tu tylko po kasę. Więc jak, spadamy?

– Co mówisz?

– Wiem, że Leffe da nam na krechę. To niedaleko, do diabła, chodź. Cisse, to jakaś głupota!

Czterdziestoletnia kobieta delikatnie przesunęła palcami po srebrzystej bransoletce, sprawdziła, czy ciągle tam jest, gdy nagle światło nad ich głowami zgasło.

– No chodź.

– Nie możesz się zamknąć?

- Do jasnej cholery, Cisse! Ja spadam! Idziesz ze mną?
- Jesteś pewien, że Leffe da nam na krechę?
- O rany, ma u mnie dług. Po co my tu stoimy? Idźmy już.

Kobieta w czerwonej puchówce jeszcze raz powiodła palcami wokół srebrnej bransoletki w kieszeni kurtki. Po raz ostatni spojrzała w ciemne okna mieszkania.

A potem ruszyła za nerwowym chłopakiem w stronę Pilestredet.

CZEŚĆ II

13

Gabriel Mørk zatrzymał się przy gazetach przed kioskiem na rogu Mariboegate, wciąż doskonale pamiętając pierwszy raz, kiedy stał tutaj, dokładnie w tym samym miejscu, sześć miesięcy wcześniej, bardzo zdenerwowany przed rozpoczęciem pracy w policji. Młody haker nie miał wówczas żadnego doświadczenia w pracy policyjnej, a właściwie, szczerze mówiąc, żadnego doświadczenia w jakiegokolwiek pracy. Jego nazwisko policja dostała od GCHQ, MI-6. Rozszyfrował ekstremalnie trudny kod, który angielski wywiad zamieścił w sieci: *Can you crack it?* Cała historia okazała się zadaniem rekrutacyjnym, więc otrzymał informację, że rozwiązał zagadkę prawidłowo, lecz aby dostać tę pracę, należało mieć brytyjskie obywatelstwo. Gabriel puścił całą historię w niepamięć, aż nagle pewnego dnia zadzwonił telefon i Holger Munch po krótkiej rozmowie natychmiast go zatrudnił.

Sześć miesięcy, a wydawało się, że od tamtej pory minęły już całe wieki. Początkowo Gabriel bardzo się denerwował, czuł się zdecydowanie nie na swoim miejscu, lecz zespół dobrze go przyjął i teraz chłopak miał wrażenie, że jest jego ważnym elementem. Policja? Wcześniej nawet by mu to przez myśl nie przeszło, ale dzisiaj nie wyobrażał sobie życia bez tej pracy.

Wyjął swoją kartę wstępu i wszedł do złotego budynku. Młodziutka nastolatka. Znaleziona naga w lesie w Hurum. Z kwiatem w ustach. Zadrżał na wspomnienie zdjęć, które oglądał. Nie mieli podobnej sprawy od czasu dziewczynek powieszonych na drzewach. Wtedy z trudem panował nad mdłościami. Myślał nawet, że jednak popełnił błąd, przyjmując tę pracę. Na szczęście udało im się rozwiązać sprawę.

I on też się do tego przyczynił.

Później Munch wziął go na bok i osobiście mu podziękował. Powiedział: „Bez ciebie byśmy sobie nie poradzi, Gabriel”. Poczł się wtedy taki dumny, pierwszy raz w życiu uczestniczył w czymś naprawdę ważnym.

Gabriel przyłożył swoją kartę do drzwi windy i już miał wcisnąć guzik trzeciego piętra, gdy za plecami usłyszał znajomy głos:

– Zaczekaj na mnie!

Odwrócił się i lekko drgnął, widząc biegnącą w jego stronę Mię.

– Dziękuję – wydusiła zdyszana, kiedy drzwi windy się zamknęły.

Mia Krüger.

– Wróciłaś? – Gabriel poczuł, że się rumieni, ale miał nadzieję, że ona tego nie zauważy.

– Na to wygląda. Właściwie powinnam im kazać, żeby się wynosili do diabła, prawda?

– Może i tak – uśmiechnął się Gabriel.

– Udało ci się zdobyć rejestr?

– Co?

– Rejestr połączeń z jej telefonu. Camilli Green, tej dziewczyny z lasu.

– Nie – odparł Gabriel. – Takie rzeczy trochę trwają. Ale podobno już idzie. Sama wiesz, biurokracja i tak dalej.

– Dlaczego nie włamiesz się do ich systemu i po prostu sam go nie zdobędziesz?

– Munch lubi, żeby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami – wyjaśnił Gabriel lekko zakłopotany.

– Wiem! – roześmiała się Mia.

Ruszyła przed nim korytarzem, przeciągnęła swoją kartę przez czytnik, przepuściła Gabriela w drzwiach i zamknęła je za sobą akurat w chwili, kiedy ukazał się Munch.

– Umawialiśmy się na jedenastą! Jedenasta to jedenasta, a nie piętnaście po.

– Pokręcił głową i zniknął w głębi.

– A cóż to? – zdumiała się Mia.

– Munch jest ostatnio w bardzo złym humorze – wyjaśnił Gabriel.

– Najwyraźniej. – Mii widocznie wcale to nie obchodziło.

– Jedenasta to jedenasta! Czy my jesteśmy w przedszkolu? Co się dzieje!? Gdzie są wszyscy?

Munch głośno krzyczał z sali briefingowej, burczącym, ciężkim głosem, jakby ktoś zbudził niedźwiedzia z zimowego snu. Naprawdę był dziś w złym humorze.

Mia Krüger.

Gabriel cieszył się, że wróciła.

– Okej – powiedział Munch, zajmując swoje zwykłe miejsce przed ekranem. Gabriel Mørk zauważył, że koledzy na widok wchodzącej do sali briefingowej Mii zaczęli się uśmiechać.

– Promień Księżyca. – Ludvig Grønlie zaśmiał się i mocno ją uściskał.

Anette Goli też do niej podeszła z wyciągniętą ręką, a Kim Kolsø, nie ruszając się z miejsca, uniósł wyprostowany kciuk.

– Okej – powtórzył Munch. – Jak widzicie, Mia wróciła i cholernie się z tego cieszymy. A jeśli się zastanawiacie, komu to zawdzięczacie, to mogę wam wyjawić, że mnie. I żebyście wiedzieli: pierwszy i ostatni raz płaszczyłem się przed Mikkelsonem, ale uważam, że było warto. – Pozwolił sobie na uśmiech, jednocześnie włączając projektor. – Gdzie Curry? – spytał nagle, a Gabriel wtedy też się zorientował, że brakuje krępego policjanta. – Kim? Ludvig?

Munch rozejrzał się po sali, lecz w odpowiedzi wszyscy pokręcili tylko głowami.

– Nic nie wiem – powiedział Kim.

– Okej. – Munch wcisnął przycisk.

Na ekranie ukazała się fotografia. Zamordowana nastolatka była na niej jeszcze żywa, lekko uśmiechała się do obiektywu na zdjęciu szkolnym czy klasowym.

– Wczoraj wieczorem uzyskaliśmy potwierdzenie, że dziewczyna, którą znaleźliśmy w Hurum, to Camilla Green. Siedemnaście lat. Urodzona w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Wychowana w rodzinie zastępczej. Matka zmarła, kiedy Camilla była mała. Zginęła w wypadku samochodowym. A jej ojciec to Francuz, nazywa się...

– Laurent Clementz – podpowiedział Ludvig Grønlie.

– Dobrze, dziękuję, Ludvig.

– Na razie jeszcze nie udało nam się z nim skontaktować – ciągnął Munch. – A wnioskuje z tego, co mówi Helene Eriksen, Camilla też miała z nim bardzo słaby kontakt. Podobno kilka razy w dzieciństwie odwiedziła go latem, ale z czasem zajął się nią nasz Urząd Ochrony Praw Dziecka.

– Przepraszam, jaka Helene? – spytała Ylva, która wcześniej podniosła rękę.

Gabriel widział, że Ylva ukradkiem zerka na Mię Krüger, i rozpoznał u niej to uczucie. Sam czuł się podobnie, kiedy przyszedł tu pierwszy raz. Lęk przemieszany z szacunkiem, wywołany faktem, że siedzi w tym samym pokoju co Mia Krüger, i strach, że powie lub zrobi coś nie tak.

– Oczywiście, Ylvo. To była długa noc. I przepraszam, że nie wszyscy zostali poinformowani, co się wydarzyło od czasu naszego ostatniego zebrania.

Chrząknął i wypił łyk wody mineralnej, która stała przed nim na stole.

– Helene Eriksen... – Munch zerknął na Grønliego. – Na razie nie mamy żadnego jej zdjęcia, prawda?

Ludvig Grønlie pokręcił głową.

– Okej. W każdym razie Camilla Green wychowywała się w różnych rodzinach zastępczych, ale chyba nigdzie nie znalazła prawdziwego domu. – Munch przerzucił swoje zapiski. – Wydaje mi się, że odnotowaliśmy cztery domy, z których uciekła, aż wreszcie w wieku piętnastu lat trafiła do Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet.

Munch najwyraźniej spodziewał się kolejnych pytań, bo uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać swoich słuchaczy.

– Tak, tak, Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet, zaraz będzie i o tym. W każdym razie... Na czym skończyłem?

Munch nagle stłumił ziewnięcie. Widocznie w nocy niewiele spał. Mogło to chyba tłumaczyć zły humor, którym powitał Gabriela i Mię w korytarzu.

– Helene Eriksen – przypomniała mu Ylva.

– Dziękuję – powiedział Munch. – Wczoraj udało nam się skontaktować z szefową tego gospodarstwa. To właśnie Helene Eriksen i to ona zgłosiła zaginięcie Camilli Green trzy miesiące temu. We dwóch z Ludvigiem zawieźliśmy ją wczoraj do Zakładu Medycyny Sądowej, potwierdziła, że denatka to Camilla Green. – W tym momencie przerwał na chwilę i znów spojrzał na Grønliego. – Jak się czuła później?

– Nie najlepiej – westchnął Ludvig. – Była w szoku.

– Ale odwiozłeś ją do domu?

Ludvig kiwnął głową.

– I ktoś tam na nią czekał? Zajął się nią?

Ludvig jeszcze raz kiwnął głową.

- Niejaki Paulus. Jej asystent. I prawa ręka.
- To dobrze. – Munch znów przerzucał swoje notatki.

W sali zapanowała teraz cisza. Nikt się nie odezwał, dopóki Munch ponownie nie wcisnął guzika. Tym razem ukazało się zdjęcie z miejsca zdarzenia. Jedno z tych, które widzieli już wcześniej. Przedstawiające dziewczynę, Camillę Green, leżącą na ziemi, nagą, w tej dziwnej pozycji, z białym kwiatem w ustach.

- Ten Paulus... – podjął Munch, znów spoglądając na Grønliego.
- Jego zdjęcia też jeszcze nie mamy.
- W każdym razie zdaje się, że Paulus był dawniej jednym z mieszkańców gospodarstwa, a teraz, z tego co zrozumieliśmy, jest tam zatrudniony. I to na dość ważnym stanowisku. Właśnie on przesłał nam dziś rano listę wszystkich mieszkańców, pracowników, nauczycieli i pozostałych osób związanych z tym miejscem.

- Chwileczkę – odezwała się znów Ylva, tym razem wyraźnie zażenowana.
- Ale czym jest to Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet? Co to za miejsce?

– Przepraszam – powtórzył Munch, dotykając ręką czoła i tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Ludvig, możesz to wyjaśnić?

– Dobrze. – Ludvig zajrzał w kartki rozłożone przed nim na stole. – Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet to placówka dla młodzieży z problemami. Zostało założone przez Helene Eriksen jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku i jest własnością prywatną, ale otrzymuje wsparcie od państwa i ma powiązanie z innymi instytucjami i instancjami, ze służbą psychologiczno-pedagogiczną, z Oddziałem Zaburzeń Odżywiania Szpitala Ullevål, ze Szpitalem Psychiatrycznym Dikemark. Podzwoniłem trochę i wszędzie usłyszałem same dobre opinie. Wygląda na to, że dzieci i młodzież, które nie odnalazły się gdzie indziej, odniosły prawdziwe korzyści z pobytu w tym gospodarstwie. Niektóre osoby mieszkały tam przez wiele lat. – Przerzucił kartki. – Tak jak mówiłem, mieliśmy niewiele godzin do dyspozycji, ale ci, z którymi rozmawiałem, wręcz wychwalali to miejsce, a przede wszystkim Helene Eriksen. Wydaje się, że ta kobieta jest dla dzieciaków jak matka. Dalej będę to sprawdzał, ale na razie nie znalazłem nic, co mogłoby rzucić złe światło na zakład czy na nią, raczej przeciwnie.

- Świetnie, Ludvig, dziękuję. Hm...
- Teraz ja? – spytał Kim Kolsø z krzywym uśmiechem.
- Dobrze, proszę, Kim – skinął mu głową Munch.

– Nasi ludzie byli w miejscu zdarzenia prawie od momentu, gdy zgłoszono znalezienie ciała. Pukali do drzwi, przeczesali całą okolicę, ale jeśli chodzi o ślady techniczne, mamy niewiele. To rejon popularny wśród turystów, odwiedza go wielu ludzi, więc o śladach stóp możemy zapomnieć, musielibyśmy sprawdzać buty połowy mieszkańców okręgu Buskerud. Poza tym nie znaleźliśmy w okolicy nic innego, co osobiście uważam za trochę dziwne, ale dalej nad tym pracujemy. Ściągnęliśmy tylu ludzi, ilu tylko się dało ze Svelvik, Røyken i Sande, będziemy się tam kręcić, aż coś znajdziemy, bo przecież musi tam być coś, co może nam się przydać. Mamy do przeszukania duży obszar, więc to pewnie trochę potrwa, ale już się tym zajmujemy. Oczywiście mamy pewne ślady techniczne, niestety tylko to, co już widzieliście. Pióra, świece, kwiat w ustach, zdaje się, że lilia. No i mamy zeznanie świadka. – Poszukał w swoim iPadzie. – Niejaka Olga Lund, emerytka mieszkająca przy drodze prowadzącej do ścieżki, przy której znaleźliśmy dziewczynę. Twierdzi, że widziała biały samochód dostawczy, z naklejką z boku. Przejechał tamtędy zaraz po wiadomościach, jak to określiła, i wrócił tą samą drogą – znów, tak jak się wyraziła – przed głównymi wiadomościami.

Koledzy trochę się uśmiechnęli. Łatwo było sobie wyobrazić starszą panią, dla której wyznacznikami pór doby są stałe programy telewizji publicznej.

– Naklejka? – spytała Mia. Pierwszy raz w ogóle otworzyła usta.

– Tak, tak się wyraziła.

– Logo?

– Pewnie to właśnie miała na myśli.

– Ale nie mówiła jakie?

Kim znów przesunął palcem po ekranie iPada.

– Nie widzę, żeby coś takiego tu odnotowano. Dostałem raport od funkcjonariusza pracującego na miejscu, ale zamierzam się tam wybrać i sam z nią porozmawiać.

– Dobrze, Kim, dziękuję. Gabriel?

Gabriel Mørk siedział zatopiony w myślach i drgnął, słysząc swoje imię.

– Tak?

– Rejestr połączeń telefonicznych?

– Zamówiony i już w drodze.

– Świetnie. – Munch kiwnął głową.

Gabriel zerknął na Mię Krüger, która puściła do niego oko.

– Okej – powiedział Munch. – Mia?

Mia wstała i podeszła do ekranu. Munch wręczył jej pilota do projektora, usiadł na krześle przy biurku. Mia odgarnęła długie ciemne włosy za ucho, chrząknęła lekko i wyświetliła pierwsze zdjęcie.

– Nie miałam za dużo czasu, żeby się im przyjrzeć, bo dostałam je zaledwie wczoraj – uśmiechnęła się niemal przepraszająco – ale jest tu wiele rzeczy, które moim zdaniem są dla nas bardzo ważne. Będziemy musieli podjąć sporo decyzji, ustosunkować się do różnych tropów.

Kiedy odwróciła twarz w stronę ekranu, na sali zapadła całkowita cisza.

– Nie ma wątpliwości, że zabójstwo zostało zaplanowane i że było planowane od dawna. Od razu uderzyło mnie, że miejsce zdarzenia zostało zainscenizowane, prawie jakby ktoś się tym bawił. Zgodzicie się ze mną? – Przeklikała kilka zdjęć, nie czekając na odpowiedź. – Peruka. Pióra. Świece wokół dziewczyny. To, że jest naga. Sposób ułożenia rąk. Kwiat w ustach. Rytuał. Ofiarowanie. Takie były moje pierwsze skojarzenia i z pewnością również wasze. Jak widzicie... – Zrobiła krok w stronę ekranu i zaczęła wskazywać różne punkty na obrazie. – Ustawienie świec. Ten pentagram. Natychmiast wywołuje skojarzenia, prawda? To przecież znany symbol, wrota, no tak, do ciemności, do szatana. Nie wyciągam teraz żadnych wniosków, mówię tylko o tym, co mi się natychmiast nasuwa. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że mamy do czynienia z osobą czy grupą osób, którym bliski jest okultyzm. Satanizm.

Spojrzała na salę, jakby chciała zobaczyć, czy są jakieś pytania, ale wszyscy wciąż siedzieli bez słowa.

– Rozumiecie, o co mi chodzi?

Ktoś kiwnął głową, ale nikt się nie odezwał.

– Mamy więc młodą dziewczynę, całkiem nagą, na posłaniu z piór, w pentagramie ustawionym ze świec, a z tego, co mi przekazano, wynika, że nie znaleziono jakichkolwiek śladów napastowania seksualnego, mam rację?

Spojrzała prędko na Muncha, który pokręcił głową.

Mia puściła serię kolejnych zdjęć.

– Dziewica – podjęła, zatrzymując się na zbliżeniu dziewczyny, na które Gabriel ledwie mógł patrzeć. – Najczęściej rytuały związane są właśnie z tym aspektem, prawda?

Ciągle nikt nic nie mówił.

– Nie chodzi mi o to, czy Camilla Green była dziewczyną, bo w dzisiejszych

czasach mało która nastolatka nią jest, lecz o to, że nie została wykorzystana seksualnie. Umieszczono ją jednak wśród tych symboli, nagą i c z y s t ą, i właśnie to koniecznie musimy wziąć pod uwagę.

Sięgnęła po butelkę wody mineralnej Muncha. Wypiła łyk i zatoneła w myślach.

– Mia? – chrząknął Munch ostrożnie.

– Słucham? – Spojrzała na niego.

– Nic, *sorry*.

Znów wcisnęła guzik i ukazało się kolejne zdjęcie.

– Ponieważ nie miałam za dużo czasu na przyjrzenie się tym fotografiom, to, o czym teraz mówię, to rzeczy, które widzimy n a z e w n ą t r z, rozumiecie? Nie zagłębiałam się w nie, usiłuję tylko mówić o tym, co widzimy na zewnątrz. Co nam to pokazuje? Nam jako widzom. Rozumiecie?

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się ostrożnie do kolegów. Tu i ówdzie pokiwano głowami, chociaż Gabriel Mørk wiedział, że pozostali, tak jak on sam, siedzą niczym przepelnieni szacunkiem studenci na jakimś wykładzie.

– To dobrze – ucieszyła się Mia. – A więc to, co zewnętrzne. Przyglądamy się teraz temu, co na zewnątrz.

Znów kliknęła kilka razy, wyświetlając kolejną serię zdjęć, tych samych, które oglądali wcześniej.

– Ktoś zatem ją tu umieścił. Nagą. Ułożył. Wyeksponował. Siedemnastoletnią dziewczynę. Camillę Green. Z kolei przyszło mi do głowy...

Znów się zamyśliła, ale tym razem nie na tyle długo, by Munch musiał ją budzić.

– Czy po to, abyśmy ją znaleźli? Została wystawiona na pokaz? To ważne pytanie.

Mia spojrzała na Muncha, który akurat w tej chwili wyglądał na studenta tak samo jak pozostali, ale jednak kiwnął głową.

– Absolutnie – przyznał.

– No i mamy, powiedzmy, stronę bardziej techniczną – podjęła Mia.

Jeszcze kilka razy wcisnęła przycisk, dopóki nie dotarła do zdjęcia niepochozącego z miejsca zdarzenia; przypominało raczej fotografię klasową.

– Camilla Green była całkowicie zdrową, normalną dziewczyną. Owszem, z problemami, wychowującą się w rodzinach zastępczych, mieszkała w czymś w rodzaju internatu, w tym... jak mu tam?

– Gospodarstwie Ogrodniczym Hurumlandet – pospieszył z podpowiedzią Munch.

– No właśnie. Ale pod względem technicznym to nie ma żadnego związku ze sprawą. Mam na myśli jej przeszłość. No bo spójrzcie tutaj...

Nowe zdjęcia.

– Kiedy zniknęła, miała normalną wagę. Ale gdy została znaleziona, wyglądała tak.

Gabriel prawie nie mógł na to patrzeć.

– Chuda, zagłodzona, z sińcami i ranami na kolanach.

Kliknęła dalej.

– Na łokciach...

I dalej.

– ...i na dłoniach. Czyli mamy problem techniczny: zniknęła trzy miesiące temu. Jako zdrowa nastolatka. A kiedy się pojawia, wygląda tak. Co nam to mówi?

Mia spojrzała na kolegów.

– Była przetrzymywana w niewoli – odezwał się Kim Kolsø.

– I ja tak sądzę. – Mia wypięła kolejny łyk z butelki.

Gabriel spuścił teraz wzrok, nie mogąc dłużej patrzeć na zdjęcie na ścianie. W niewoli? Czuł, że nie tylko jemu nie mogło się to pomieścić w głowie.

– Jakies pytania? – ciągnęła Mia.

Upłynęła chwila, zanim ktoś się odezwał.

– Zastanawiam się nad tą... karmą dla zwierząt – powiedziała ostrożnie Ylva.

Gabriel zerknął na nową młodą koleżankę. Miała papierowo bladą twarz, jakby nie do końca mogła pojąć, czego przed chwilą była świadkiem. Dobrze ją rozumiał. Czuł się identycznie, gdy po raz pierwszy siedział tu, w sali briefingowej, i oglądał zdjęcia z rzeczywistości, o której wcześniej jedynie czytał w gazetach.

– No właśnie. – Mia na moment znów się zamyśliła.

– Więc... – przynagliła Ylva.

– Zwierzę – powiedziała Mia.

– Co masz na myśli?

– Ja... Czy nie myślicie tak samo? – Rozejrzała się po sali.

– Zwierzę?

– A ty tak nie myślisz, Kim?

– Nie wiem, co myślę – odparł Kim ściszym głosem. – O co ci chodzi z tym zwierzęciem?

– Była traktowana jak zwierzę. – Mia wypła kolejny łyk wody ze stojącej na stole butelki.

– Ale dlaczego? – To znów odezwała się Ylva, wciąż tak samo blada.

– Tego nie wiem. – Mia wzruszyła ramionami. – Mówiłam już, że dostałam te zdjęcia zaledwie wczoraj. To tylko moje pierwsze skojarzenia.

Pytająco spojrzała na Muncha, który skinął głową na znak, że Mia może usiąść.

– Dziękuję – powiedział, kiedy wracała na swoje miejsce.

Na sali jeszcze przez długą chwilę zalegała cisza.

Inni znali już Mię i wiedzieli, co potrafi, ale Ylva, nowa, wciąż miała taką minę, jakby nie rozumiała, co się właśnie wydarzyło.

Munch wstał i znów stanął przy ekranie.

– No dobrze. – Korpulentny szef grupy podrapał się w brodę z taką miną, jakby jeszcze wszystkiego nie przemyślał. – W takim razie wydaje mi się, że potrzebujemy przerwy na papierosa, prawda? – Klasnął w dłonie. – Dwa szybkie machy i wracamy. To bardzo interesujące.

Nikt się nie odezwał, ale Gabriel zauważył, że Kim Kolsø się uśmiechnął.

W całej grupie palił jedynie Munch, więc te przerwy były przeznaczone tylko dla niego.

Munch włożył kurtkę i wyszedł na balkon, pozostali nie ruszyli się z miejsc.

– Interesujące? – powtórzył ze zdziwieniem Kim Kolsø. – Co go dzisiaj ugryzło?

Mia wzruszyła ramionami.

– To... – zaczął Ludvig Grønlie, ale zamknął usta równie szybko, jak je otworzył.

– Co takiego, Ludvig? – Kim pytająco spojrzał na Grønliego, który wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać.

– Chyba sam powinien wam o tym powiedzieć – mruknął w końcu. – Jeśli w ogóle zamierza o tym mówić, nie bardzo wiem.

– O czym? – zaciekała się Mia.

Ludvig znów zwlekał z odpowiedzią, ale wreszcie wyciągnął z pliku jedną kartkę i podsunął ją Mii.

– Godzinę temu dostaliśmy listy.

– Jakie listy?

– Pracowników. Zatrudnionych w Gospodarstwie Ogrodniczym Hurumlandet.

– O cholera! – westchnęła Mia.

– Dlaczego cholera? – zdziwił się Kim Kolsø.

– Rolf Lycke – mruknęła Mia.

– A kim, u diabła, jest Rolf Lycke? – Kim wyjął jej kartkę z ręki.

– To facet Marianne.

– Jakiej Marianne?

– Marianne Munch – powiedział cicho Ludvig.

– Jego byłej żony? – spytał zaskoczony Kim.

– No właśnie. Facet Marianne Munch. Rolf Lycke. Jest tam nauczycielem.

– O cholera – jęknął Kim.

– No właśnie – powtórzył Grønlie i szybko wsunął kartkę do pliku, bo Munch wrócił już z balkonu i zdejmował budrysówkę.

Isabella Jung stała przed lustrem w swoim pokoju, straszliwie zdenerwowana. Wcześniej tak się nie czuła. W zasadzie nigdy. Właściwie było to bardzo dziwne. Kiedy kilka miesięcy temu psycholog zaproponował jej to miejsce, zareagowała tak, jak miała w zwyczaju, obojętnością – „Wszystko mi jedno, nic mnie to nie obchodzi” – ale teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Całe życie spędziła w przeróżnych placówkach. Również tam, na północy, w Hammerfest. Mówiła „na północy”, choć przecież wcale stamtąd nie pochodziła, czy nie mogli tego pojąć? Chciała być we Fredrikstad z tatą, ale tata się nie nadawał do sprawowania opieki nad nią, więc to było niemożliwe. Przynajmniej według Urzędu Ochrony Praw Dziecka. A w czym mogło jej przeszkadzać to, że ojciec trochę popijał i nie siedział cały czas w domu? Sama mogła sobie gotować, prawda? Umiała spakować plecak do szkoły i trafić do autobusu. Ale nie, musiała być u mamy.

Mama.

Isabella Jung zadrzała lekko na samą myśl i chwilę się zastanawiała, czy nie powinna umalować się trochę inaczej, może ubrać nieco bardziej elegancko, włożyć jakąś bluzkę czy coś podobnego, a nie bluzę z kapturem i dziurawe spodnie, chociaż w głębi duszy wiedziała, że Helene nie dba o takie rzeczy.

Mama.

Zakłęła w duchu. Ta straszna osoba nie była żadną mamą. Czy tego nie pojmowali? Nie wiedzieli, że tata jest o wiele lepszy? Matka powinna troszczyć się o swoje dziecko. Mówić mu miłe rzeczy. Chwalić. Nie narzekać cały czas. Nie krzyczeć z powodu najmniejszego drobiazgu. Nie mówić, że jest brzydka, że nic nie umie. Że nigdy nic z niej nie będzie. Że się do niczego nie nadaje, bez względu na to, jak dobrze sobie radziła w szkole i jak pozytywnie wyrażali się o niej nauczyciele. Bez względu na to, jak ładnie posprzątała swój pokój. Opieprz. Stale opieprz. Żadnego uścisku, nigdy dobrego słowa. Nigdy. Właśnie dlatego trafiła do zakładu. Najpierw do jednego, potem do drugiego, w końcu, kiedy miała trzynaście lat, uciekła. Przejechała całą drogę autostopem. Tysiąc czterysta kilometrów. Bez najmniejszych problemów dotarła do Fredrikstad. Co w tym trudnego? Dałaby sobie radę, gdyby tylko

nie musiała być u mamy. Co to szkodziło, że tata prowadził po pijaku i poszedł siedzieć? Dałaby sobie radę. Ale jej nie pozwolili. Znow ją zabrali, tym razem trafiła na Oddział Zaburzeń Odżywiania w Oslo, ponieważ nie jadła i była chuda jak patyk.

To właśnie od tamtej pory zaczęła olewać cały świat.

Wszystko jedno.

Nic mnie to nie obchodzi.

Ale słyszała plotki. Wśród dziewczyn na oddziale. Że tam, w Gospodarstwie Ogrodniczym Hurumlandet, jest dobrze. Że jest inaczej niż w innych placówkach. Kiedy więc psycholog zaproponował, żeby tam zamieszkała, niechętnie, ale się zgodziła. A teraz stała przed lustrem, niemal zaskoczona tym, jak bardzo chce dobrze wypaść na spotkaniu, żeby pozwolono jej zostać.

Pierwszego dnia nie była aż tak pozytywnie nastawiona. Myślała, że będzie tak jak zawsze, jak we wszystkich innych miejscach. Bo tutaj też obowiązywały zasady. Na terenie stał główny budynek, w którym mieściły się biuro i klasy. I tu musieli chodzić do szkoły, i chociaż plan lekcji nie zapowiadał nic trudnego, to ona po ostatnim roku miała już serdecznie dość nauczycieli. Dalej był duży internat, w którym mieszkały dziewczęta, mały internat dla chłopców, trzy duże szklarnie i sporo porozrzucanych po terenie niewielkich budynków, jakieś szopy na narzędzia, garaż dla samochodów. Pierwszego dnia Helene oprowadziła Isabellę, pokazała jej też mapę z zaznaczonymi granicami, których nie wolno im było przekraczać. *Aha, na pewno, pomyślała wtedy dziewczyna, nikt nie będzie decydował, dokąd mam chodzić.* Obowiązywał surowy regulamin. Wszyscy musieli wstawać o siódmej rano, o ósmej było śniadanie, a potem albo praca w szklarni, albo szkoła, aż do lunchu, w zależności od dnia tygodnia. A później znow praca do obiadu o szóstej. Następnie wszyscy mieli wolne do jedenastej, ale o tej godzinie musieli już leżeć w łózkach i należało zgasić światło. Nikomu nie wolno było opuszczać terenu gospodarstwa, jeśli nie miał jakiejś konkretnej sprawy do załatwienia, na przykład dostarczenia zamówionych kwiatów. Dostęp do Internetu i telewizji też był ograniczony, dozwolony jedynie między ósmą a dziesiątą wieczorem. Obowiązywał również zakaz używania telefonów; pozwalano z nich korzystać dopiero po obiedzie i należało je oddać przed pójściem spać. Po tamtej pierwszej rundzie Isabella pomyślała: *Nie zostaną tu długo, ale skończyło się inaczej.*

Minęło zaledwie kilka dni, gdy poczuła coś w rodzaju spokoju. Atmosfera panująca w tym miejscu miała w sobie coś niezwykłego. Nikt nie marudził. Nikt nie narzekał. Wydawało się, że wszystkim, którzy tu przebywają, jest po prostu dobrze. Isabella prędko się zorientowała, że to zasługa Helene. Szefowa różniła się od innych dorosłych. Nie odnosiła się do nich z pogardą, nie mówiła: „Jesteś chora, coś jest z tobą nie tak, wiem lepiej niż ty, masz mnie słuchać”. Helene w ogóle nie była taka. Prawie nieustannie się uśmiechała i wcale nie tak głupio, sztucznie, po prostu szczerze. Jeśli chciała ich czegoś nauczyć albo coś im pokazać, zawsze poświęcała na to dużo czasu, wykazywała się wyrozumiałością i cierpliwością, pozwalała kilka razy spróbować, a jeśli chcieli coś zrobić inaczej, nie miała nic przeciwko temu. Już wkrótce Isabella, leżąc w łóżku w swoim niedużym pokoiku, powtarzała w myślach: *Chcę tu zostać*.

Pierwszy raz od długiego czasu czuła się niemal szczęśliwa. W wielu innych zakładach, w których przebywała, nikogo nie obchodziło, co robi, dopóki nie łamała zasad. Mogła wstawać późno, wieczorem nie kłaść się tak długo, jak chciała, spędzać godziny w Internecie, oglądać seriale, filmy, klipy na YouTube, używać Facebooka, chatów. Przez pewien okres spędzała przed ekranem komputera tyle czasu, że migotało jej w oczach, miała wrażenie, że jej mózg wymiotuje. Dlatego nie mieściło jej się w głowie, że może jej się spodobać ranne wstawanie o takiej chorej godzinie, o siódmej. O rany. W dodatku po to, żeby potem pracować cały dzień. Ale teraz to uwielbiała.

Poczuła to, gdy pierwszy raz weszła do największej szklarni. Tam, gdzie rosły orchidee. W pewnym sensie odniosła wrażenie, że wróciła do domu. Za te kwiaty odpowiadał Paulus. Paulus był bardzo fajny. Miał niebieskie oczy, długie brązowe kręcone włosy i podobnie jak Helene był bardzo miły i pomocny. Początkowo miała trudności ze zrozumieniem wszystkiego, z nauczeniem się, co należy robić, ale z czasem zaczęła się wręcz cieszyć na to, że rano znów wstanie. Niekiedy zdarzało jej się nawet budzić przed siódmą, zanim zadzwonił budzik, bo nie mogła się już doczekać, kiedy pójdzie do szklarni.

Zdecydowała, że jednak nie będzie się specjalnie stroić. Włożyła zwykłe spodnie i bluzę z kapturem. Ostatni raz przejrzała się w lustrze i wyszła z pokoju. Postanowiła, że będzie sobą, już dawno, gdy któryś z dzieciaków w szkole w Hammerfest wyśmiewał się z niej z jakiegoś powodu. Teraz nie pamiętała nawet, o co chodziło. *Jestem sobą, a jeśli ludziom się to nie*

podoba, to trudno. Od tamtej pory starała się żyć według tej zasady, chociaż nie przychodziło jej to z taką samą łatwością.

Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, zauważyła leżący na podłodze kwiat. Biała lilia? Dlaczego na podłodze pod drzwiami do jej pokoju leży biała lilia? Podniosła ją, przez chwilę jej się przyglądała i właśnie wtedy dostrzegła kartkę na drzwiach.

„Podobasz mi się”.

Isabella Jung pospiesznie rozejrzała się po korytarzu, czując rumieniec wypełzający na policzki. Ktoś położył kwiat na podłodze. Powiesił kartkę na drzwiach. Stał tutaj i nie miał odwagi nawet zapukać, tylko położył kwiat na podłodze, przyczepił kartkę do drzwi i po cichutku wyszedł.

„Podobasz mi się”.

Pod tekstem był rysunek. Przypominał podpis. Osoba, która zostawiła kwiat, była na tyle nieśmiała, że nie odważyła się nawet napisać swojego imienia, tylko coś narysowała. W pierwszej chwili Isabella nie mogła się zorientować, co to jest, ale w końcu zrozumiała. To był ptak. Rysunek z całą pewnością przedstawiał ptaka z wielkimi oczami. Może sowę? Isabella przysunęła kwiat do nosa, znów się rozejrzała, czując, że serce bije jej szybciej niż zwykle.

Komuś się podobam?

Cichy wielbiciel?

Wróciła do swojego pokoju, ostrożnie wsunęła kwiat i kartkę pod poduszkę i dopiero wtedy wyszła na schody.

Dotarła zaledwie do końca korytarza, gdy zrozumiała, że stało się coś złego.

Stała tam Cecilie, jedna z tutejszych dziewczyn, które Isabella lubiła najbardziej. Ze łzami w oczach obejmowała Synne, również bardzo miłą.

– Co się stało?

– Nie słyszałaś? – wyszłochała Cecilie, która ledwie mogła mówić.

– Nie, nic nie wiem. Powiedzcie.

– Znaleźli Camillę!

– Camillę Green?

Cecilie skinęła głową.

– Ona nie żyje! Ktoś ją zabił! Znaleźli ją w lesie.

– O Boże! – wykrztusiła Isabella.

– Helene chce, żeby wszyscy przyszli teraz do klasy – powiedziała z płaczem Cecilie.

– O Boże! Ale... jak...?

Przerwał im Paulus wołający je z drugiego końca podwórza.

– Helene na was czeka, dziewczynki. Idziecie?

W głosie chłopaka z ciemnymi lokami brzmiał ogromny smutek. Z trudem nad sobą panował.

Isabella mocno objęła Cecilie, delikatnie pogładziła ją po włosach. Wszystkie trzy, podtrzymując jedna drugą, ruszyły w stronę głównego budynku.

Minęła już szósta i mrok ciężko spowił stolicę, kiedy Munch i Mia wsiedli do czarnego audi i wyruszyli w stronę Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet. Gdyby to zależało od Mii, wyjechaliby znacznie wcześniej, zaraz po briefingu, bo od tego musieli zacząć. Od rozmowy z tą Helene Eriksen, od dowiedzenia się czegoś więcej o życiu Camilli Green. Munch się jednak sprzeciwił: nie przed szóstą.

Helene Eriksen chciała najpierw poinformować mieszkańców gospodarstwa, właśnie dlatego czekali. Przekazać wszystkim, którzy znali Camillę, tę tragiczną wiadomość, zanim pojawi się policja. Również z tego powodu jechali teraz tylko we dwoje, „żeby cała horda nie wpadła tam naraz”, jak się wyraził Munch. Akurat co do tego Mia się z nim zgadzała. Grupa młodzieży z trudną przeszłością, niewykluczone, że niektórzy z podopiecznych mogli mieć niezbyt przychylny stosunek do policji i do autorytetów ogólnie. Wysłanie radiowozów na sygnale mogłoby bardziej zaszkodzić niż pomóc w uzyskaniu potrzebnych informacji, lecz gdyby to zależało od Mii, wybrałaby się tam jednak wcześniej. Miała bowiem wrażenie, że coś jej umknęło. Czegoś nie dostrzegła. Na tych zdjęciach. Nie bardzo potrafiła to nazwać, ale czuła, że powinni się spieszyć. Że nie mają czasu do stracenia.

Zbyt niecierpliwa.

Może to i prawda. Munch był o wiele bardziej opanowany, o wiele spokojniejszy. Chociaż dziś zachowywał się dziwnie, ale znała tego przyczynę. Wiedziała, że to z powodu listy, którą pokazał jej Ludvig Grønlie.

Sięgnęła do kieszeni kurtki po pastylkę odświeżającą i otworzyła okno w samochodzie, kiedy Munch zapalił kolejnego papierosa i wyjechał na drogę E18. Ciemno było już od piątej, nad ziemią zawisł ciężki, przesłaniający wszystko mrok. Mia nigdy nie lubiła tej pory roku. Tego zimna, tego okrywającego wszystko czarnego koca; jakby świat nie był dostatecznie nieludzki sam w sobie, to jeszcze miesiącami musieli żyć bez światła. Ciepło ze snu o Sigrid na polu zboża znów zaczęło napływać, ale je odepchnęła, niemal drżąc na myśl o tym, że niespełna dwadzieścia cztery godziny temu otworzyła już wieczka i połknęła zawartość pierwszego opakowania tabletek.

Munch znów ją uratował. Splot przypadków. Gdyby Munch nie zapukał do drzwi, już by jej tu nie było. Słyszając dzwonek, wetknęła palec do gardła i zwymiotowała. Teraz trochę się tego wstydziła. Przecież przyrzekła sobie, że podejmie próbę, a tak prędko się poddała.

Nachyliła się i wcisnęła przycisk na cyfrowym panelu, włączając ogrzewanie na full. Przez kilka sekund jeszcze się zastanawiała, ale wiedziała, że nie ma drogi odwrotu, nie ma sensu udawać, że o niczym nie wie.

– Kiedy zamierzasz mi o tym powiedzieć? – spytała.

– O czym? – zdziwił się Munch.

– Daj spokój, Holger, przecież wszyscy widzieliśmy tę listę. Nie wiem, jak to sobie wyobrażasz.

– Co? – powtórzył Munch, chociaż widać było, że dobrze wie, czego dotyczy ta rozmowa.

– Rolf – powiedziała Mia. – Rolf tam uczy.

Munch wykonał taki ruch, jakby zamierzał zapalić kolejnego papierosa, ale zrezygnował. Siedział tylko i gapił się w przednią szybę.

– Wiesz, to właściwie oznacza, że nie możesz pracować przy tej sprawie. Jeśli Mikkelson się dowie, zostaniesz od niej odsunięty. Nie bardzo wiem, co sobie wyobrażasz, Holger. Nie jesteś bezstronny, jesteś zaangażowany jak jasna cholera. W dodatku nic nie mówisz nikomu z grupy i...

– Okej, okej.

Przerwał jej gestem pełnym irytacji, jeszcze przez chwilę wpatrywał się w drogę, zanim odpowiedział.

– Oni się pobierają – oznajmił, nie patrząc na Mię.

– Kto?

– Marianne i Rolf.

Mia pokręciła głową.

– Co to, u diabła, ma wspólnego z naszą sprawą?

Munch milczał.

– Przestań, Holger. Jesteś mądrzejszy niż to.

– Niż co?

– Muszę ci tłumaczyć?

– Co tłumaczyć?

Munch wydawał się zirytowany, a może raczej zrezygnowany. Zjechał na lewy pas i wyprzedził tira, po czym wrócił na prawy, sięgnął po papierosy leżące na desce rozdzielczej i tym razem zapalił.

– Holger – westchnęła Mia. – Nie trzeba być psychologiem, żeby zrozumieć, co myślisz. Ale to zbyt głupie.

– Co? – znów spytał Munch, chociaż i tym razem wyraźnie wiedział, co usłyszy.

– Roisz sobie, że jeśli Rolf Lycke w taki czy inny cudowny sposób okaże się zamieszany w tę sprawę, to Marianne oczywiście od niego odejdzie, a wtedy droga powrotu stanie otworem. Naprawdę daj spokój, Holger. Hollywoodzki film z kiepskim scenariuszem i happy endem? To do ciebie niepodobne.

Lekko uśmiechnęła się do niego i ucieszyła się, kiedy po chwili namysłu odpowiedział jej tym samym.

– Czasami cholernie mnie irytujesz, wiesz o tym?

– Tak, tak, wiem. Ale ktoś musiał to w końcu powiedzieć.

Munch lekko pokręcił głową, jakby potwierdzając własną dziecinność.

– Przyszedł z takim wielkim bukietem kwiatów – westchnął.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Mia. – Ale cholera, dziesięć lat? To już przecież dziesięć lat.

– Wiem, Mia.

– Więc co robimy?

– Z czym?

– Z tym, że on tam pracuje. Z tym, że nie jesteś bezstronny i w zasadzie nie możesz prowadzić śledztwa w tej sprawie.

Munch wcisnął gaz i wyminął jeszcze jednego tira. Znów westchnął i dopiero wtedy odpowiedział:

– Wyeliminujemy go najszybciej, jak się da.

– To powinno zadziałać – zgodziła się Mia. – Dla mnie jest oczywiste, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Jasne, że nie.

– Musimy to potwierdzić i skreślimy go z listy.

– No właśnie – przyznał Munch.

– To chyba powinno wystarczyć.

– Pewnie, że wystarczy.

– Problem rozwiązany. – Mia kiwnęła głową.

– Na początku to właściwie nawet nie był problem.

– Prawda? – uśmiechnęła się Mia.

– Gdzie się, do jasnej cholery, podział Curry? – spytał Munch, kiedy dotarli

do Asker i skręcili na drogę wojewódzką numer 167.

Najwyraźniej chciał zmienić temat rozmowy, a Mia z przyjemnością się temu poddała. Uzyskała potwierdzenie i odpowiedź, której potrzebowała. Munch naprawdę zachowywał się inaczej niż zwykle. Dobrze wiedziała, że wciąż zależy mu na Marianne, ale zaskoczyło ją, że po dziesięciu latach od rozstania tak ciężko przyjął informację o planowanym ślubie. Serdecznie mu współczuła.

– Nie mam pojęcia, co z Currym – odpowiedziała. – Nie odbiera telefonu.

– Musi, do diabła ciężkiego, przyjść do pracy! Dobrze wie, co się dzieje! – burczał Munch znad kierownicy.

– Wiem, ale nie udało mi się go złapać. Zostawiłam też wiadomość Sunnive, ona też nie odbierała.

– Nie stać nas na utratę kolejnej osoby – mruknął przygnębiony Munch.

– Co masz na myśli?

– Nie słyszałaś?

– O czym?

Spojrzał na nią.

– O Kimie.

– A co znowu z Kimem?

– Możliwe, że nas opuści – westchnął Munch.

– Tak? – zdumiała się Mia. – Dlaczego?

– Poprosił o przeniesienie do Hønefoss.

– Kim? Na wieś? – zaśmiała się Mia. – Po co, na miłość boską?

– Podobno on też zamierza się ożenić – mruknął Munch. – Najwyraźniej małżeństwa ostatnio są w modzie.

– Ożenić się? Z kim?

– Pamiętasz tamtą nauczycielkę? Tych dwóch braci?

– Oczywiście. To oni znaleźli dziewczynkę powieszoną na drzewie. Tobias i Torben?

Munch pokiwał głową.

– Emilie Isaksen. Kim się z nią związał i zdaje się, że mają zamiar adoptować tych dwóch chłopców.

– Fajnie – uśmiechnęła się Mia.

– Może dla nich, ale nie dla nas. Nie wiem, co zrobimy bez Kima, skoro ten cholerny Curry nie raczy nawet przyjść do roboty.

– Znajdziesz jakieś porządne zastępstwo. Dobrze ci to idzie.

– Nie pozwolę mu wyjechać, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy. Oświadczyłem mu to jasno – burknął Munch.

– A co w ogóle o tym myślisz? – spytała Mia w chwili, gdy przednie światła samochodu oświetliły drogowskaz z napisem „Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet 500 m”.

– O tej sprawie? – spytał Munch.

– Tak.

– Między nami?

– Tak.

– Mam cholernie nieprzyjemne wrażenie. Jest w tym coś, co rozpoznaję. Rozumiesz, o czym mówię?

– Mrok – powiedziała Mia cicho.

Munch z namysłem skinął głową, skręcił z głównej drogi i wjechał w aleję prowadzącą ku, jak się wydawało, oświetlonej szklarni.

Ze ścian małego gabinetu Helene Eriksen bił smutek. Mia z wdzięcznością pomyślała o Holgerze, że dał szefowej i pozostałym mieszkańcom gospodarstwa czas na przetrwanie szoku. Akurat w tej chwili wolałaby w ogóle tu nie przyjeżdżać, bo wysoka jasnowłosa kobieta, która siedziała teraz przed nimi, sprawiała wrażenie kompletnie załamanej. Ledwie mogła mówić.

– Przede wszystkim dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć nas tak szybko. – Holger odchrząknął i rozpiął kurtkę. – I oczywiście za to, że pomogła nam pani wczoraj wieczorem. Rozumiem, jakim to musiało być szokiem, i przepraszam, że musimy panią dręczyć pytaniami, które w dodatku mogą się pani wydać zupełnie nieistotne w obliczu tej tragedii. Dla nas, rzecz jasna, ogromnie ważne jest jak najsprawniejsze prowadzenie śledztwa i chociaż wiem, że to nie wróci życia Camilli i nie zrównoważy żalu, który wszyscy teraz odczuwacie, ale sprawca musi ponieść karę za zbrodnię, a naszym zadaniem jest...

– Oczywiście – przerwała mu Helene Eriksen i lekko skinęła głową.

Mia ani trochę nie wątpiła, że właśnie ona wszystkim tutaj rządzi. Helene Eriksen miała w sobie charyzmę, przyjazny autorytet.

– A więc dobrze – kiwnął głową Holger. – Dostaliśmy już listy wszystkich pracowników i użytkowników od pani asystenta...

– Od Paulusa – uzupełniła Helene Eriksen.

– Tak, tak, od Paulusa – uśmiechnął się Munch. – Ale potrzebujemy też bardziej szczegółowego opisu pacjentów...

– Mieszkańców – poprawiła go Helene.

– Tak, oczywiście, przepraszam. A więc bardziej szczegółowego opisu mieszkańców, bo znamy tylko ich nazwiska, a potrzebny nam będzie dostęp do ich kart osobowych, do ich przeszłości, większa wiedza o tym, kim są i przez co przeszli, dlaczego tu trafili. Rozumie pani?

Helene Eriksen zrobiła taką minę, jakby się namyślała, ale w końcu kiwnęła głową.

Dumna kwoka, która pilnuje swoich dzieci.

Mia Krüger poczuła, że jej szacunek do kobiety, którą właśnie poznała, jeszcze urósł, i zrozumiała, że to, co Ludvig Grønlie mówił o tej placówce, nie mija się z prawdą.

– Dobrze. – Munch się uśmiechnął i zajrzał do swojego notatnika. – Spytałem teraz o coś, żebyśmy sobie to do końca wyjaśnili. Dziewiętnastego lipca zgłosiła pani zaginięcie Camilli, ale zaledwie kilka dni później znów się pani z nami skontaktowała i wycofała to zgłoszenie. Dlaczego?

– Teraz oczywiście czuję się jak idiotka. Ale Camilla zawsze... była taka.

Na moment umilkła. Mia dostrzegła, że walczy ze łzami, gdy uświadomiła sobie, że musi mówić o Camilli Green w czasie przeszłym.

– To znaczy jaka? – pospieszył z pytaniem Munch.

– Niestabilna.

– W jakim sensie niestabilna? – spytał życzliwie, chcąc jej dopomóc.

– Może nie niestabilna, przepraszam, to chyba niesłuszna ocena, ale szczególnie. Camilla była szczególną osobą – podjęła Helene Eriksen. – Nie lubiła zasad ani autorytetów, często uciekała, ale zawsze wracała, jeśli chciała. Wszystko musiało się odbywać na jej zasadach. Taki po prostu miała charakter, rozumiecie?

– Owszem – powiedział Munch. – Ale powtórzę, zgłoszono jej zaginięcie, a potem...

– U nas panują dość surowe zasady. Niektórym się to podoba, innym nie, ale właśnie tak to tutaj wygląda. Aby coś dostać, trzeba coś dać, prawda? – Uśmiechnęła się do nich.

– Więc... ona... – starał się ją naprowadzić Munch.

– Osiemnastego lipca Camilla wbrew umowie nie stawiała się na wieczorną zmianę i nie było jej u siebie w pokoju następnego dnia rano, więc zgłosiłam zaginięcie.

– Z jakiego powodu wycofała je pani?

– Kilka dni później dostałam od niej esemesa.

– Co w nim było? – dopytywał się Munch.

Helene Eriksen z westchnieniem pokręciła głową.

– Że mamy jej nie szukać. Że dobrze się miewa. Wyjechała do Francji szukać ojca.

– I pani uwierzyła? – To Mia otworzyła teraz usta i natychmiast poczuła, że zadała pytanie zbyt obcesowo.

– O co pani chodzi?

– Czy w tej wiadomości nie było nic, co kazałoby pani poczuć, że coś tu się nie zgadza?

Helene Eriksen zerknęła na Muncha, przez moment niepewna.

– Nie, ja...

– Oczywiście nikt pani o nic nie oskarża – zapewnił prędko Munch.

– Powinnam była to zrozumieć. – Helene Eriksen przesunęła wzrok na biurko. – Ale ona była trochę...

– ...niestabilna? – podsunął Munch.

– Nie, nie... Powiedziałam już, że źle się wyraziłam. – Jasnowłosa kobieta znów popatrzyła na nich. – Lepsze określenie to samowolna. Camilla bardzo nie lubiła, kiedy ktoś jej mówił, co ma robić.

– To znaczy, że ta wiadomość wydawała się prawdziwa? – dopytywała się Mia.

– Jak najbardziej.

– Ma pani jakiś pomysł? – ciągnęła Mia.

– Na co?

– Na to, kto mógł to zrobić?

– Absolutnie żadnego – wykrztusiła Helene Eriksen, znów patrząc na Muncha.

– Nikt z mieszkańców albo pracowników? Może ktoś, kto ma za sobą szczególną przeszłość? Ktoś, komu było wyjątkowo trudno? Kto mógł znaleźć przyjemność w ułożeniu Camilli na posłaniu z piór i wsunięciu jej kwiatu do ust?

– Nie... to znaczy... jak mogłabym... – W jej oczach malowało się teraz przerażenie.

– Nie miała pani żadnych natychmiastowych skojarzeń? – drążyła Mia, nie przejmując się karcącym spojrzeniem Muncha. – Kiedy pani ją zobaczyła? Musi być ktoś taki, jakiś on albo ona...

Helene Eriksen zerknęła na Muncha i znów spuściła wzrok.

– Nie – odparła cicho, podnosząc głowę. – Nie, oczywiście, że nie.

Munch surowo popatrzył na Mię, jakby chciał coś powiedzieć, ale przerwało im pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał chłopak z kręconymi włosami.

– Helene, musimy... – Urwał w pół zdania, widząc, że nie jest sama. – O, przepraszam, ja...

– W porządku, Paulus – uśmiechnęła się Helene Eriksen. – O co chodzi?

– Kilka dziewczyn... Ale nie wiedziałem, że... – zaczął chłopak i znów spojrzał na Mię i Holgera.

– Możemy odłożyć to na później? – spytała Helene.

– Tak, oczywiście – wydusił z siebie.

– Zaczekamy – odezwał się Munch. – To żaden problem.

Chłopak zerknął na Helene, rzucił nerwowe spojrzenie na Mię i Muncha i znów skierował wzrok na szefową.

– Dobrze by było... jeśli się da.

– Na pewno nie macie nic przeciwko temu? – spytała Helene Eriksen, patrząc na policjantów.

– Oczywiście – odparł Munch. – Mamy mnóstwo czasu.

– A więc dobrze, dziękuję – powiedziała, wstając z krzesła. – Niedługo wrócę.

Rozległ się odgłos zamykających się za nią drzwi i nagle zostali sami w niedużym gabinecie.

Munch spojrzał na Mię i pokręcił głową.

– No co? – Wzruszyła ramionami.

– Czasami... – westchnął Munch, ale nie dokończył zdania.

– Ona coś wie.

– Niech cię diabli, Mia. – Munch przyłożył dłoń do czoła.

– Co? – Mia rozłożyła ręce.

– Nie możesz... To znaczy...

– Co?

– Nie mogłabyś...

Znów pokręcił głową, wpatrzony w ścianę za biurkiem, zza którego przed chwilą wstała Helene Eriksen.

– Ona coś wie – powtórzyła Mia, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i wysoka kobieta wróciła do pokoju.

– Przepraszam. O czym mówiliśmy? – uśmiechnęła się i zajęła miejsce na obrotowym krześle.

– O kartach pacjentów – przypomniał nieco zakłopotany Munch, zaglądając do notatnika.

– Mieszkańców – poprawiła go Helene.

– Tak, oczywiście, przepraszam. Jak pani sądzi, kiedy moglibyśmy uzyskać do nich dostęp?

– Muszę tylko porozmawiać z naszym adwokatem – powiedziała Helene. –

Żeby się upewnić, czy wszystko robimy jak należy, czy nie udostępniamy informacji, których nie powinniśmy udostępniać. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

Uśmiechnęła się do nich, patrząc pogodnie.

– W porządku – kiwnął głową Munch i posłał Mii krótkie surowe spojrzenie, po czym podrapał się w brodę i przerzucił stronę w notatniku.

18

Gabriel Mørk siedział przed swoimi monitorami w biurze na Mariboegate i był nawet dość zadowolony z siebie. Młody haker żywił dla Holgera Muncha wyłącznie szacunek, lecz jak zawsze podczas wspólnego briefingu czegoś mu brakowało. Różnica wieku. Pewnie stąd się to brało. Munch wkrótce kończył pięćdziesiąt pięć lat, właściwie nie był taki stary, ale mimo wszystko wydawało się, że zapominał, iż żyją już w innych czasach niż wtedy, gdy zaczynał karierę.

Młoda, siedemnastoletnia dziewczyna znaleziona martwa na Hurumlandet z kwiatem w ustach, a nikt nawet się nie zająknął o mediach społecznościowych. Gabriel miał ochotę podnieść rękę i coś powiedzieć, ale się wstrzymał. Munch był w takim dziwnym humorze, może dlatego, że facet jego ekszony znalazł się na liście pracowników tego gospodarstwa ogrodniczego. Wszystko jedno, Gabriel uznał, że nie jest to najważniejszy moment na udzielanie szefowi lekcji na temat funkcjonowania dzisiejszego świata.

Lepiej załatwić to samemu. Może nawet dostać jakąś pochwałę. Gabriel wypił łyk coli stojącej przy klawiaturze i wsunął do ust świeżą gumę do żucia. Facebook, Twitter, Tumblr, Reddit, Instagram. Munch był znakomitym śledczym i Gabriel bez najmniejszych problemów rozumiał, dlaczego właśnie on dowodzi jednostką z Mariboegate, ale inteligentny szef wciąż żył w epoce kamiennej, jeśli chodzi o Internet i sposób, w jaki młodzi ludzie obecnie komunikują się ze sobą.

Gabriel znalazł na Facebooku konta wielu osób nazywających się Camilla Green, ale żaden profil nie należał do nastolatki z fotografii, które oglądali. Jeden utworzyła dziewczyna z Południowej Karoliny prezentująca się w bikini, inny starsza pani z Florydy na zdjęciu z kotem, kilka było ze Szwecji, jeden z Węgier, ale żaden nie wiązał się z tą Camillą Green, której szukał. W pierwszej chwili zdziwił się, że nie ma jej na Facebooku, ale potem zaczął się bawić nazwiskiem i po wypróbowaniu kilku różnych kombinacji wreszcie ją znalazł.

cgreen.

Konto na Facebooku i konto na Instagramie. Na to natrafił. Jeszcze raz przejrzał zdjęcia na koncie instagramowym i upominając się, że przecież pracuje w policji, spróbował ponownie przeanalizować swoje odkrycia. Od razu bowiem zauważył coś dziwnego. Wszystkiego było bardzo mało. Nieliczne wpisy na Facebooku. Niewiele zdjęć na Instagramie. To przecież niezwykle w przypadku siedemnastoletniej dziewczyny. Kilka selfie. Komunikat „Nudzę się” pod zdjęciem wykrzywionej Camilli w – jak przypuszczał – jej pokoju w gospodarstwie ogrodniczym. „Jutro będę jeździć na Whirlwindzie!” – przy zdjęciu, na którym się uśmiechała z uniesionym kciukiem w tym samym łóżku z takim samym tłem. Trochę zdjęć koni. Parę lajków. Kilka komentarzy: „Wszystkie najlepszego!” i „Tęsknię za Tobą, laleczko!”, lecz oprócz tego naprawdę niewiele. Właśnie to tak dziwiło Gabriela, dopóki nie przewinął na sam koniec i nie sprawdził dat założenia obu profili.

Trzydziestego czerwca.

Konta były nowe. Oba założono trzydziestego czerwca. Zaledwie trzy tygodnie przed jej zaginięciem.

Gabriel wypił kolejny łyk coli i jeszcze raz spróbował odciąć się od wszelkich uczuć, być policjantem, myśleć jak Munch. Czyżby Camilla Green skasowała swoje stare konta zaledwie trzy tygodnie przed zaginięciem? Dlaczego? Coś musiało się wydarzyć. Nikt nie kasuje starych kont i nie zakłada nowych, jeśli nie ma ku temu powodów.

Gabriel wrócił do ponownego przeglądania zdjęć i aż podskoczył, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi, a moment później do środka zajrzała Mia.

– Zajęty jesteś? Może przyłapałam cię na gorącym uczynku?

– Co? – mruknął Gabriel.

– Jakieś tajemnice? – Mia się uśmiechnęła.

– Słucham?

– Brudna robota?

– Tak, tak. – Gabriel wreszcie oprzytomniał. – Wybieram zdjęcia dla Curry’ego.

– Jasne – zaśmiała się Mia, rozpinając kurtkę. – A co zamówił tym razem?

– Azjatki w ludowych strojach na wielbłądzie. – Gabriel na szczęście poczuł, że rumieniec powoli ustępuje z policzków.

– Serio? – Uśmiechnięta od ucha do ucha Mia położyła nogi na biurku.

– Nie. – Wreszcie uśmiechnął się i Gabriel.

– Przynajmniej tyle. On jest zdolny do wszystkiego.

– Możliwe. – Gabriel znów poczuł się głupio, kiedy Mia popatrzyła mu w oczy.

– Więc ją znalazłeś? – Skinieniem głowy wskazała zdjęcia na monitorach.

– Tak.

– Munch nie jest mistrzem świata, jeśli chodzi o Internet, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał Gabriel.

– No to dobrze, że mamy ciebie. – Mia szturchnęła go w ramię.

– Pewnie – mruknął Gabriel z nadzieją, że już się nie będzie czerwienił.

– I co mamy? – spytała Mia wpatrzona w ekran.

– Jedno konto na Facebooku i jedno na Instagramie. – Gabriel otworzył oba, żeby mogła je widzieć jednocześnie.

– Nie będę twierdzić, że sama jestem z tym obeznana. Powiedz, co tu mamy.

– Nowe konta – wyjaśnił Gabriel.

– Tak? – Mia na moment szerzej otworzyła oczy. – Jak bardzo nowe?

– Założone trzy tygodnie przed zaginięciem.

– Serio?

– Tak.

– I co to znaczy? Według ciebie, człowieka, który w tym siedzi.

Gabriel był już teraz spokojniejszy. Gorąco na policzkach ustąpiło.

– Co to znaczy? Co przez to rozumiesz?

– Ja w tym nie siedzę, więc nie wiem. Jak myślisz, dlaczego ktoś likwiduje stare konto i zakłada nowe?

– Powodów może być dużo – powiedział Gabriel.

– Na przykład jakie? – spytała Mia z ciekawością.

– Nie musi chodzić o nic ważnego.

– Nie?

– To w ogóle nie musi nic znaczyć. Możesz mieć znajomych na Facebooku, których masz już dość, ale trudno ci ich po prostu usunąć, bo musiałabyś się z tego tłumaczyć, więc łatwiej utworzyć nowy profil.

Mia uniosła brwi i wzruszyła ramionami. Rzeczywiście, media społecznościowe nie były jej najmocniejszą stroną.

– Ale najczęściej coś się musi wydarzyć – ciągnął Gabriel.

– Co na przykład?

– No, różne rzeczy. To może być zerwanie z chłopakiem. Nie chcesz, żeby widział, z kim się zadajesz.

– Zadajesz? – uśmiechnęła się Mia. – Tym się zajmujecie?

– O co ci chodzi?

– Zadajecie się ze sobą na Facebooku?

Gabriel nagle odniósł wrażenie, że Mia jest od niego o wiele starsza. Pytanie pasowało raczej do kogoś w wieku Muncha lub z pokolenia wyżej, ale natychmiast zrozumiał, że gdy chodziło o Mię, nie miało to absolutnie nic wspólnego z wiekiem. Po prostu nie uczestniczyła w życiu mediów społecznościowych. Była osobą publiczną. Chciała chronić swoją prywatność. Przecież wtedy, kilka lat temu, Mia Krüger miała na Facebooku nawet fanpage.

– Owszem, kiedy nie szukamy Azjatek w strojach ludowych – zaśmiał się Gabriel.

Mia też się uśmiechnęła, ale nie odrywała wzroku od ekranu.

– Konie? – Dotknęła palcem jednego ze zdjęć.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że lubiła jeździć konno – kiwnął głową Gabriel.

– Whirlwind – powiedziała Mia cicho, wskazując wpis na Facebooku. – Tak, koń, prawda?

– Najprawdopodobniej. Chyba że wielbłąd. – Gabriel znów poczuł rumieniec powracający na policzki.

Mia jeszcze chwilę stała przy monitorach, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Okej – powiedziała w końcu. – Idziesz ze mną?

– Dokąd?

– Dostaliśmy jej rzeczy od tych ogrodników.

– Rzeczy Camilli?

– Tak – kiwnęła głową Mia. – Pasują do tego, co masz tutaj.

– To znaczy?

– Do koni. Chyba jest od czego zacząć.

Przez moment wydawało się, że Mia myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– To jak, idziesz? – powtórzyła w końcu.

– Idę. – Gabriel ruszył za nią w głąb korytarza do sali briefingowej.

Młody haker Skunks nigdy nie miał większego dylematu.

Mocniej naciągnął czapkę na sztywne czarne włosy z grubym białym pasem pośrodku, od których wzięło się jego przezwisko, i przeszedł na drugą stronę ulicy, starając się trzymać w cieniu.

Normalnie nawet nie przemknęłoby mu przez myśl, żeby zgłosić się na policję. Jasne, że nie. To rozumiało się samo przez się. W jego świecie angażowanie jakichkolwiek władz równało się grzechowi śmiertelnemu. Skunks uważał się za anarchistę, bojownika o wolność Internetu i chociaż w ostatnich latach ostre kanty trochę mu się stępiły i opuścił linię frontu undergroundu na rzecz własnego, bardzo lukratywnego interesu, zasad nie zmienił. Żadnej policji. Żadnych władz. Jasne, że nie. Ale w tej sytuacji? Po filmie, który zobaczył poprzedniego wieczoru, uważał, że nie ma innego wyboru.

Niech to piekło pochłonie.

Naciągnął kaptur na głowę, zapalił papierosa i wybrał zupełnie inną trasę niż zwykle, kiedy już w ogóle wychodził na miasto. Bo Skunks rzadko wychodził. Nie widział ku temu powodów. W suterenie na Tøyen miał wszystko, czego potrzebował. Własny bunkier. Nikt nie mógł go znaleźć. Ale teraz musiał przewietrzyć głowę. Znow przeciął ulicę, spuścił głowę, kiedy przejeżdżał jakiś samochód, i stał tak z zasłoniętą twarzą, dopóki auto go nie minęło. Dopiero wtedy poszedł dalej, usiłując zebrać myśli.

To wzbudziło w nim lęk.

To, co zobaczył.

Niech szlag trafi wszystko, dlaczego nie słuchał własnej intuicji i nie trzymał się z dala od tego serwera? Miał nosa do takich rzeczy, coś w rodzaju szóstego zmysłu podpowiadającego mu, gdzie ma wchodzić, a gdzie nie, kiedy poruszał się po sieci. Tym razem ów zmysł również go ostrzegł, ale on nie posłuchał, wyzwanie było zbyt kuszące. W mrocznych lokalach od miesięcy poszeptywano o tym serwerze, aż w końcu pokusa stała się zbyt duża – a teraz żałował. To, co znalazł, film, który tam obejrzał, przekraczał możliwości pojmowania. Swego czasu oglądał mnóstwo ekstremalnych obrazów, ale to?

Niech to szlag.

Zaciągnął się papierosem, szybko się odwrócił i ruszył tą samą drogą, którą przyszedł. Paranoja? To do niego niepodobne. Przez blisko dziesięć lat hakowania po niewłaściwej stronie tego, co niektórzy nazywali prawem, a dla czego on nie miał krzty szacunku, nigdy się nie bał. Ani razu. Zawsze w pełni kontrolował sytuację. Nigdy nie wdawał się w żaden projekt bezrozumnie. Nigdy nie zostawiał śladów. Nie był amatorem. Dla niego to nie była zabawa jak dla tych pajaców, którzy włąmywali się raz tu, raz tam, tylko po to, żeby później się tym przechwalać. Zaklął cicho, wyrzucił niedopałek, znów przeszedł na drugą stronę ulicy i dalszą drogę wybrał na chybił trafił, stale oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie.

Kiedy dotarł do parku Tøyen, poczuł, że tkwiący w nim anarchista znów wydobywa się na powierzchnię. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu swojego zajęcia. Uważał je wręcz za swój obowiązek, coś, czego wymagały od niego jego zdolności. Daleko mu było do Robin Hooda, całą kasę zgarniał sam, ale ludzie, którym ją odbierał, postępowali tak nieuczciwie, że na to zasługiwali. Całość była równie prosta, co genialna. Wyszukiwał jakąś firmę, której nie lubił, znajdował dziurę w zabezpieczeniu serwerów i uzyskiwał informacje na temat nielegalnych transakcji, jakich większość z nich dokonywała. Dotyczyły korupcji, łapówek, łamania przepisów o ochronie środowiska, w zasadzie wszystkiego – a oni musieli mu za to płacić.

Skunks pokręcił głową i znów poczuł w sobie anarchistę. Gdyby naród norweski wiedział, co naprawdę robią te wielkie, ukochane przez lud spółki, z którymi ludzie stykali się codziennie, których produkty były w każdym sklepie, które uważano za podpory społeczeństwa, gdyby ludzie wiedzieli, w jaki sposób naprawdę zarabiają, w jaki sposób osiągnęły takie bogactwo, to może by się zbuntowali. No ale tak nie było.

Opium dla mas.

Skunks nie był komunistą, nie kierował się żadną ideologią, ale uważał, że akurat pod tym względem Karol Marks miał rację. Dajcie ludowi religię albo jakąś idiotyczną rozrywkę, a uniemożliwicie mu zrozumienie, że tak naprawdę zwykli ludzie są niewolnikami systemu.

To nigdy nie było trudne. Nigdy nie miał problemów. Za każdym razem gdy coś znalazł, a udawało mu się to prawie zawsze, wysyłał po prostu anonimowy e-mail z tym, na co natrafił. Prosił o pieniądze w zamian za

obietnicę, że nie pójdzie z tym do mediów. Wirtualny szantaż. Bat na idiotów, którzy na to zasługiwali. Zawsze chętnie płacili. Zawsze mieli coś na sumieniu. Zawsze. Dlatego Skunks nigdy nie miał wątpliwości. I oczywiście dostawał pieniądze, o które prosił, spółki za skarby świata nie chciały zwracać uwagi na swoje brudy.

Ale to było coś innego.

To, co teraz znalazł.

Ten film.

Cholera, że też nie zdołał trzymać się od tego z daleka!

To nie była tylko nielegalna transakcja z postsowieckim krajem, by w ten sposób uzyskać wyłączność na sprzedaż swojego produktu na rynku telekomunikacyjnym. Nie tylko przelew na konto afrykańskiego przywódcy, który już wydał na własne zachcianki miliony z dotacji przeznaczonych na rozwój w zamian za kontrprzysługi, dostęp do pola roponośnego, zakup broni, min przeciwpiechotnych, amunicji, żeby jakaś norweska spółka mogła na tym zarobić.

To nie było nic w tym rodzaju.

To było...

Niech to szlag!

Skunks rozejrzał się ostrożnie, by się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu, i zapalił kolejnego papierosa z nadzieją, że rozjaśni mu myśli.

Iść na policję.

Za diabła, nie.

Nie wprost.

Ale w zasadzie nie widział innego wyjścia, no i przecież, tak, przecież miał Gabriela.

Gabriela Mørka. Zaczynali razem, dawno temu, jedynie w ramach zabawy. Przed komputerami w chłopięcym pokoju, zainspirowani dwojgiem młodych ludzi działających w latach osiemdziesiątych w Australii, Electronem i Phoenixem, w czasach kiedy Internet właściwie jeszcze nie istniał, a komputery dysponowały dziesięciomegabitową pamięcią i miały procesory o mocy nie większej niż kalkulatory; ale ci dwaj mimo wszystko dostali się wszędzie, do NASA, do CIA. On i Gabriel traktowali to jak zabawę, obaj czuli niezłego kopa za każdym razem, kiedy udało im się złamać jeden z tych systemów, które podobno miały być nie do pokonania, ale Gabriel nagle zmienił pastwisko.

Był za grzeczny. Za uczciwy. Dlatego ich drogi się rozeszły. Gabriel miał zupełnie inny stosunek do tego wszystkiego, uważał, że powinni wykorzystać swoje zdolności do czegoś dobrego, nie do psucia i tworzenia chaosu. Nieźle się pokłócili podczas ostatniego spotkania przy piwie, w Teddy's Soft Bar, rozstali się jak nieprzyjaciele i od tej pory w ogóle ze sobą nie gadali. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał o Gabrielu, było to, że zaczął pracować dla policji.

Rany boskie, dla policji? Dla wroga?

Ale mimo wszystko.

Ten film.

Nie podobało mu się to.

Ani trochę mu się to nie podobało.

Ale chwilowo nie miał pojęcia, co innego mógłby z tym zrobić.

Pieprzone sukinsyny.

Skunks jeszcze raz zaciągnął się dymem i zastanowił po raz ostatni.

Tak. Musi tak zrobić.

Gabriel Mørk. Nie ma innego wyjścia.

Rzucił papierosa na ziemię, upewnił się, czy nikt za nim nie idzie, i ruszył z powrotem do swojego bunkra.

Mia Krüger zamachała na kelnera, zamówiła guinnessa i jägermeistra, odczekała, aż kelner sobie pójdzie, i dopiero wtedy rozłożyła leżącą przed nią teczkę.

Lorry. Stary szacowny pub na samym końcu Hegdehaugsveien. Ostatnio znów zaczęła tu przesiadywać, gdy jej mieszkanie, położone zaledwie o kilka minut piechotą stąd, stawało się zbyt samotne i zbyt zimne.

Wybrała sobie stolik, który polubiła, w samym rogu sali, gdzie dało się trochę ukryć, być sam na sam ze swoimi myślami, a jednocześnie czuć, że dookoła toczy się życie. Zawsze lubiła ten lokal. W okresie studiów spędzała tu dużo czasu. Boksy z czerwonymi skórzanymi siedzeniami, białe obrusy na stolikach. Kelnerzy w białych koszulach z muszkami. Klientela zróżnicowana, od biznesmenów w garniturach po wystylizowanych artystów i pisarzy. Można się tu było schować, a przede wszystkim był to jeden z nielicznych lokali w Oslo, gdzie nie puszczano muzyki. Mia lubiła panującą tu ciszę, ściszone głosy, którym towarzyszyło podzwanianie szklanek, bez tej nieustającej sieczki z głośników.

Wypiła duży łyk piwa i dalej wpatrywała się w pierwsze zdjęcie. Naga dziewczyna. Camilla Green. Siedemnaście lat. Ułożona w pentagramie ze świec. Na posłaniu z piór. W blond peruce. Z kwiatem w ustach. Mia opróżniła szklankę i poczuła, że alkohol zaczyna działać. Zamówiła jeszcze jedną kolejkę i z torebki wyjęła długopis i notes.

Dziewiętnastego lipca. Trzy miesiące.

Chuda. Otarcia i pęcherze.

Karma dla zwierząt w żołądku.

Zaginęła trzy miesiące przed odkryciem ciała.

Głosy wokół niej z wolna cichły, a ona coraz głębiej zanurzała się w te zdjęcia.

Tak, właśnie tak musiało być.

Ktoś ją przetrzymywał w niewoli.

Tu. W Norwegii. W tym samym czasie, gdy zwykli ludzie wstawali rano, machali na pożegnanie swoim bliskim, szli do pracy, gawędzili z kolegami

podczas lunchu, odbierali dzieci z przedszkola, jedli obiad, zajmowali się pracami domowymi, oglądali wiadomości, kładli się do łóżek i gasili nocne lampki w oczekiwaniu na nadejście nowego zwyczajnego dnia, Camilla Green była gdzieś zamknięta, głodzona niemalże na śmierć, śmiertelnie przerażona i zupełnie sama.

Mia Krüger wypięła jeszcze łyk guinnessa, zacisnęła wargi, z całej siły starając się nie pozwolić, by owładnęło nią to, co przeniosłoby ją z powrotem do miejsca, w którym znajdowała się niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Do tego zła. Do tej ciemności.

„Chodź, Mio, chodź”.

Nie.

„Tak, chodź, Mio”.

Nie, nie teraz.

„Możemy być razem”.

Nie, Sigrid, muszę...

– Jeszcze jedno?

Mię Krüger przywołał do rzeczywistości kelner, który stanął przed nią.

– Słucham?

– Więcej? – spytał starszy mężczyzna z muszką, wskazując puste szklanki na stoliku.

– Owszem, dziękuję. – Mia zdobyła się nawet na przelotny uśmiech.

Uprzejmie skinął jej głową, zaraz wrócił z dwiema nowymi porcjami alkoholu i wycofał się w głąb lokalu.

Cholera.

Schowała teczkę ze zdjęciami z powrotem do torebki i podnosząc w drżących palcach kieliszek z mocniejszym alkoholem, opróżniła go jednym haustem.

Szlag by to trafił.

Może już nie miała tego w sobie. Tej wyjątkowej zdolności. Tej umiejętności dostrzegania rzeczy niewidocznych dla innych, będących powodem, dla którego Munch wyłowił ją w Wyższej Szkole Policyjnej, jeszcze zanim ją skończyła. Może ten psycholog z cienkim wąsikiem miał rację.

„Wydaje mi się, że chorujesz przez swoją pracę”.

„Za bardzo się przejmujesz”.

„Wydaje mi się, że to dosłownie odbiera ci życie”.

Mia odłożyła długopis na notes i włożyła kurtkę. Uprzejmie skinęła głową bramkarzom, wyszła na ulicę zaczerpnąć świeżego powietrza. Znalazła wolne krzesło w ogródku i obserwowała dwóch podpitych biznesmenów palących papierosy i omawiających jakąś transakcję, do której doszło w ciągu dnia.

On ją upiększa.

Chciała się od tego oderwać, ale nie dawała rady.

On ją upiększa. Blond peruka. Kwiat w ustach. Czyni ją piękniejszą. Szykuje ją. Camilla. Jest naga. Dziewica. Zamierza ją do czegoś wykorzystać. Jest tu coś, czego nie potrafimy dostrzec.

Niepewnym krokiem wyminęła bramkarzy, wróciła do swojego stolika i znów zaczęła wodzić długopisem po kartce.

On?

A może było ich więcej?

Skinęła na kelnera, który przyniósł jej kolejne piwo. Czowała, że coś się w niej rozluźnia, w miarę jak alkohol zastępował w jej ciele zdenerwowanie. Długopis łatwiej ślizgał się po papierze. *Coś w tym jest.* Telefon na stoliku zawibrował, wyświetlacz powiedział jej, że to Holger, ale nie odebrała.

Coś, czego nie zauważyliśmy.

Popiła piwa, usiłując przeniknąć jeszcze bardziej w głąb. *Peruka. Dlaczego ta peruka? Camilla nie była blondynką, czyżby dlatego? Musiała mieć jasne włosy? Ponieważ...? Siedemnaście lat. Młoda. Skandynawka. Blondynka. Chuda? Głodził ją dlatego, że chciał, by była chudsza? Dlatego ją przetrzymywał? Ponieważ musiała tak wyglądać? Właśnie tak? Mia przesuwiała długopis po papierze z większym przejęciem, a pub, w którym siedziała, powoli zniknął. Ona musi tak wyglądać. Inaczej to nie ma sensu. Nie można jej ułożyć wśród świec, dopóki nie osiągnie takiego wyglądu. Dlatego tam leży. Peruka. Blondynka, chuda. Nie jest sobą. Ma nie być sobą. To nie Camilla tam leży. To ktoś inny. Kto tam leży? Kim jesteś?*

Mia wypiła jägermeistra, prawie sobie tego nie uświadamiając, a długopis dalej biegł po kartce.

Podarunek.

Świece i pióra.

To opakowanie.

Kwiat.

Ona jest podarunkiem dla kogoś.

– Jeszcze jedno?

Zdezorientowana Mia oderwała się od swoich notatek, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. Zaczęła się do czegoś zbliżyć, ale rzeczywistość przywołała ją z powrotem.

– Jeszcze jedna kolejka? – spytał kelner.

– Tak. – Mia szybko kiwnęła głową, usiłując odnaleźć drogę do miejsca, w którym była, ale tamto wrażenie minęło. Teraz widziała tylko podchmielonych ludzi w boksach nad szklankami z piwem i poczuła, ile już wypła. Ledwie była w stanie odczytać napis na wyświetlaczu telefonu.

Munch.

Dzwonił sześć razy.

Wysłał esemesa: „Gdzie jesteś? Zadzwoń”.

Odszukała jego numer i spróbowała wziąć się w garść, gdy usłyszała daleki sygnał. Nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale Munch potrafił w niej wzbudzić wyrzuty sumienia. Że za dużo piła. Że miała depresję. Że w zasadzie chciała jedynie zniknąć. Munch wiązał z nią takie wielkie nadzieje, może dlatego. Dobrze pamiętała spotkanie w kawiarni, kiedy wyciągnął ją ze szkoły policyjnej. Usiłował jej wmawiać, że to ją spotka wielkie szczęście, jeśli zostanie przyjęta do nowo utworzonej jednostki śledczej, którą miał pokierować, ale podczas całej tej rozmowy wyraźnie było widać, że chce ją mieć u siebie za wszelką cenę, więc ani trochę się nie denerwowała. Holger był dobry. Właśnie z tego powodu miała dla niego tyle sympatii. Nie lubił rozmawiać o uczuciach, ale mimo to był prawie przezroczysty. Przynajmniej dla niej. Miły. Dobry człowiek. Może stąd brały się jej wyrzuty sumienia. Przez ten jej talent. On na nią postawił. Wierzył w nią.

„Chodź, Mio, chodź”.

Kelner wrócił z następną kolejką akurat w chwili, gdy na drugim końcu linii usłyszała basowy głos Muncha.

– Tak? – burknął.

– Tak?

– Tak, co?

– To ja pytam. Dzwoniłeś – wymamrotała Mia z nadzieją, że brzmi w miarę trzeźwo.

– Owszem – odparł Munch roztargnionym tonem, jakby zajmował się czymś innym i w ogóle zapomniał, że się z nią kontaktował.

– Coś nowego? – spytała Mia.

– Sorry, ale tak – odparł Munch.

– Co się dzieje?

– Kilka godzin temu odebrałem dwa telefony. Od prasy. Jeden z „Dagbladet”, drugi z „VG”. – Munch jakby oprzytomniał. – Diabeł wyskoczył z pudełka, jeśli można tak powiedzieć. Jutro zamierzają wydrukować zdjęcie z miejsca zdarzenia. A już niedługo zamieszczą je w Internecie.

– Z miejsca zdarzenia? – powtórzyła zaskoczona Mia. – Jak je dorwali?

– Za cholerę nie wiem – warknął Munch. – Ale najwyraźniej nic z tym nie zrobimy, więc musimy się przygotować. Rozmawiałem już z Anette. Jutro się tym zajmie za pośrednictwem komendy na Grønland. O dziewiątej organizujemy konferencję prasową, więc od tego musimy zacząć, no i... – Munch urwał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– I co?

– Mamy wszystko pod kontrolą. Ale ważne, żeby...

– Żeby co?

Na moment znów zapadła cisza.

– Masz się nie rzucać w oczy – powiedział Munch prędko, jakby właśnie tych słów się bał.

– Co przez to rozumiesz?

– Musimy cię odciąć.

– Odciąć? Jak to?

– Właściwie oficjalnie nie wróciłaś do pracy, więc... Wiesz, jak to wygląda, ty to ty, a kiedy gazety dowiedzą się, że jesteś w to zaangażowana mimo zawieszenia, to...

Mia poczuła lekką irytację. Sięgnęła po szklankę z piwem i wypła łyk.

– Jesteś tam? – spytał Munch nieśmiało.

– Jestem – odparła Mia krótko.

– W porządku czy...?

– Mikkelson na ciebie naskoczył?

– Tak, ale...

Munch najwyraźniej czuł się nieswojo w całej tej sytuacji, a Mia nie widziała powodów, by go dręczyć. To nie jego wina. Wiedziała, że gdyby to zależało do Muncha, zrobiłby dla niej wszystko.

– Uspokój się, Holger – powiedziała, sama też już spokojniejsza. – Mogę być niewidzialna, jeśli tego chcesz.

– Dzięki – odparł Munch z wyraźną ulgą. – Wiesz, że...

– Wiem – przerwała mu Mia. – Jestem niestabilna psychicznie i psuję opinię firmie.

– Nie, na miłość boską, wcale tak nie myślałem, ale...

– Uspokój się, Holger – powtórzyła Mia.

Mówiła szczerą prawdę. Mogła być niewidzialna. Dlaczego miałyby rozmawiać z dziennikarzami? Wtedy, przed kilku laty, kiedy zastrzeliła Markusa Skoga, chłopaka Sigrid, prześladowali ją tygodniami. Nie mogła spokojnie wyjść z mieszkania, w końcu musiała się ukryć w hotelu na Majorstuen. Po chwili namysłu mogła z ręką na sercu oświadczyć, że nie będzie miała najmniejszych problemów z trzymaniem się z tyłu.

– Dziękuję – powtórzył Munch z ulgą.

– *No stress*, nie myśl o tym, Holger. Więc dziś w Internecie, a jutro na pierwszych stronach?

– Na to wygląda – mruknął Munch, ciesząc się, że zmienili temat.

– Ale chyba nie pokażą zdjęcia ciała?

– Nie, nie. To banda idiotów, ale o dziwo, nawet oni mają swoją moralność.

– No to co pokażą?

– Po prostu miejsce zdarzenia.

– Zdjęcie miejsca, w którym ją znaleziono?

– Nie znam szczegółów, ale pewnie mają pentagram, świece i pióra, na których leżała. Cholerne sępy.

– Możemy się dowiedzieć, jak im to wpadło w łapy?

– Zdjęcia?

– Tak.

– Poleciałem Ludvigowi, żeby to sprawdził. A tak w ogóle...

Mia wypiła łyk piwa i w tym momencie przy drzwiach wejściowych dostrzegła znajomą twarz. Krępy łysy buldog kłócił się z bramkarzami, którzy najwyraźniej nie zamierzali go wpuścić.

– ...Ludvig dostał odpowiedź w sprawie tych piór.

– Czego? – Mia wstała.

– Piór z miejsca zdarzenia – wyjaśnił Munch. – Pochodzą od sowy.

– Od sowy? Wszystkie te pióra?

– Najwyraźniej. Nie wiem, w jaki sposób technicy potrafią stwierdzić takie rzeczy, ale...

– Musimy odłożyć ten temat do jutra – przerwała mu Mia. – Mam tu pewną

sprawę, okej?

– Co? Dobrze, okej. Briefing o dziesiątej.

– Dobra.

– Świetnie. I dziękuję ci, sama wiesz za co.

– Żaden problem – zakończyła Mia, kierując się ku zamieszaniu w drzwiach.

– Mia! – Curry wyszczerzył się na jej widok, wyciągając do niej rękę.

– On tu nie wejdzie.

– Przecież, do cholery, wcale nie jestem pijany – wybełkotał Curry, wrywając się z uścisku wysokiego bramkarza.

– W porządku – powiedziała Mia. – Zabiorę go ze sobą, tylko wezmę swoje rzeczy.

– Do cholery, wcale nie jestem pijany – powtórzył Curry, ale nagle potknął się o własne nogi i jak długi wylądował na podłodze.

– Już raz został stąd wyrzucony. Nie chcemy go tu więcej widzieć – oświadczył surowo bramkarz, kiedy Mia wróciła już z torebką.

– Jak mogłem zostać wyrzucony, skoro nawet nie wszedłem? I wcale nie jestem pijany. Powinniście mnie zobaczyć pijanego...

– Chodź, Curry. – Mia uśmiechem przeprosiła bramkarzy i wyprowadziła kolegę z pubu.

CZĘŚĆ III

Mężczyzna w białym kasku rowerowym nie lubił wychodzić z domu, ale tego dnia musiał, bo już nic nie miał w lodówce. Liczył, że zapasy, które zrobił ostatnio, będąc w sklepie, wystarczą na dłużej. Nie pamiętał, kiedy to było, ale minął już jakiś czas. Przypuszczalnie we wtorek, a może w kwietniu? Nie, w kwietniu nie, tego był niemal pewien, bo kwiecień przychodził po marcu, a od marca minęło dużo czasu. W marcu przyjeżdżała śmieciarka, żeby zabrać wszystko, co wyrzucał do zielonego pojemnika przy szopie. Nie, nie w marcu, we wtorki, po śmieci przyjeżdżali we wtorki, bo wtedy ukrywał się w łazience, więc to wiedział. Nie w marcu. We wtorki siedział w łazience, żeby nie weszli do domu i nie poprosili o możliwość skorzystania z telefonu albo z toalety, bo raz tak zrobili. Śmieciarz w rękawiczkach obsikał deskę klozetową, a poza tym śmiał się, że on w domu chodzi w kasku, dlatego teraz chował się w łazience za każdym razem, kiedy przyjeżdżali.

W każdy wtorek. W marcu. Nie, nie tylko w marcu, we wszystkie miesiące. W październiku. Teraz był październik. Kilka dni temu przerzucał kartki w kalendarzu, tak, dobrze to pamiętał, z września na październik. Bo wrzesień miał zdjęcie mewy. A teraz mewy już nie było, tylko lis. Bardzo chytry lis, z białym koniuszkiem ogona. Puszczął do niego oko, kiedy siedział przy stole w kuchni i wyjadał tuńczyka z ostatniej puszki. Z tej, dzięki której zrozumiał, że lodówka jest pusta i że chociaż wcale tego nie chce, to wkrótce będzie musiał wsiąść na rower i pojechać do sklepu z nadzieją, że nie będą się z niego śmiać jak zwykle.

Ukradkiem. Śmiali się ukradkiem. Nie wtedy, kiedy był w sklepie, to się nigdy nie zdarzało. Czasami nawet udawali życzliwość. Ta młoda, która żuła gumę, i ta druga pani, która zwykle siedziała w kasie, kiedy pokazywał im spisana listę potrzebnych rzeczy, wtedy udawały, że są miłe. Chodziły razem z nim po sklepie, pomagały mu wkładać zakupy do koszyka, pieczywo chrupkie, makrele w pomidorach i kotlety i wcale się nie śmiały. Nie śmiały się też, kiedy miał płacić, chociaż nie potrafił tak zrobić, żeby pieniądze wyjęte z portfela układały się w liczbę widniejącą na kasie. Wtedy też udawały, że są miłe, i pomagały mu liczyć. Ale później. Już po jego wyjściu ze

sklepu, kiedy z kolei on udawał, że pojechał do domu, a zamiast tego podglądał je zza kontenerów z pustymi butelkami albo zza samochodu z napisem „Sklep spożywczy na Hurumlandet”. Wtedy się z niego śmiały, rechotały, uderzając się po kolanach, naśmiewały się z tego, że zawsze nosił rowerowy kask. Droga w jedną stronę zajmowała mu dwadzieścia cztery minuty, jeśli nie było zbyt ślisko. A dzisiaj było, więc kiedy rozpiął zabezpieczenie roweru i ostrożnie prowadził go w stronę szosy, czuł, że jeszcze bardziej nie ma ochoty na tę wyprawę.

Tym razem przejazd zajął mu blisko trzydzieści pięć minut. Było aż tak ślisko. Październik, już nie wrzesień, a mimo to prawie zima. Może to jego wina? Mężczyźni w białym kasku rowerowym w ostatnim tygodniu już kilka razy przychodziło do głowy, że taki chłód mógł nadejść z jego winy. Podgrzewanie nieba, czytał o tym. Czytał, że lodowce wokół bieguna północnego i południowego się roztopią, jeśli nie będzie się właściwie sortowało śmieci. Zwykle robił to bardzo starannie, odpadki spożywcze do kontenera na odpadki, plastik do tego z plastikiem, nigdy nie mieszał tektury ani papieru z mokrymi śmieciami, starannie też mył kartony po mleku i wszystkie puszkę przed ich wyrzuceniem. Ale kilka tygodni temu był chory. Głowa go bolała, miał gorączkę i dziwne sny w ciągu dnia, no i po prostu zapomniał, wyrzucił wszystko do jednego kubła, a kiedy odkrył swój błąd, było już za późno. Potem przez cztery dni nic nie jadł, licząc, że może tym go naprawi, ale zrobiło mu się słabo i musiał jednak coś zjeść. Gdy się obudził następnego dnia, podwórze pokrywał lód. Od tamtej pory strasznie się pocił pod pachami i chował za kuchennymi zasłonkami za każdym razem, gdy tylko zobaczył światła na drodze, w obawie, że zrozumieli, co zrobił. Bał się, że po niego przyjdą. Na szczęście żaden samochód nie skręcił i nie zaparkował pod domem, na ogół po prostu przejeżdżały, nikt się nie zatrzymywał. Tylko śmieciarka, we wtorki, kiedy chował się w łazience. A poza tym zawsze był w tym białym domku sam.

Mężczyzna w białym kasku rowerowym przypiął przednie koło do stojaka na rowery, a tylne obwiązał wyjętym z plecaka łańcuchem. Kilka minut poświęcił na sprawdzenie, czy oba zamknięcia trzymają jak należy, i wyruszył w długą drogę do drzwi. Nigdy nie wchodził bezpośrednio, nie, nie. Raz spróbował i poszło naprawdę niedobrze, myślami był zupełnie gdzie indziej, więc otworzył drzwi i po prostu wszedł do sklepu, no i źle to się skończyło. W środku były wilki, ogromne szare wilki z wielkimi ślepiami i ziejącymi

paszczami, tak się ich wystraszył, że przewrócił stojak z okularami przeciwsłonecznymi, a wybiegając stamtąd, wpadł na szklane drzwi, aż musiała przyjechać karetka. Znow się z niego śmiali. Wszystkie pielęgniarki i lekarz, który pozszywał mu twarz igłą z nitką. Tamto zdarzenie nauczyło go, że lepiej uważać. Teraz już zawsze zataczał niewielki łuk, przechodził obok szklanych drzwi, żeby zajrzeć do środka, i szybko kierował się ku plakatom z reklamami, bo zawsze można było udawać, że się czyta, jakie są promocje, i wcale się przy tym nie wygłupić. Kiełbaski na grill za dziewiętnaście dziesięć. Trzy opakowania pieluch w cenie dwóch. Dzisiaj nie było żadnych wilków. Mężczyzna w białym kasku odetchnął z ulgą, ale mimo wszystko odczekał kilka minut i znow zajrzał do środka, żeby mieć pewność, nim wreszcie zebrał się na odwagę i zrobił ostatnie trudne kroki do drzwi do sklepu.

Nad jego głową zadzwonił dzwonek, jak zawsze, ale na to już się przygotował, więc tym razem się nie przestraszył. Wziął koszyk ze stojaka i stanął, zaglądając w głąb sklepu. Na szczęście było pusto, żadnych wilków, żadnych wyszczerzonych zębów, tylko ta młoda dziewczyna żująca gumę, schowana za tygodnikiem w kasie. Mężczyzna w białym kasku wyjął z kieszeni listę zakupów i zaczął poruszać się między półkami najszybciej, jak potrafił. Mleko. Tak. Jajka. Tak. Filet z łososia. Tak. Poczł się trochę lepiej. Rzeczy zapisane na liście łatwo było dziś wkładać do koszyka, żadna nie protestowała, jak czasami się zdarzało. Banany. Tak. Ziemniaki. Tak. Kurczak. Tak. Prawie się uśmiechnął. To chyba jego szczęśliwy dzień, skoro wszystko szło tak gładko. Lubił kurczaka, ale kurczak nie zawsze chciał wejść do koszyka, więc czasami musiał jeść same ziemniaki, ale dzisiaj to w ogóle nie było trudne. Dzisiaj kurczak cieszył się, że trafi do koszyka. Sam dosłownie wyskoczył z lady chłodniczej i zadowolony ułożył się między marchewką a purée ziemniaczanym. Może to jednak wcale nie jego wina, że zima przyszła tak wcześnie? Mężczyzna w białym kasku uśmiechnął się do siebie, włożył do koszyka ostatnie produkty z listy i z dumą ruszył do kasy.

Dziewczyna odłożyła tygodnik, wydmuchała wielki różowy balon i wcale nie patrzyła na niego głupio, nawet się troszkę uśmiechnęła. Mężczyzna w kasku poczuł, że serce pod puchową kurtką bije mu mocniej, kiedy zaczął wykładać towary na taśmę. Ona na pewno zrozumiała, że dziś jest jego dzień. Że ta pogoda to wcale nie jego wina.

– Torbę? – spytała dziewczyna, wstukawszy wszystkie ceny.

– Nie, dziękuję. – Mężczyzna w kasku uśmiechnął się zadowolony i już miał zacząć wkładać zakupy do plecaka, gdy nagle je zauważył.

Na stojaku przy kasie.

Gazety.

O nie.

– Karta czy gotówka?

Mężczyzna w białym kasku znieruchomiał i nie mógł się ruszyć.

Na obu pierwszych stronach.

Fotografia.

Jak oni mogli...?

– Przepraszam, jak pan chce zapłacić?

– Słucham?

– Kartą czy gotówką? – Dziewczyna spojrzała na niego.

– Kurczak przyszedł dobrowolnie – mruknął, nie odrywając oczu od zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

– O czym pan mówi? – spytała dziewczyna.

– O kurczaku.

– Słucham?

– Przyszedł dobrowolnie. A nie robi tego za każdym razem.

– Aha. Ale chce pan zapłacić kartą czy gotówką?

– Nie, mam plecak.

– Plecak?

– Nie potrzebuję torby.

– Aha, dobrze... Ale jak pan chce zapłacić za zakupy?

– To nie moja wina.

– O czym pan mówi?

– To nie ja zabiłem kota.

– Kota?

Oczy dziewczyny żującej gumę wyglądały teraz zupełnie inaczej.

– Psa też nie.

– Psa? Ale jak... płaci pan kartą czy...?

Teraz pojawił się wilk. Gruby wilk w okularach. Wyszedł z innych drzwi na samym końcu sklepu. Podchodził coraz bliżej. Mężczyzna w białym kasku miał już tylko ochotę stąd uciec, wybiec ze sklepu, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, tkwiły jak przyklejone. Zamknął oczy i zatkał palcami uszy. Dzisiaj był wtorek. Najlepiej ukryć się w łazience, zwłaszcza w marcu, bo

wtedy przyjeżdża śmieciarka. Nie, nie w marcu, w październiku, tak powiedział lis.

– Cześć, Jim, to ty?

Mężczyzna w białym kasku otworzył oczy i zobaczył, że to jednak nie wilk. To był ten miły pan. Miły brodac, właściciel sklepu.

– Kurczak chciał wejść do koszyka – oświadczył mężczyzna w kasku, kiedy brodac spojrział na dziewczynę w kasie, a ona tylko wzruszyła ramionami.

– Jakiś problem z płatnością?

Dziewczyna przyłożyła palec do skroni i pokręciła nim, ale miły brodac posłał jej surowe spojrzenie, więc prędko opuściła rękę.

– Chodź, zapakujemy ci zakupy, Jim. – Miły właściciel sklepu przyszedł mu z pomocą i zakupy prędko znalazły się w plecaku.

– To nie ja zabiłem psa. – Mężczyzna w kasku rowerowym ostrożnie kiwnął głową.

– Tego jestem najzupełniej pewien – oświadczył miły brodac i odprowadził go aż do samych drzwi. Otworzyły się teraz lżej, prawie same z siebie.

– Nie myśl dzisiaj o zapłacie, Jim. Załatwimy to później, dobrze?

Brodacz uśmiechnął się do niego. Wcale się nie śmiał i nie szczyrzył zębów, chociaż on miał trochę kłopotów z otwarciem rowerowego zamknięcia.

– Wiesz, że chętnie dostarczę ci zakupy do domu, prawda? Wystarczy, żebyś zadzwonił, a przyjedziemy.

– To bardzo ważne, żeby radzić sobie samemu.

– Oczywiście, że tak. I ty sobie świetnie radzisz, Jim. Ale w razie potrzeby po prostu zadzwoń, dobrze?

– Lis ma biały koniec ogona, dlatego jest październik – oznajmił mężczyzna w białym kasku i mocno nacisnął pedały. W powrotnej drodze do domu ustanowił nowy rekord. Poniżej dwudziestu dwóch minut. Chociaż było bardzo, ale to bardzo ślisko, zwłaszcza na środku drogi.

Curry'ego obudził dobiegający gdzieś z daleka piskliwy dźwięk, więc wyciągnął rękę po budzik na nocnym stoliku, żeby go uciszyć. Palce trafiły w przycisk na górze i dźwięk umilkł. Curry, uśmiechnięty, z powrotem zapadł w sen, mocniej owinął się kołdrą i przetoczył w stronę Sunnivy, aby poczuć ciepło jej ciała. Uwielbiał tak leżeć. Uwielbiał tę chwilę, te krótkie minuty, kiedy leżeli tak i udawali, że żadne nie musi iść do pracy. Wyłączali budzik, jakby nigdzie nie trzeba było wychodzić, jakby mieli wolne i mogli robić to, co chcą. Jakby nie było żadnych wymagań, żadnych szefów, tylko oni dwoje pod kołdrą. Uwielbiał jej ciepłą, miękką skórę, kiedy wciskała nos w zagłębienie jego szyi i wtulała się w niego, jakby chciała, by się nią zaopiekował. Uśmiechnął się. Sunniva. Już wtedy, gdy ujrzał ją pierwszy raz, zrozumiał, że właśnie jej pragnie. Tej rudowłosej, o prześlicznym uśmiechu, która co rano piła kawę w tej samej knajpie, on w drodze do szkoły policyjnej, ona do swojej pracy pielęgniarki. Pewnego dnia zebrał się na odwagę i zaprosił ją do kina, a ona ku jego wielkiemu zdziwieniu się zgodziła.

Curry szeroko otworzył oczy, ujrzał stos kartonowych pudeł na pokrytej linoleum podłodze w jakimś mieszkaniu, które z całą pewnością nie należało do niego, i z wolna wróciła do niego rzeczywistość. Zasnął w ubraniu, na cienkim materacu, na pewno nie u siebie w domu. Tak, to pewne, bo ona zmieniła zamek, więc jego klucz do drzwi już nie pasował. Piskliwy dźwięk rozległ się znów. Zamroczony Curry podniósł się powoli z cienkiego materaca i niemal w półśnie ruszył za dźwiękiem do przedpokoju. Chwilę później stał już twarzą w twarz z mężczyzną czekającym pod drzwiami mieszkania Mii.

– Mia Krüger? – spytał ten facet z cienkim wąsem, patrząc na trzymaną w ręce kartkę.

– A tak wyglądam? – wymamrotał Curry, czując, że ciągle jest pijany.

Dwa dni chlania. Po tym, jak powiedziała, że to już koniec. Sunniva.

– No, nie. – Mężczyzna rozejrzał się, wyraźnie zaskoczony tym, co tu zastał.

„Pieprz się, Jon. Tym razem, do diabła, mówię serio. Mam już, do cholery, dość. Wszystkie pieniądze? Wszystkie nasze pieniądze? Wiesz, jak tyrałam? Masz tego świadomość?”

– Uważa pan, że wyglądam jak Mia Krüger?

Curry sam czuł, że cuchnie, i miał tylko nadzieję, że nieznajomy za drzwiami tego nie poczuje. Dwie doby picia w tych samych łachach. Nie poszedł nawet do pracy. Po prostu wszystko olał.

– Mogę przyjść później – powiedział mężczyzna w roboczym ubraniu, trochę teraz jakby zażenowany. – Ale w piwnicy jest grzyb...

– Co? – Curry miał problemy z utrzymaniem się na nogach. Miał wrażenie, że wąski korytarz płynie pod jego stopami.

– I to jest ostatnie mieszkanie – ciągnął niewysoki mężczyzna. – Spółdzielnia...

– Okej – kiwnął głową Curry, przytrzymując się wieszaka, gdy podłoga zaczęła wirować jeszcze szybciej.

Kilka minut później stał już przy Stadionie Bislett, w butach i kurtce. Dał tamtemu klucz do mieszkania i kazał mu go później wrzucić do skrzynki pocztowej. Przeszukał kieszenie kurtki, znalazł puszkę ze snusem, umieścił porcję używki pod górną wargą i zamachał na wolną taksówkę, która bez pośpiechu sunęła po Bislettgata.

W windzie było ciasno. Jeździł nią milion razy, ale dzisiaj czuł się jakoś inaczej, jak zamknięty w puszcze, i ucieszył się, kiedy drzwi wreszcie się otworzyły, żeby go wypuścić.

– Halo!

Zataczając się, ostrożnie ruszył w głąb korytarza, ale w jednostce panowała zupełna cisza. Zajrzał do kuchni, nalał sobie kwaśnej kawy z ekspresu i przykładając usta do filiżanki, z wysiłkiem ruszył dalej do sali briefingowej.

– Halo!

– Cześć, jednak się zjawiłeś?

W korytarzu przed nim pojawiła się Ylva.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jednak? – uśmiechnął się Curry i wypił łyk kawy, starając się udawać trzeźwego, co najwyraźniej zadziałało.

– Mia mówiła, że jesteś chory i nie przyjdiesz. – Ylva go wyminęła.

– Tak, to chyba grypa – chrząknął Curry. – No ale musiałem przyjść, nie mogłem leżeć w domu, chyba rozumiesz? Coś nowego?

Poszedł za Ylvą do jej biurka, stanął i obserwował, jak uderza w klawiaturę, jednocześnie pilnował się, żeby nie podejść zbyt blisko, by nie poczuła jego cuchnącego oddechu.

Niech to szlag.

Wyjął z kieszeni telefon, sprawdził, czy nikt nie dzwonił, ale nic się nie działo, cicho jak w grobie. Ani słowa od Sunnivy, chociaż dzwonił do niej milion razy i zostawił tyle samo wiadomości.

„Daj spokój, chyba możemy o tym porozmawiać?”

„Odbierzesz telefon?”

„Możesz do mnie zadzwonić?”

„Zadzwoń do mnie, OK? Kiedy Ci będzie pasowało”.

„Tęsknię za Tobą”.

„Zadzwoń, *please!*”

– Anette była dziś o dziewiątej na konferencji prasowej. A Munch o dziesiątej prowadził briefing. Mia poinformowała cię o wszystkim czy chcesz, żebym ci przedstawiła aktualne informacje?

Ylva się uśmiechnęła, poprawiła okulary, przeszła do komputera pod oknem i znów zaczęła stukać.

– Nie, nie. – Curry wypił jeszcze łyk kawy. – Mam pełen obraz. Ale gdzie się wszyscy podziali?

– Chcesz usłyszeć streszczenie porannego zebrania? Mimo że masz pełen obraz?

Curry z uśmiechem kiwnął głową. Ta nowa nie była wcale taka najgorsza, chociaż ubierała się trochę jak chłopak, nie całkiem w jego guście. Poszedł za nią do sali briefingowej.

– No to co słyszałeś ostatnio? – Ylva wskazała na wielką tablicę przy oknie. – Dotarło do ciebie, że w sprawie wypłynął niejaki Anders Finstad?

– Kto?

Ylva lekko podrapała się w głowę.

– Mam ci streścić wszystko?

– Hm... chyba tak – przyznał Curry i usiadł na krześle.

– No to co wiesz?

– Naga dziewczyna uduszona w lesie z kwiatem w ustach.

– Camilla Green – uzupełniła Ylva.

– Zidentyfikowaliśmy ją?

– Tak. – Ylva na szczęście powiedziała to takim tonem, który nie wywołał u niego poczucia, że jest idiotą, skoro nie dotarła do niego tak oczywista rzecz.

– Camilla Green, siedemnaście lat, mieszkanka czegoś w rodzaju ośrodka resocjalizacji dla młodych ludzi, właściwie dzieci z rodzin zastępczych. Mam ci podać wszystkie szczegóły czy chcesz...

– Nie, nie, możesz się streszczać.

– Okej. – Ylva znów odwróciła się w stronę tablicy. – A więc Camilla Green. Jej zaginięcie z tego miejsca, Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet, zgłoszono trzy miesiące temu, ale zgłoszenie zaraz wycofano, bo dostali wiadomość, że u niej wszystko w porządku i żeby jej nie szukać.

– Wiadomość? W jaki sposób? – spytał zaciekawiony Curry, czując, że budzi się w nim policjant.

– Esemesem. – Ylva zdjęła z tablicy jakąś kartkę i położyła ją przed nim.

– To rejestr rozmów telefonicznych? – spytał Curry.

– Tak. Gabriel dostał go wczoraj od Telenoru. Dziwne jest to, Munch, Kim i Mia dużo o tym dzisiaj dyskutowali, że wiadomość wysłano od tych ogrodników.

– Co to znaczy? – spytał zaskoczony Curry.

– To Gabriel zna się na takich rzeczach i powiedział, że... Jak to się nazywa? Stacja przekaźnikowa?

– Wiem.

– Camilla zginęła, zgłosili jej zaginięcie, a potem dostali od niej wiadomość, że wszystko jest w porządku i mają jej nie szukać.

– I ta wiadomość przyszła stamtąd? Z tego gospodarstwa? – dopytywał się zaciekawiony Curry.

– Owszem. Według tej stacji przekaźnikowej.

Curry wstał i podszedł bliżej tablicy ze zdjęciami.

– Czyli co...? Wymieniłaś jakieś nazwisko. Czyżbyśmy już mieli podejrzanego?

– Anders Finstad – kiwnęła głową Ylva, kładąc palec na czarno-białej fotografii mężczyzny w średnim wieku, w kasku do jazdy konnej na głowie, przed budynkiem będącym najwyraźniej stajnią.

– Co to za jeden? – spytał Curry.

– Tatuaz. Pamiętasz?

– Jaki tatuaz? – Teraz Curry'emu zrobiło się już naprawdę głupio.

Dwa dni picia. Drink w każdej ręce. Użalanie się nad sobą z powodu całkiem zwyczajnych rzeczy, podczas gdy wśród ludzi krąży szaleniectwo. Koledzy posunęli się już daleko w śledztwie, a on nie przyczynił się do tego nawet jednym gestem.

– AF, widzisz?

– Tak. – Curry śledził jej palec poruszający się po zdjęciu.

– A ten koński łeb?

– Też.

– Anders Finstad – powtórzyła Ylva. – Camilla bardzo lubiła konie. Ten Finstad prowadzi klub jeździecki niedaleko tego ogrodnictwa, w którym mieszkała.

– I?

– Jest w naszych archiwach. Sześćdziesiąt sześć lat. Wcześniej notowany za molestowanie seksualne. Zachęcał dwie dziewczynki z klubu, żeby rozebrały się do pasa, a on robił im zdjęcia na tle konia. Dwunasto- i czternastolatce.

– Do diabła...

– No właśnie. – Ylva pokiwała głową.

– I co było dalej?

– Z zarzutów nic nie wyszło. Zręczny adwokat, słabe dowody, coś w tym stylu. W każdym razie na nim się teraz koncentrują. Camilla należała do jego klubu. Z tego, co zrozumiałam, nieźle sobie radziła. Miała szanse wejść do reprezentacji kraju juniorów w skokach przez przeszkody.

– Nasza ofiara?

Ylva potwierdziła.

– Mia właśnie do niego pojechała. Pozostali są u ogrodników.

– Jest jakiś samochód w piwnicy? – spytał Curry.

– O co ci chodzi?

– Zabrali wszystkie służbowe auta?

– Nie wiem. – Ylva wyszła przed nim na korytarz. – Mam wpisać, że jesteś w pracy czy że ciągle jesteś chory?

– Myślałem, że takimi rzeczami zajmują się ci na Grønland.

– Niestety – westchnęła Ylva. – Ale z takimi rzeczami trzeba się pogodzić, kiedy się jest nowym w zespole?

– Musisz pogadać z Anette. – Curry puścił do niej oko, znalazł w szafce jakieś kluczyki do samochodu, pustą filizankę odniósł do kuchni i zjechał windą na sam dół do garażu.

Muncha szybko przepuszczono przez taśmy zagradzające wjazd do Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet, a kiedy grad fleszy fotografów prasowych zasypał jego samochód, szczerze się ucieszył, że wysłał Mię do klubu jeździeckiego.

Pokręcił głową i zerknął we wsteczne lusterko, wjeżdżając w aleję prowadzącą do gospodarstwa. Helene Eriksen zadzwoniła do niego rano i ani trochę nie przesadzała. „Są jak stado szarańczy, zaglądną we wszystkie miejsca, dziewczyny się boją, co mamy robić?” Gospodarstwo przeżywało prawdziwą inwazję prasy.

Munch lekko uśmiechnął się do siebie, parkując przed głównym budynkiem, i wysiadł z czarnego audi. Zaczynał lubić tę Helene Eriksen. Szarańcza. Sam by się pod tym podpisał.

Zapalił papierosa i patrzył, jak Kim Kolsø schodzi po schodach prowadzących do dużego białego głównego budynku.

– Cholerny cyrk – powiedział, ruchem głowy wskazując koniec alei.

– Mamy wszystko pod kontrolą – uspokoił go Munch. – A jak to tutaj wygląda?

– W porządku. – Kim rozejrzał się dokoła. – Oddano nam do dyspozycji dwie klasy i jeden gabinet. Trochę to prymitywnie urządzone, ale już zaczęliśmy. Grønlie sprawia wrażenie zadowolonego, że wyrwał się z domu, mamy też Duet Jensenów. Przygotowałem listę, tak jak sobie życzyłeś. My dwaj zajmiemy się najważniejszymi osobami.

Munch poprosił komendę na Grønland o dodatkową pomoc i Mikkelson przydzielił im zespół z Kripos, Centrali Policji Kryminalnej, Jensena i Jensena, lepiej znanych jako Duet Jensenów. Nie byli to ulubieńcy Muncha, ale trudno. Potrzebowali dodatkowych ludzi.

– Curry już jedzie, posadźmy go z nimi – mruknął Munch i głęboko zaciągnął się papierosem, chcąc ukryć przed Kimem irytację.

– Tak? Czy Mia nie mówiła, że jest chory?

– Najwyraźniej doszedł do siebie.

– To dobrze. – Kim ruszył przodem, prowadząc swojego korpulentnego

szeffa do zaimprovizowanego pokoju przesłuchań.

– No to kogo mamy na pierwszy ogień? – spytał Munch, kiedy już zdjął kurtkę i roztarł zmarznięte dłonie.

Na dworze wciąż było zimno. Munch pomyślał o Mii. Ani trochę nie lubił chłodu i ciemności, ale wiedział, że jego młodej koleżance jest o wiele trudniej. Można było odnieść wrażenie, że ciemność przenika do jej umysłu i nie odpuszcza aż do nadejścia wiosny. Szybko otrząsnął się jednak z rozmyślań o Mii i przyjrzał się nazwisku na samej górze listy, którą położył przed nim Kolsø.

– Benedikte Riis – zdziwił się i pytająco spojrzął na kolegę. – Chyba ustaliliśmy, że my dwaj najpierw zajmiemy się tym Paulusem.

Kim przepraszaając wzruszył ramionami.

– Grønlie się nim zajął.

– Dlaczego?

– Nalegał.

– Ten chłopak? Paulus? Z jakiego powodu?

– Kiedy przyjechaliśmy, stał na środku podwórza. Wyglądał tak, jakby w nocy nie zmrużył oka. Powiedział: „Pewnie myślicie, że to ja, skoro jestem tym, kim jestem. Chciałbym, żebyście mnie przesłuchali jako pierwszego”.

– Aż tak – mruknął Munch.

– Dlatego pozwoliłem, żeby Ludvig się nim zajął. Niech chłopak ma trochę spokoju.

– Jestem tym, kim jestem? O co mu chodziło? – spytał Munch.

– Na pewno bierze pod uwagę, że zajrzeliśmy do jego kartoteki.

– Ale to były tylko drobiazgi, prawda? – spytał nieco zdziwiony Munch.

– Tak. Posiadanie niewielkiej ilości haszyszu, włamanie do sklepu, lądowanie w rowie skradzionym samochodem. Ale wszystko, kiedy był młodszy. Może zrobił jeszcze coś, o czym nie wiemy. W każdym razie sumienie go gryzie. Dlatego posłałem go do Grønliego. Ciągle jeszcze tam siedzi.

– Okej. – Munch zajrzał do swoich papierów. – A ta Benedikte Riis to kto?

– Ostatnia osoba, która widziała Camillę Green żywą. Ma chyba coś ważnego do przekazania. Wydaje mi się, że Helene Eriksen usiłowała to z niej wyciągnąć, ale dziewczyna nie chce puścić pary, dopóki nie porozmawia z policją.

– Naprawdę? – Munch lekko uniósł brwi. – Okej, no to ją przyprowadź.

Anders Finstad stał już na schodach, kiedy Mia Krüger skręciła na dziedziniec Klubu Jeździeckiego w Hurum. Z zewnątrz miejsce to bardzo przypominało gospodarstwo ogrodnicze, które razem z Munchem odwiedzili dzień wcześniej. Długa aleja z majestatycznymi brzoźami, za którymi rozciągały się pokryte szronem rżyska, prowadziła ku pięknie utrzymanej posiadłości ze wspianiałym, rozłożystym białym domem, wysypanym żwirem dziedzińcem i bardzo ładnym budynkiem, z pewnością stajnią. Mia wysiadła z samochodu i poczuła, że miejsce to budzi w niej przyjemne uczucia. Nie było tu wprawdzie otwartego morza, ale całość kojarzyła jej się z Hitrą z uwagi na panujący tu spokój. Wspianiały ośrodek jeździecki, który ktoś najwyraźniej kochał, otoczony przesiąkniętą spokojem piękną przyrodą.

– Dzień dobry – odezwał się mężczyzna stojący na schodach i szybko zszedł, żeby się z nią przywitać. – Anders Finstad – przedstawił się.

– Mia Krüger. – Ujęła wyciągniętą chłodną dłoń. Finstad najwyraźniej od pewnego czasu stał na dworze. Lekko się uśmiechnął.

– Wiem, kim pani jest. Gdyby okoliczności były inne, powiedziałbym pewnie, że czuję się zaszczycony tą wizytą.

– No tak – odparła Mia, próbując się zorientować, czy miała to być próba rozbrojenia jej, ułagodzenia, lecz wcale się tego nie dopatrzyła. Finstad na pierwszy rzut oka kojarzył się z miejscem, którego był właścicielem. Wyraźnie dbał o wygląd, ale nie miał w sobie sztuczności.

– Straszna tragedia – stwierdził, zaprowadziwszy Mię do pomieszczenia służącego zapewne jako pokój dzienny. Wskazał jej krzesło i ostrożnie się uśmiechnął. – Mogę zaproponować jakiś poczęstunek czy też...

– Przejdziemy od razu do rzeczy. – Mia uśmiechnęła się, odwieszając skórzaną kurtkę na oparciu krzesła.

– Aha – powiedział Finstad tonem, jakby takiej odpowiedzi pragnął i oczekiwał.

Wysunął sobie krzesło naprzeciwko Mii, usiadł i na chwilę utkwiał wzrok w białym obrusie, po czym zebrał się na odwagę, chociaż Mia nic nie powiedziała.

– Oczywiście wiedziałem, że tak będzie.

– Co pan wiedział?

– Że od razu uznacie, że to ja.

– Kto powiedział, że tak myślimy?

– A nie? – Finstad miał zaskoczoną minę, lecz znać było po nim również ulgę.

Mia nie mogła nic poradzić na to, że żal jej trochę tego uprzejmego, dobrze ubranego mężczyzny. Miał cienie pod oczami, nerwowo splatał i rozplatał palce. Wyraźnie było widać, że ostatnie wydarzenia wywarły na nim głębokie wrażenie.

– Akurat teraz nic nie uważamy. Wszystkie możliwości pozostawiamy otwarte – powiedziała. – Ale to dość oczywiste, pan znał Camillę. Była tu uczennicą...

– Nie, nie – zaprotestował Anders Finstad.

– Nie?

– Nie była uczennicą. W ogóle bym tak nie powiedział.

– A to dlaczego?

– Camilla była... – Finstad lekko odchylił się na krześle, jakby szukał słów.

– Jaka?

– Wyjątkowa – stwierdził w końcu. – Nie była niczyją uczennicą, że się tak wyrażę.

– W jakim sensie?

– Camilli nie dało się powiedzieć, co ma robić. Była bardzo stanowcza, miała silną wolę.

Finstad lekko się teraz uśmiechnął. Oczy mu się zamglily, jakby nagle ujrzał ją przed sobą.

– Więc nie była pańską uczennicą w szkółce jeździeckiej?

– Słucham? A tak, na papierze, owszem. Ale Camilli nie dało się niczego nakazać. Świetna dziewczyna, naprawdę. Zrozumiałem to od razu, kiedy Helene ją przyprowadziła. Czy pani zdarzyło się coś takiego? Mam na myśli spotkanie ludzi, którzy są nieco bardziej charyzmatyczni niż inni, mają coś w rodzaju...

Nie mógł znaleźć właściwego określenia i dalej wpatrywał się w obrus.

– Pan ją lubił? – spytała Mia.

– Słucham? Tak, wszyscy lubili Camillę.

– Pan również?

– O tak.

– Bardzo pan ją lubił?

– Bardzo – odparł Finstad, ale nagle się ocknął i zrozumiał, do czego Mia zmierza swoimi pytaniami. – Nie, nie, nie w tym sensie.

Znieruchomiał, jakby szykował się na pytania, które zaraz padną.

– Wrzesień dwa tysiące jedenaście – powiedziała Mia.

– Tak.

– Pan wie, o czym mówię.

– Oczywiście – kiwnął głową Finstad, wciąż na nią nie patrząc.

– Dwie dziewczynki, pańskie uczennice, dwunasto- i czternastoletnia.

Finstad oderwał ręce od stołu i na chwilę zasłonił nimi twarz.

– Nie jestem z tego dumny – powiedział ostrożnie.

– Ale zrobił to pan? – spytała Mia.

– Jestem tylko człowiekiem. Wszyscy możemy popełnić jakiś błąd, prawda?

Wreszcie spojrzał na Mię, a ona poczuła, jak sympatia dla tego człowieka nagle zmienia się w obrzydzenie.

– Błąd? Więc pan uważa, że robienie zdjęć nagim dziewczynkom to po prostu błąd?

– Słucham? – spytał zaskoczony Finstad.

– Przyszedł pan do stajni z aparatem, wykorzystał pan władzę, jaką pan miał nad dziewczynkami, i kazał im pozować bez ubrania przy koniu. Czy to można w jakiś sposób wybaczyć? Właśnie to pan ma na myśli?

Mia pierwszy raz poczuła, że alkohol wypity poprzedniego wieczoru ukradkiem paraliżuje jej głowę. Przeklęty Curry. Nie pozwolił jej zasnąć długo w nocy. Sunniva. Hazard. Nie pierwszy raz i z pewnością nie ostatni. Udało jej się w końcu wepchnąć go do łóżka, nie miała siły się z nim szarpać, kiedy budzik zadzwonił. Zmęczenie odezwało się dopiero teraz. Podstępnie. Wzbudziło w niej irytację i złość, zachowywała się mniej profesjonalnie, niż powinna.

– Pan jest pedofilem i usiłuje się pan tłumaczyć, tak mam to rozumieć?

– Co? – jeszcze bardziej zdumiał się Finstad.

– Słyszał pan, co powiedziałam.

– Co? O nie, nic takiego nie miało miejsca.

– My to wiemy – oznajmiła Mia krótko.

– Na miłość boską, nie macie wszystkich dokumentów?

Munch nie przekazał Mii szczegółów, ale to przemilczała.

– Robił pan zdjęcia dwóm nagim dziewczynkom przy koniu. Tyle wiemy.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Finstad. – Naprawdę nie znacie wszystkich szczegółów tej idiotycznej sprawy? Musicie je mieć.

Mia wzięła też tabletki. Żeby zasnąć. Z Currym przesiedziała całą noc, aż w końcu do briefingu zostały trzy godziny. Połknęła coś w łazience i padła, nie pamiętała nawet, jak przykładała głowę do poduszki.

– Z czego zatem nie jest pan dumny? – spytała, usiłując się pozbierać.

– Nie rozumiem? – Finstad kompletnie już się pogubił.

– Powiedział pan, że nie jest pan dumny z tego, co pan zrobił.

– Aha. Miałem na myśli to, że ją zdradziłem.

– Kogo?

– Moją byłą żonę. – Finstad spojrzał na nią zdziwiony. – Nie macie tego w swoich papierach?

Irytacja Mii skierowała się teraz na Muncha. Przysłał ją tutaj, nie przedstawiając jej uprzednio wszystkich szczegółów sprawy przeciwko temu człowiekowi, który wydawał się taki uczciwy i porządny.

– Owszem – skłamała. – Po prostu musiałam o to spytać.

– Że w taki sposób się na mnie zemściła?

– Owszem.

– Że to wszystko wymyśliła wyłącznie z zemsty za moją zdradę i do wszystkiego się później przyznała? Że całą sprawę wycofano?

– Owszem, wszystko to mamy, ale musiałam spytać.

– No tak, oczywiście.

– Przepraszam – powiedziała Mia najzupełniej szczerze.

– Nie ma za co – uśmiechnął się teraz lekko Finstad. – Ale i tak żałuję. Żle postąpiłem. Właściwie nie jestem taki, ale...

– To nie moja sprawa. – Mia usiłowała spojrzeć na niego najłagodniej, jak umiała.

Ból głowy zaatakował ją z całą siłą. Cholerny Munch. I przekłety Curry.

– Straszna tragedia – stwierdził Anders Finstad, patrząc na swoje dłonie. – Ona była wyjątkowa. Po prostu.

– Często tu przychodziła?

– Camilla? O tak. Zdarzały się okresy, że bywała tu prawie co wieczór. Jako jedna z nielicznych dziewcząt miała tu własną szafkę. Czy mówiłem już, że była bardzo utalentowana? Kiedy przyszła pierwszy raz, w zasadzie wcześniej nie siedziała nawet na koniu. Pamiętam...

– Szafkę? – przerwała mu Mia.

– Tak – potwierdził Finstad. – Niektóre z najbardziej zapalonych dziewcząt je mają. Trzymają w nich wszystkie swoje rzeczy. Takie rozwiązanie jest najbardziej praktyczne.

– Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście.

Finstad wstał i poszedł przodem, pokazując Mii drogę do stajni.

Isabella Jung często o tym myślała, ale tata zawsze powtarzał, że nie wolno oceniać książki po okładce, i starała się tego trzymać. Nie pozwalała, by pierwsze wrażenie decydowało o jej opinii o jakiejś osobie, ale teraz była już absolutnie pewna swego. Nie znosiła gęby Benedikte Riis.

Siedziały w sali telewizyjnej, czekając, aż policja zacznie je wzywać pojedynczo, i Benedikte oczywiście była pierwsza. Domagała się tego, ponieważ „najlepiej znała Camillę, była z nią najbliżej, a poza tym widziała ją żywą jako ostatnia”, co w przekonaniu Isabelli było wierutną bzdurą, ponieważ Benedikte Riis nie miała żadnej bliskiej osoby oprócz samej siebie. Isabella nigdy nie zetknęła się z taką egoistką; jej najlepszą przyjaciółką było prawdopodobnie własne odbicie w lustrze. W tej chwili Isabella miała ochotę krzyknąć, żeby ta idiotka się zamknęła, ale nie zrobiła tego z szacunku dla innych osób w sali. Ostatnie dni okazały się bardzo trudne dla wszystkich. Isabella Jung była twarda, przez całe życie musiała sobie radzić sama, ale inni mieszkańcy gospodarstwa nie potrafili równie łatwo pogodzić się z tym, że takie spokojne miejsce nagle zmieniło się w gniazdo os. Wszędzie policja. No i wszyscy ci dziennikarze. Zanim zagrodzono wjazd, odnosiło się wrażenie, że wyglądają z każdej dziury. Dwie dziewczyny kompletnie się załamały. Na szczęście umundurowani policjanci w końcu z czasem zniknęli i zostali tylko śledczy w zwykłych ubraniach. Ale normalny porządek i tak został zburzony. Wszystko stanęło na głowie. W klasach padały teraz pytania nie o regiony Norwegii czy czasowniki angielskie, tylko o Camillę Green. Benedikte Riis, która jako pierwsza poszła rozmawiać z policją, właśnie wróciła i teraz w małej salce telewizyjnej odgrywała królową.

– Powiedziałaś, jak było – oświadczyła. – Camilla i ja byliśmy bliskimi przyjaciółkami, mówiłyśmy sobie wszystko. I jeśli ja o czymś nie wiem, to nie wie tego nikt. Rozumiecie, co mam na myśli?

– A o czym ty wiesz? – spytała nieśmiało Cecilie.

Drobna dziewczyna z Bergen siedziała wciśnięta w róg kanapy, wystraszona, z poduszką na kolanach, jakby potrzebowała czegoś, za czym mogłaby się ukryć lub czego się przytrzymać.

– Halo! O tym, co się stało, to przecież jasne! Kompletnie zgłupiałaś?

Benedikte przyłożyła palec do skroni, a Isabella ledwie już nad sobą panowała.

– No i co powiedziałaś?

Tym razem spytała Wenche. Isabella nie znała jej najlepiej. Krótkie ciemne włosy, mnóstwo tatuaży. Pochodziła z Oslo, była twardsza od tych, z którymi Isabella przyjaźniła się najbliżej. Plotki mówiły, że wcześniej chodziła z członkiem klubu motocyklowego Bandidos i że przyłapano ją na usiłowaniu przemycenia heroiny w wózku dziecięcym na promie z Danii, lecz jeśli Isabella w ogóle się tu czegoś nauczyła, to właśnie tego, by nie słuchać plotek. Miała wrażenie, że wszyscy tu próbują udawać twardszych, niż są w rzeczywistości, z wyjątkiem Synne i Cecilie, z którymi Isabella miała najlepszy kontakt.

Sowa?

Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, że prawie całkiem zapomniała o kartce, którą ktoś powiesił na drzwiach do jej pokoju. O białej lilii.

„Podobasz mi się”.

I ten rysunek pod napisem.

Serce podskoczyło jej w piersi, gdy to zobaczyła. Tajemniczy wielbiciel. Komu się podobała? Czy to mógł być...? Czy to było od tego, kogo miała na myśli?

Z zamyślenia wyrwała ją nieznośna gęba Benedikte Riis, która z jakiegoś powodu znalazła się nagle bardzo blisko.

– I ty też nic o tym nie powiesz, prawda?

Benedikte stała, wskazując na Isabellę palcem, a wszystkie pozostałe dziewczyny z jakiegoś powodu też na nią patrzyły.

– Słucham? – spytała Isabella.

– Jezu, ogłuchłaś? – westchnęła Benedikte.

– Nie – odpowiedziała spokojnie Isabella, jeszcze raz opierając się pokusie, by wstać i uderzyć tę irytującą dziewczynę prosto w twarz.

– Powiedziałam, że żadnej nie wolno o tym powiedzieć. Musimy sobie przysiąc, że będziemy milczeć. – Rozejrzała się po sali, czekając na odpowiedź swoich słuchaczek. Nawet śmiertelnie wystraszona Cecilie lekko skinęła głową zza swojej poduszki.

– O czym? – powtórzyła Isabella.

– Że ona wymykała się do lasu – westchnęła Wenche, która usiadła w oknie

i zapaliła papierosa, chociaż wszyscy wiedzieli, że tu nie wolno palić.

– Nocami – uzupełniła Sofia.

– Ja o tym w ogóle nie wiedziałam – przyznała Isabella.

– Bo jesteś tu jeszcze zielona, a poza tym trzeba ci coś uświadomić. Niech ci się nie wydaje, że Paulus cię lubi, bo pomaga ci przy orchideach. Paulus przy orchideach pomaga wszystkim, prawda?

Benedikte roześmiała się głośno i zaraz przyłączyły się do niej Wenche i Sofia.

– Ja w każdym razie przyrzekam, że nic nie powiem – zapewniła Cecilie. Zdjętą z kanapy poduszkę podsunęła pod samą brodę.

– To dobrze – pochwaliła ją Benedikte.

– Dlaczego mamy o tym nie mówić? – spytała Isabella, czując, jak narasta w niej bunt.

– Bo ja tak powiedziałam. – Benedikte przysunęła palec tuż do jej twarzy.

– Zrobię, co będę chciała – oświadczyła Isabella, wstając z krzesła.

– Nie zrobisz, bo inaczej...

Wybuch Benedikte przerwały otwarte nagle drzwi i do sali weszła Helene.

Jasnowłosa kierowniczką wyglądała na zmęczoną. Normalnie zbeształaby Wenche za palenie w oknie, ale nie dzisiaj.

– Isabella – oznajmiła słabym głosem.

– Słucham? – Isabella się odwróciła.

– Twoja kolej. Chcą teraz rozmawiać z tobą.

Mia Krüger szczerze żałowała, że nie spała choć trochę dłużej, zamiast poświęcać całą noc na pocieszenie Curry'ego, bo wtedy może miałyby trochę więcej sił i lepiej by sobie z tym poradziła. W chwili kiedy Anders Finstad otworzył bramę stajni, nagle znów poczuła się jak szesnastolatka.

To miejsce przypomniało jej o Sigrid.

Stanęła przy wejściu, nie będąc w stanie poruszyć nogami.

– Ach, oczywiście, klucze do szafki, przepraszam – przypomniał sobie właściciel ośrodka.

– Nic nie szkodzi. – Mia się uśmiechnęła.

– Proszę tu poczekać, zaraz wracam.

– Nie spiesz mi się. – Mia kiwnęła głową i o kilka kroków cofnęła się od drzwi. Finstad szybko ruszył przez dziedziniec.

Dwa razy w tygodniu. Na tylnym siedzeniu ojcowskiego volvo. Klub Jeździecki koło Horten. Całą rodziną podziwiali roześmianą Sigrid na czarnym koniu, rozwiane jasne włosy wystające spod toczka. Sigrid uwielbiała jeździć konno. Widok i tutejsze zapachy obudziły w Mii wspomnienia i z jakiegoś powodu poczuła mdłości.

Dlaczego była taka...?

Nagle zrozumiała, że dłużej nie wytrzyma. Opierając się o ścianę, odeszła kawałek i zdążyła akurat ukryć się za węglem, gdy szarpnęły nią torsje. Miała w żołądku niewiele, ale i tak nie zdołała tego utrzymać. Stała zgięta wpół, z trudem łapiąc oddech.

Do diabła ciężkiego!

W oczach jej pociemniało. Ostatnio niewiele jadła. Tylko piła. Łykała tabletki. Nie dbała o siebie.

– Jest pani tutaj?

Mia zdołała się pozbierać na tyle, by przywołać na twarz spokojny uśmiech i wyjść z za rogu.

– O, jest pani. – Elegancko ubrany mężczyzna wyciągnął przed siebie pęk kluczy. – Mam...

– Czy mogłabym na chwilę skorzystać z toalety? – wymamrotała Mia,

zaciskając wargi.

– Oczywiście. – Finstad skinął głową. – To zaraz za drzwiami, na prawo. Zaprowadzę panią.

– Nie trzeba, sama znajdę. – Możliwie najszybciej przeszła przez dziedziniec, zamknęła się w łazience i uklękła przy sedesie, wciąż ciężko oddychając.

Niech to wszyscy diabli.

W końcu udało jej się wstać. Wypłukała usta i obmyła twarz, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Była blada jak trup, wyglądała jak własny cień. Mia Krüger nieczęsto czuła lęk, ale zorientowała się, że nadciąga. Jej organizm zareagował. Gwałtownie. Na samo wspomnienie Sigrid w stajni. Sigrid na grzbiecie wspaniałego konia.

„Powinniśmy porozmawiać o Sigrid, nie sądzisz?”

Może ten psycholog mimo wszystko miał rację. Przysłał jej wiadomość. „Przepadła ci ostatnia wizyta. Czy mam wyznaczyć nową?” Ale ona nie odpowiedziała. Dlaczego miałyby odpowiedzieć? Przecież wróciła do pracy. A właśnie po to tam chodziła. Nie po to, by roztrząsać swoje życie.

Stała przed lustrem, dopóki nie poczuła, że wraca normalność. Może jednak mimo wszystko powinna to zrobić? Otworzyć się, wyrzucić z siebie cały ten żal. Całe to poczucie marności i tęsknotę. Za mamą, za tatą, za babcią. Za Sigrid. W szafce nad umywalką znalazła trochę płynu do ust i starannie je wypłukała. O Boże. Znow spojrzała na siebie w lustrze i aż pokręciła głową.

Za diabła nie będę wywracać duszy na lewą stronę przed jakimś psychologiem.

Jeszcze raz obmyła twarz.

Oczywiście, że nie.

Nie robi tego.

To po prostu zbieg okoliczności. Za mało snu. Za duża presja. Cała ta sprawa, a na domiar wszystkiego jeszcze cholerny Curry. To nie ma żadnego związku z jej psychiką. Miała pełną kontrolę. Skinęła sobie głową w lustrze.

Pełna kontrola.

Stała wpatrzona we własne odbicie kilka minut, aż odzyskała kolory na policzkach, i dopiero wtedy znow przeszła przez dziedziniec.

– Wszystko w porządku? – spytał Anders Finstad, patrząc na nią z lekkim zaniepokojeniem.

– Słucham? – Mia weszła za nim do stajni. – Tak, tak, oczywiście. Czy to

jej szafka?

Znowu była policjantką.

– Owszem – odparł Finstad. – Mam ją otworzyć?

– Oglądanie szafki z zewnątrz nie bardzo ma sens, prawda?

Finstad się uśmiechnął. Przez chwilę obracał w rękach pęk kluczy, aż w końcu znalazł ten właściwy, a Mia w tym czasie z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła plastikowe rękawiczki.

– Mam je włożyć? – spytał Finstad, gdy już otworzył zamek.

Wyraźnie widziała, że jest ciekaw zawartości szafki.

– Przyjdę do pana, jeśli będę chciała o coś spytać. – Mia odczekała, aż Finstad wyjdzie ze stajni, i dopiero wtedy otworzyła szafkę.

Czerwona kurtka jeździecka, para czarnych oficerek, beżowe spodnie na wieszaku. I kartka przyczepiona do drzwiczek od środka. Ręcznie napisana.

„Podobasz mi się”.

Pod spodem rysunek.

Ptak.

Cały czas miała to z tyłu głowy. Chociaż zabrakło jej czasu, żeby głębiej się nad tym zastanowić, ponieważ Curry tak nagle wpadł do pubu. To, co Munch powiedział jej poprzedniego wieczoru. Pióra w miejscu zdarzenia.

Pióra sowy.

Wyciągnęła z kurtki telefon i wybrała numer Muncha. Nie odebrał, więc szybko wstukała wiadomość: „Zadzwoń do mnie, natychmiast”.

„Podobasz mi się”.

Rysunek.

Ptak.

Sowa.

Wyjęła z kieszeni pastylkę odświeżającą i uśmiechnęła się do siebie.

Nie powinno go to zaskoczyć, a jednak ze zdziwieniem stwierdził, że światło na niebie zdaje się odmawiać całkowitego przebicia się przez chmury, chociaż był środek dnia. Holger Munch zapalił papierosa i patrzył, jak jego zmarznięte palce oświetla pomarańczowy żar. Znów nawiedziła go myśl, która tak często odzywała się ostatnio: że w zasadzie osadnictwo tak daleko na północy nie było zamierzone. Historyczna omyłka. Błąd. Norwegowie musieli być potomkami ludzi, którzy w jakimś momencie przeszłości pobłądzili. Bo jak inaczej wytłumaczyć wybór tego zimna, tej ciemności, kiedy ziemia pełna była słońca i plaż, żyznych okolic, rajskich ogrodów? Niewiele o tym przypominało, kiedy stał na ciemnym podwórzu w zarzuconym na głowę kapturze budrysówki i usiłował znaleźć jakiś ważny trop podczas tych godzin rozmów z dziewczętami. Na razie żadna nie powiedziała nic, na czym mógłby oprzeć dalsze śledztwo. Wszystkie wydawały się śmiertelnie przerażone i chociaż różniły się od siebie, ich wspólną cechą stanowił brak entuzjazmu do rozmowy z policją.

Munch ciaśniej owinął się kurtką i kolejny raz zaciągnął się dymem, gdy drzwi głównego budynku się otworzyły i Helene Eriksen zeszła do niego po schodach.

– Może pan palić w środku, jeśli pan chce – powiedziała, próbując się uśmiechnąć, chociaż wyraźnie musiała się nad tym napracować.

Kiedy ujrzał ją za pierwszym razem, wydawała się załamana, a wydarzenia ostatnich dni ani trochę nie poprawiły jej nastroju. Przebłysk życia, który wtedy dostrzegał w jej oczach, zniknął już zupełnie. Munch naprawdę jej współczuł.

– Może pan też dostać kawy – ciągnęła ostrożnie. – To dla was długi dzień. Podobnie jak dla nas wszystkich.

– Rzuciłem kawę – powiedział Munch uprzejmie. – Ale filiżanka herbaty rzeczywiście dobrze by mi zrobiła.

– Herbatę też mam. – Helene Eriksen uśmiechnęła się i ruszając przodem, zaprowadziła go do niedużego pokoiku na dole. – To pokój, w którym spędzam wolny czas – wyjaśniła jasnowłosa kierowniczką, kiedy Munch

usiadł. – Czasami dobrze mieć miejsce, gdzie można побыć trochę na osobności.

Munch przewiesił kurtkę przez oparcie fotela i poczuł, że ma coraz więcej sympatii dla tej kobiety, którą właśnie poznał. Pomaga ludziom, prowadzi dom dla młodzieży z problemami – dobry człowiek o wielkim sercu.

– Nie mogę zaproponować zbyt dużego wyboru. – Helene Eriksen postawiła przed nim miseczkę z torebkami herbaty.

– Nie szkodzi. Wszystko jedno co, byle tylko pozbyć się z ciała tego zimna.

– No właśnie. – Helene Eriksen usiadła na krześle naprzeciwko niego.

Munch na chybił trafił wybrał herbatę i nalał do kubka wrzątku z elektrycznego czajnika, który przed nim postawiła.

– Mogę się poczęstować? – spytała, wskazując na leżącą na stole paczkę papierosów.

– Oczywiście.

– Właściwie nie palę – zaczęła się tłumaczyć, wkładając papierosa do ust.

– Rzuciłam już dawno. Papierosy to świństwo, ale teraz...

– Rozumiem. – Munch się uśmiechnął i nachylił nad stołem z zapalniczką.

Helene Eriksen wydmuchała dym pod sufit. Przez chwilę się zastanawiała, jakby na sercu leżało jej coś, co chciałaby mu wyznać, ale jednak to przemilczała.

– Zbliżamy się już do końca – oświadczył Munch, żeby ją trochę pocieszyć.

– Niedługo będziecie mieć spokój. Posunęliśmy się daleko, udało nam się porozmawiać z większością osób z listy.

– Znaleźliście coś? Przydały wam się te rozmowy?

– Nie mogę z panią omawiać szczegółów, mam nadzieję, że pani to rozumie. Ale sądzę, że tak, uzyskaliśmy to, o co nam chodziło.

– To dobrze – stwierdziła Helene. – Ale jeśli będziecie czegoś jeszcze ode mnie potrzebować, to oczywiście służę pomocą, w każdej chwili. Dajcie tylko znać.

– Bardzo dziękuję. I tak była pani bardzo pomocna. Ogromnie to cenimy.

– Cieszę się. – Znów zaciągnęła się dymem i zaraz zgasła papierosa w popielniczce. – Dawniej paliłam dwadzieścia dziennie, a teraz mogę pociągnąć ledwie kilka razy.

Siedziała zapatrzona przed siebie, a Munchowi przypomniało się, co powiedziała Mia po pierwszym przesłuchaniu, jakie tu przeprowadzili.

„Ona coś wie”.

Chrząknął, zgasił własnego papierosa i wstał.

– Bardzo dziękuję, ale muszę wracać do pracy. Na liście wciąż pozostały nazwiska.

– Tak, tak, oczywiście. – Helene Eriksen wyprowadziła go z pokoju.

– Aha, jeszcze jedno... – zaczął Munch, kiedy już byli na korytarzu.

– Słucham?

– Z tego, co zrozumiałem, wszystkie osoby znajdujące się na listach mieszkańców i pracowników są tu dzisiaj obecne.

– Zgadza się.

– Tylko że...

– Tak?

– Co do jednej osoby nie mam pewności. Możliwe, że ten człowiek tu jest, ale nie zaplanowano jego przesłuchania.

– Tak? O kim pan myśli?

– O Rolfie Lyckem. – Munch znów musiał odchrząknąć.

– O Rolfie? – zdziwiła się Helene Eriksen.

– Tak. Według mojej wiedzy jest tutaj nauczycielem.

Helene Eriksen zrobiła taką minę, jakby nie bardzo rozumiała jego słowa.

– Rolf jest na waszej liście?

– Owszem, a niesłusznie?

Helene lekko pokręciła głową.

– Nie, już dawno od nas odszedł.

– Ale był tu kiedyś nauczycielem?

– Tak, tyle że krótko. Mogę powiedzieć, że był dobrym nauczycielem, i chętnie bym go zatrzymała, ale obawiam się, że nie o takiej pracy marzył. Nie chcę źle mówić o moich dziewczętach, lecz jeśli chodzi o poziom nauczania, to nie jest on zbyt wysoki. Chyba wolno mi się tak wyrazić. Wydaje mi się, że Rolf Lycke miał większe ambicje. Jeśli chce pan z nim porozmawiać, załatwię to. Ciągle powinnam gdzieś mieć jego numer. Czy mam go poszukać?

– Nie, nie. – Munch się uśmiechnął. – Po prostu musimy zrewidować listy.

– Aha – powiedziała Helene.

Munch ruszył akurat w chwili, gdy kieszeń jego kurtki wypełniły wibracje. Na czas przesłuchań wyłączył dzwonek, ale jak zawsze zapomniał o wibracjach. Wyświetlacz pokazał, że dzwoni Anette Goli.

– Słucham – odezwał się Munch.

– Chyba go mamy. Skontaktowałaś się z Mią? Próbowała się do ciebie

dodzwonić, bo znalazła coś w tym ośrodku jeździeckim. Ale to już i tak bez znaczenia.

Policyjna prokurator mówiła tak prędko, że Munch musiał się domyślać połowy słów.

– Co powiedziałaś?

– Mamy go – powtórzyła Anette Goli.

– Kogo?

– Przyznał się do winy.

– Co?

– Właśnie tak. Przed chwilą przyszedł. Zatrzymaliśmy go. Siedzi na Grønland. Przyznał się do zabójstwa.

– Już jadę. – Munch wcisnął czerwony przycisk, chwycił budrysówkę pod pachę i pobiegł do czarnego audi stojącego na podwórzu.

Munch otworzył drzwi i zobaczył, że Mia już siedzi w niedużym pomieszczeniu obok pokoju przesłuchań. Uśmiechnięta Anette Goli stała oparta o ścianę, z rękami założonymi na piersi. Mia na krześle jadła jabłko, wciąż była w skórzanej kurtce. Ale po minie młodszej koleżanki Munch zorientował się, że nie jest do końca przekonana.

– Co mamy? – Munch odwiesił kurtkę i usiadł na krześle przed lustrem fenickim.

– Jim Fuglesang – powiedziała Anette Goli. – Trzydzieści dwa lata. Mieszka w Røyken. Mniej niż czterdzieści minut jazdy samochodem od Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet. Zgłosił się do recepcji niespełna godzinę temu. Przyznał się do zabójstwa Camilli Green.

– Fuglesang¹? To prawdziwe nazwisko? – Munch spojrzał na mężczyznę siedzącego w pokoju obok.

– Tak, sprawdziłam w rejestrach. On naprawdę istnieje. To nie żaden wygłup. Dawniej pracował na poczcie, teraz jest na rencie, nie wiem z jakiego powodu, ale poleciłam Ludvigowi, żeby to sprawdził.

– Dlaczego jest w kasku rowerowym?

– Odmawia zdjęcia. – Anette Goli wzruszyła ramionami.

– Ja w to nie wierzę. – Mia ugryzła jabłko.

– Dlaczego nie?

– Daj spokój, Holger! Gazety dziś w nocy puściły parę. Ile razy już mieliśmy taką sytuację? Ludzi mających ochotę przyznać się do winy. Za diabła nie rozumiem dlaczego, ale niektórzy są gotowi na wszystko, byle tylko ściągnąć na siebie uwagę. Szczerze mówiąc, nie pojmuję, po co my tu siedzimy. Nie dostałeś mojego esemesa, Holger?

Munch odniósł wrażenie, że jego młodsza koleżanka jest mocno poirytowana.

– Cały dzień przesłuchiwałem – wyjaśnił.

– Tego o rysunku w klubie jeździeckim. – Mia nie odrywała wzroku od mężczyzny w białym kasku.

– Jakim rysunku? – spytał Munch.

Mia nie odpowiedziała.

– Anette?

Jasnowłosa prokurator pokręciła głową, lekko poirytowana twierdzeniem, że ściągnęła tu Mię i Muncha bez potrzeby. W rękach trzymała teczkę, której najwyraźniej nie pokazała Mii, wstrzymując się z tym do przybycia Muncha.

– Ja też nie jestem głupia – oświadczyła w końcu, kładąc na stole przed nimi dwa zdjęcia. – Jim Fuglesang. Trzydzieści dwa lata. Na rencie. W białym rowerowym kasku, którego zdjęcia odmawia. Zgłasza się. Przyznaje się do zabójstwa. Ja też nie żyję w innym świecie i słyszałam o fałszywych przyznaniach się do winy. Nie dzwoniłabym po was, gdyby nie przyniósł ze sobą tego.

Dotknęła palcem zdjęć, które właśnie im pokazała. Mia pierwszy raz oderwała wzrok od mężczyzny w sąsiednim pokoju i zapatrzyła się na fotografie.

– O cholera – jęknął Munch.

– Widzicie? – powiedziała triumfalnie Anette Goli.

– Co u... – Mia odwróciła się do Anette.

– Widzicie? – powtórzyła pani prokurator, zakładając ręce na piersi.

Dwa zdjęcia. Nieostre, ale motywy były całkiem wyraźne. Bez najmniejszych wątpliwości.

– Tego już nie rozumiem – stwierdziła Mia.

– Przecież mówiłam, że go mamy. – Anette się uśmiechnęła.

– Okej. – Munch wstał. – Zobaczmy, co ten wariat ma do powiedzenia.

Gabriel Mørk siedział na krześle w sali briefingowej i patrzył, jak Ludvig Grønlie wieszka fotografie na ścianie. Młody haker nikomu o tym nie mówił, bo nie chciał wyjść na podnieconego chłopaczka, ale miał za sobą wyjątkowo interesujący dzień w pracy, może wręcz najlepszy, odkąd w ogóle go przyjęli.

Pracował poza biurem. Brał udział w przesłuchaniach przeprowadzonych w Gospodarstwie Ogrodniczym Hurumlandet, a więc w czynności zwykle zastrzeżonej dla Muncha, Mii, Kima Kolsø, ale rozmiar tej sprawy, czy raczej liczba osób, które należało przesłuchać jednocześnie, kazały Munchowi wysłać tam wszystkich członków jednostki z wyjątkiem Ylvy, która okopała się w biurze, ale obserwowała ich z pewną zazdrością.

Gabriel świetnie ją rozumiał. On też przez pierwsze miesiące czuł się trochę poza grupą, wielu rzeczy nie rozumiał, nie orientował się w rutynowych czynnościach i szyfrach używanych przez kolegów. Ale teraz to się zmieniło. *Właściwie to trochę jak chrzest*, pomyślał, uśmiechnął się do siebie i wypił łyk coli stojącej na stole. Przyszła Ylva i usiadła tuż obok niego.

– Mimo wszystko to robicie? – spytała dziewczyna, skinieniem głowy wskazując na Grønliego, który właśnie powiesił na tablicy zdjęcie jednej z dziewcząt z gospodarstwa, a pod spodem napisał jej nazwisko.

„Isabella Jung”.

– Jak to mimo wszystko? – zdziwił się Gabriel.

– No skoro już go mamy, prawda?

– Nie wiemy tego jeszcze z całą pewnością – odparł Ludvig Grønlie i obok poprzedniego powiesił kolejne zdjęcie, pod którym napisał: „Paulus Monsen”.

– Anette wydawała się najzupełniej przekonana – zauważyła Ylva, a Gabriel znów poczuł, jak to przyjemnie, kiedy nie jest się już najświeższym członkiem grupy, bo Ludvig odwrócił się i znacząco spojrział na krótko ostrzyżoną dziewczynę.

– To się zdarzało już wiele razy wcześniej – oświadczył, sięgając po kolejną fotografię z pliku leżącego na stole.

– Co? – spytała Ylva.

– To, że ludzie przyznają się do popełnienia zabójstwa, z którym nie mieli

nic wspólnego – wyjaśnił Gabriel, zerkając na doświadczonego śledczego.

– No właśnie. – Grønlie umocował kolejne zdjęcie.

„Benedikte Riis”.

– Wydawała się najzupełniej pewna. – Ylva włożyła do ust gumę do żucia.

– Mam na myśli Anette Goli.

– Bardzo byśmy się z tego cieszyli. – Ludvig uśmiechnął się, wieszając kolejną fotografię, tym razem ponad tamtymi.

„Helene Eriksen”.

– A więc ktoś coś słyszał? – spytała Ylva.

– Na razie jeszcze nie. – Grønlie dodał następne zdjęcie.

„Cecilie Markussen”.

– Mam nadzieję, że to naprawdę on. Że rozwiążemy to tak szybko. – Młoda dziewczyna wydmuchała z gumy balona.

– Dobrze by było. – Grønlie pokiwał głową i uśmiechnął się do niej. – Ale dopóki nie dostaniemy informacji, że tak jest, trzeba to rozwiesić. Dużo ludzi.

Westchnął cicho, przyglądając się prawie już skończonemu kolażowi.

– Wielki bałagan – stwierdziła Ylva.

– Tak uważasz? – zdziwił się Grønlie.

– Nie, nie to miałam na myśli – wycofała się dziewczyna. – Nie tę twoją ścianę, tylko całą sprawę. Wielki bałagan, tyle osób. Trochę nie wiadomo, od czego zacząć. Mam nadzieję, że dobrze mnie zrozumieliście.

Grønlie się uśmiechnął, powiesił ostatnią fotografię i cofnął o krok, jakby chciał zobaczyć, czy jest zadowolony z tego, co zrobił, i czy prezentacja jest dostatecznie czytelna.

– Kogo tu mamy? – spytała Ylva, z ciekawością przyglądając się zaprezentowanym na ścianie zdjęciom.

– Helene Eriksen. – Ludvig wstał. – Tamejsza szefowa, założycielka tego gospodarstwa.

Ylva kiwnęła głową.

– Paulus Monsen. Jak by to powiedzieć? Prawa ręka Helene. Dwadzieścia pięć lat, dawny mieszkaniec. Teraz ktoś w rodzaju człowieka do wszystkiego.

– Aha.

– Dwoje nauczycieli – ciągnął Grønlie. – Karl Eriksen. Eva Dahl.

– Jacy oni byli? – spytała Ylva.

– Nauczycielami zajmowali się Munch i Kim – wyjaśnił Ludvig – więc na razie jeszcze nic nie wiemy. Właściwie trochę szkoda.

– Szkoda czego? – zdziwiła się dziewczyna.

– Że nie zrobiliśmy briefingu i nie omówiliśmy wszystkiego wspólnie. Dlatego mamy tu pewien chaos, no ale trudno.

Siwowłosy policjant cofnął się o krok i znów spojrzął na ścianę pokrytą zdjęciami.

– Same dziewczyny? – spytała Ylva.

– Słucham? – spytał wyrwany z chwilowego zamyślenia Grønlie.

– Czy tam mieszkają wyłącznie dziewczyny? Czy to miejsce tylko dla dziewczyn?

– Wydaje mi się, że w założeniu nie – odparł Grønlie. – Mam rację, Gabrielu?

– Tak, to koedukacyjny zakład. Były tam przecież dwa budynki, jeden dla dziewcząt, drugi dla chłopców, ale z jakiegoś powodu teraz mieszkają tam wyłącznie dziewczyny. Ale dlaczego tak jest, tego nam nie wyjaśniono, prawda, Ludvig? – Spojrzął na Grønliego, który pokręcił głową i podrapał się w kark.

– To znaczy, że mieszka tam tylko tych osiem dziewczyn? – spytała Ylva.

W kieszeni Gabriela pisnęło. Ostrożnie wyciągnął iPhone'a i prędko na niego zerknął. Właściwie chciał usłyszeć, co Ludvig ma do powiedzenia, lecz gdy ujrzał wiadomość, która właśnie przysłała, i zdjęcia na ścianie, koledzy w pokoju przestali dla niego istnieć.

„Phoeniks do Electrona, jesteś tam?”

Upłynęło kilka sekund, nim w pełni do niego dotarło, co właściwie przeczytał.

Skunks?

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał jakiegokolwiek wieści od starego kumpla, i szybko wstukał odpowiedź: „Tu Electron. Co się dzieje?”.

Odpowiedź nadeszła już po kilku sekundach.

„Stoję przed wejściem. To ważne”.

Przed wejściem? Gabriel prędko zadał pytania:

„Przed wejściem do czego? Co jest ważne?”

Odpowiedź i tym razem nadeszła natychmiast.

„Mariboes gate 13. Mam coś dla ciebie. Dziewczyna z kwiatem w ustach”.

Dziewczyna z kwiatem w ustach?

Camilla Green?

Co, u diabła, miał z nią wspólnego Skunks?

Gabriel poderwał się z krzesła, rzucił kolegom przeprosiny, wyszedł z pokoju i jak najszybciej pobiegł na dół.

30

– Dziesiąty października. Godzina siedemnasta zero pięć. Obecni w pokoju to Holger Munch, szef jednostki specjalnej do spraw zabójstw z siedzibą przy Mariboegate 13, i śledcza Mia Krüger. – Mia spojrzała na mężczyznę w kasku rowerowym i wskazała na dyktafon. – Proszę powiedzieć, jak się pan nazywa.

Sprawiała wrażenie mocno podenerwowanej, dlatego Munch miał ochotę zwrócić jej uwagę, że powinna się trochę uspokoić, ale się nie odezwał.

– Jim – powiedział mężczyzna.

– Pełne imię i nazwisko. – Mia znów wskazała dyktafon.

Mężczyzna w kasku zerknął na nią.

– Ale ja się tak nazywam – bąknął nieśmiało i przeniósł wzrok na Muncha.

– Proszę podać pełne imię i nazwisko.

– Jim Fuglesang. – Z powrotem wbił wzrok w stół.

– Czy pan wie, że przy przesłuchaniu może być obecny pana adwokat? – Munch nie zareagował na spojrzenie, które posłała mu Mia.

– Kto?

– Adwokat – powtórzył Munch. – Chciałby pan, żeby towarzyszył panu podczas przesłuchania?

– Kurczak chciał wejść do koszyka.

Mia spojrzała na Muncha, który wzruszył ramionami.

– Więc rezygnuje pan z prawa do korzystania z pomocy obrońcy?

Mężczyzna po drugiej stronie stołu patrzył na Muncha całkiem zdezorientowany.

– Ja ją zabiłem – oświadczył nagle, prostując się na krześle.

– Kogo? – Mia nachyliła się bliżej.

– Kogo? – powtórzył Jim Fuglesang, jakby nie rozumiejąc, co Mia ma na myśli.

– Tak, Jim, kogo zabiłeś?

Trochę się już uspokoiła. W mężczyźnie, który siedział przed nimi, było coś takiego, co nie pozwalało się na niego złościć. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie miał pojęcia, w czym uczestniczy.

– Kogo zabiłeś, Jim? – spytała Mia znów, jeszcze łagodniej.

Nie było powodu odgrywać groźnych glin wobec tego człowieka, i tak wystraszonego i zagubionego.

– Tę z gazety.

– Kogo z gazety, Jim? – ciągnął spokojnie Munch.

– Tę na piórach.

– Camillę?

Tym razem odpowiedź padła dopiero po chwili.

– Tak – powiedział Jim Fuglesang ostrożnie, znów patrząc w stół.

– Znałeś ją?

– Kogo?

– Camillę Green?

Mężczyzna w białym kasku wciąż miał taką minę, jakby nie wiedział, o kim mówi Munch, ale mimo wszystko skinął głową.

– Znałeś ją? – spytała Mia. – Skąd ją znałeś, Jim?

– Było lato. Tam przyszła wiewiórka. Lubię wiewiórki.

Munch zerknął na Mię, która tylko pokręciła głową i kontynuowała:

– To było w lesie? Widziałeś Camillę w lesie? Zupełnym przypadkiem?

Jim Fuglesang lekko się teraz uśmiechał, jakby w myślach zawędrował w zupełnie inne miejsce.

– Mają śliczny ogon, taki puszysty i miękki, a w łapkach obracają szyszkę, kiedy jedzą, wiecie?

– To znaczy, że widziałeś w lesie wiewiórkę, latem? – westchnął Munch, czując, że powoli zaczyna tracić cierpliwość.

– Tak, dużo wiewiórek – odparł z zadowoleniem Jim. – Kręcą się po tych dużych sosnach nad jeziorkiem. Wiecie, tam, gdzie cumuje ta czerwona łódka.

– To tam ją widziałeś? – drążyła Mia. – Nad jeziorkiem?

– Kogo? – powtórzył Jim Fuglesang.

– Posłuchaj... – westchnął Munch, ale Mia mu przerwała, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Byłeś nad jeziorkiem – podjęła. – I obserwowałeś wiewiórki?

– Tak, bo tam na ogół są. – Jim się uśmiechnął.

– I byłeś tam sam?

– Tak. – Kiwnął głową. – Najbardziej lubię być sam.

Munch nie wiedział, do czego Mia zmierza, ale jej nie przerywał.

– Więc Camilli, tej dziewczyny z gazety, tam nie było?

– Nie, nie było, tylko wiewiórka. Wyglądała na mamę, tak właśnie sobie pomyślałem, bo wydawało mi się, że widzę też wiewiórkę dziecko, ale jedynie na początku, bo potem widziałem tylko tę drugą. Trzeba przykucnąć, żeby na nie patrzeć. – Jim Fuglesang nieco pochylił głowę, powiódł oczami z boku na bok, położył palec na ustach. – I trzeba być bardzo cicho, bo inaczej uciekną.

– Więc to było nad jeziorkiem. – Mia spojrzała na niego życzliwie. – Tam zrobiłeś te zdjęcia?

Otworzyła teczkę, wyjęła dwie fotografie, które wcześniej pokazywała im Anette, i delikatnie przesunęła je po stole.

Tym razem mężczyzna w białym kasku zareagował gwałtowniej. Nie chciał patrzeć na zdjęcia, skierował wzrok na ścianę.

– Maria Theresa – powiedział i zaczął lekko uderzać ręką w kask.

– Camilla. – Munch nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Maria Theresa – powtórzył Fuglesang i wyglądało na to, że już kompletnie odjeżdża. – Cztery białe kamienie.

– Camilla – wtrącił Munch, tym razem głośniej.

– Czternaście minut przy ładnej pogodzie. Szesnaście minut z powrotem.

– Posłuchaj... – zirytował się Munch, ale Mia znów położyła mu rękę na ramieniu.

– Miałyśmy kiedyś z siostrą wiewiórkę w ogrodzie – zaczęła cicho. – Kiedy byłam mała. Wysypałyśmy ziarna słonecznika w karmniku dla ptaków, żeby zwabić ptaszki, ale zamiast nich zobaczyłyśmy wiewiórkę.

Jim Fuglesang przestał się walić w głowę, ale ciągle siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Moja siostra i ja – ciągnęła Mia. – Wysypałyśmy ziarna, a wiewiórka wróciła. Siedziałyśmy w oknie za zasłonkami i czekałyśmy, a ona wracała codziennie, prawie o tej samej porze. Ale wiesz, co było dla nas najtrudniejsze?

– Nie? – zaciekawił się Jim i wreszcie się do nich odwrócił.

– Czy mamy ją nazwać Chip czy Dale.

Munch nie wiedział już, co o tym wszystkim myśleć, do czego Mia zmierza w tym szaleństwie, ale pozwolił jej to ciągnąć.

– Moja siostra bliźniaczka uważała, że Chip, a ja, że Dale.

– Chip i Dale zepsuły całą choinkę Kaczorowi Donaldowi – roześmiał się Jim Fuglesang.

- Pamiętam – potwierdziła Mia z uśmiechem.
- Nigdy ich nie złapał i strasznie się złościł. Wszystko tak ładnie przystroił na święta, a one to popsuły.
- A my nie podjęliśmy decyzji co do imienia. Ale przynajmniej zrobiliśmy zdjęcia. Bardzo się z tego cieszę.
- Wiewiórce? – spytał Jim.
- Tak. Powiesiliśmy je w swoim pokoju, żebyśmy mogli patrzeć na nią co wieczór przed pójściem spać.
- Chip był grubiutki i taki śmieszny. – Przez moment wydawało się, że Jim znów odpłynie, ale Mia przywołała go z powrotem.
- Ty też lubisz fotografować?
- Lubię – potwierdził Jim.
- I zrobiłeś te zdjęcia? – Mia spokojnie położyła dłoń na leżących przed nimi fotografiach.
- Tak. – Mężczyzna w kasku tym razem zmusił się, żeby na nie spojrzeć.
- Wiesz, co myślę, Jim? – spytała Mia.
- Nie.
- Zapomnijmy o Camilli. O tej dziewczynie ułożonej na piórach.
- Tak? – zdziwił się Jim.
- Tak, zapomnijmy o niej. Ona nie jest taka ważna. Nie zabiłeś Camilli. Dlaczego miałbyś to zrobić? Przecież nawet jej nie znałeś. A poza tym jesteś miły, nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego, prawda?
- Nie, nigdy. – Jim pokiwał głową.
- Nawet jej nie znałeś, mam rację?
- Nie, nigdy jej nie spotkałem.
- Po prostu trochę się wystraszyłeś, kiedy zobaczyłeś gazety, prawda? Nic dziwnego. Ja też bym się wystraszyła. A ty nie, Holger?
- Mia spojrzała teraz na Muncha i lekko się do niego uśmiechnęła. Nie pozostawało mu nic innego, jak wzruszyć ramionami.
- Tak, oczywiście – chrząknął.
- No widzisz, Jim. Wszyscy byśmy się wystraszyli, gdybyśmy mieli te zdjęcia, prawda?
- To nie ja. – Jim miał teraz łzy w oczach.
- Oczywiście, że to nie ty.
- Nie zabiłem tego kota.
- Jasne, że nie.

– Ani psa.

– Jasne, że psa też nie zabiłeś. Nigdy nikogo byś nie skrzywdził, prawda, Jim?

– Nigdy. – Fuglesang wytarł oczy.

– Uważam, że postąpiłeś wspaniale – powiedziała Mia.

– Z czym?

– Z tym, że przyszedłeś do nas z tymi fotografiami. Pomagasz nam. Oczywiście, że to nie ty. Ale chcielibyśmy wiedzieć, gdzie je zrobiłeś, rozumiesz?

– Te zdjęcia psa i kota? – spytał mężczyzna w kasku.

Dwie fotografie. Niemal identyczne. Świece ustawione w kształt pentagramu. Posłania z piór. Na jednym leżał kot. Na drugim pies. Oba zwierzęta nie żyły. Przednie łapy miały ułożone w takiej samej dziwnej pozycji jak Camilla Green ręce. Jedną do góry, a drugą odwiedzioną w bok.

– Czy to było w pobliżu wiewiórki? – spytała Mia ostrożnie.

– W sklepie były wilki. – Mężczyzna w białym kasku znów zaczął się od nich oddalać.

– Jim? Koło jeziora? Przy czerwonej łodzi?

Widok zdjęć najwyraźniej wytrącił go z równowagi. Zaczął lekko uderzać się w głowę i odwrócił wzrok do ściany.

– Maria Theresa – mruknął.

– Jim – spróbowała jeszcze raz Mia.

– Cztery białe kamienie.

– Jim, przypominasz sobie, gdzie zrobiłeś te zdjęcia?

– Czerwona łódka. – Fuglesang stukał w kask mocniej. – Maria Theresa.

– Camilla – odezwał się Munch na granicy cierpliwości.

– Czy to było w tym samym miejscu? – dopytywała się Mia. – W tym samym czasie?

– Maria Theresa – powtórzył Fuglesang. – Cztery białe kamienie. Kurczak chciał wejść do koszyka.

– Jim... – Mia podjęła kolejną próbę. – Gdzie zrobiłeś te zdjęcia? Kiedy? W tym samym miejscu? Jednocześnie?

– We wtorki lepiej schować się w łazience – oznajmił mężczyzna w białym kasku i opuścił ich na dobre.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Anette Goli.

Mia Krüger z irytacją popatrzyła na jasnowłosą prokurator.

– Grønliemu udało się z nimi skontaktować – powiedziała Anette, patrząc na Muncha. – Możemy porozmawiać na korytarzu?

Munch spojrział na wściekłą Mię, która pokręciła głową.

– Okej. – Korpulentny śledczy wstał, wyszedł z pokoju i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

W Justisen na szczęście było mało ludzi, więc znaleźli stolik, przy którym nikt im nie przeszkadzał. Munch oczywiście wolałby siedzieć na zewnątrz, wtedy mógłby bez przeszkód palić, ale było za zimno.

Odłożył kurtkę i opadł na krzesło po drugiej stronie stolika, przy którym siedziała już przy piwie Mia, zapatrzona w swoje notatki. Zamówił wodę mineralną. Przez głowę przeleciała mu myśl, że może najpierw powinien przeprowadzić briefing z całym zespołem, ale było coś w chwilach takich jak ta, zawsze je lubił. Mia i on w Justisen. Wystarczy briefing zwołany na jutro rano. Wszyscy i tak mieli już za sobą bardzo długi dzień.

– I co? – spytał.

– Z czym? – Mia dopiła piwo, nie odrywając wzroku od kartek na stole.

– Z Jimem Fuglesangiem. To nie ten, którego szukamy, jesteśmy co do tego zgodni?

Pokiwała głową z taką miną, jakby w ogóle nie miała ochoty na rozmowę.

– Jasne, że nie – powiedziała, wciąż na niego nie patrząc.

Pacjent Szpitala Psychiatrycznego Dikemark. Stale przyjmowany i wypisywany. Mieszkał trochę we własnym domu, ale pod kontrolą. Ludvig Grønlie jak zawsze wykonał właściwe telefony, znalazł właściwych ludzi i chociaż Munch przez pewien czas rozważał, czy nie potrzymać Jima Fuglesanga w areszcie przez noc, w końcu zdecydował się oddać go pod opiekę tym, którzy po niego przyjechali.

– Cholera jasna, nie rozumiem tych zdjęć – oświadczyła Mia, po raz pierwszy odrywając wzrok od swoich notatek. – Chociaż widziałam już tyle dziwnych rzeczy.

Skinęła na kelnera, zamówiła kolejne piwo i jägermeistra, a potem dalej gryzła długopis, dalekim wzrokiem wpatrując się gdzieś przed siebie.

– Ten sam rytuał? Tylko z udziałem kota? I psa? – spytał Munch.

Holger Munch był jednym z najlepszych w kraju śledczych zajmujących się zabójstwami, ale niekiedy czuł się jedynie jak asystent Mii Krüger. Miał wrażenie, że jego praca polega wyłącznie na naprowadzeniu jej na właściwy trop. Lekko westchnął, zatęsknił za papierosem i nagle uświadomił sobie, że

zapomniał odpowiedzieć na esemesa, którego Miriam wysłała mu wcześniej w ciągu dnia: „Tato, chciałabym z tobą porozmawiać. To dość ważne. Zadzwonisz?”.

Miriam mogła poczekać. Od znalezienia Camilli Green w lesie nie miał chwili spokoju.

– W takiej samej pozycji. W takim samym pentagramie ze świec. Na takim samym posłaniu z piór. Kot. A potem pies. Ale na razie to zostawmy. – Munch wypił łyk ze stojącej przed nim butelki.

– Słucham? – Mia się ocknęła.

– Na razie to zostawmy – powtórzył Munch.

– Dlaczego?

– Mamy to. Dwa zdjęcia. Takie samo otoczenie. Świece. Pióra. Kot. Pies. Nawet łapy ułożone pod tym samym kątem co ręce Camilli Green. To już mamy, prawda?

– Tak.

Mia wychyliła jägermeistra, popiła łykiem piwa i odłożyła długopis na blat.

– Co jeszcze mamy?

– Kartkę znaną w szafce Camilli. Dostałeś zdjęcie, które ci wysłałam?

Munch kiwnął głową.

– „Podobasz mi się”? I sowa?

– W każdym razie rysunek czegoś, co przypomina ptaka – stwierdził Munch.

– Ale przynajmniej mnie trudno było się w tym dopatrzeć sowy.

– Miałam na myśli sowie pióra.

– Wiem, wiem. Chociaż tak jak mówiłem, Grønlie twierdzi, że to tylko wstępna obserwacja. Technicy dalej nad tym pracują.

– No ale mimo wszystko. – Mia wypiła kolejny łyk piwa.

– Oczywiście się z tobą zgadzam.

– A więc tyle mamy.

– Jeszcze rejestr połączeń, który dostał Gabriel – przypomniał Munch.

– Owszem. Wiadomość o tym, że z Camillą wszystko w porządku, wysłana z gospodarstwa.

– Niekoniecznie. W każdym razie z jakiegoś miejsca w pobliżu.

– Ta sama stacja przekaźnikowa?

– Tak.

– Camilla zniknęła, a ktoś miał jej telefon i z pobliskiej okolicy wysłał wiadomość, że wszystko z nią w porządku.

- Chyba że wysłała ją sama – zauważył Munch.
- Uważamy, że tak było?
- No nie wiem. Usiłuję tylko podsumować, co wiemy na pewno.
- Okej. – Mia pokiwała głową. – Ale założmy na moment, że to nie Camilla wysłała tę wiadomość.
- To bardzo prawdopodobne.
- Wtedy to będzie oznaczało, że osoba, której szukamy, ma dostęp do gospodarstwa.
- Albo mieszka gdzieś w pobliżu – podsunął Munch.
- No właśnie.
- Czyli to pewne.
- Tak.

Munch zauważył, że Mia znów zapada się w siebie, i skorzystał z okazji, żeby wyjść na papierosa.

Przed knajpą stali już inni, trzęsąc się pod promiennikami ciepła, ale Munch znalazł osobny, tylko dla siebie, i z kieszeni kurtki wyjął telefon.

„Chciałabym z tobą porozmawiać. To dość ważne”.

Sztywnymi palcami wybrał numer Miriam, ale usłyszał tylko pocztę głosową: „Cześć, dodzwoniłeś się do Miriam Munch. Niestety, nie mogę w tej chwili odebrać telefonu...”.

Munch jeszcze kilka razy próbował się z nią połączyć, ale ciągle odzywała się poczta. Dopalił papierosa i wrócił do Mii, która zdążyła już zamówić jeszcze jedną kolejkę. Dalej pochylała się nad swoimi notatkami.

– Poza tym jest ten Finstad – odezwał się Munch, żeby wyrwać ją z zamyślenia.

– Słucham?

– Anders Finstad. Sprawa z fotografowaniem tych dziewczynek.

– Oczywiście nigdy nic nie wiadomo – powiedziała Mia. – Ale odniosłam wrażenie, że to fajny facet. Dawało się to zauważyć prawie od razu. Ktoś, komu zależy. Wszystko wyglądało idealnie, bardzo zadbane. Widać, że w te zabudowania włożono dużo miłości, rozumiesz?

Munch nie całkiem rozumiał, ale ufał temu, co dostrzegła Mia, chociaż teraz alkohol zaczynał mącić jej wzrok.

– Więc to, co mówił o byłej żonie, okazało się prawdą?

– Skąd mam, do cholery, wiedzieć? W każdym razie odniosłam wrażenie, że nie kłamał.

Zabębniła palcami o stół, a potem założyła długie ciemne włosy za uszy.

– To znaczy, że go wykluczamy?

– Co? Nie, nie wykluczamy. Ale nie powinien znajdować się na samej górze listy. Tak uważam. A kogo ty masz?

– Na liście?

– Tak. Z tego gospodarstwa.

Munch poczuł się nieco zmęczony. To rzeczywiście był długi dzień.

– Helene Eriksen. Wykluczamy ją czy nie?

Munch się opamiętał i chwilę zastanowił.

– Mam dla niej wiele sympatii, ale jej nie wykluczam.

– A ten Paulus?

– Bezwzględnie ciągle na liście.

– No i dziewczyny. – Mia spojrzała na swoje zapiski. – Isabella Jung? Benedikte Riis? Cecilie Markussen?

Munch stłumił ziewnięcie.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to żadnej nie można wykluczyć, ale zobaczymy jutro po briefingu.

Mia akurat dopijała jägermeistra, kiedy jej telefon kliknięciem zasygnalizował nadejście esemesa.

– *Fuck* – mruknęła, kręcąc głową.

– Co tam? – spytał Munch.

– Curry – westchnęła Mia.

– O co chodzi tym razem?

– Spił się. Znów potrzebuje miejsca do spania.

– Jakies kłopoty w domu? – Munch dopił swoją wodę.

– Kolejna kłótnia z Sunnivą – mruknęła Mia. – Zdaje się, że tym razem sprawa jest poważna.

– No tak. – Munch pokiwał głową.

– *Sorry*, nie bardzo wiedziałam, jak ci to powiedzieć.

– Nie urodziłem się wczoraj, ale...

– Ale co?

– No, jak to ująć... Wiem, że lubisz Jona, ale... Cóż, muszę mieć ludzi, którym mogę ufać.

– Kim odchodzi. Curry znika. Może w końcu zostaniemy tylko we dwoje? – Mia puściła oko.

– Czuję, że chwilowo nie to jest moim problemem – stwierdził Munch,

wstając.

– Już idziesz? – zdziwiła się Mia.

– Tak. Muszę się przespać. Wracamy do roboty jutro rano.

Kiedy wkładał kurtkę, zadzwonił jego telefon. Munch zdusił jeszcze jedno ziewnięcie i spojrzał na ekran. Gabriel Mørk. Przez moment rozważał, czy nie odrzucić połączenia, ale jednak odebrał.

– Słucham, tu Munch.

Na drugim końcu linii panowała zupełna cisza.

– Halo?

Wciąż żadnego dźwięku.

– Jesteś tam, Gabrielu? Co się dzieje?

Mia oderwała wzrok od swoich papierów.

– Musisz przyjść.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Musisz przyjść – powtórzył Gabriel.

– Przyjść? Dokąd? – spytał Munch.

Młody zdolny haker sprawiał wrażenie kompletnie wytrąconego z równowagi.

– Czy to nie może poczekać do jutra?

– Nie! – oświadczył Gabriel. – Bezwzględnie.

– Serio?

– Tak.

– Jesteś w biurze?

– Tak.

– Dobrze, już idę. – Munch się rozłączył.

– O co chodzi? – spytała Mia.

– Gabriel. Dzwonił z biura. Chce, żebym tam teraz przyszedł. Idziesz ze mną?

– Jasne. – Mia szybko dopiła piwo.

CZEŚĆ IV

Sunniva Rød biegiem pokonała ostatnie stopnie i odwiesiła kurtkę w szatni. Wyjęła fartuch z szafki i przebrała się, lekko wzdychając. Pracowała tu już od blisko ośmiu lat i początkowo uważała, że obcisłe staroświeckie fartuchy są nawet dość miłe, ale zaczęła ich już mieć serdecznie dość. Zresztą nie tylko tego ubioru, ale całej pracy.

Z westchnieniem poszła do pokoju socjalnego, żeby zrobić sobie kawę.

Fidzi.

Lazurowobłękine morze, palmy, swoboda.

Oszczędzali na to już prawie rok, a ona tak się cieszyła. Cała zeszła zima była jednym pasmem chłodu i ciemności. Żadnego urlopu. Zrezygnowali nawet z letnich wakacji, a ona brała wszystkie dyżury, jakie tylko mogła wziąć, ale w niczym jej to nie przeszkadzało, bo w styczniu mieli wyjechać na Fidzi. Na cały miesiąc.

A on, do jasnej cholery, znów to zrobił. Przegrał te pieniądze. Upił się i wszystko przegrał. Kolejny raz. Czują, że ma tego dosyć. Miarka się przebrała. Kochała Curry'ego, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości, ale dłużej nie mogła tego ciągnąć. Miała obawy, kiedy się poznali, bo Curry był dość niezdarny i hałaśliwy, trochę inny niż wyobrażała sobie swojego chłopaka, ale to prędko minęło. Zakochała się. Zostali parą. Pasowali do siebie, chociaż nie był ideałem. Pracował o bardzo różnych porach doby, lecz to akurat Sunniva potrafiła zrozumieć, nie miała nic przeciwko temu. Nawet na jego picie patrzyła przez palce. Ale to?

O nie, cholera jasna, teraz już dość.

Wyjazd na Fidzi.

To była kropla, która przepełniła dzban. Dlatego Sunniva wyrzuciła Curry'ego i teraz tylko się z tego cieszyła. Mieszkanie należało do niej, to jej ojciec kilka lat temu wyłożył pieniądze, kiedy doszli do wniosku, że kupią coś własnego. Teraz miała mieszkanie tylko dla siebie. Właściwie świetnie się stało.

Zabrała kawę z pokoju socjalnego i przygotowała się do porannej odprawy. Kończył się nocny dyżur, zaczynał przedpołudniowy i jedna zmiana musiała

przekazać następnej informacji o tym, co wydarzyło się w nocy. Dom Opieki Fundacji Świętej Heleny był miejscem, w którym starsi ludzie spędzali swoje ostatnie dni, tygodnie czy miesiące. Spokój. Od czasu do czasu wizyta lekarska. Od czasu do czasu zmiana w dawkowaniu leków.

Po odprawie wypła jeszcze jedną kawę i dopiero wtedy wyruszyła na swój poranny obchód. Potrzebowała wzmocnienia kofeiną, miała bowiem dziś na liście Torvalda Sunda.

Szalony proboszcz.

Tak go nazywali. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale stary człowiek miał w sobie coś dziwnego, jakąś ponurość w spojrzeniu, budzącą w niej nieprzyjemne odczucia za każdym razem, gdy się do niego zbliżyła.

Włączyła uśmiech i zniosła mu śniadanie do pokoju. Proboszcz na szczęście spał, więc po prostu postawiła tacę przy łóżku. Kanapki z łososiem i kaparami. Herbata rumiankowa z miodem i szklanka soku pomarańczowego. Posiłkom w Fundacji Świętej Heleny nie dało się nic zarzucić.

Sunniva akurat miała wyjść z pokoju, gdy proboszcz nagle otworzył oczy.

– Nie pójdę do nieba – oświadczył, wpatrując się w nią.

Rudowłosa pielęgniarka aż drgnęła przestraszona.

– Ależ na pewno pan pójdzie. – Uśmiechnęła się, kiedy już nad sobą zapanowała.

– Nie. Zgrzeszyłem. – Staruszek sprawiał wrażenie kompletnie zamroczonego. – Wybacz mi, Boże, Ojczy drogi, nie wiedziałem... Nie wiedziałem! Pozwól mi odpokutować za moje grzechy. – Uniósł wychudzone ręce i niemal krzyknął pod sufit: – Dlaczego nikt mnie nie słucha?

Na karcie leków proboszczowi przepisano trzy razy dziennie dziesięć miligramów diazepamu i pół miligrama morfiny dożylnie. Sunniva spojrzała na kroplówkę i zorientowała się, że jest pusta. Nocna pielęgniarka nie uzupełniła leków. Sunniva z irytacją pokręciła głową, zdjęła butelkę ze statywu.

– Nie – mruknął nagle staruszek.

Sunniva spojrzała na niego.

– Nie – powtórzył stary proboszcz, zakrzywionym palcem wskazując na plastikową butelkę, którą trzymała w ręce.

Upłynęło kilka sekund, zanim zorientowała się, o co mu chodzi.

– Nie chce pan leków?

Staruszek pokręcił głową i wskazał na książkę leżącą na nocnym stoliku.

– Biblia? Chce pan, żebym panu poczytała?

Pastor dalej kręcił głową, ale patrzył teraz jakby przytomniej.

Mruknął coś, czego Sunniva w pierwszej chwili nie zrozumiała, ale kiedy to powtórzył, pojęła, że chce, aby otworzyła szafkę.

Odwiesiła butelkę z powrotem na statyw, obesła łóżko i kucnęła przy nocnej szafce. W środku leżała gazeta. Stare „VG”. Sunniva wyjęła gazetę i podsunęła proboszczowi.

– To?

Staruszek kiwnął głową. Lekko się teraz uśmiechał.

– Ona. – Pokazał palcem.

– Co za ona? – spytała Sunniva.

– Dzieci płoną – szepnął staruszek, już nie tak przytomnie.

– Panie Torvaldzie! – Sunniva dotknęła dłonią jego czoła.

Było rozpalone.

– Panie Torvaldzie!

Żadnej odpowiedzi.

Staruszek nie był już przytomny, powieki wolno mu się zamknęły, a zakrzywiony palec, którym wskazywał zdjęcie w gazecie, zawisł bezwładnie poza krawędzią łóżka.

Sunniva Rød odłożyła gazetę z powrotem tam, skąd ją wyjęła, okryła starego proboszcza kołdrą, poszła do magazynu po nową butelkę do kroplówki, podłączyła ją do chudej pomarszczonej ręki, a upewniwszy się, że staruszek zasnął, po cichutku zamknęła drzwi i kontynuowała obchód.

Gabriel Mørk siedział nieruchomo na krześle na samym końcu sali briefingowej. Nie spał od dwudziestu czterech godzin, ale nie czuł się śpiący. W ciągu nocy kilkakrotnie podrywały go torsje. Żołądek miał zupełnie pusty, ale z jakiegoś powodu nie czuł też głodu. Najwyraźniej po prostu był w szoku. Kiedy Skunks poprzedniego wieczoru nagle przysłał mu esemesa z informacją, że chce się z nim spotkać i czeka przed biurem, Gabriel, rzecz jasna, był cholernie ciekawy, ale nic nie mogło go przygotować na to, co zobaczył.

Munch stał przy projektorze i wyglądał na kompletnie wykończonego. Oboje z Mią też nie zmrużyli oka. Przesiedzieli z nim całą noc. Anette Goli przyszła koło trzeciej, Curry wkrótce później. Jedynymi, którzy jeszcze tego nie widzieli, byli Kim Kolsø, Ylva i Ludvig Grønlie, lecz właśnie teraz mieli to zobaczyć, obejrzyć ten straszny film, a Gabriel Mørk, szczerze mówiąc, nie wiedział, czy zdoła to kolejny raz wytrzymać.

– Jak wszyscy już wiecie... – Munch odchrząknął i rozejrzał się po milczących kolegach. – Wczoraj wieczorem do Gabriela zgłosił się dawny kumpel nazywany... – Zerknął na chłopaka.

– Skunks – mruknął Gabriel.

– Dawny kumpel, haker o przydomku Skunks, który gdzieś w sieci, na jakimś tajemniczym serwerze natknął się na pewien film. Z tego, co zrozumiałem, ów haker nie za bardzo kocha policję, dlatego sędzę, że właśnie Gabrielowi zawdzięczamy fakt, że ten film trafił w nasze ręce.

Koledzy odwracali się, żeby spojrzeć na Gabriela, i z uznaniem kiwali głowami. Gabriel doceniał, że Munch usiłuje poprawić mu samopoczucie, ale niewiele mu to pomogło. Gabriel Mørk sporo się naoglądał podczas wszystkich swoich eskapad po Internecie, również po tej jego części określanej jako *dark web*, ale czegoś podobnego nie widział nigdy. Znów poczuł mdłości. I znów zrobiło mu się głupio. Po wyprawie do Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet nabrał pewności siebie, miał wrażenie, że awansował, że już nie jest taki zielony, ale teraz powrócił do stanu, w jakim znajdował się wtedy, kiedy stał na chodniku przed tym budynkiem sześć miesięcy temu. Był jedynie małym chłopcem, który wymiotował na widok tych

strasznych scen na krótkim filmiku. Nie zachował się jak profesjonalista. Położył dłonie na kolanach i usiłował oddychać spokojnie. Próbował się opanować, nie chciał przed kolegami pokazać, że do niczego się nie nadaje, chociaż czuł, że na to być może jest już za późno.

– Jak wiecie – ciągnął Munch – Camillę Green znaleziono w stanie fizycznym o wiele gorszym niż wtedy, kiedy zniknęła. Była ekstremalnie chuda, wręcz wyniszczona. Miała odciski i otarcia na dłoniach i kolanach, była cała posiniaczona. Ponadto sekcja zwłok wykazała, że zawartość jej żołądka składa się wyłącznie z karmy dla zwierząt. Dzięki Gabrielowi i jego dawnemu kumpłowi wiemy już, dlaczego tak było.

Gabriel widział, że Ylva przygląda mu się z ciekawością pomieszaną ze strachem. Niedawno zatrudniona dziewczyna najwyraźniej też czuła się bardzo nieswojo, jakby i ona nie miała ochoty tu zostać.

– Zgasisz światło, Ludvig? – poprosił Munch.

Grønlie wstał, wcisnął przełącznik. Na sali zapadła kompletna cisza. Munch uruchomił projektor i na ekranie zaczął wyświetlać się film.

Gabriel uniósł głowę i zmusił się, żeby na to patrzeć. Może tym razem zdoła podejść do sprawy jak Mia i Munch. Oglądać to wzrokiem policjanta. Poszuka śladów. Spróbuje coś zrozumieć. Inaczej niż za pierwszym razem, kiedy patrzył oczami zwykłego człowieka. Świadka upokorzenia i rozpaczliwej siedemnastoletniej dziewczyny.

Początkowo obraz był zupełnie czarny, jakby ktoś filmował całkowicie pozbawione światła pomieszczenie. W końcu jednak ukazała się Camilla Green. Gabriel, chociaż w ciągu nocy wielokrotnie oglądał ten film, wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Pomieszczenie wyglądało na piwnicę. Najpierw była całkiem zaciemniona, z wolna się jednak rozjaśniała, aż ukazało się wielkie koło ze szczebelkami. Przypominało kołowrotek dla myszy albo dla chomika, tylko było o wiele większe. Zrobione dla człowieka. Camilla Green znajdowała się w obracającym się kole, a Gabriel, chociaż w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się dzieje, w końcu uświadomił sobie, że dziewczyna powoli pełźnie na czworakach we wnętrzu wielkiego kołowrotu i że dzięki temu zapala się światło. Była uwięziona w piwnicy. W klatce. Bez światła. A po to, by lampy dookoła się zapaliły, musiała się poruszać. Pełznąć na czworakach, obracając kołowrotem.

Gabriel musiał się odwrócić, kiedy Camilla w kołowrocie ostrożnie wstała, chcąc, aby kręcił się szybciej. Za chwilę na ścianie piwnicy widoczny stał się

napis.

„Wybrana”.

Ktoś namalował białe litery na szarej ścianie.

„Wybrana”.

Gabriel znów przeniósł wzrok na ekran, kiedy Camilli udało się wstać i kołowrót zaczął obracać się prędej. Jedna stopa przed drugą, najszybciej i najrówniej jak mogła. Za pierwszym razem Gabriel nie zrozumiał, po co to robi, dlaczego ta wychudzona dziewczyna stara się biec tak szybko, przecież światło już się zapaliło. Nagle jednak otworzył się jakiś luk i coś zaczęło się sypać na podłogę.

Jedzenie.

Właśnie dlatego musiała biec.

Żeby dostać jedzenie.

Gabriel nie mógł na to dłużej patrzeć.

Drobne kuleczki.

Znów był bliski wymiotów.

Camilla Green była przetrzymywana w piwnicy. W klatce. Musiała biegać jak w kieracie, żeby mieć światło. Żeby mieć jedzenie.

Karmę dla zwierząt.

Naprawdę nie mógł dłużej wytrzymać. Nie mógł więcej na to patrzeć. Zasłonił usta ręką, wybiegł z pokoju, mocno pchnął drzwi do łazienki i padł na kolana przy sedesie. Z ust popłynęła mu zółć, cały oblał się potem.

– Wszystko z tobą w porządku, Gabrielu?

Młody haker nie odpowiedział. Ledwie zauważył, że drzwi za jego plecami się otworzyły i do niewielkiej łazienki weszła Mia.

Podawała mu ręcznik zmoczony pod kranem, potem kucnęła obok, czekając, aż Gabriel schłodzi twarz.

– Tak, wszystko okej – mruknął cicho.

Nie tak chciał się pokazać Mii Krüger. Nie jako biedny zółtodziób, który nie radzi sobie z okrucieństwem, z jakim wiąże się ta praca. Ale na takie myślenie było już i tak za późno, a ostatnia noc ciągnęła się za długo. Po pewnym czasie Gabriel zdołał się podnieść, spuścił wodę i usiadł na sedesie, wciąż z mokrym ręcznikiem przy twarzy.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz do domu – powiedziała ciepło koleżanka. – Wrócimy do tego później.

Gabriel jeszcze raz przesunął po czole przyjemnie chłodną tkaninę, ale nie

bardzo rozumiał, o co Mii chodzi.

– To znaczy do czego? – spytał.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiem, że to trudne, ale musimy się dowiedzieć, prawda?

– Czego? – zdumiał się Gabriel.

– Skąd on to wziął.

– Wziął?

– Gdzie znalazł ten film. Ten twój kumpel, Skunks. Musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć.

– No tak – ostrożnie pokiwał głową Gabriel, chociaż wiedział, że tego nie da się zrobić.

Skunks wynurzył się z cienia i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Już od dawna nie byli najbliższymi przyjaciółmi, ale jedno Gabriel wiedział na pewno: Skunks nienawidził wszelkiej władzy, był mistrzem świata w ulatnianiu się i wkładaniu czapki niewidki. Nie zamierzał z nimi współpracować w żaden sposób, Gabriel zresztą nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

– Munch już zadzwonił po taksówkę. Czeka na ciebie na dole. Prześpij się trochę, porozmawiamy za kilka godzin.

Uśmiechnęła się do niego i znów położyła mu rękę na ramieniu.

– Chcesz, żebym cię odprowadziła na dół?

– Nie, dam radę. – Gabriel wstał.

– Dobrze. – Mia pogłaskała go po plecach. – Zadzwon, kiedy się obudzisz, okej?

– Okej – mruknął Gabriel oszołomiony. Na korytarzu zabrał kurtkę i zjechał windą do czekającej na niego taksówki.

Curry wypił kolejny łyk kawy, kiedy Mia wróciła do sali briefingowej na swoje miejsce.

– Wszystko w porządku? – spytał Munch.

– Da sobie radę – stwierdziła Mia.

– To dobrze. – Munch wyglądał tak, jakby nie wiedział, co mówić dalej.

Z tego, co Curry rozumiał, Munch i Mia przebywali tu od wczorajszego wieczoru i blisko pięćdziesięciopięcioletniemu śledczemu brak snu rzeczywiście dawał się we znaki. Stojąc przy projektorze, Munch tłumił ziewnięcia, lekko drapiąc się przy tym w brodę.

– Hm, no tak – mruknął, ale nic poza tym nie powiedział.

Curry świetnie go rozumiał. Sam zasnął na materacu u Mii po wypiciu niemal pół butelki whisky. Sto razy próbował dzwonić do Sunnivy, ale nie odbierała, aż w końcu się poddał, ulegając alkoholowi. Wreszcie padł i ledwie usłyszał telefon, który rozdzwonił się około trzeciej.

Zdążył już całkiem wytrzeźwieć, przynajmniej tak mu się wydawało, i przeważało w nim teraz zdumienie pomieszane z nienawiścią. Co za sukinsyn mógł zrobić coś takiego? Zamknąć na kilka miesięcy młodą dziewczynę w klatce? Kazać jej czołgać się po wielkim kołowrocie, żeby miała światło? Żeby miała jedzenie? Gniew coraz bardziej brał w nim górę i Curry ledwie mógł usiedzieć spokojnie, a w tym czasie Munch przy projektorze wciąż szukał odpowiednich słów. Sprawiał wrażenie, jakby gotów był oddać wszystko, byle tylko przyłożyć głowę do poduszki.

Curry uważał się za twardziela, lecz nawet on nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, gdy pierwszy raz zobaczył film wyświetlany na ekranie. Ciemność, która z wolna się rozjaśniała, i wyłaniającą się z niej w końcu przerażoną twarz wycieńczonej Camilli Green.

– Jakież pytania? – odezwał się wreszcie Munch. – Zanim zaczniemy analizować, co widzieliśmy?

Rozejrzał się po kolegach, ale ciągle nikt nic nie mówił.

Właściwie nie było o co pytać. Wszyscy widzieli to samo. Curry popił jeszcze kawy, starając się zapanować nad narastającym gniewem.

– Mio? – Munch odstąpił miejsce przy projektorze ciemnowłosej koleżance, która w przeciwieństwie do szefa wyglądała tak, jakby brak snu w ogóle jej nie dokuczał.

– Okej – powiedziała, wciskając przycisk. – Niektórzy być może zechcą obejrzeć ten film jeszcze kilka razy i oczywiście będzie to możliwe. Mamy jego kopię na serwerze, ale uważam, że na razie powinniśmy przyjrzeć się detalom na poszczególnych obrazach. Jak wiecie, filmik trwa około minuty. Wyodrębniliśmy poszczególne klatki i zaczęliśmy już badać pewne rzeczy, na które nie od razu zwraca się uwagę, chociaż naszym zdaniem są ważne.

Bardzo mu zaimponowała. Oczywiście Curry zawsze miał dla niej wiele szacunku, ale teraz jakby zdał sobie z tego sprawę. Zaimponowała mu sposobem, w jaki odłożyła na bok emocje i przywołała tkwiącą w niej policjantkę. Dosłownie było widać, jak jej umysł się wyostrza, kiedy klikała w poszczególne klatki filmu.

– Dlaczego Camilla Green była tak chuda, kiedy ją znaleźliśmy? Teraz już to wiemy. Dlaczego miała pęcherze na dłoniach i siniaki na kolanach? Teraz już to wiemy. A przede wszystkim, dlaczego jej żołądek zawierał wyłącznie karmę dla zwierząt? To również już teraz wiemy. Wszystkie te pytania możemy skreślić z listy. Rozumiem, że niektórym może się nie mieścić w głowie, że coś takiego się wydarzyło i że na własne oczy widzieliśmy, jak się to odbywało, ale zdecydowałam, że będę dostrzegać pozytywne strony tego filmu. Im więcej będziemy wiedzieć, tym łatwiej dopadniemy tego sukinsyna. Albo sukinsynów, prawda?

Curry nie bardzo rozumiał, dlaczego Mia wystąpiła z taką przemową. Przecież to się rozumiało samo przez się. Z czasem jednak pojął, że słowa Mii były przeznaczone dla Ylvy, tej nowej, która wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć, ale teraz trochę się uspokoiła.

– No dobrze. – Mia chwilę się zastanowiła. – Mamy dwa punkty zaczepienia. Po pierwsze, Camilla Green była przetrzymywana w jakiejś piwnicy. Zmuszana do życia jak zwierzę. Być może przez kilka miesięcy. Po drugie, w jakimś momencie sprawca albo sprawcy ją zabili. Złożyli w ofierze. Odprawiając coś, co przypomina rytuał.

Kilkakrotnie pokazała na przemian dwa zdjęcia. Camillę w piwnicy i na polanie w lesie.

– Pierwsze pytanie: motyw? Czy za tymi działaniami kryje się ten sam motyw? Słuchacie mnie? – Spojrzała na zgromadzonych, ale nikt nie

odpowiedział, mówiła więc dalej: – Czy to to samo przestępstwo? Camilla jest przetrzymywana w piwnicy, traktowana jak zwierzę. Kilka miesięcy później pojawia się, tym razem naga, umieszczona w pentagramie ułożonym ze świec. Czy motyw jest ten sam? Czy to wszystko się ze sobą wiąże?

Podniosła głowę, wypła łyk wody z butelki i w tej chwili Curry nagle pojął, dlaczego jego śliczna koleżanka nie jest tak śpiąca jak Munch, który w każdej chwili mógł się osunąć na ziemię. Mia coś zażyła. Curry poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Pomogła mu, pozwoliła przenocować u siebie. A on, chociaż wcale nie chciał, nie mógł nie zauważyć białych słoiczków w koszu na śmieci pod umywalką w łazience. Tabletki.

Popił kawy i postanowił w ogóle nie poruszać tego tematu. Mia była dorosła. To jej życie. Mogła robić, co chciała, a on miał jedynie nadzieję, że nie załamie się na ich oczach, bo z jej ust płynęły teraz słowa niemal bez związku i zorientował się, że nie tylko on ma problemy ze zrozumieniem, o co jej chodzi.

– Nie twierdzą, że nie – ciągnęła Mia, kiwając głową. – Ale takie pytanie musimy sobie zadać. Po co ją przetrzymywać? Po co umieszczać ją nagą w lesie? Czy to to samo przestępstwo? Ten sam motyw?

Zaczynała się powtarzać.

– W każdym razie taka była moja pierwsza myśl: na to musimy znaleźć odpowiedź.

– A sama co o tym myślisz? – Kim Kolsø odezwał się jako pierwszy.

– Nie wiem. – Przez chwilę się zastanawiała. – No bo powiedzcie, czy to nie wygląda trochę dziwnie. Nie bardzo widzę związek. Rozumiem, że dla niektórych może być jeszcze zbyt wcześnie na ocenę, ale co o tym sądzicie?

Curry dostrzegł, że pozostali również zaczęli zauważać, że Mia nie do końca jest sobą. Curry nie bardzo potrafił to nazwać, ale widać było, że musiała coś łyknąć, bo działała teraz na szybszych obrotach niż zwykle.

– Nie widzę powodu, żeby tak miało być – odpowiedział Kim Kolsø. – Dlaczego miałyby to być dwa różne przestępstwa? Dwa różne motywy? To chory na umyśle zwyrodnialec. Ktoś znajdował przyjemność w przetrzymywaniu jej w niewoli. Kogoś podniecił widok jej nagiej, uduszonej, na posłaniu z piór w otoczeniu świec. Ja nie widzę różnicy.

– Może masz rację. – Mia chwilę znów się zastanowiła. – Ale w tym jednak coś jest, coś dziwnego, co ja tylko... – Podrapała się w głowę i wypła jeszcze jeden łyk z butelki. – No dobrze, zostawmy to na razie, ale miejmy to

z tyłu głowy. Może ktoś na coś wpadnie. Jest mnóstwo innych rzeczy, którym trzeba się przyjrzeć. Więc to moje pytanie może na razie tylko niepotrzebnie mąci. Chwilowo je zostawmy.

Kim posłał Curry'emu szybkie spojrzenie, tamten odpowiedział jedynie lekkim wzruszeniem ramion.

– No dobrze – powtórzyła Mia. – Przyjrzyjmy się teraz aspektom, powiedzmy, technicznym, a później pokażemy wam, co odkryliśmy z Holgerem. To bardzo interesujące. Ale najpierw konkrety. – Kliknęła kilka razy z rzędu. – To koło. Przypomina kołowrotek dla chomika, tylko w dużym rozmiarze. Nie wierzę, żeby coś takiego dało się kupić w sklepie, ale może się myłę. Ktoś je zbudował? A może pochodzi na przykład z jakiegoś cyrku? Czyli kołowrotek. Musimy to zbadać.

Kolejne zdjęcie.

– Napis na ścianie z tyłu. „Wybrana”. Dlaczego? To znaczy: dlaczego Camilla? Dlaczego akurat Camilla jest tą wybraną?

Kolejne zdjęcie.

– Film. Mam na myśli sam film. Dlaczego została sfilmowana? Na własny użytek sprawcy? Film został przecież znaleziony na jakimś serwerze. Czy miał zostać komuś pokazany? Czy właśnie po to była przetrzymywana w niewoli? Miała być filmowana, żeby ten film mogli później zobaczyć inni?

Wypiła kolejny łyk wody i wszystko stało się jasne. Słowa wylewały jej się z ust strumieniem, a oczy miała wielkie jak talerze.

– Liczę, że odpowiedź na to dostaniemy, kiedy Gabriel się obudzi i uda nam się skontaktować z tym...

Zerknęła na Muncha, tak zmęczonego, że po raz pierwszy w historii nie zarządził podczas briefingu przerwy na papierosa.

– Skunksem – mruknął.

– No właśnie. – Mia kiwnęła głową. – Mamy tu znacznie więcej, ale moim zdaniem te elementy są chwilowo najważniejsze. Skąd pochodzi to koło? I to, że została wybrana. Czy naprawdę ją wybrano? Czy ten napis to tylko ozdoba? Ale jeśli to prawda, dlaczego ją wybrano? Dlaczego właśnie Camillę? I...

Pogubiła się, ale Curry jej pomógł.

– Sam film.

– Aha, no właśnie, dzięki, Jon. Film. Dlaczego go nakręcono? Dlaczego został znaleziony na serwerze? To przecież dość ryzykowne. Przechowywać coś takiego, dzielić się tym z innymi, prawda? – Z uśmiechem założyła włosy

za ucho i spojrzała na kolegów. – Jakies pytania? Komentarze do tego momentu?

Powinnaś się trochę przespać, Mio, pomyślał Curry, ale nie powiedział tego głośno.

Ylva nieśmiało podniosła rękę. Młoda policjantka chyba otrząsnęła się trochę z pierwszego szoku.

– Wspominałaś, że coś odkryliście.

– Ano właśnie. – Mia szybko podeszła do komputera i odszukała plik, który wcześniej przygotowała. – To małeńki wycinek z tego filmu. Mniej więcej po czterdziestu sekundach. Postarajcie się to zobaczyć, dobrze? – Uśmiechnęła się do kolegów. – Gotowi?

Odpowiedziały jej skinienia głów.

Mia wcisnęła klawisz i nagle na ścianie przed nimi pojawiła się żywa Camilla Green. Siedemnastolatka wyskoczyła już z kołowrotu i klęczała na podłodze przy niewielkiej kupce karmy. Starła się zjeść jak najwięcej. Czy chciała to zrobić, zanim światło zgaśnie, i dlatego tak się trzęsa? Dlatego tak bardzo jej się spieszyło? Czy może po prostu była strasznie głodna?

Karma dla zwierząt, o Boże.

Niech to piekło pochłonie.

– Widzieliście? – spytała z ożywieniem Mia, rozglądając się po zgromadzonych, kiedy króciutki urywek się skończył.

Curry się rozejrzał, ale wszyscy kręcili głowami. Wyjątkiem był Munch, który wiedział, o co chodzi Mii, a poza tym ledwie utrzymywał uniesione powieki.

– Okej – powiedziała Mia. – Puścimy to jeszcze raz. Teraz starajcie się nie patrzeć na Camillę na pierwszym planie. Rozumiem, że to trudne, ale udawajcie, że jej tam nie ma. Przyglądajcie się ścianie za kołowrotem. Na samym dole w prawym rogu.

Znów uruchomiła komputer, ponownie puszczać krótki filmik. Curry usiłował iść za radą Mii, oderwać oczy od drobnej, chudej dziewczyny klęczącej z przodu i nagle to dostrzegł.

– *Shit!* – zawołała Ylva tuż obok niego.

– Boże! – jęknął Kim Kolsø.

– Prawda? – Mia niemal triumfalnie skinęła głową, kiedy film się skończył.

– Niech to cholera! – zaklęła Anette Goli.

Holger Munch podniósł się powoli z krzesła, prawie jak niedźwiedź

wyrwany ze snu zimowego. Wyraźnie było widać, że naprawdę goni resztką sił.

– Bardzo dobrze. – Ziewnął. Ze zmęczenia miał problemy z włożeniem kurtki. – Ale muszę sobie teraz zrobić przerwę. Spotykamy się na briefingu wieczorem. Powiedzmy o szóstej albo może... no... dobrze.

Tęgi policjant narzucił kaptur budrysówki na głowę i zataczając się, wyszedł, nie zamknąwszy nawet za sobą drzwi.

Miriam Munch czuła, że jest słaba. Sądziła, że ten stan minie, że zdoła zapomnieć. Ale przez ostatnie dni cały czas o nim myślała. O twarzy. O Ziggym. Tymczasem siedziała tutaj, w kawiarni na Grunerløkka, podekscytowana tak, że aż mrowiło ją w całym ciele, a jednocześnie targana wyrzutami sumienia. Tajemne miejsce spotkań. W okolicy, gdzie zwykle się nie pokazywała. Lokal, w którym nie pojawi się nikt ze znajomych. Marion znów została u babci i Rolfa, ale nie ona była powodem wyrzutów sumienia Miriam Munch, bo dziewczynka uwielbiała spędzać czas u babci. Chodziło raczej o Johannesesa.

Któregoś ranka kilka dni temu Miriam o mały włos nie wyrzuciła z siebie wszystkiego. Nienawidziła tej swojej nieszczerości, tego ukradkowego działania. Musiała wyjawić, co czuje. Leżeli w łóżku, oboje wcześniej się obudzili, a Marion jeszcze nie wstała. Właśnie wtedy Miriam nagle pomyślała: *Muszę po prostu coś teraz powiedzieć.* Ale do Johannesesa zatelefonowano z pytaniem, czy nie mógłby przyjść do pracy trochę wcześniej, i tamta chwila minęła.

Miriam zamówiła jeszcze jedną filiżankę herbaty i wróciła do swojego stolika. Piętnaście po. Spóźniał się. Ona oczywiście przyszła za wcześnie. Była przejęta jak uczennica wybierająca się na pierwszą randkę, w tramwaju ledwie mogła spokojnie usiedzieć, a teraz tkwiła tu już od dłuższego czasu i czuła się wręcz głupio. Miała wrażenie, że wszyscy po niej widzą, iż siedzi tu sama i czeka na kogoś, chociaż właściwie nie powinna się z nikim umawiać. Sięgnęła po gazetę, żeby czymś się zająć, za czymś schować, przerzucała strony, ale z trudem docierały do niej choćby tytuły.

Dziewczyna w lesie. No tak, oczywiście. Większość artykułów dotyczyła tego tematu. Dziewczyny, którą znaleziono nagą w lesie na skraju Hurumlandet; ciało ułożono w dziwnej pozycji, jakby ktoś odprawiał przy niej rytuały. Camilla, tak miała na imię. Camilla Green. Mieszkała w jakimś ośrodku dla młodych dziewcząt.

Miriam odłożyła gazetę. Nie mogła o tym myśleć. To było po prostu zbyt straszne. Całe strony szczegółów, których w tej chwili nie miała siły

przetrawić. Była zbyt krucha. Czuła się wręcz przezroczysta, jak ze szkła.

Oczywiście to z powodu tej dziewczyny tata w takim pośpiechu wybiegł z urodzin Marion. Odezwały się teraz wyrzuty sumienia, związane zarówno z ich ostatnim spotkaniem, jak i ze wszystkimi tymi latami, kiedy tak źle traktowała ojca, obwiniając go o rozwód. Naga dziewczyna ułożona na ziemi wśród piór i świec w środku lasu. Powinna była zrozumieć, że musiał wyjść, bo chodzi o coś ważnego. Nie mogła jednak dłużej tego roztrząsać, bo naprawdę czuła się zbyt krucha. Zamówiła więc piwo. Rzadko je pijała po południu, ale czuła, że potrzebuje czegoś dla uspokojenia nerwów.

Zdążyła wypić jeszcze jedno, zanim wreszcie przyszedł. Właściwie już się na niego irytowała, rozważała, czy po prostu nie powinna sobie pójść, ale całe jej zwątpienie zniknęło w momencie, gdy w drzwiach dostrzegła ten pogodny uśmiech. Ziggy zaraz podszedł do krzesła po drugiej stronie stolika.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział.

– W porządku. – Miriam się uśmiechnęła.

– Dziękuję, ale przepraszam jeszcze raz. Co pijemy? Piwo? Chcesz jeszcze jedno?

Miriam się zastanowiła. Trzy piwa tak wczesnym popołudniem? Umówiła się, że odbierze Marion tak, żeby zdążyć położyć ją spać o właściwej porze. Ale sześciolatka z pewnością nie będzie miała nic przeciwko nocowaniu u babci. A Johannes na pewno zostanie w pracy do późna.

– Dlaczego nie? – Znowu się uśmiechnęła.

Ziggy poszedł do baru złożyć zamówienie.

Miriam zalała kolejna fala poczucia winy.

Co ona właściwie tu robi?

Przecież jest szczęśliwa? Prawda?

Johannes, Marion i ona. Miriam nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Nawet nie przyszło jej to do głowy. Ale tak było wcześniej. Jeszcze sześć tygodni temu. Od tamtej pory nie mogła o nim zapomnieć.

Ziggy przyniósł dwa piwa, postawił je na stoliku i usiadł.

– Przepraszam za to, że tak się guzdrałem. Siostra do mnie zadzwoniła, wiesz, sprawy rodzinne. Ale nie będę cię nimi zanudzał.

– Wcale mnie nie zanudzasz, chętnie posłucham. – Miriam wypła łyk piwa.

– Naprawdę? – zdziwił się lekko Ziggy.

– Oczywiście. – Miriam się uśmiechnęła. – Przecież o czymś musimy rozmawiać.

Puściła do niego oko, a chłopak odwzajemnił uśmiech. To był taki ich wewnętrzny żart. Właśnie to było takie fajne. Odkąd się poznali, zawsze tak to wyglądało między nimi. Nigdy nie zapadała cisza.

– Co? – Ziggy spojrzał jej w oczy.

– Nic, nic. – Miriam się roześmiała.

– No, powiedz! – drażnił się z nią Ziggy.

– Mówię serio, nic takiego. Lepiej ty opowiadaj. Co z twoją siostrą? Coś się stało? Ile właściwie masz rodzeństwa?

Odchylił się na krześle i przyglądał jej się tak, jakby się nad czymś zastanawiał. Jakby trochę ją oceniał.

– Nie wiesz, kim jestem, prawda? – spytał w końcu.

– Jak to nie wiem? Przecież wiem.

– Nie o to mi chodzi – zaprotestował ze śmiechem. – Nie wiesz, z jakiej rodziny pochodzę. Naprawdę tego nie wiesz?

Miriam nie mogła zrozumieć, do czego on zmierza.

– Rzeczywiście, nigdy nie mówiłeś o rodzinie. Co prawda nie było to konieczne, bo przecież ledwie...

Zaplątała się we własne słowa i poczuła się naprawdę głupio.

– Nie o to mi chodziło. – Ziggy się uśmiechnął. – Ja też nie bardzo wiem, co my... to znaczy, czego ty byś chciała. Bo ja wiem, czego chcę.

– A czego? – Miriam nie miała odwagi podnieść na niego wzroku.

– Wydaje mi się, że wiesz. – Na moment nakrył ręką jej dłoń.

Odwróciła ją i dotknęła palcami jego palców, ale wtedy nagle otworzyły się drzwi i Miriam odruchowo przyciągnęła rękę do siebie, chociaż twarz, która ukazała się w kawiarni, nie należała do nikogo znajomego.

– *Sorry* – powiedział Ziggy. – Nie chciałem, żebyś czuła się niekomfortowo.

– Nie, nie, wcale tak nie jest, tylko że... sam wiesz, jak to bywa.

Spojrzała na niego, on też na nią patrzył, pokazując w ten sposób, że świetnie wszystko rozumie. O tym właśnie rozmawiali tamtej nocy w jego mieszkaniu. O tym, że jest Marion. Ale przecież powiedział wprost, że nie widzi w tym żadnego problemu.

– No i co z tą twoją rodziną? – spytała Miriam, żeby zmienić temat.

– Pytasz serio?

– Serio?

– Naprawdę nic o niej nie wiesz?

Miriam musiała wyglądać jak znak zapytania, bo chłopak aż się roześmiał.

– Masz siostrę – powiedziała. – Wiem tylko tyle. Więcej mi nie mówiłeś. Powinnam się teraz wstydzić? Aż tak się upiłam tamtej nocy? Czegoś nie zapamiętałam?

– Wstydzić? Nie, skąd! Sprawia mi to nawet ulgę, bo nieczęsto spotykam kogoś, kto nie zna mojej rodziny. Wypijmy za to.

Miriam poczuła, że naprawdę budzi się w niej ciekawość, bo najwyraźniej coś jej umknęło.

– Teraz już musisz powiedzieć – stwierdziła.

– To nic złego. Nawet fajnie nie być od razu kojarzonym z rodziną. Chyba naprawdę spotyka mnie to pierwszy raz.

Znów uniósł w jej stronę szklankę z piwem.

– Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko – wyznała Miriam. – Szczerze mówiąc, prawie cały czas o tobie myślę.

Aż nie wierzyła, że to powiedziała. To na pewno przez ten alkohol. Znów zrobiło jej się głupio, no ale trudno.

– Ja też chcę wiedzieć o tobie wszystko. – Ziggy lekko nachylił się nad stolikiem. – I też myślę o tobie. Może nie powinienem i nie wiem, co z tego wyniknie, no ale tak to wygląda.

Serce Miriam zabiło mocniej, kiedy się do niej uśmiechnął i znów przelotnie pogładził ją po rękę.

Do diabła, Miriam!

Co ty wyprawiasz?

Potajemna randka?

W knajpie na Grunerløkka?

Z chłopakiem, którego prawie w ogóle nie znasz?

– No to jaka jest ta twoja tajemnicza rodzina? – spytała zażenowana, wracając do poprzedniego tematu, żeby wszystko choć trochę uprościć.

– A co o mnie wiesz? – Ziggy odchylił się na krześle.

– Masz na nazwisko Simonsen.

– Właśnie – pokiwał głową Ziggy.

– Właśnie? – zdziwiła się Miriam.

– Ziggy Simonsen to ja.

Miriam powoli zaczęło się rozjaśniać w głowie. Simonsen?

– Powiem wprost: na chrzcie nie nadano mi imienia Ziggy, tylko Jon-Sigvard. Uważano, że takie imię powinienem nosić. Bo musiało być, rzecz

jasna, coś z Sigvardem. We wszystkich pokoleniach tak było.

Uśmiechnął się do niej spod ciemnej grzywki.

– Carl-Sigvard Simonsen?

Potwierdził.

– To twój ojciec? Ten bogacz?

– Owszem.

– *Sorry*. – Miriam lekko się uśmiechnęła.

– *Sorry*? Dlaczego, u diabła, miałabyś mnie za to przepraszać? Raczej wielki szacunek dla ciebie.

Znów uniósł szklankę z piwem jak do toastu.

– Nie czytam plotkarskich magazynów – przyznała Miriam przepraszającym tonem. – Za rzadko też sięgam do gazet.

– Przecież już mówiłem, że bardzo się z tego cieszę. – Chłopak znów się uśmiechnął. – Z tego, że mogę się spotykać z tobą jako ja, a nie jako...

Zamyślił się na chwilę, jakby coś go przygnębiło. Jego jasne spojrzenie wypełnił mrok, którego nie rozpoznawała.

– A więc syn miliardera. – Miriam powiedziała to, żeby trochę rozluźnić atmosferę. – Czyżbym upolowała kurę znoszącą złote jajka?

Wrócił do niej. Znów się uśmiechnął, patrząc na nią tymi swoimi pięknymi niebieskimi oczami.

– Czy to oznacza, że moje przypuszczenia są słuszne?

– Czyli?

– Że to zrobimy?

– Co zrobimy? – spytała Miriam ostrożnie, chociaż aż za dobrze wiedziała, o czym mówi ten piękny chłopak.

– Ty i ja? – Znów przysunął rękę do jej dłoni. – Zaryzykujemy? Będziemy mieli odwagę spróbować?

Tym razem nie cofnęła ręki. Tak przyjemny był dotyk jego palców. Ostrożnie kiwnęła głową i stwierdziła:

– Chyba potrzebuję jeszcze jednego piwa.

– Promień Księżycyca! – Stojący w drzwiach chudy mężczyzna z kitką uśmiechnął się szeroko. – Już się zastanawiałem, kiedy przyjdiesz. Domyślałem się, że się pojawisz, kiedy zobaczyłem zdjęcia w gazetach. Wejdz, wejdz.

Mia Krüger przekroczyła próg i ruszyła za nim w głąb mieszkania.

– Butów nie musisz zdejmować. My tutaj aż tak bardzo się tym nie przejmujemy. Chcesz coś do picia? Albo może coś innego?

Mia dobrze wiedziała, o czym on mówi. Małe mieszkanko zasnuwał ciężki zapach marihuany.

– Przepraszam cię za ten bałagan. Nieczęsto mam gości. Najbardziej lubię być sam, przecież wiesz.

– Wszystko w porządku. – Mia przesunęła stos rzeczy leżących z boku na kanapie i usiadła.

– To dobrze. – Mężczyzna z kucykiem usiadł w fotelu naprzeciwko niej. – Nic ci więc nie mogę zaproponować? – Wskazał ręką stół. – Mam niezłego afgana, prosto ze źródeł. Zakazany w trzydziestu krajach, he, he. Żartuję, ale jest naprawdę dobry. Miękki jak masło. Gdzieś też tutaj powinien leżeć marokańczyk, jeśli zależy ci na łagodniejszym odjeździe. Naprawdę nie dasz się skusić?

Sebastian Larsen uśmiechał się szeroko. Mię trochę zdziwiło, że tak prędko odpowiedział, kiedy się do niego odezwała. Rzeczywiście, nie lubił gości, ale teraz sprawiał wrażenie bardzo ucieszonego jej wizytą.

– Nie, dziękuję. Dobrze wiesz, że nie tykam takich rzeczy. – Mia się uśmiechnęła, ale poczuła, że potrzeba snu odzywa się coraz głośniej.

– Jak sobie chcesz. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że ja się poczęstuję?

– Rób, na co masz ochotę. – Mia wzruszyła ramionami.

Sebastian Larsen. Antropolog społeczny. Wcześniej zatrudniony na Uniwersytecie w Oslo. Obdarzony bystrym umysłem, szybko awansował, ale do czasu, bo wyrzucono go za sprzedaż marihuany studentom. Mia korzystała z jego pomocy w kilku wcześniejszych sprawach, aż w końcu szefostwo

stanowczo jej tego zabroniło. Policja nie chciała być z nim kojarzona, a Mia nawet to rozumiała, bo wystarczył sam zapach w mieszkaniu i ten szeroki uśmiech.

– Minęło strasznie dużo czasu, Promieniu Księżyca. Cieszę się, że cię widzę. Już myślałem, że całkiem o mnie zapomnieliście.

– Mnóstwo się działo. – Mia znów poczuła dojmujące zmęczenie.

Munch surowo jej przykazał, że ma choć trochę odpocząć, ale nie udało jej się całkiem wyłączyć. Zamiast tego wybrała tabletki, których nie powinna była zażywać, utrzymujące ją w chemicznym pobudzeniu. Sebastian Larsen krążył jej po głowie, odkąd znaleźli Camillę. Okultyzm. Rytuály. Nie знаła nikogo, kto wiedziałby o tym więcej niż siedzący teraz przed nią mężczyzna.

Prowadził własny blog i chyba właśnie dzięki niemu przeżył, gdy wyrzucono go z pracy. Od czasu do czasu tam zaglądała. Zajmował się w głównej mierze teoriami spiskowymi. *Nowe dowody: Amerykanie nigdy nie byli na Księżycu, Strefa 51: świadkowie opowiadają o spotkaniu z istotami pozaziemskimi.*

– Jesteś pewna, że nie chcesz? – Larsen pociągnął skręta. – Prosto ze źródła. Mam swojego człowieka w Nepalu.

– Nie, dziękuję. – Mia jeszcze raz pokręciła głową.

– Twój wybór. – Mężczyzna z końskim ogonem wypełnił pokój wydmuchiwym dymem.

Sekty. Okultyzm.

Właśnie dzięki temu dostał stanowisko na uniwersytecie. Cieszył się wielkim uznaniem. Objechał świat z wykładami. Aż do czasu, gdy pozwolił, by jego słabość czy raczej swobodny stosunek do ulubionej substancji stał się powszechnie znany.

– Wiesz, dlaczego tu jestem? – Mia nagle poczuła, że oczy same zaczynają jej się zamykać.

Sięgnęła ręką do kieszeni po małe białe tabletki. Jedna połknięta teraz dałaby jej dodatkową energię, ale Mia się na to nie zdecydowała. Już dość. Powinna wkrótce się przespać.

– Jasne. – Sebastian kiwnął głową, patrząc na nią z powagą. – Prawdę mówiąc, cieszę się, że przyszłaś. Miałem nadzieję, że się zjawisz.

– I co o tym myślisz?

– O tym zdjęciu w gazecie?

Mia potwierdziła.

Sebastian przegarnął ręką włosy i chwilę się zastanawiał.

– Hm... Jak to powiedzieć? Niełatwo odnieść się do zaledwie jednej fotografii zamieszczonej na pierwszej stronie gazety. Przyniosłaś coś jeszcze?

– Być może – odparła Mia. – Ale najpierw ty musisz mi coś dać.

– Więc już mi nie ufasz?

Uśmiechnęła się lekko i wskazując leżącego na stole skręta, spytała:

– A ty byś ufał?

– Racja, racja! – Larsen się roześmiał.

Przesunął się do stołu, na którym stał jego komputer, i wpisał jakiś adres w wyszukiwarce.

– Muszę przyznać, że to rzeczywiście interesujące – powiedział, wyświetlając zdjęcie opublikowane przez gazety.

Leśne poszycie. Pióra. Świece ustawione w pięcioramienną gwiazdę.

– To oczywiście pentagram. Ale to na pewno już rozumiałaś. – Spojrzał na Mię.

Potwierdziła.

– Piór wcześniej nie widziałem. – Larsen znów skierował wzrok na ekran. – Takie ustawienie świec to znana rzecz, pentagram, często używana, od tysięcy lat. Ale jeśli mam ci w czymś pomóc, musisz zdradzić mi coś więcej.

Mia wyczuwała jego ciekawość, przebudził się tkwiący w nim antropolog społeczny. Wciąż jednak nie była do końca przekonana, czy powinna pokazać mu fotografie, które miała w torebce. Camillę Green.

– A obecnie?

Była już bardzo zmęczona. Musiała stale mrugać, żeby skupić wzrok na ekranie.

– Co masz na myśli? – spytał Larsen.

– Pentagram. Załóżmy, że to był jakiś rytuał. Kto dzisiaj robi takie rzeczy?

– Od czego mam zacząć?

– Od tego, co najistotniejsze.

– Więc nie masz nic więcej do pokazania?

– Gdybyś odruchowo, tylko na podstawie tego, co widzisz, miał coś o tym powiedzieć, kogo byś wymienił? – Mia zignorowała jego ciekawość.

Larsen kilka razy stuknął w klawiaturę i wszedł na zupełnie nową stronę w Internecie.

– O.T.O. – odparł, wskazując na ekran.

– Co?

- Ordo Templi Orientis.
- To znaczy?
- „Czyń wedle swej woli będzie całym Prawem. Miłość jest prawem, miłość podług woli”.
- Pogubiłam się – oświadczyła Mia. – Co powiedziałeś?
- Ordo Templi Orientis – powtórzył Larsen. – Zakon Świątyni Wschodu. Założony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, w nawiązaniu do templariuszy, zrywający z Kościołem. Słyszałaś o Aleisterze Crowleyu?
- Jasne. – Mia kiwnęła głową.
- A o systemie religijno-filozoficznym pod nazwą Thelema?
- Nie bardzo.
- Satanizm?
- Tak, oczywiście.
- Jak już mówiłem, O.T.O. został założony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku i wiele osób uważa, że stał za tym Aleister Crowley, ale tak nie było. Crowley przyłączył się dopiero w tysiąc dziewięćset czwartym, kiedy...
- Co powiedziałeś wcześniej?
- O czym?
- O Thelemie.
- „Czyń wedle swej woli”. – Larsen odwrócił się do niej.
- Co to znaczy?
- A jak ci się wydaje?
- Nie wiem.
- Musisz pamiętać, że Kościół w tym czasie... – zaczął Larsen, ale Mia czuła, że nie ma siły na wysłuchiwanie całego wykładu.
- Może jakieś streszczenie?
- Spojrzał na nią i pokręcił głową.
- Sama spytałaś – powiedział z lekką złością.
- *Sorry*, Sebastian. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Mam za sobą naprawdę długi dzień. Więc ta organizacja...?
- Ordo Templi Orientis. – Larsen kiwnął głową.
- Istnieje w Norwegii?
- O tak, i miewa się jak najlepiej. Ma własny senat założony w dwa tysiące ósmym roku. Loże w największych miastach. Te w Bergen i w Trondheim mają najmocniejszą pozycję w ostatnich latach.

- I oni żyją według zasad tej... Thelemy?
- „Czyń wedle swej woli”, tak mówi ich prawo.
- I co to znaczy?

Sebastian Larsen lekko się teraz uśmiechał.

- A co to twoim zdaniem może znaczyć, Mio? Czyń wedle swej woli.
- Oświeć mnie.

– Prawa jednostki. Bunt wobec rządzenia społeczeństwem. Wobec nauki Kościoła. Wobec zwykłych norm moralnych i etycznych, które są nam narzucone.

- Czyli?
- Przestań, Mio! Słuchasz mnie czy nie?

Larsen spojrział na nią, kręcąc głową. Zrozumiała, o co mu chodzi. Sam właśnie zażył nielegalne substancje pochodzące nie wiadomo skąd, ale jego mózg wciąż działał lepiej niż jej.

Ukradkiem znów wsunęła rękę do kieszeni.

Jeszcze jedna tabletkę?

Żeby mózg się obudził?

Nie, musiała się przespać. Organizm odmawiał jej posłuszeństwa. Musiała odpocząć.

– Słucham, słucham – mruknęła, przenosząc wzrok z powrotem na ekran. – O.T.O. Satanizm. Thelema. Czyń wedle swej woli. Ich działalność w Norwegii kwitnie.

– Oczywiście ukrywają swoje rytuały, jak wszystkie inne sekty – ciągnął Larsen. – Rozmawiałem z kilkoma z nich, z byłymi członkami, i muszę ci powiedzieć, że to są dość poważne rzeczy.

- Na przykład jakie?
- Od czego chciałabyś, żebym zaczął?
- Od czegokolwiek.

– Magia seksualna. Rytuały ofiarne. Oderwij się od społeczeństwa. Oddaj swoje ciało. Oddaj duszę. Bądź wolny.

– Magia seksualna?

Larsen uśmiechnął się lekko.

- Tak.
- To znaczy?

– Na przykład, jeśli któryś z senatorów chce, żebyś się rozebrała do naga i stosowała Thelemę w obecności starców w maskach kozła, to w zasadzie

musisz to zrobić.

– Senatorów?

– No właśnie. Czy to nie interesujące? Wszystkie te sekty głoszące, że istnieją po to, by wyzwolić jednostkę spod surowych rządów tych, którzy sterują społeczeństwem, wcielają się dokładnie w tę samą rolę. Obiecują wolność, ale w tym nie ma żadnej wolności, rzecz jasna. Zaczynasz od samego dna. Prezydent, senatorzy, ktoś zawsze jest na górze, a ktoś inny zawsze jest pod nimi. Czy to nie dziwne?

– Czyli O.T.O. – Mia czuła, że sił starczy jej już naprawdę na krótko.

– Ordo Templi Orientis. Niewiele osób o nim wie, ale jego członkowie są wśród nas. W Norwegii. Dzisiaj. Jak najbardziej realni.

– I kojarzy ci się to z nimi? – Mia wskazała na monitor.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć – stwierdził Larsen. – Masz mi jeszcze coś do pokazania?

– Czyli Ordo Templi Orientis. Mamy kogoś jeszcze?

– Do wyboru, do koloru. – Larsen otworzył kolejną stronę internetową.

Tym razem Google Maps. Wpisał adres i lekko się odchylił.

– Na co patrzymy? – spytała Mia.

– Na zamek.

– To znaczy?

– Na Zamek Królewski w Norwegii. – Larsen powiększył obraz. – To jest Parkveien. Wiesz, gdzie leży Parkveien?

Mia spojrzała na niego zdziwiona. Oczywiście, że wiedziała. Jedna z najdroższych ulic w Norwegii, w samym środku Oslo. Adres zamieszkania premiera i wielu ambasad.

– Do czego zmierzasz?

– Te stowarzyszenia mają siedzibę przy Parkveien. – Larsen kliknął kilka razy. – Bezpośrednio na tyłach zamku. Norweski Zakon Druidów.

– Czego?

– No właśnie. Adres: Parkveien. – Kliknął jeszcze raz. – Zakon Templariuszy. Adres: Parkveien.

– I wszyscy oni... to znaczy... pentagram?

Mia czuła, że śpiewa już ostatnią zwrotkę. Jeszcze raz rozważyła tabletkę, ale zrezygnowała. Musi się przespać.

– Nie, tak bym nie powiedział. Uważam, że oprócz O.T.O. w kontekście pentagramu najbardziej prawdopodobna jest ta sekta, której członkiem jest

twój szef.

– Munch?

– Nie, nie Munch. – Larsen się roześmiał. – Nie wydaje mi się, żeby się tam odnalazł.

– Czyli kto?

Larsen otworzył kolejną stronę.

– Mikkelson. – Wskazał na ekran.

– Mikkelson?

– Owszem, Rikard Mikkelson. – Kiwnął głową. – Członek Norweskiego Zakonu Wolnomularzy.

Mia trochę się ożywiła.

– Wolnomularzy?

– Tak, oni uwielbiają pentagram. Tak bardzo chcą uchodzić za podpory społeczeństwa i miłujących Jezusa Chrystusa, ale... ha, ha... Widziałaś chyba to wideo, na którym wielcy mistrzowie trzydziestego trzeciego stopnia ubrani w peleryny z członkami na wierzchu wspólnie składają w ofierze kozę?

– Nie. – Mia nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czy Larsen wciąż pozostawał głównie pod wpływem substancji z Nepalu, czy też raczej przemawiał przez niego uczony?

– Mikkelson do nich należy. – Larsen pokiwał głową. – Razem z wszelkiej maści politykami i czołowymi przedstawicielami życia gospodarczego w kraju. Wolnomularze, Mio. Dorośli mężczyźni, którzy odprawiają rytuały? Trzymają się za ręce? Przebierają w kostiumy? Piją krew ze srebrnych pucharów? Jak bardzo możemy być naiwni? Naprawdę sądzisz, że najważniejsze dla kraju decyzje zapadają na posiedzeniach parlamentu? Na posiedzeniach rządu? Daj spokój, Mio. Nie wierz w to.

Larsen sięgnął po skręta i jeszcze raz go zapalił.

– Sebastianie – powiedziała Mia z powagą, wbijając wzrok w siedzącego przed nią chudego mężczyznę. – Coś ci teraz pokażę. Oczywiście nie wolno mi tego robić, ale trudno.

– Ach tak?

Sprawił wrażenie niemal zdenerwowanego.

– Chcę, żebyś mi powiedział dokładnie, co sobie pomyślisz, dobrze?

– Tak, oczywiście.

– Cieszę się z tego, co mi pokazałeś. Przyjrzę się temu bliżej, ale teraz potrzebuję od ciebie czegoś bardziej konkretnego, rozumiesz?

Mia wstała, wyszła do przedpokoju i z torebki wyjęła teczkę. Wróciła do zabałaganionego salonu i usiadła przed Larsenem, który niemal jak dziecko nie mógł się już doczekać, co mu pokaże.

– Pentagram.

– Tak. – Larsen kiwnął głową.

– Chcę, żebyś mi wyjaśnił znaczenie pewnej rzeczy.

– Jasne.

Mia otworzyła teczkę i zobaczyła, jak oczy Sebastiana się rozszerzają, gdy położyła przed nim zdjęcie Camilli Green.

– *Shit*.

– Otóż to. I zapowiadam ci od razu, Sebastianie, że jeśli na twoim blogu czy gdzie indziej usłyszę lub zobaczę na ten temat chociaż jedno słowo zdradzające, że widziałeś to zdjęcie, sama nie wiem...

– Rozumiem. – Larsen z powagą kiwnął głową. Mia widziała, że podchodzi do tego serio.

– Muszę się czegoś dowiedzieć – powtórzyła.

– Czego?

– To ma znaczenie, prawda?

– Co?

– To chyba nie jest przypadkowe? Chodzi mi o sposób ustawienia świec.

– Na pewno nie. Pentagram dla tych, którzy w to wierzą, jest ważny. To...

Mia czuła, że zaraz naprawdę zabraknie jej sił. Widziała już dzisiaj, jak Munch wychodził z sali briefingowej, zataczając się, prawie nie wiedząc, jak się nazywa, i była pewna, że jest teraz w podobnym stanie.

– Więc co to oznacza?

– Co?

– Symbol. Te punkty.

– W pentagramie?

– Tak – potwierdziła Mia.

– No cóż, istnieje standardowa interpretacja – chrząknął Larsen. Wyraźnie widać było, że i na nim zdjęcie wywarło wrażenie.

Jedna rzecz to być specjalistą od teorii, ale teraz patrzył na rzeczywistość. Na fotografię siedemnastoletniej dziewczyny, nagiej, ułożonej na posłaniu z piór w otoczeniu pentagramu ze świec. Nie było wątpliwości, że z trudem sobie z tym radził.

– Przyjmijmy, że nic o tym nie wiem – powiedziała Mia. – Spróbuj mnie

czegoś nauczyć.

– Dobrze – zgodził się zdenerwowany Larsen. – Pentagram, jak wiesz, ma pięć wierzchołków. I każdy coś symbolizuje.

– Co?

– Tradycyjne wyjaśnienie jest dość proste. Mam zacząć od góry i poruszać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara?

Telefon Mii zaczął wibrować, wyjęła go i z wielkim trudem odczytała nazwisko na wyświetlaczu. Kim Kolsø. Nacisnęła czerwony przycisk i schowała aparat z powrotem do kieszeni.

– Szczyt to dusza – podjął Sebastian. – *Spirit*. Najwięcej się o tym pisze po angielsku, więc będę musiał sam trochę tłumaczyć, jeśli ty...

– Mów dalej. – Kiwnęła głową.

– A pozostałe punkty to woda, ogień, ziemia i powietrze.

– Czyli dusza, woda, ogień, ziemia, powietrze.

– Tak.

– Aha. No dobrze, dzięki, Sebastianie. – Mia zabrała zdjęcie ze stołu i już miała schować je do teczki, ale powstrzymała ją chuda ręka.

– To jest jedynie, tak jak mówiłem, tradycyjne wyjaśnienie. Dziecinna nauka.

– To znaczy?

– Istnieje głębsza interpretacja.

– Ach tak?

Larsen dalej wpatrywał się w zdjęcie.

– Jej ręce – powiedział w końcu ostrożnie. – Sposób, w jaki zostały ułożone. To nie może być przypadek.

– Jaka jest ta głębsza interpretacja? – dopytywała się Mia.

– Słucham?

– Ta, która nie jest dziecinną nauką.

– Narodziny, dziewica, matka, prawo, śmierć – odparł Larsen cicho, nie odrywając oczu od fotografii.

Mia ziewnęła. Naprawdę musiała wkrótce wracać do domu.

– Zobacz, jak są umieszczone jej ręce – ciągnął.

– Jak, według ciebie?

– W punkcie oznaczającym narodziny. I matkę – oświadczył z powagą chudzielec.

Mia wyciągnęła z kieszeni telefon i wstukała numer centrali taksówek.

– Dzięki, Sebastianie.

– To przecież nie może być przypadek, prawda?

Mia uśmiechnęła się i schowała zdjęcie do torebki.

– Nie mogę go zatrzymać?

– Nie.

– Cóż, zawsze warto spróbować. – Larsen się uśmiechnął.

Mia wstała. Ledwie widziała na oczy. Spać. Najwyższa pora.

– Narodziny i matka – powtórzył z powagą Larsen. – To na tych punktach ułożone są jej ręce.

– Dziękuję, Sebastianie.

Chwiejąc się na nogach, zeszła ze schodów i dosłownie wpadła do czekającej na nią taksówki.

Miriam Munch miała dziwne wrażenie, że traci panowanie nad własnym ciałem.

Zdążyli już odwiedzić kilka knajp, Marion miała nocować u babci i oczywiście bardzo się z tego ucieszyła. Od Johanna nie było żadnej odpowiedzi. Miriam usiłowała się do niego dodzwonić, trochę w nadziei, że zjawi się i ją ocali, powie, że należą do siebie, no ale nie odbierał telefonu i nie odpowiadał na esemesy, Miriam w końcu więc zrozumiała, że ich związek już w pewnym sensie przestał istnieć.

Zajrzała do szklanki, w której zostało zaledwie trochę piwa na dnie. Ziggy wyszedł przed lokal i rozmawiał przez telefon. Miriam nie mogła się powstrzymać, żeby ukradkiem nie obserwować go przez szybę. Stał na chodniku i gestykulował uśmiechnięty. Czowała, że już na sam jego widok ogarnia ją przyjemne ciepło. Podeszła do baru i zamówiła dwa piwa, akurat w chwili, gdy w drzwiach pojawił się Ziggy.

– Ciągłe tutaj? – spytał. – Nie idziemy dalej?

– A jak byś chciał?

– Mnie właściwie wszystko jedno – odparł ten piękny chłopak i wzruszył ramionami.

– Może musisz wracać do domu? – spytała Miriam, już niosąc szklanki do stolika.

Ziggy się uśmiechnął.

– Ależ skąd. A ty?

– Nie – odparła zdecydowanie, lekko stukając swoją szklanką o jego.

Knajpa była dość spokojna. Puszczano tu jedynie przyciszoną muzykę, światła były przytłumione, a w wydzielonych boksach mogli się ukryć. Miriam przesunęła rękę po stoliku i poczuła, że jego ciepłe palce splatają się z jej palcami.

– Jakiś ważny telefon?

– Tylko Jacob.

– Jaki Jacob?

– Znasz go.

– Sorry – prychnęła Miriam znad krawędzi szklanki.

– Nie masz za co przepraszać. – Roześmiał się. – Poznaliście się na imprezie u Julie. Okrągłe okulary, pamiętasz? Lubi się elegancko ubrać.

– A tak, oczywiście. – Miriam już go sobie przypomniała.

To chłopak, który podjął nieudaną próbę poderwania jej, zanim się dowiedział, że ma dziecko.

– Uważasz więc, że możemy...? – spytał, delikatnie gładząc ją po policzku.

– Tak, Jonie-Sigvardzie. – Miriam kiwnęła głową. – Tak uważam. A ty?

– Pod warunkiem że nie będziesz się tak do mnie zwracała. – Uśmiechnął się szeroko i wypił łyk piwa.

– Umowa stoi. – Miriam się roześmiała.

– Ale tylko... – zaczął Ziggy, obiema dłońmi obejmując swoje piwo i zaglądając do szklanki.

– Co: ale?

– Powiedzmy, że odkryjesz we mnie coś, co ci się nie spodoba – powiedział, znów podnosząc wzrok na nią.

– Akurat takie ryzyko musimy podjąć, prawda? Również ty możesz we mnie odkryć coś, co w ogóle nie będzie ci się podobało.

– W to wątpię.

– Wariat – skwitowała Miriam.

– Naprawdę tak myślę – powiedział Ziggy, poważniejąc.

– Co?

– Po prostu czuję, że stawiam cię w trudnej sytuacji. Z Marion i w ogóle.

– Jestem dorosła. Marion na tym nie ucierpi.

– No tak, ale... – Ziggy nie dokończył.

– No co?

– Jeśli ci powiem, że zajmuję się takimi rzeczami, przez które mogę trafić do więzienia?

– O czym ty mówisz?

– Że jestem przestępcą.

Miriam się roześmiała, zanim zrozumiała, że on mówi serio.

– Przestępcą, ty? Nigdy w to nie uwierzę! To znaczy, że co robisz? Napadasz na banki?

– No, może nie na banki – puścił do niej oko – ale mimo wszystko...

Poczuła rosnącą ciekawość. Widziała, że Ziggy chce coś powiedzieć, tylko nie wie, jak to zostanie przyjęte.

– Chodzi mi o życie rodzinne i wszystko, co się z tym wiąże. Nie jestem tego pewien. Nie wiem, czy mój styl życia do tego pasuje... Naprawdę nie wiem.

Przez chwilę bawił się szklanką.

– Tak?

Miriam wypatrywała w sobie czerwonych lampek ostrzegawczych, miała wyjątkowe wyczucie do takich rzeczy, ale żadna się nie zapaliła. Od siedzącego przed nią chłopaka biła wyłącznie dobroć.

– Lubię cię, Miriam. – Ujął ją za rękę.

– A ja ciebie, Ziggy.

– Więc jeśli wyznam ci tajemnicę, wytrzymasz to?

– Z całą pewnością. Zabiłeś kogoś?

– Co? Nie, na miłość boską, co ty sobie o mnie myślisz? – Zmarszczył brwi.

– Właściwie nie wiem – powiedziała Miriam. – Mówisz, że pójdziesz do więzienia, a nie napadasz na banki, więc co mogę sobie myśleć?

Trochę za dużo alkoholu. Czuła to już teraz wyraźnie. Słowa sypały jej się z ust, właściwie nie zahaczając wcześniej o mózg.

– Okej. – Ziggy jakby wreszcie się zdecydował. – Pamiętasz, gdzie się poznaliśmy?

– W Towarzystwie Ochrony Zwierząt.

– No właśnie. Dość niewinnie, prawda?

– Owszem – przyznała Miriam.

– Ale mnie to nigdy nie wystarczało.

– To znaczy co?

Rzeczywiście się zdecydował.

– Nienawidzę ludzi, którzy źle traktują zwierzęta. Rozumiesz?

– Oczywiście.

– Chyba nie do końca. Ja naprawdę czuję do nich nienawiść.

Takiego wyrazu oczu jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– No to jest nas dwoje – stwierdziła.

– Nie, Miriam. Ja mówię o prawdziwej nienawiści – powtórzył Ziggy, napinając wargi.

– I chcesz powiedzieć, że to czyni z ciebie „przestępcę”? – Miriam narysowała w powietrzu cudzysłów.

– W opinii władz, owszem. – Ziggy sięgnął po telefon, kilka razy w niego stuknął i podsunął go Miriam.

Stary artykuł z „VG”.

Akcja przyjaciół zwierząt przeciwko Løken Gård.

– Brałeś w tym udział? – spytała Miriam zaskoczona.

Ziggy kiwnął głową.

– W ataku na Løken Gård? Na gospodarstwo w Mysen, w którym skupują psy i koty, a potem sprzedają je dalej za granicę do doświadczeń na zwierzętach?

Potwierdził.

– Przystąpiliście do ataku w środku nocy? Ocaliliście mnóstwo zwierzaków?

– Tak – odparł Ziggy.

– Z bronią, jeśli dobrze pamiętam? Kogoś postrzelono. To był ktoś od was? Wyprostował się na krześle, wzrok miał już teraz nieco spokojniejszy.

– To nie my strzelaliśmy – oświadczył.

Miriam oddała mu telefon i lekko się uśmiechnęła.

– I o tym bałeś się mi powiedzieć?

Kiwnął głową.

– O Boże. – Miriam się zaśmiała. – Daj mi strzelbę, to pójdę z tobą!

– Serio? – Ziggy’emu chyba bardzo ulżyło.

– A jak myślisz? Na takich ludzi? W każdej chwili. Wszystko jedno dokąd. Tak jak powiedziałam, daj mi broń, a idę z wami.

Teraz uśmiechał się już szeroko.

– Poważnie mówisz?

– Jasne! – Miriam poczuła się wręcz urażona. – Jak ci się wydaje, z kim tu siedzisz? To na ten temat była ta rozmowa?

– Jaka?

– Ta, którą przed chwilą odbyłeś z tym... Joachimem?

– Z Jacobem.

– Tak, tak, przepraszam. Tego dotyczyła?

Ziggy przytaknął.

– I co zamierzacie?

Rozejrzał się teraz, ogarnięty chwilową paranoją, jakby ktoś tutaj, w tym mrocznym lokalu, mógł się w ogóle czymś takim zainteresować.

– Nowe miejsce. – Ziggy znów wyszukał coś w swoim telefonie.

Miriam nie mogła zrozumieć, co widzi.

– Co to jest? Gospodarstwo Atlantis?

– Firma farmaceutyczna.

– Gospodarstwo Atlantis? Tak się nazywają? Przecież takie firmy wybierają sobie bardziej wyrafinowane nazwy. Novartis. AstraZeneca. Pfizer.

– To nie jest nazwa firmy, tylko stacji doświadczalnej w Hurum. Zarejestrowanej jako ośrodek badający zmodyfikowaną genetycznie karmę dla zwierząt. Biologowie. Robią doświadczenia na przeróżnych zwierzętach. Psach. Kotach. Ptakach. Myszach. Łamią norweskie prawo od początku do końca, ale najwyraźniej nikt się tym nie przejmuje. Jakby chronił ich ktoś na górze. Tej stacji nie ma nawet na mapach, ale my...

Urwał i lekko się odchylił, chyba nie miał ochoty powiedzieć już nic więcej, bo i tak wyjawiał za dużo. Wypił łyk piwa i rozejrzał się po lokalu, jakby trochę w strachu, że ktoś go usłyszał. Miriam oddała mu telefon.

– Tak – powiedziała z uśmiechem.

Chłopak spojrzał niepewnie, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Tak – powtórzyła, kładąc rękę na stoliku.

– Co tak? – Ziggy się uśmiechnął.

– To, o co pytałeś wcześniej. – Miriam lekko dotknęła jego ramienia.

– Tak? – spytał.

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak, chcę. – Miriam kiwnęła głową. – Lubię cię.

– A ja ciebie. – Ziggy spuścił wzrok.

Odezwał się dopiero po kilku sekundach.

– Nie wiem, czy ludzie zadają sobie takie pytania w rzeczywistości, ale...

– Jakie? – uśmiechnęła się Miriam.

– Czy mogę cię pocałować?

– Możesz. – Miriam Munch wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i nachyliła się do siedzącego naprzeciwko niej chłopaka.

Mia obudziła się z gwałtownym wzdrygnięciem. Z trudem chwyciła oddech, zanim w końcu zdała sobie sprawę z tego, że koszmar, w którym przed chwilą uczestniczyła, to tylko sen. Usiadła na brzegu łóżka, podpierając głowę dłońmi i czując, jak serce mocno wali jej pod bluzą. Zasnęła w ubraniu i w butach, pocila się tak, że bielizna przykleiła jej się do ciała.

Fuck.

Naprawdę wydawało jej się, że to prawda, że to, co przed chwilą przeżyła, to wcale nie był sen. Zazwyczaj dobrze spała, zazwyczaj miała przyjemne sny. Trochę tak, jakby istniał w niej mur i bez względu na to, z jakim złem stykała się na jawie, we śnie ten mur ją od niego odgradzał i gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, zwyciężało dobro. Ale nie tym razem.

Niech to szlag.

Wstała i chwiejąc się na nogach, przeszła do łazienki, ciągle w kurtce i w butach. Schłodziła twarz wodą, wciąż tkwiły w niej resztki snu, nie chciały odpuścić, dalej więc tak stała z mokrymi rękami i twarzą, dopóki nie wrócił jej normalny oddech. Dopiero wtedy przeszła do salonu i padła na kanapę. Śniła jej się Sigrid, ale nie był to ów piękny sen jak zwykle, w którym uśmiechnięta siostra biegła do niej przez pole.

„Chodź, Mio, chodź”.

Tym razem to była piwnica. Piwnica na Tøyen. Sigrid siedziała na brudnym materacu, na ramieniu miała zaciśniętą gumową opaskę, a obok niej leżała strzykawka gotowa do zastrzyku, który odebrał jej życie tamtej nocy, już ponad dziesięć lat temu. Mia tam była. Takie miała odczucie. Stała w tym samym pomieszczeniu. Widziała cały ten brud, czuła wiercący w nosie smród moczu i śmieci. Doprawdy kontrast ze śliczną Sigrid nie mógł już być większy. Ta brudna, obskurna piwnica i leżąca na materacu śliczna dziewczyna z długimi jasnymi włosami.

Mia usiłowała mówić, ale z jej ust nie wydobywało się ani jedno słowo. Próbowwała pobiec po pomoc, wezwać kogoś, lecz jej ciało nie było w stanie się poruszyć.

Do tej pory czuła w sobie panikę, chociaż starała się oddychać spokojnie.

W końcu wyjęła z kieszeni kurtki telefon. Dochodziła północ. Przepadł jej briefing, ale nie było żadnych telefonów ani esemesów od Muncha. Owszem, Kim Kolsø kilka razy próbował się z nią kontaktować, ale Munch nie dzwonił. Dziwne. Dlaczego? Nagle ogarnęło ją wrażenie, że może ciągle jeszcze śni, i przeraziła się, że to, co widzi teraz, wcale nie jest prawdą, że cień być może przyjdzie tutaj. Tamten cień, który ujrzała na ścianie za Sigrid. Spróbowała jeszcze raz sprawdzić telefon, ale wysunął się jej z palców i upadł na podłogę, a ona nie potrafiła się przemóc, żeby go podnieść. Nie mogła spuścić z oczu pokoju, w którym się znajdowała.

Cień na ścianie.

Cholera, to na pewno przez te tabletki.

Połknęła je, żeby nie zasnąć.

Na ogół nie brała nic w tym stylu. Tabletki, które zazwyczaj zażywała, miały jej pomóc uciec. Odpocząć. Stworzyć dystans między nią a światem. Przestrzeń senności, gdzie mogłaby się ukryć. Ale oszukała samą siebie. Połknęła pigułki, których nie powinna łykać. One zniszczyły jej głowę. Czy to rzeczywistość, czy nie? Nie potrafiła wyczuć różnicy. W końcu jednak schyliła się po telefon, ale nie odrywała oczu od ściany. Drżącymi palcami obmacywała podłogę, lecz nie znalazła aparatu.

Bo Sigrid zmieniła zdanie. Właśnie to zrobiła. Mia stała bezradna w tym drażniącym smrodzie i patrzyła, jak siostra bierze gumową opaskę w zęby. Jak zaciska ją na ramieniu tuż nad łokciem. Widziała, jak Sigrid kładzie na łyżeczce maleńką grudkę. Heroina. Podsuwa pod nią zapalniczkę. Zagotowało się. Wacik i odrobina wody, Mia nie rozumiała po co. Nie bardzo się знаła na dawaniu sobie w żyłę, ale rytuał wyglądał znajomo, chociaż nigdy wcześniej go nie obserwowała. Zbliżenie na bąbelki tworzące się na dnie łyżki. Czubek igły zasysający do strzykawki działkę w stanie płynnym. Smród. Mia zasłoniła teraz nos ręką, odór był tak silny, że nie mogła się go pozbyć. Przecież to sen, prawda? Czy jest tutaj? W swoim mieszkaniu? Czy on przyjdzie i tu?

Cień.

Znów zaczęła szukać telefonu na podłodze, ciągle nie odrywając oczu od ściany, i w końcu go znalazła. Podniosła i położyła na stole przed sobą. Nie miała odwagi spojrzeć na wyświetlacz. Dochodzi północ? To nie mogła być prawda. Przecież mieli odprawę. Co mówił Munch? O szóstej? Siódmej? Dlaczego nikt do niej nie zadzwonił?

Żeby sięgnąć po telefon, odsunęła rękę od nosa, ale zaraz znów musiała go

zatkać. Ten smród. Ciągle go czuła. Ekskrementy i śmieci. Zapach ludzkiego upadku. Jej siostra bliźniaczka na materacu tuż przed nią, a ona nic nie mogła zrobić. Z jej ust nie wydobywały się żadne dźwięki, chociaż usiłowała krzyczeć z całych sił. Nogi nie chciały się poruszyć po brudnej podłodze, bez względu na to, jak bardzo się starała.

Kolejne zbliżenia. Palce mocno uderzające w białą skórę, aby żyły napęczniały. Kciuk na tłoczku strzykawki, a potem obraz czubka igły, z którego wycieka kropla heroiny. Niewiele, ledwie odrobina, żeby w strzykawce nie było powietrza. Żeby nie dostało się do żyły. Bąbelek powietrza w strzykawce może zabić. I te jej śliczne oczy. Te śliczne usta. I ręka przysuwająca strzykawkę do niebieskiej żyły, która wyrosła tuż pod żółtą gumową opaską. A potem nagle Sigrid zmieniła decyzję.

Sigrid.

Chciała żyć.

I popatrzyła na nią. Skinęła jej głową. Uśmiechnęła się tak jak zwykle. Zamrugła. Odłożyła strzykawkę na materac. Zaczęła rozluźniać zawiązaną na ramieniu opaskę. Wtedy pojawił się on. Cień na ścianie. Sigrid jakby zamierzała wstać. Podejść do niej. Pogłodzić ją po głowie, co tak często robiła, kiedy Mię nachodził smutek albo kiedy się uderzyła, kiedy ktoś w szkole był dla niej niedobry. Dotyk dłoni Sigrid na włosach. Stojąc w tym koszmarze, otoczona smrodem ludzkiego upokorzenia, Mia poczuła, jak bardzo jej tego brakowało. Ciepłej kojącej dłoni Sigrid na włosach.

„Będzie dobrze, Mio”.

„Mamy siebie”.

„Ty i ja na zawsze, prawda?”

Wtedy pojawił się on. Sigrid już jej nie widziała. Mia usiłowała śledzić ich rozmowę, bo widziała poruszające się wargi, ale nic nie słyszała. Nie mogła pojąć, co się dzieje. Zobaczyła tylko, że Sigrid wbija oczy w brudną podłogę, kiwa głową i z powrotem siada na zasikany materacu. I znów ujęcia z bliska. Strzykawka z powrotem w ręce, czubek igły zbliżający się do nabrzmiałej niebieskiej żyły.

Cień na ścianie.

Ten sam cień co na ścianie w piwnicy, w której przetrzymywano Camille Green.

Człowiek z piórami.

Człowiek ubrany w pióra.

Kolejne zbliżenie. Sigrid pośrodku. Kciuk na tłoczku. Zastrzyk w żyłę. Jej oczy. Najpierw otwierające się jak w uśmiechu, a potem zamykające powoli. Aż w końcu dziewczyna, którą Mia kochała ponad wszystko na świecie, osunęła się bez życia na materac.

Niech to wszyscy diabli.

Mia usiłowała teraz oddychać spokojnie, czując, że prawdziwy świat powoli do niej wraca. Nieotwarte kartony. Kuchenny blat z resztkami jedzenia, które ledwie zdążyła w siebie wcisnąć. Ostrożnie odsunęła rękę od nosa i znów poczuła ten smród, ale nagle zrozumiała, że odór bije od niej. Wstrętny zapach syntetycznej trucizny, której jej ciało gorączkowo usiłowało się pozbyć – dlatego spływała potem.

Pomału się podniosła i zdjęła cuchnące ubranie. Patrzyła, jak poszczególne części garderoby kolejno upadają na podłogę. W końcu stanęła naga w wychłodzonym mieszkaniu. Owinęła się kocem ściągniętym z kanapy. Akurat wtedy leżący na stoliku telefon zaczął wibrować, jakby był żywą istotą.

Na wyświetlaczu imię i nazwisko Kima Kolsø.

Mia usiadła na kanapie, ciaśniej owinęła się kocem i wcisnęła zielony guzik.

– Słucham.

– Mia? – Głos Kima brzmiał, jakby dobiegał z innego świata. Z bardzo daleka.

– Jesteś tam, Mio?

Kiwnęła głową.

– Halo?

– Tak, tak, *sorry*, jestem, Kim. Co nowego? – spytała Mia, wciągając nogi pod koc.

– Obudziłem cię?

– Nie, nie, nie stresuj się, już wstałam.

– Pomyślałem tylko, że sprawdzę, czy wszystko w porządku. I jak, okej?

– Tak, oczywiście. A u was?

Odpowiedziała odruchowo, ale czuła, że i głowa, i ciało naprawdę się budzą. Wyrwała się już z tego snu. Wiedziała, że jest w swoim mieszkaniu. Naga, pod kocem, z Kimem Kolsø na drugim końcu linii. Na ścianie nie było żadnych cieni.

– Aha, to dobrze. Dzwonił do ciebie?

– Kto?

– Munch.

– Nie, nie miałam od niego żadnych wiadomości.

– Tak samo jak ja. Próbowałem dzwonić, ale nie odbiera, więc pomyślałem, że może lepiej dam mu się wyspać.

– Myślę, że mądrze zrobiłeś.

– Gabriela też nie udało mi się złapać. Stwierdziłem, że on pewnie też śpi. Przeżył niezły szok.

– Tak – odpowiedziała Mia, choć nie do końca była jeszcze obecna.

Na chwilę zapadła cisza, jakby Kim oczekiwał, że usłyszy od niej coś więcej, ale w końcu powiedział:

– Zrobiliśmy więc krótki briefing, takie podsumowanie, chcieliśmy oczywiście poczekać na was, ale uznałem, że tak będzie lepiej.

– Jasne – mruknęła Mia.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, wszystko w porządku. – Mia wstała.

Podreptała przez pokój owinięta kocem, dotknęła elektrycznych grzejników pod oknem. Zimne. Chyba zapłaciła za prąd, prawda? Włączyła grzejniki i wróciła na kanapę.

– Nie bardzo wiem... – zaczął Kim Kolsø i znów urwał.

– Czego nie wiesz? – spytała Mia. Jej mózg powoli się budził.

– No... – ciągnął Kim. – Wydaje mi się, że niezłe zaszokowałaś ludzi.

– Czym?

– Jedną rzeczą była ta dziewczyna w kołowrocie, już samo to przerażało. Ale ten cień na ścianie za nią... Nawet Curry zaniemówił, a to już coś znaczy.

– Kim ostrożnie się zaśmiał.

Cień na ścianie.

Człowiek w ubraniu z piór.

– No to co omawialiście? – chrząknęła Mia.

– Tylko to, co już mamy – wyjaśnił Kim. – Badania techniczne kartki, którą znalazłaś w klubie jeździeckim. Żadnych odcisków oprócz Camilli. Rejestr połączeń. To, że ktoś stamtąd musiał wysłać wiadomość, że u niej wszystko w porządku.

– Albo ktoś w pobliżu – zauważyła Mia już całkiem przytomnie.

– No tak, oczywiście. Chociaż jakie jest prawdopodobieństwo?

– Marne – powiedziała Mia. – Ale trzeba to brać pod uwagę.

– No i nowe szczegóły z sekcji.

– Tak?

– Ale chyba nic takiego, co mogłoby się nam przydać. Wszystko tak, jak podejrzewaliśmy. Została uduszona. Vik uważa, że uśmiercono ją w miejscu, w którym została znaleziona. Ale nie ma stuprocentowej pewności.

– To znaczy, że poszła do lasu z własnej woli?

– Tak nie powiedział, ale owszem, to możliwe. Chociaż może raczej nie z własnej woli. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Mia rozumiała aż za dobrze. Camilla Green poszła do lasu o własnych siłach, chociaż nie dobrowolnie.

Po trzech miesiącach w kołowrocie w piwnicy.

– Mamy też kilka rzeczy, które technicy znaleźli w tym gospodarstwie ogrodniczym, i nie bardzo wiem, jak się do nich ustosunkować.

– Na przykład?

– W jednej ze szklarni odkryli marihuanę.

– Aha – powiedziała Mia.

– I co o tym myślisz?

– Nie wiem. Dużo było tych roślin?

Mii nagle przypomniało się spotkanie z Sebastianem Larsenem. Mieszkanie pachnące tak, jakby ktoś przeniósł je do Oslo z Amsterdamu. Na razie nie miała czasu, by to przetrawić.

O.T.O. Masoni. Znaczenie pentagramu. Nie bardzo wiedziała, jak się do tego odnieść. Nie wiedziała, czy Sebastian na dobre odleciał w kosmos, czy też to, o czym mówił, rzeczywiście mogło im się do czegoś przydać.

– Wydaje mi się, że osiem.

– Czyli na własny użytek?

– Nie wiem. – Kim ziewnął.

– Pogadamy o tym jutro – stwierdziła Mia.

– Okej.

– Jesteśmy wezwani na jakąś konkretną godzinę?

– Mówiłem ci już, że nie udało mi się skontaktować z Holgerem, więc powiedziałem wszystkim, że spotykamy się o dziewiątej. Pasuje ci?

– Tak, tak, oczywiście. – Mia ciaśniej owinęła kocem nagie ciało.

– No i... – znów zaczął Kim.

– Tak?

– Jeszcze raz odwiedziłem Olgę Lund.

– Kogo? – Mia nie bardzo rozumiała, o kim mowa.

– Tę starszą panią z Hurum.

– A tak, rzeczywiście.

Przypomniała ją sobie. Staruszka, której rozkładem dnia rządził program telewizyjny.

– No i coś ci z tego przyszło?

– Niestety, nie potrafiła powiedzieć nic poza tym, co już wiedzieliśmy. Biały samochód dostawczy. Jakieś oznakowanie na boku. Może kwiatek.

– Czyli ogrodnictwo? – Mia znów się ożywiła.

– Też miałem taką nadzieję. Ale ona powiedziała, że to równie dobrze mogła być pomarańcza.

– Mhm – westchnęła Mia.

– Wydaje mi się, że na razie możemy dać jej spokój.

– Ale tego białego dostawczaka była pewna?

– Tak – potwierdził Kolsø. – Problem w tym, że z tego, co mówi Ludvig, w Oslo i w Buskerud zarejestrowanych jest tysiące białych samochodów dostawczych, więc niby od czego mielibyśmy zacząć?

– Aż tyle? – zdumiała się Mia. – Rzeczywiście, musimy to na razie zostawić. Chyba że to się okaże jedyną rzeczą, jakiej możemy się trzymać.

Czuła, że po mieszkaniu powoli zaczyna rozchodzić się ciepło. Wyciągnęła nogi i ziewnęła. Tabletkowy sen nie pomógł. Potrzebowała prawdziwego, zdrowego snu.

– No i jeszcze... – Kim jakby przeglądał jakieś papiery. – Jeszcze ta peruka.

– Ta, w której została znaleziona?

– Tak. Jasne włosy, pamiętasz?

Dziewica w blond peruce.

– Oczywiście, że pamiętam. Coś mamy?

– To trochę dziwne... – Kim urwał, jakby sam nie do końca wierzył w informacje, które miał przed sobą. – Wszystko tu dzieje się bardzo szybko, technicy są na nas trochę źli, że chcemy wszystkiego od razu, ale...

– No mów – ponagliła go Mia.

– To na razie tylko wstępny raport, bo tak marudzimy. Ale wygląda na to, że mamy coś w rodzaju... Cholera, w ogóle się na tym nie znam, ale...

– No co?

– To cała gałąź wiedzy.

– Co?

– Peruki. Ja wiem tylko tyle, że po perukę idę do sklepu z zabawkami przed balem przebierańców. Kiedy chcę się przebrać na przykład za Marilyn Monroe i potrzebuję czegoś taniego, rozumiesz?

Mia była już całkiem przytomna i zorientowała się, że Kimowi o coś chodzi. Na razie nie potrafiła tego nazwać, ale wychwyciła coś dziwnego w głosie zwykle tak spokojnego kolegi.

– Ale to nie była taka peruka?

– No nie – przyznał Kim.

Mia miała wrażenie, że Kim ciągle wpatruje się w swoje notatki.

– To są dopiero wstępne badania, ale...

– Ale co?

– To podobno prawdziwe włosy – powiedział Kolsø.

– I to jest takie niezwykle?

– Mówiłem ci już, że nie bardzo się na tym znam. Ale facet z laboratorium, z którym rozmawiałem, Tormod czy Torgeir, nie pamiętam, jak mu na imię, powiedział, że znaleźli w niej włosy pochodzące od co najmniej dwudziestu różnych kobiet.

– W tej peruce?

– Tak – potwierdził Kolsø.

– To takie niezwykle? – spytała znów Mia.

– Może i nie, ale jeśli to jakaś droga peruka, może trzeba ją robić na specjalne zamówienie. Ile osób sobie takie zamawia? Blond peruka z długimi prawdziwymi włosami pochodzącymi od różnych kobiet na pewno musi trochę kosztować. Myślisz, że powinniśmy to sprawdzić?

– Koniecznie – zdecydowała Mia, wstając z kanapy. – Nie wydaje mi się wprawdzie, żeby to było aż tak niezwykle, ale możemy spróbować i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Podeszła do grzejnika pod oknem i poczuła na nagim ciele bijące od niego ciepło. Spojrzała na Stadion Bislett, na toczące się w dole życie. W Oslo dochodziła północ. Patrzyła na ludzi, którzy nie musieli żyć tak jak ona. Wcześniej poszli na piwo z kumplem, a teraz wracali do domu, żeby położyć się do łóżka z najbliższą osobą. Objęta para, młodzi uśmiechnięci ludzie przechodzący przez ulicę bez żadnych zmartwień. Kobieta w czerwonej puchówce stojąca przed latarnią. Kaptur na głowie i ręce w kieszeniach. Wpatrzona w jakieś okno, pewnie piętro wyżej albo piętro niżej niż jej mieszkanie. Może czeka, aż przyjaciel otworzy i wpuści ją do środka.

Zwyczajni ludzie, zwyczajne życie. Poczła gwałtowny przypływ zazdrości. Wstawać rano. Iść do pracy. Po południu wracać do domu. Pooglądać telewizję. Mieć wolne weekendy. Zrobić pizzę. Popatrzeć, jak jakiś biegacz na nartach coś wygrywa.

– Jesteś tam? – spytał Kim. Wcześniej powiedział coś jeszcze, co do niej nie dotarło.

– Tak, jestem.

– No i co o tym myślisz?

– Nie możemy porozmawiać o tym jutro rano? – spytała i wróciła na kanapę.

– Tak, tak, jasne – zgodził się Kim, ale ona znów poczuła, że kolega nie mówi jej tego, co ma ochotę powiedzieć.

– Świetna robota, Kim – pochwaliła go.

– Słucham? No tak, dziękuję, ale...

Znów zamilkł. Tym razem minęła dłuższa chwila, nim w końcu się odezwał.

– Nie wypychacie mnie poza nawias, prawda?

Mia w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Ty i Holger. Wiesz, o czym mówię?

– Poza nawias? – powtórzyła Mia. – Co masz na myśli?

Teraz nareszcie usłyszała to, czym jak wyczuwała, podszyta była cała ta rozmowa.

– No... ponieważ... Emilie i ja – mruknął Kim.

Mia zawsze miała ogromny szacunek dla tego zdolnego śledczego. Gdyby przyszło jej wybierać, w czyje ręce ma złożyć swoje życie, Kim Kolsø z pewnością zajmowałby bardzo wysoką pozycję. Jeszcze nigdy nie słyszała w jego głosie takiej niepewności.

– Co ci przychodzi do głowy, Kim?

– Ponieważ poprosiłem o przeniesienie. – Ta rozmowa wyraźnie dużo go kosztowała.

– Co to ma znaczyć?

– No nie wiem – odpowiedział Kolsø. – Ale chyba czuję, że... ponieważ Emilie i ja zamierzamy... i poprosiłem o przeniesienie... że już jestem wykluczony. Że robicie to beze mnie.

– Kim! – Mia starannie owinęła się kocem.

– Tak?

– Oczywiście, że nie!

– Na pewno?

Mię kolejny raz zdziwił niezwykle ton zazwyczaj tak opanowanego kolegi.

– Dlaczego, u diabła, mielibyśmy cię wykluczać? Przecież jesteś najlepszy w zespole, Kim!

– Nie, ja tylko...

– Jasne, że nie jesteś poza nawiasem. – Mia znów wstała.

– Okej, to dobrze.

– Inaczej być nie może.

Zrzuciła koc na podłogę i nago przeszła do łazienki.

– To znaczy, że briefing jutro o dziewiątej?

– Oczywiście.

– Świetnie. – Kim jakby chciał coś jeszcze dodać, ale powiedział tylko: – No to do zobaczenia.

– Widzimy się o dziewiątej. – Mia się rozłączyła, odłożyła telefon i weszła pod prysznic. Stała z głową opartą o kafelki, dopóki nie skończyła się gorąca woda.

Helene Eriksen wyłączyła stacyjkę, wysiadła z samochodu i zapaliła papierosa. Podciągnęła suwak puchowej kurtki pod samą szyję i nagle ogarnęło ją poczucie, że robi coś, czego nie powinna. Jak można spotykać się na jakiejś drodze na pustkowiu, po kryjomu, o tak późnej porze? Głęboko wciągnęła dym w płuca, aż czerwony żar oświetlił jej palce, i poczuła, że drży. Może z zimna, które październik tak nagle przyniósł ze sobą razem z ciemnością przynależną zazwyczaj listopadowi lub grudniowi. Ale oczywiście rozumiała, że to nie jest jedyny powód. Obciągnęła rękawy kurtki i stanęła ze wzrokiem wbitym w pustą drogę, wypatrując przednich reflektorów, które jak wiedziała, wkrótce powinny się pojawić.

– *Pokaż!*

Język wysunięty.

– *Grzeczna dziewczynka. Następny.*

To było ponad trzydzieści lat temu, ale nie chciało odpuścić. Ciągle potrafiła budzić się w środku nocy w mokrej od potu pościeli ze snu, w którym znów leżała na starej kanapie, pełna lęku o to, gdzie on był i co nastąpi. Lęku przed karą, jeśli zrobiła coś nie tak. Niewłaściwie się odezwała. Myślała inaczej, niż pozwalały ciotki. Wtedy miała siedem lat, teraz ponad czterdzieści, a jednak wszystko to wciąż w niej tkwiło, chociaż czuła, jak bardzo tego nienawidzi.

„To nie twoja wina”.

Tak brzmiały pierwsze słowa, które wypowiedział psycholog. Miała wtedy jedenaście lat, może dwanaście, nie bardzo już pamiętała; wiedziała tylko, że w jego gabinecie unosił się dziwny zapach i że miała problemy z otwarciem ust.

„To nie twoja wina, Helene. Chciałbym, żebyś od tego zaczęła. Staraj się tak myśleć. To nie twoja wina. Możesz to zrobić dla mnie? Potrafisz od tego zacząć?”

Helene Eriksen usiadła na masce samochodu i podciągnęła nogi. Siedziała tak po ciemku, wpatrzona przed siebie, w otaczający ją krajobraz. Cienie drzew przypominały żywe istoty, szepczących do siebie półżywych ludzi,

i przez to jeszcze mocniej poczuła, jak wielki niepokój budzi w niej przebywanie w samotności. Wyrzuciła niedopalonego papierosa i z powrotem wsiadła do samochodu. Tutaj było bezpieczniej. Wsunęła kluczyk do stacyjki, lekko go przekręciła, żeby włączyć ogrzewanie i radio.

– *Pokaż!*

Język wysunięty.

– *Grzeczna dziewczynka. Następny.*

Kliknęła kilka razy, odnalazła kanał, który lubiła i który mógłby skierować jej myśli w inną stronę, i podgłośniła. Chwilę bębniła palcami o kierownicę, wypatrując przez przednią szybę światła samochodu.

„Potrafisz to zrobić, Helene?”

Tłenić włosy. Chodzić stale w identycznym ubraniu. Zawsze robić to, co mówiły ciotki. Ciągłe to samo, dzień za dniem. Szkoła, joga, prace domowe, lekcje, tabletki, szkoła, joga, prace domowe, lekcje. Trzydzieści lat temu. Jak długo jeszcze będzie ją to prześladować?

„Rozumiem, że to trudne, ale jestem tu po to, żeby ci pomóc”.

Helene Eriksen wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i zapaliła kolejnego, chociaż właściwie wcale nie miała ochoty. Uchyliła drzwi auta, żeby nie siedzieć w dymie, ale prędko je zamknęła, bo na zewnątrz było za zimno. Zima w październiku? Jakby ktoś tam na górze postanowił ich ukarać.

„O czym myślisz, Helene?”

Dwunastolatka na krześle w Oslo przed obcym mężczyzną z wąsami.

„To nie twoja wina. Rozumiesz to, Helene?”

Zaciągnęła się papierosem i jeszcze podgłośniła radio. Lubiała, kiedy muzyka wypełniała przestrzeń w samochodzie, kierując jej myśli na inne tory.

Bankructwo. Gospodarstwo ogrodnicze na sprzedaż.

Dwadzieścia dwa lata. Zrobiła to, co jej kazali. Skończ szkołę średnią. Zdobądź wykształcenie. Zostań kimś.

Półwysep Hurumlandet. Prawie trzy hektary ziemi. Cztery szklarnie. Dobrze utrzymane, chociaż wymagające remontu.

Jazda autobusem. Do tego miejsca. Do gospodarstwa ogrodniczego, które zbankrutowało. A potem nagle ta radość, że już wie, co chciałaby robić w życiu.

Pomagać innym.

Wyłączyła radio, spojrzała na zegarek i znów wysiadła z samochodu. Rozważyła, czy nie zapalić kolejnego papierosa, ale uznała, że to nie ma

sensu, więc po prostu stała z rękami w kieszeniach puchowej kurtki i wpatrywała się w ciemność.

„O czym teraz myślisz, Helene?”

Zmieniła zdanie i jednak zapaliła, powiodła wzrokiem po drodze, na której wkrótce powinny pojawić się światła.

Ponad trzydzieści lat temu? Chyba niedługo powinno odpuścić?

Znow zaciągnęła się dymem, a wtedy światła, na które czekała, nagle się pojawiły i zaraz tuż obok niej zatrzymał się biały dostawczy samochód.

– Hej, co się dzieje? – spytał człowiek siedzący za szybą.

– Chyba słyszałeś? – odparła Helene.

– O czym?

– Nie wygłupiaj się. – Helene podeszła do białego auta. Widziała, że mężczyzna chwilę namyśla się nad odpowiedzią.

– No tak, ale to nie ma nic wspólnego ze mną.

Helene miała wielką ochotę mu uwierzyć, oddałaby wszystko za pozbycie się tych wątpliwości, ale czuła, że nie odejdą.

Jej brat.

Był bez ubrania.

Zupełnie nagi. Nagi, ale całe jego ciało pokrywały... pióra?

– Wypytyj – powiedziała, ciaśniej owijając się kurtką.

– O co?

– O wszystko. O wszystkich.

– O Boże, Helene, uważasz, że to ja?

– Byłeś tam, prawda? W swoim domu? Przez całe lato? Nie było cię tutaj, prawda? Po prostu muszę cię o to spytać. Tak cię kocham.

Brat się uśmiechnął i wysunął rękę przez okno.

– Ja też cię kocham, Helene, ale na miłość boską, żeby tak się spotykać na pustkowiu w środku nocy? To całkiem niepotrzebne.

Głupio jej się zrobiło, ale brat pogładził ją po rękę.

– No tak, ja tylko... no wiesz, te pióra...

– Skończyłem z tym już dawno. Wracaj do domu i idź spać, dobrze?

Zanim zamknął okno, Helene Eriksen jeszcze raz poczuła dotyk jego ciepłej dłoni.

Odjechał. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

CZEŚĆ V

Holger Munch najwyraźniej się wyspał, bo stał uśmiechnięty przy ekranie w sali briefingowej i czekał, aż wszyscy usiądą. Gabriel Mørk nie czuł się dobrze. Pierwszy raz od początku tego śledztwa zastanawiał się, czy po prostu nie zostać w domu. Dzień wolny dobrze by mu zrobił, pozwolił nabrać dystansu do sprawy. Tamten film kompletnie wytrącił go z równowagi. Cały czas czuł się źle, może to początki grypy? Poza tym jego dziewczyna była w ciąży, już w siódmym miesiącu, i miał ochotę spędzić z nią cały dzień. Może wyszliby się przejść po mieście? Kupić jakieś rzeczy dla synka, który tak niedługo miał się urodzić? Przyszedł jednak do pracy, bo wiedział, że wszystko to właściwie tylko wymówki. Szukał ich oczywiście z powodu Skunksa, dobrze wiedział, że padnie takie pytanie. Zdawał sobie sprawę, że muszą go znaleźć, i to on, rzecz jasna, będzie za to odpowiedzialny. Ale szczerze mówiąc, młody haker kompletnie nie miał pojęcia, jak to zrobić.

– Okej, dzień dobry. Witam wszystkich. – Munch uśmiechnął się, stając przy projektorze, kiedy w sali wreszcie zapadła cisza. – Przepraszam, że wczoraj trochę nie wytrzymałem. Widocznie zaczynam się starzeć.

Puścił oko, odpowiedziały mu przelotne uśmiechy.

– Zanim zacznę, spytam, czy ktoś ma do przekazania coś, co do mnie nie dotarło?

Gabriel zauważył, że Ylva niecierpliwie wierci się na krześle. Przyszła na briefing pierwsza i wyraźnie było widać, że chce podzielić się jakimś swoim odkryciem.

– Ja coś mam. – Uśmiechnęła się teraz, tym razem nie podnosząc ręki.

– Słucham – powiedział Munch.

– Tatuaż. – Ylva wstała i podała Munchowi kartkę. Nie bardzo wiedziała, czy ma z powrotem usiąść, kiedy Munch uważnie oglądał podany mu papier.

– Aha, świetnie! – pochwalił ją. – I co my tu widzimy? – Skinął Ylwie głową na znak, żeby podzieliła się tą nową informacją z pozostałymi w grupie. Gabriel widział, że Ylva się denerwuje, ale przede wszystkim jest dumna. Zanim zaczęła mówić, wsunęła jeszcze ręce do kieszeni.

– Chodzi mi o tatuaż, który Camilla miała na ramieniu. Wiecie, o czym

mówię, prawda?

Skinienia.

Koński łeb z literami A i F na dole.

– Siedziałam nad nim w nocy, bo coś mi się w tym nie zgadzało. Długo o tym myślałam. Wydawało mi się, że gdzieś to już widziałam, tylko nie mogłam sobie przypomnieć gdzie.

Stała wpatrzona w podłogę. Krępowała się trochę przemawiać do wszystkich, ale wyraźnie czuła też pewną radość.

– No więc nie mogłam zasnąć i leżałam, dalej się nad tym zastanawiając. I nagle uświadomiłam sobie, że... ta kreska pomiędzy, wiecie która...

Munch już zdążył odszukać zdjęcie tatuażu w komputerze i wyświetlił je na ścianie. Ramię Camilli. Koński łeb. Litery A i F.

– Nagle pomyślałam, że może to nie tylko A i F. Może ta kreska tutaj, widzicie...? – Podeszła do ściany i pokazała palcem.

Wszyscy patrzyli teraz z zainteresowaniem, jakby dopiero się budzili.

– Może ta kreska tutaj to wcale nie kreska, tylko jeszcze jedna litera? Widzicie?

– L? – spytała Mia, z namysłem kiwając głową.

– No właśnie – potwierdziła Ylva. – Jeśli te litery to nie tylko A i F, ale... spójrzcie tutaj. – Znów pokazała.

– ALF?

– Alf? – Curry ziewnął przeciągle. – Facet miał na imię Alf?

Ktoś się roześmiał.

Gabriel nie bardzo wiedział, co jest z Currym, ale ostatnio sprawiał wrażenie trochę roztargnionego. Zachowywał się jakoś inaczej.

– Mów dalej, Ylvo – poprosił Munch.

– Tak jak mówiłam, cały czas miałam coś z tyłu głowy, ale nie bardzo umiałam do tego dotrzeć, dopóki nagle nie zauważyłam tego L. Trochę czasu mi to zajęło, ale w końcu znalazłam w Internecie to. – Spojrzała na Muncha. – Wydrukowałam w kilku egzemplarzach. Czy mam...

Munch z uśmiechem kiwnął głową. Ylva szybko podeszła do swojego miejsca i rozdała kolegom jakieś kartki.

– Co to jest? – spytał Kim Kolsø.

– Animal Liberation Front – wyjaśniła Ylva, wracając do Muncha. – ALF. To ich logo. A raczej jedno z wielu. Koński łeb z literami pod spodem.

Rozległy się pomruki, a dziewczyna się rozpromieniła. Znów spojrzała na

Muncha, który dał jej znak, że ma kontynuować.

– Animal Liberation Front powstał w Anglii już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, a obecnie aktywnie działa w ponad czterdziestu krajach. To organizacja znana z agresywnego stosunku wobec ludzi lub firm przetrzymujących zwierzęta w niewoli, a zwłaszcza wobec laboratoriów przeprowadzających na nich doświadczenia. Niektórzy twierdzą, że to organizacja terrorystyczna działająca w imieniu zwierząt. Aby osiągnąć swoje cele, nie stronią od radykalnych, często wręcz nielegalnych środków.

– W Norwegii też działają? – spytała Mia.

– Właśnie to jest trochę dziwne, bo i tak, i nie – wyjaśniła Ylva. – W Norwegii nazywają się Front Wyzwolenia Zwierząt i działali bardzo aktywnie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego do dwa tysiące czwartego roku, urządzili szereg nalotów na hodowców zwierząt futerkowych, na sklepy z futrami i temu podobne. Mają stronę internetową, ale nie aktualizowali jej od dwa tysiące dziewiątego, więc nie mam pewności, czy są obecnie aktywni, czy nie. A może zaczęli działać w ukryciu, pod inną nazwą, nie wiem.

Znów spojrzała na Muncha, który dał jej znak, żeby usiadła.

– A więc nasza Camilla Green miała na ramieniu tatuaż będący logo organizacji działającej w obronie zwierząt, Animal Liberation Front. – Munch spojrzał na kartkę, którą Ylva dała mu wcześniej, i znów pochwalił dziewczynę: – Świetna robota, Ylvo. Naprawdę znakomita.

Uśmiechnęła się z dumą.

– Pracuj nad tym dalej. Sprawdź, co uda ci się znaleźć. Interesuje nas wszystko na temat Frontu Wyzwolenia Zwierząt, czy ostatnio były podobne akcje i czy w jakikolwiek sposób da się z nimi powiązać Camillę. Ludvig pomoże ci w przeszukiwaniu archiwów i we wszystkim innym, dobrze?

Ylva spojrzała na Ludviga, który zadowolony skinął jej głową.

– No to mamy świetny początek dnia – orzekł Munch.

Gabriel miał wrażenie, że szef zaraz postanowi wyjść, żeby zapalić, ale tak się nie stało. Munch, wyraźnie dzisiaj ożywiony, jakby chciał nadrobić przespane godziny, włączył projektor.

– Mamy sporo wątków, całkiem sporo, więc chyba najwyższy czas ustalić priorytety.

Podwładni przyznali mu rację.

– Najpierw to znalezisko u ogrodników. Marihuana? – Ruchem głowy

wskazał na Kima Kolsø.

– Tak, ale niedużo. Siedem czy osiem roślin.

– I co na ten temat sądzimy? Ma to dla nas jakieś znaczenie?

Kim wzruszył ramionami.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć, ale chyba warto to sprawdzić. Oczywiście to nie należy do naszego wydziału i nie wiem, na ile ci z narkotykowego zainteresują się takim odkryciem. Ale Helene Eriksen raczej będzie musiała się tłumaczyć.

– Jeśli w ogóle o tym wiedziała – zauważył Munch.

– No tak – przyznał Kim. – Ale ktoś od nich musi coś o tym wiedzieć. I to może nas do czegoś doprowadzić.

– Jasne. Chyba znów trzeba będzie dzisiaj tam pojechać. Zajmiesz się tym, Kim?

Kolsø kiwnął głową.

– *No problem.*

– To dobrze – powiedział Munch. – A kiedy już tam będziesz, popytaj o tę kartkę z rysunkiem sowy. To jak na razie nasz najwyraźniejszy ślad. Czy ktoś widział coś podobnego już wcześniej? Czy tę kartkę zostawił któryś z mieszkańców? Czy ktokolwiek coś o niej wie? Sam wiesz, co robić.

Kim Kolsø kiwnął głową.

– Zajmę się tym.

– Pojadę z tobą – oświadczył Curry.

– Dobrze – zgodził się Munch i wyświetlił na ścianie kolejne zdjęcie. – Peruka.

– No właśnie. – Ludvig zajrzał do swoich notatek. – Dość droga rzecz. Prawdziwe włosy. Nie wszędzie da się to kupić. Niewiele jest firm, które się tym zajmują. Ale znalazłem jeden sklep, nazywa się... – przerzucił kartkę – ... Ruhs, na Frogner. Pomyślałem, że zaczniemy od niego. Jeśli tam ją kupiono, to może został jakiś ślad. A jeśli nie, to może nam chociaż podpowiedzą, skąd pochodzi.

– Okej. – Munch wyświetlił następne zdjęcie. – No i mamy to.

Gabriel lekko drgnął na krześle na widok dwóch nowych fotografii, których wcześniej nie widział. Zorientował się, że nie tylko on tak zareagował.

– Ha! – skomentował Curry, wpatrzony w ekran.

– Anette? – Munch skinął na jasnowłosą panią prokurator.

– Jak z pewnością wiecie – zaczęła Anette – kilka dni temu zgłosił się

człowiek, który przyznał się do zabójstwa. Jim Fuglesang, trzydzieści dwa lata. Mieszka w pobliżu miejsca, w którym znaleziono Camillę. Pacjent Szpitala Psychiatrycznego Dikemark, gdzie wielokrotnie przebywał. Przyjmowany i wypisywany. Nie uważamy, żeby to on był sprawcą, ale interesujące jest to, że kiedy zgłosił się do komendy na Grønland, przyniósł ze sobą te dwie fotografie.

Gabriel przyglądał im się z ciekawością. Na jednym zdjęciu był kot, na drugim pies. Nieżywe zwierzęta ułożono w takiej samej pozycji jak Camille Green. Na posłaniu z piór. W pentagramie ustawionym ze świec.

– O Boże! – jęknęła Ylva.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – burknął Curry.

Munch lekko wzruszył ramionami.

– Tego nie rozumiemy. Nie wiemy, co widzimy. Jakies pomysły? – Spojrzał na podwładnych.

– Cholera, ten sam idiotyczny rytuał? – spytał Curry. – Z dwoma zwierzętami? Co to za psychol? – Zerknął na Mię.

– Słyszeliście, że nie mamy pewności – powiedziała Mia, dziwnie dzisiaj milcząca.

Jasne było, że Munch, Mia i Anette badali te zdjęcia już od pewnego czasu, ale nie odkryli, co mogą oznaczać. Gabriel nie miał pojęcia, dlaczego pozostałym członkom zespołu pokazano je dopiero teraz, lecz Munch i Mia zawsze mieli jakieś swoje powody, więc za długo się nad tym nie zastanawiał, bo ciągle się bał tego, co jak wiedział, wkrótce nastąpi. Kiedy przyjdzie kolej na niego. Kiedy zaczną rozmawiać o Skunksie.

– Nie mieliśmy możliwości porozmawiania z tym Jimem Fuglesangiem, ponieważ... – Munch znów spojrzął na Anette.

– Kontaktowaliśmy się z ordynatorem w Dikemark wczoraj. Twierdzi, że absolutnie nie wolno niepokoić Fuglesanga, najwyraźniej ostatnie wydarzenia całkiem go rozłożyły. Podobno w ogóle przestał mówić. Przypuszczam, że dostał silne leki uspokajające. Nie znam szczegółów. Obowiązek dochowania tajemnicy i tak dalej, przynajmniej tyle zrozumiałam.

– Ale rozmowę z nim ciągle mamy na liście, prawda? – spytał Munch.

– Oczywiście – potwierdziła Anette. – I to jak najszybciej.

– Gdzie zrobił te zdjęcia? I kiedy? To trzeba ustalić w pierwszej kolejności.

– Munch znów przeniósł wzrok na straszne fotografie na ścianie.

Mia Krüger wstała ze swojego miejsca i podeszła do szefa. Rzeczywiście

była dziś jakaś dziwna. Gabriel nie bardzo potrafił to określić, ale miała coś w oczach, w całej swojej postawie, wydawała się bardzo zmęczona i nie do końca obecna.

– Tak jak powiedział Holger, nie udało nam się jeszcze zrozumieć wszystkich powiązań, ale co do tego, że istnieją, nie ma najmniejszych wątpliwości. Te zdjęcia z pewnością muszą mieć coś wspólnego z zabójstwem Camilli. Przypadek jest wykluczony. – Zaczęła wskazywać poszczególne elementy. – Pióra. Świece. A przede wszystkim ułożenie rąk, czy w tym wypadku łap. Widzicie, są ułożone pod takim samym kątem jak ręce Camilli. Jedna podniesiona, druga opuszczona i lekko wysunięta w bok. Wskazują godzinę dwunastą i czwartą. Ale dlaczego? Na razie nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

Mia miała taką minę, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale zmieniła zdanie i wróciła na swoje miejsce. Naprawdę zachowywała się dziś dziwnie.

– Jakieś bezpośrednie skojarzenia?

– Chory sukinsyn – mruknął Curry.

– Dziękuję ci, Curry – skwitował Holger. – Jakieś inne pomysły, skojarzenia, cokolwiek?

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wydawali się zaszokowani fotografiami tak samo jak Gabriel.

– Wobec tego na razie to zostawmy, dopóki nie porozumiemy się z tym Jimem Fuglesangiem, okej? – Munch znów spojrzął na Anette Goli, która skinęła mu głową, i od razu wrócił do projektora.

Na ścianie pojawiło się nowe zdjęcie i Gabriel znów drgnął. Jego koledzy natomiast zachowali spokój. Widocznie już to widzieli po tym, jak on – wciąż czuł się głupio z tego powodu – zwymiotował i musiał iść do domu. Nie popisał się jako policjant. Teraz też czuł się niewesoło, ale z zainteresowaniem patrzył na zdjęcie. Wyglądało to na zatrzymany kadr filmu, powiększenie fragmentu ściany za wielkim kołowrotkiem, w którym biegała Camilla, żeby dostać jedzenie.

Ubrana w pióra postać.

Człowiek z piórami?

Gabriela przeszedł dreszcz i powróciło uczucie, które ogarnęło go po obejrzeniu tamtego filmu. Mdłości. Opanował się i wyczuł, że koledzy dookoła również ucichli. W sali dominowała atmosfera wielkiej powagi.

Munch wyraźnie wazył słowa, zanim się odezwał.

– Jak już mówiliśmy wczoraj, mamy wrażenie, że w tej chwili patrzymy na sprawcę.

– O, do kurwy nędzy! – wyrwało się Curry’emu.

– Obraz nie jest zbyt wyraźny – Munch wskazał kilka miejsc – ale wygląda na to, że siedzi tu człowiek.

Gabriel widział, że Munchowi nie jest łatwo o tym mówić.

– Obserwuje ją – ciągnął szef, starając się nad sobą panować. – Camilla jest uwięziona. I ma obserwatora. Osobę, która...

– Człowiek ptak? – przerwał mu Curry. – Co to, u diabła, ma być? Kto, do cholery, ma pióra na ciele?

Gabriel zauważył, że wszyscy znów patrzą na Mię, oczekując chyba od niej jakiegoś wyjaśnienia, pomocy, poskładania wszystkiego, ale Mia ciągle się nie odzywała.

– Uważamy, że ten ktoś, ta postać, ją obserwuje. Że zamknął ją po to, żeby na nią patrzeć. Dla własnej przyjemności? Nie wiemy.

Gabriel zauważył, że Munch też zerka na Mię. To była jej domena, zwykle to ona przedstawiała im wyjaśnienia, które nie mieściły się w głowie. Ale Mia dalej siedziała w milczeniu.

– Czyli tak. – Munch podrapał się w głowę. – Człowiek z piórami. Ubrany w pióra. Camilla leżała na posłaniu z piór. Zabity kot podobnie. Pies także. Rzeczywiście, czegoś tu nie rozumiem, ale zdecydowanie musimy to rozgryźć.

Jeszcze raz zerknął na Mię, ciągle bez efektu.

– Pióra sowy – rzucił Ludvig Grønlie.

– Właśnie. – Munch chyba się ucieszył, że ktoś inny zabrał głos.

– Znalazłem jeszcze coś dziwnego, ale nie wiem, czy to się może do czegoś przydać. – Ludvig zerkał w swoje notatki.

– Co to takiego? – zainteresował się Munch.

– Sprawa leżała dość głęboko w archiwum, nie miała priorytetu i natknąłem się na nią przypadkiem, więc nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale mimo wszystko...

– Mów, co znalazłeś! – ponaglił go Munch.

– Włamanie do Muzeum Historii Naturalnej na Tøyen kilka miesięcy temu. Tak jak mówiłem, to drobna sprawa, ale zwróciłem na nią uwagę, bo mimo wszystko jest w niej coś dziwnego.

Wszyscy wbili wzrok w starszego śledczego.

– Na pewno wiecie, gdzie to jest. W Ogrodzie Botanicznym na Tøyen.

Roślinki, kwiatki, różne takie. Ale mają też dział zoologiczny. No i kilka miesięcy temu... – zajrzał do swoich notatek – ...szóstego sierpnia zgłoszono kradzież z ich stałej wystawy, która nazywa się *Zwierzęta z kraju i ze świata*, a dziwne jest to, i właśnie dlatego zwróciłem na to uwagę, że mieli osobną gablotę ze wszystkimi występującymi w Norwegii gatunkami sów i tylko one zostały skradzione. To oczywiście nie musi nic znaczyć, ale chyba jednak warto przyjrzeć się temu bliżej.

– Zdecydowanie – stwierdził Munch. – Świetnie, Ludvig. Wiemy, z kim się tam kontaktować?

Grønlie znów zajrzał w swoje zapiski.

– Włamanie zgłosił starszy kustosz Tor Olsen, taką mam informację. Camillę znaleziono przecież na posłaniu z sowych piór, a ktoś ukradł z muzeum całą kolekcję norweskich sów.

– Trzeba to sprawdzić, i to od razu. – Munch z powagą kiwnął głową. – Bardzo dobrze, Ludvig. Mio, zajmiesz się tym?

Mia Krüger gwałtownie podniosła głowę, jakby wyrwano ją ze snu.

– Słucham?

– Sowie pióra. Włamanie do Muzeum Historii Naturalnej. Weźmiesz to?

– Tak, oczywiście – chrząknęła Mia, ale chyba nie do końca rozumiała, o czym mówi szef.

– No to dobrze – powiedział Munch.

Gabriel zrozumiał, że teraz kolej na niego.

– Ten haker, który znalazł film, twój dawny kumpel Skunks... Miałeś czas, żeby się tym zająć?

Wszyscy na niego patrzyli.

– Próbowałem, na razie jeszcze bez efektu. Ale ciągle próbuję i...

– Próbuj dalej – przerwał mu Munch. – Sprawdź, co ci się uda znaleźć. Koniecznie musimy z nim porozmawiać i dowiedzieć się, gdzie się znajdował ten serwer z filmem.

– Dobrze. – Gabriel kiwnął głową, zaskoczony i ucieszony tym, że wywinął się tak lekko. Początkowo nie rozumiał dlaczego, ale w końcu sobie uświadomił, że Munch niepokoi się o Mię, bo szef zwrócił się do niej:

– Możemy zamienić kilka słów u mnie?

– Słucham? – odezwała się półprzytomna Mia.

– W moim gabinecie. Znajdziesz dla mnie pięć minut?

Podniosła głowę.

– Oczywiście.

– No dobrze. – Munch spojrział na podwładnych. – Jeśli pojawi się coś nowego, zgłaszajcie to od razu. Proponuję kolejny briefing pod koniec dnia. Konkretną godzinę ustalimy później.

Pokiwali głowami, a Mia wolno podniosła się z krzesła i wręcz niechętnie poszła za Munchem do jego gabinetu.

Munch po wejściu Mii zamknął drzwi i usiadł na krześle za swoim biurkiem. Mia opadła na niewielką kanapę i stamtąd dziwnie mu się przyglądała. Spojrzał na nią, zastanawiając się, od czego zacząć. Nie potrafił odczytać lekko rozmytego wzroku Mii, ale miał wrażenie, że młodsza koleżanka myślami znajduje się zupełnie gdzie indziej.

– Co się dzieje? – spytała w końcu.

– To ja zamierzałem cię o to spytać.

– Słucham? – Mia na moment jakby się ocknęła.

Munch ponownie ważył słowa. Zastanawiał się nad tym już od kilku dni. Najpierw w Justisen, potem na wczorajszym briefingu, a także dzisiaj, na porannej odprawie. Mikkelson zawiesił Mię w czynnościach. Nakazał jej terapię u psychologa. Miała uzyskać potwierdzenie, że jest zdrowa, że rzeczywiście może wrócić do pracy. Munch początkowo wychodził z siebie, klnąc w duchu, że to cały Mikkelson, ale ostatnimi dniami coraz częściej zaczynał zadawać sobie pytanie, czy aby Mikkelson nie ma racji. Może Mia jeszcze nie była do tego gotowa? Przecież nie minęło aż tak dużo czasu, odkąd Munch odnalazł ją na wyspie w Trøndelag.

Mia oczywiście niczego nie wyjawiała, ale on i bez tego zrozumiał. Nie pojechała tam na urlop, ukryła się na wyspie, żeby uciec. Żeby odebrać sobie życie. Wtedy udało mu się nakłonić ją do powrotu. Wyglądała na kompletnie wycieńczoną, była chuda jak patyk, no i te martwe oczy. Potem przyszedł po nią kolejny raz. A teraz nie mógł pozbyć się wrażenia, że może wcale nie podjął właściwej decyzji. Może Mia jednak potrzebowała wolnego. Może nie była gotowa. Może mimo wszystko powinna chodzić na terapię.

– Jak się czujesz, Mio? Wszystko z tobą w porządku?

Mia wyrwała się ze śpiączki i wbiła w niego wzrok. Tym razem było to pełne irytacji, przytomne spojrzenie. Ta Mia, którą tak dobrze znał.

– Żartujesz sobie ze mnie?

Zrozumiała, do czego zmierza Munch, i ani trochę jej się to nie podobało.

– Nie miałem na myśli nic złego – zaczął się bronić i aż uniósł ręce. – Chcę tylko twojego dobra, to wszystko. Jestem za ciebie odpowiedzialny,

rozumiesz?

Starał się rozbroić ją uśmiechem, ale Mia się na to nie złapała. Dalej przyglądała mu się podejrzliwie.

– Mikkelson na ciebie napadł?

– Co takiego? Nie.

– Zrobiłam coś złego? Znów naraziłam dobre imię policji? Źle się prezentujemy w gazetach, bo jeszcze tego nie rozwiązaliśmy? Ile czasu minęło od znalezienia Camilli? Sześć dni? Posunęliśmy się cholernie daleko i mamy mnóstwo rzeczy do sprawdzenia...

Nachyliła się zirytowana.

– Nie, nie! – Munch znów uniósł ręce. – Nic takiego nie było. Mikkelson nic nie mówił. Nikt się na nas nie skarży. Zrobiliśmy wszystko jak należy. Ty zrobiłaś wszystko jak należy.

– I ja tak, do cholery, myślę! – warknęła Mia ze złością. – Przeklęty Mikkelson!

– To nie ma nic wspólnego z Mikkelsonem – oświadczył Munch.

– No to w czym problem?

– We mnie – powiedział Munch ostrożnie.

– Nie rozumiem.

– Po prostu trochę się o ciebie martwię. – Znów spróbował się uśmiechnąć.

– Martwisz się? Co jest, do cholery, Munch? O co się martwisz?

– Oczywiście nie o pracę, którą wykonujesz. Dobrze wiesz, że bez ciebie sobie nie poradzimy. Myślę po prostu o... o twoim zdrowiu, rozumiesz?

– Co rozumiem? Zdrowie? – Mia trochę się uspokoiła. – Dobrze się czuję. A nie wyglądam?

Munch nie powiedział głośno tego, co myślał. Że Mia wygląda na straszliwie zmęczoną. Na granicy wytrzymałości.

– No jasne. Ale, na miłość boską, czy przyjaciel nie może okazać trochę... jak to nazwać?

– Zidiocenia? – Mia uśmiechnęła się chytrze i znów była taka jak dawniej.

– Rzeczywiście, bardzo śmieszne – obruszył się Munch. – Troski. Tego słowa szukałem. Chodziło mi o troskę.

Mia wyjęła z kieszeni kurtki pastylkę odświeżającą. Położyła ją na języku i spojrzała na szefa już z większą życzliwością.

– Do diabła, Munch, nie jesteśmy w przedszkolu, prawda?

Mimo wszystko sprawiała wrażenie zadowolonej, że się nią interesował. Że

się przejmował.

– Ostatnio byłam trochę zmęczona, to muszę przyznać – westchnęła. – Źle sypiałam. Różne rzeczy krążyły mi po głowie. Ale to nic, z czym bym sobie nie poradziła. Rozumiesz? To dla mnie nie pierwszozna.

– Nie potrzebujesz dnia albo dwóch dla siebie?

– Chcesz mi dać wolne? – Mia się zaśmiała. – Opanuj się, Holger, bo stajesz się mięczakiem. Może jednak masz rację, może zaczynasz robić się za stary. Ile lat skończyłeś? Sześćdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt? Chcesz mnie odsunąć od sprawy w samym środku śledztwa? Czy to prima aprilis?

Mię najwyraźniej naprawdę rozbawił taki pomysł, bo śmiała się szczerze, kręcąc głową. A Munch poczuł, że znów zaczyna się zastanawiać, czy Mia na pewno jest w pełni sobą. Czy rzeczywiście jest obecna tu i teraz.

– To znaczy, że wszystko w porządku?

– Jasne, że w porządku, Holger. O Boże, czy odbywasz takie rozmowy ze wszystkimi współpracownikami, czy tylko ze mną? – Puściła do niego oko i wstała. – Bardzo ci dziękuję, że tak się przejmujesz, ale u mnie nic złego się nie dzieje.

– No dobrze. – Munch pokiwał głową. – Czym się zajmiesz najpierw?

– Muzeum Historii Naturalnej. Tymi sowami. Mam przeczucie, że coś w tym może być.

– Świetnie.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wsunął głowę Ludvig Grønlie.

– Znalazłem coś – oznajmił. – Przeszkadzam?

Spojrzał na Muncha, potem na Mię i z powrotem przeniósł wzrok na szefa.

– Nie, nie, wejdź. Co tam masz?

Ludvig położył na biurku Muncha kartkę.

– Inne zaginięcie – wyjaśnił.

– Ach tak?

– Z Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet.

Munch czytał ze zmarszczonymi brwiami.

– Co to za sprawa? – spytała Mia.

– Sprzed dziewięciu lat. Zgłoszono zaginięcie chłopaka.

– Z Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet?

– Tak. Nazywał się Mats Henriksen. Poszedł do lasu i nigdy stamtąd nie wrócił.

- Pokaż! – zainteresowała się Mia i Holger podał jej kartkę.
- Nigdy go nie odnaleziono? – spytał z powagą, patrząc na Grønliego.
- Nie. Z raportów wynika, że prowadzono poszukiwania, ale niezbyt długo.
- Bo? – zaciekała się Mia.
- Chłopak miał podobno skłonności samobójcze – wyjaśnił Grønlie. –

Sprawę umorzono.

- Ale nie znaleziono ciała?

- Nie, nigdy – odparł Ludvig. – Sądzicie, że to może mieć jakiś związek?

– Trzeba sprawdzić – stwierdził Munch. – Dobra robota, Ludvig. Przepuść to przez system, zobacz, czy coś nie wyskoczy.

- Okej – zgodził się Ludvig i wyszedł.

– Tutaj jest coś dziwnego – oświadczyła Mia, nie odrywając oczu od leżącej przed nią kartki.

- O czym myślisz?

- Nie wiem. Ale tu naprawdę coś się nie zgadza.

– Wiesz, że ja tylko... – zaczął Munch, ale uciszyło go spojrzenie, które posłała mu Mia.

- Co takiego? Tylko się o mnie troszczysz? – spytała sarkastycznie.

- No tak.

Mia wstała z kanapy i ruszyła do drzwi.

- Sama potrafię się o siebie zatroszczyć, Holger.

– Wiem, wiem, ja tylko... – Nie dokończył. Dalej siedział za biurkiem z czymś w rodzaju uśmiechu na ustach, kiedy oddawała mu kartkę i wychodziła z gabinetu.

Miriam Munch obudził zapach świeżo zaparzonej kawy i smażonego bekonu. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, gdzie jest. Dalej leżała z głową na poduszce, na poły w krainie snu, w końcu jednak otworzyła oczy i zrozumiała, że jest w domu.

Jaki to dzień? Piątek? Na moment wpadła w panikę. O Boże, która godzina? Przecież Marion idzie do szkoły! W końcu jednak sobie przypomniała, że córka jest u babci, która ją odprowadzi. Wczoraj wieczorem była na mieście. Z Ziggym. Trochę za długo. Za dużo piw. Nie bardzo pamiętała, ile dokładnie. Koniec wieczoru też jej częściowo umknął, ale w każdym razie teraz była w domu. Przynajmniej tu dotarła.

No i dobrze.

Nie uległa pokusie, chociaż musiała z nią walczyć. Miała ogromną ochotę, żeby wszystko rzucić. Iść z nim do jego mieszkania, wsunąć się pod jego kołdrę i zostać tam już na zawsze. Na szczęście udało jej się nad sobą zapanować. Nie mogła tego zrobić Johannesowi. Pamiętała, że właśnie o tym myślała przy którymś piwie. *Muszę najpierw z nim porozmawiać, zanim zdecyduję się na coś więcej, zanim to zajdzie za daleko. Muszę mu o tym powiedzieć. Zasłużył na to.* Udało jej się opamiętać. Na szczęście. Była teraz w domu. To dobrze. Wyciągnęła ręce nad głowę i przelotnie zerknęła na budzik stojący na nocnej szafce. Piętnaście po jedenastej. Długo spała. Oderwała głowę od poduszki, ale zaraz musiała położyć się z powrotem. Za dużo piwa. W skroniach jej pulsowało. Czy pod koniec nie było jeszcze dwóch tequili? Chyba tak.

Cudowny wieczór. Fantastyczny. Miriam Munch od dawna nie czuła się tak świetnie. Czy w ogóle kiedykolwiek odczuwała taką radość? Taką lekkość? Nie przypominała sobie.

Piętnaście po jedenastej? I zapach śniadania z kuchni?

Zwlekła się z łóżka, poszła pod prysznic i długo pod nim stała, rozkoszując się gorącą wodą. Na ogół kac nie dręczył jej zbyt długo, bez względu na to, ile wypijała. Zupełnie inaczej niż w wypadku kilku jej przyjaciółek, które potrafiły leżeć całymi dniami, dręczone lękiem niepozwalającym niemal na wyjście

z domu. Jej do odzyskania formy wystarczył na ogół ciepły prysznic i coś do jedzenia.

Nachyliła głowę i puściła jeszcze mocniejszy strumień. Strugi wody uderzyły ją w kark i natychmiast poczuła się lepiej. Dawniej przyjaciółki zazdrościły jej, że nigdy poważnie nie odchorowuje zabawy, niezależnie od tego, jak długo imprezowała i co w siebie wlewała. W dawnych czasach. Wtedy gdy bawili się cztery dni w tygodniu, kiedy prawie mieszkali na mieście. Szmata czasu. Dawna Miriam, nie ta nowa. Nie ta sprawna matka z podgrzewaną podłogą w łazience, karnetem na treningi w siłowni SATS i halogenami w podwieszanym suficie. Miriam sięgnęła po ręcznik i poczuła, że akurat z ogrzewania podłogowego bardzo się teraz cieszy. Był ledwie październik, a wydawało się, że nastąpiła zima. Miriam marzyła cały czas, niemal do szpiku kości, i już tęskniła za wiosną. Gorąca woda na karku i podgrzewana podłoga. To trochę pomagało. I jeszcze inne ciepło. Czowała je w całej sobie. *Boże, jakaś ty głupia. Jak nastolatka.* Wytarła włosy przed lustrem i pokręciła głową, ale wciąż się uśmiechała. Ostatnio często się na tym przyłapywała. Miała wrażenie, że cała głowa jej znika, że zostaje tylko uśmiech.

Zapach świeżej kawy? Piętnaście po jedenastej?

Owinęła włosy ręcznikiem, włożyła szlafrok, wyszła z łazienki. Aż zadrzała przestraszona na widok rozpromienionego Johanna szykującego w kuchni śniadanie. Nakrył do stołu. Sok, świeży chleb, sery. Wyjął nawet biały obrus.

– Cześć, kochanie. – Pocałował ją lekko w policzek i wrócił do kuchenki. – Chcesz jajka gotowane czy smażone?

Miriam stanęła na środku kuchni w szlafroku, niewiele z tego rozumiejąc. W piętek, piętnaście po jedenastej? Dlaczego Johannes nie był w pracy?

– Może smażone? – odparła pytaniem, nie mogąc się zdecydować.

– Siadaj, zaraz będzie kawa. Bo chyba się napijesz? Późno wczoraj wróciłaś? Byłaś na mieście?

– Tak. – Miriam, ciągle oszołomiona, kiwnęła głową i usiadła.

Czyżby coś jej umknęło? Zapomniała o czymś? Może są jej urodziny? Albo jakaś ich rocznica? Dlaczego Johannes nie jest w szpitalu?

– Chcesz mleka?

– Słucham?

– Do kawy. Jeszcze nie oprzytomniałaś?

– Nie bardzo. – Miriam ciągle nie mogła pojąć, co się dzieje.

Johannes postawił przed nią kawę. Jeszcze raz pocałował ją w policzek i wrócił do kuchenki.

– Późno wczoraj wróciłaś?

– Dość. – Miriam podniosła filiżankę do ust. – A co?

– Tak tylko pytam – odparł Johannes znad patelni. – Rozmawiałem wczoraj z Marianne. Powiedziała mi, że Marion jest u niej, a ty wyszłaś gdzieś z przyjaciółką. Miło spędziłaś czas?

– Byłam z Julie – powiedziała Marion ostrożnie, czując wyrzuty sumienia.

– Z Julie? Z przyjaciółką z dawnych czasów? Co u niej?

– Jak zawsze – mruknęła Miriam. – Wiesz, jaka jest. Kłopoty sercowe, potrzebowała trochę pociechy.

– Dobrze, że mogłaś jej pomóc. – Johannes przyniósł do stołu patelnię i nałożył jej jajka na talerz. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jedli razem śniadanie. A już z pewnością nie pamiętała takiego traktowania jak dzisiaj. Dlaczego nie był w pracy?

– Twój telefon nie działa? – spytał Johannes, siadając.

– Dzieje się z nim coś dziwnego – zaczęła tłumaczyć Miriam. – Niektóre eemesy dostaję, innych nie. I czasami nie można się do mnie dodzwonić. Nie mam pojęcia, co to może być. A co?

– Próbowałem cię złapać, ale nie odbierałaś.

– Nie zauważyłam. – Miriam zrobiło się naprawdę głupio.

Usunięty przez prysznic ból głowy ukradkiem powracał.

– Może coś nie tak z twoim abonamentem? – Johannes nalał jej soku do szklanki. – Albo trzeba coś zaktualizować. To na pewno nic trudnego.

Ukroił kawałek sera i położył go na kromce chleba.

Do Miriam nagle wrócił wczorajszy wieczór. Ziggy. Te piękne oczy po drugiej stronie stołu. Poczula, że nie wie, co robić. A przecież już podjęła decyzję. Chciała żyć uczciwie, więc musiała powiedzieć o tym Johannesowi. Ale odwaga zaczynała ją zawodzić. Takie traktowanie i ta uśmiechnięta, otwarta twarz naprzeciwno. Nie ma szans. Nie teraz. No i co to w ogóle znaczy? Jednak jakiś jubileusz, o którym w ogóle nie pamiętała? Ale przecież poznali się latem. Postanowili, że będą ze sobą chodzić, i ogłosili to na Facebooku jak para czternastolatków. Ale to się stało ósmego sierpnia, to była ich data. Musi chodzić o coś innego.

– Ach, prawie zapomniałem. – Johannes uśmiechnął się, wstając.

Wrócił i stanął przed nią, trzymając ręce za plecami, jak za dawnych

czasów, kiedy coś jej kupił. „Z lewej ręki czy z prawej?”

– Czy ja mam dziś urodziny? – spytała zakłopotana Miriam.

– Nie, ale chyba mi wolno, prawda?

– Kupiłeś mi prezent?

– Owszem. Z lewej ręki czy z prawej?

– Z lewej – mruknęła Miriam, teraz już naprawdę walcząc z wielkimi wyrzutami sumienia.

– Bardzo proszę. – Johannes położył paczuszkę przed nią na stole.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Nie otworzysz?

– Oczywiście, po prostu się zastanawiam. Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

– Bo mam dobrą nowinę. – Johannes usiadł.

– No to mów.

– Najpierw rozpakuj. – Roześmiał się.

Miriam powoli otwierała prezent, czując, że teraz już nie zapanuje nad poczuciem winy. Musi trzymać język za zębami. Zdjęła papier i otworzyła znajdujące się w środku pudełko.

– Ojej. – Uśmiechnęła się, ciągle trochę pogubiona. – Dziękuję.

– Zegarek treningowy. Pokazuje, ile przebiegłaś. Mierzy puls. Przyda ci się na siłowni.

– Super. – Miriam pokiwała głową. – Bardzo... bardzo fajny.

– Chciałaś taki, prawda?

– Jasne. Dzięki, Johannes, ogromnie miło z twojej strony.

Głos, który wydobywał się z jej ust, brzmiał dziwnie. Jakby w ogóle nie należał do niej, tylko dochodził z jakiegoś innego miejsca. Kiedy zaczęli się od siebie oddalać? Zawsze byli tak daleko od siebie? Czyżby nigdy nie była sobą? Ten głos rozlegający się teraz nad stołem zupełnie nie przypominał tego, który wydobywał się z niej poprzedniego wieczoru.

„Więc idziesz z nami?”

„Jasne, że tak”.

„Na pewno?”

„O Boże, a jak myślisz? Trzeba ratować niewinne zwierzęta z laboratorium”.

„No to świetnie. Mamy zebranie jutro wieczorem. Myślisz, że będziesz mogła przyjść?”

„Oczywiście, że przyjdę”.

– No więc dobrze, dlaczego nie jesteś w pracy? – chrząknęła Miriam, usiłując ukryć nieszczerą za filizanką z kawą.

– Tak jak ci powiedziałem, mam dobre wiadomości. – Uśmiechnął się.

– Już się nie mogę doczekać.

– Wytypowali mnie na tę doroczną konferencję medyczną w Sydney – oznajmił Johannes z dumą. Oczy prawie mu zaświeciły.

– O rany, to naprawdę świetna nowina.

– No właśnie. Zgłoszony był Sunde. Nie chcę o nikim źle mówić, ale w końcu wybrali mnie. Rozumiesz, co to oznacza, prawda? – spytał Johannes, wciąż z błyskiem w oczach.

– Oczywiście – odparła Miriam.

– Może już za kilka lat zostanę ordynatorem. Pewnie nawet nie przypuszczałaś?

– Nie. To znaczy tak... Gratuluję, Johannes!

Miriam naprawdę nie wiedziała już, co mówić.

– Dziękuję. Ale muszę jeszcze spytać, co ty na to. Nie mogę przecież zniknąć bez słowa, zwalić na ciebie wszystkich obowiązków, Marion i w ogóle. To nie byłoby w porządku.

– Nie rozumiem.

– Muszę wyjechać już w poniedziałek, a to seminarium trwa dwa tygodnie, więc przepraszam, że cię informuję z tak krótkim wyprzedzeniem. Poradzisz sobie sama? Zgadzasz się?

Powoli zaczęło do niej docierać, o co w tym wszystkim chodzi. Obrus na stole. Zaparzona kawa. Nagły prezent bez przyczyny. To nie były żadne urodziny czy rocznica. Chciał wyjechać, i to prawie natychmiast, dlatego miał poczucie winy.

– Więc się zgadzasz? Uważasz, że to w porządku?

– Jedziesz do Australii w poniedziałek i nie będzie cię dwa tygodnie?

– Do Sydney – sprecyzował Johannes.

– Jasne, że się zgadzam. – Miriam pokiwała głową.

– I dasz sobie radę? Z Marion?

– Oczywiście. Przecież jest mama, to żaden problem.

– Dziękuję ci, Miriam. – Johannes wziął ją za rękę.

Miriam pierwszy raz poczuła się nieswojo, będąc tak blisko niego. Ale nie wyrwała mu się.

– Nie włożysz?

– Czego?

– Nie przymierzysz zegarka?

– A tak, rzeczywiście. – Miriam szybko zapięła na nadgarstku niebieską bransoletkę.

– Pasuje do ciebie.

– Tak myślisz?

– Jasne.

Uścisnął jej dłoń, Miriam ostrożnie odwzajemniła uścisk.

– Uważam, że powinniśmy to uczcić, co ty na to? Mam wolny cały weekend. Może Marion została by u babci i Rolfa na jeszcze jedną noc? Wyszlibyśmy do restauracji.

– Dzisiaj wieczorem?

„Myślisz, że będziesz mogła przyjść?”

„Oczywiście, że przyjdę”.

– Byłoby fantastycznie – szepnęła Miriam i sięgnęła po filiżankę z kawą. – Ale już się umówiłam z Julie.

– Znowu?

– Tak. Może to trochę głupie, ale z nią naprawdę nie jest najlepiej. Prawdę mówiąc, fatalnie.

– Ach tak.

– Ale może jutro? – zaproponowała szybko.

– Może być i jutro. – Johannes wstał. – Muszę zadzwonić do taty.

– Jasne.

– Doroczna konferencja w Sydney. Jak myślisz, co powie? Będzie dumny, prawda?

– Na pewno się ucieszy. – Miriam się uśmiechnęła i znów ukryła za filiżanką, a Johannes wyjął telefon i wyszedł do przedpokoju.

Całkiem przystojny – to Benedikte Riis musiała przyznać, gdy patrzyła na jednego z policjantów, którzy stali teraz przed nimi w dużej klasie.

Kim, chyba tak mu było na imię. Gładkie ciemne włosy, tak ładnie opadające na bok. Oczywiście daleko mu do Paulusa, ale i tak poczuła lekkie łaskotanie, kiedy Helene poprosiła wszystkich o spokój. Ten przystojniak miał coś ważnego do powiedzenia. Trzymał w ręce kartkę, dziecinny rysunek, jakieś bazgroły wyobrażające sowę.

– Bardzo proszę wszystkich o ciszę, to ważna sprawa – powtórzyła jeszcze raz Helene.

– Jeśli więc któraś z was widziała już kiedyś tę kartkę albo coś podobnego, to bardzo prosimy, żeby powiedziała nam o tym od razu. To dla nas bardzo ważne – powtórzył policjant i posłał kopię rysunku przez ławki. – Pokażcie go też nieobecnym, dobrze?

Helene pokiwała głową. Ale Benedikte Riis myślami była już gdzie indziej.

Rysunek znaleziony w szafce Camilli Green.

Na samą myśl poczuła mdłości.

Camilla Green.

Wszystko tak dobrze się zapowiadało, dopóki nie pojawiła się któregoś dnia. Camilla z tym swoim śmiechem i błyszczącymi oczami. Benedikte od razu miała złe przeczucia. A przecież to ją lubił Paulus. Wprawdzie nie sypiali ze sobą ani nawet się nie całowali, ale mimo wszystko odnosiła wrażenie, że w pewnym sensie są parą. Paulus i ona. W każdym razie to ona cieszyła się jego największą sympatią. To jej poświęcał najwięcej uwagi. Chociaż w głębi ducha może wiedziała, że nigdy nie będą razem, to pielęgnowała w sobie nadzieję, że on pewnego dnia zrozumie, iż właśnie tak powinno być.

„Paulus i Benedikte”.

Wyryła taki napis na biurku w swoim pokoju. Imiona obrysowała serduszkami, a cały rysunek czymś nakryła, żeby przypadkiem nikt go nie zobaczył. Za każdym razem gdy gładziła palcami ich imiona, czuła, że to w pewnym sensie prawda, że są razem.

I prawie tak było. Naprawdę pokazał jej szalas w lesie, zabrał ją tam,

dokąd nie zabierał nikogo innego, robili razem różne rzeczy. Aż nagle pewnego dnia pojawiła się ona.

Camilla Green.

Benedikte ledwie zdołała ukryć zazdrość, gdy zobaczyła, jak bardzo oczarowała go ta nowa. Jak ją oprowadzał. Jak dotykał jej ramienia. Ten jego uśmiech. I te piękne piwne oczy, które patrzyły na tamtą w taki sposób, w jaki nigdy nie patrzyły na nią.

Cieszyła się, że Camilla zniknęła.

Może nieładnie tak myśleć, ale naprawdę się cieszyła, że już jej tu nie ma. Przecież ona wszystko tylko psuła. Wcale aż tak bardzo nie lubiła Paulusa. A już na pewno nie w taki sposób, w jaki lubiła go Benedikte. Camilla chciała tylko zwrócić na siebie uwagę, czyjąkolwiek, no bo co ona wiedziała o Paulusie? Odrzucała włosy. Puszczala do niego oko w jadalni, odsłaniała ramię spod swetra. To nie była prawdziwa miłość. Taka jak ta, która łączyła Paulusa i ją, Benedikte. Pojęła to już pierwszego dnia, kiedy Paulus pomagał Camilli wyjąć walizkę z taksówki. Kiedy ją witał. Kiedy pokazywał jej pokój. Benedikte miała ochotę nazwać ją dziwką, choć może raczej fałszywą kusicielką, zresztą wszystko jedno. W każdym razie, odkąd pojawiła się Camilla Green, między nią a Paulusem już nic nie było takie jak dawniej.

Postanowiła, że będzie go chronić, bo nie rozumiał, co dla niego dobre. Tak jak z tymi roślinami w ostatniej szklarni. Z marihuaną. Czy zdradził swoją tajemnicę którejś z pozostałych dziewczyn? Nie, tylko jej. Pewnego wieczoru, już dawno temu.

„Pokażę ci coś, ale nie wolno ci o tym nikomu mówić”.

Naprawdę zależało mu wyłącznie na niej, chociaż sam tego nie rozumiał.

„Paulus i Benedikte”.

Serduszko wyryte na biurku. Co wieczór dotykała je palcami i całowała na dobranoc.

– Więc, dziewczynki, pomożemy policji z tą karteczką, bo to ważne, dobrze?

Kiwanie głowami, a potem opuszczenie klasy i rozejście się do swoich spraw. Benedikte włożyła na głowę kaptur puchówki i zobaczyła, że z ust unosi jej się para.

Świat był jakiś dziwny, zima w październiku. Nie tak to powinno wyglądać. Może to jakiś znak? Że nie jest tak, jak być powinno? Że ktoś musi coś zrobić? No ale przecież coś już się wydarzyło. Camilla zniknęła. Może Paulus również

dostrzeże ten wczesny mróz i zrozumie, że dokonał niewłaściwego wyboru?

Czuła, że musi zaraz się z nim zobaczyć. O tylu rzeczach powinni porozmawiać. Inne dziewczyny go szukały, kiedy policja przyszła pokazać im kartkę tej dziwki, ale go nie znalazły.

Tylko ona wiedziała, gdzie jest.

Oczywiście.

Benedikte Riis wiedziała wszystko o Paulusie. O wiele więcej, niż miał tego świadomość. Często za nim chodziła, szpiegowała go niezauważona. Uznała, że najlepiej, by czasami o tym nie wiedział. Ktoś musiał się nim opiekować.

Szałas na samym końcu posiadłości. Tuż przy płocie sąsiada. To było jego miejsce. Często tam przesiadywał. Mało kto o tym wiedział, ale ona tak. Ponieważ kiedyś ją tam zabrał. Pokazał, jak zrolować skręta. Próbowała tego już wielokrotnie wcześniej, ale udawała, że nie ma o tym pojęcia, bo jemu się to podobało. Z przyjemnością tłumaczył jej, jak to zrobić.

Wypalili go razem i śmiali się ze wszystkiego. Od tamtego wieczoru stało się to niemal ich zwyczajem. Chodzili tam w piątkowe albo w sobotnie wieczory tylko we dwoje i śmiali się w tajemnicy przed wszystkimi. Dopóki nie pojawiła się ona.

Camilla Green.

Czasami Benedikte stała na zewnątrz pod oknem, a oni o tym nie wiedzieli. Słyszała, jak szepczą ze śmiechem, tak jak wcześniej ona z nim.

– Paulus?

Benedikte zapukała, ale nie usłyszała odpowiedzi.

– Paulus?

Zapukała jeszcze raz, pchnęła niewielkie drzwi i ostrożnie weszła do szałasu.

Starszy kustosz Tor Olsen z Muzeum Historii Naturalnej przekroczył już pięćdziesiątkę i na pierwszy rzut oka przypominał trochę Alberta Einsteina. Był siwy jak gołąb, włosy sterczały mu na wszystkie strony, a osobowość miał równie roztrzepaną jak fryzurę.

– Jesteście nareszcie. – Zaprosił Mię Krüger do swojego gabinetu. – Trochę to trwało. Kawy? Herbaty? Czy przystępujemy od razu do rzeczy?

Wyraźnie było widać, że w opinii kustosza sprawa jest poważna. Włamano się do muzeum. Zginęły sowy. Już dawno na dziedzińcu powinien stać tuzin radiowozów z niebieskimi światłami i wyjącymi syrenami. Mia uśmiechnęła się po nosie, ale nic po sobie nie pokazała. Przywykła do takiej reakcji, częstej przy pierwszym zetknięciu z przestępczością. Ludzie wierzyli, że policja pospieszy z pomocą. Pojawi się natychmiast. Rozwiąże sprawę. Jak w telewizji. Właściwie taka naiwność była nawet dość miła, lecz bardzo odległa od rzeczywistości. Mia nie miała w głowie wszystkich statystyk, ale to nie były imponujące liczby. Około stu trzydziestu tysięcy zgłoszonych kradzieży w Norwegii w minionym roku. Sto dwadzieścia tysięcy umorzonych spraw. Dziesięć tysięcy rozwiązanych. Właściwie to wstyd. Dlatego Mia wątpiała, by część niewielkich środków przeznaczonych na wykrywanie złodziei poświęcono na sprawę skradzionych ptaków. Trzydzieści zabójstw. Dwadzieścia trzy wyjaśnione. Żadnej sprawy nie umorzono. Ta statystyka podobała jej się bardziej. Ale włamanie? Doprawdy nie było się czym chwalić. Chociaż właściwie to nie jej problem. I bez tego miała o czym myśleć.

– Możemy przejść od razu do rzeczy – zdecydowała.

– Pani jest sama? – Roztargniony siwowłosy mężczyzna rozejrzał się dokoła.

– Słucham? – zdziwiła się Mia.

– Jest pani sama? Nikogo więcej z panią nie ma?

Mia znów ukryła uśmiech. Ten Olsen był niezłym dziwakiem i sprawiał wrażenie kompletnie oderwanego od rzeczywistości. Zdawał się też nie pamiętać, że od zgłoszenia włamania minęły dwa miesiące.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, że mamy tu wyjątkową kolekcję obiektów? Ponad dwa miliony gatunków z całego świata. Ssaki, ptaki, ryby, owady, skorupiaki, mięczaki, robaki...

– Robaki?

Olsen spojrział na nią ponad szklami okularów.

– Bezkręgowce. Organizmy jedno- i wielokomórkowe.

Starszy kustosz lekko pokręcił głową i westchnął. Chyba ostatecznie nabrał przekonania, że policja do tej sprawy o niezwyklej wadze wyznaczyła niewłaściwą osobę.

– Ale skradziono tylko sowy? – Mii udało się ukryć kolejny uśmiech.

– Tylko? – Olsen spojrział na nią urażony. – Wszystkie norweskie sowy zgromadzone w jednym miejscu! Może się wydawać, że to mało, bo przecież mamy tylko dziesięć gatunków, ale pani zdaje sobie sprawę, ile pracy w to włożyłem?

– Rozumiem. – Mia z powagą kiwnęła głową. – Czyli w Norwegii jest tylko dziesięć gatunków? Mam na myśli sowy.

– Sóweczka zwyczajna, sowa włochata, uszatka błotna, sowa jarzębata, sowa uszata, puchacz, puszczyk zwyczajny, puszczyk mszarny, puszczyk uralski, sowa śnieżna, jedenaście z płomykówką, którą wielokrotnie udało nam się zaobserwować, ale ten gatunek oczywiście nie rozmnaża się u nas w kraju.

– Oczywiście. – Mia pokiwała głową. – A gdzie były prezentowane?

– Na naszej stałej wystawie *Zwierzęta z kraju i ze świata* – wyjaśnił z dumą Olsen.

Mia wyczuła, że ta wystawa to jego ukochane dziecko.

– A więc tak jak powiedziałem, na naszej stałej wystawie. Nieczęsto wprowadzamy w niej zmiany, ale któregoś dnia wpadłem na taki pomysł. Sowy. Sowy Norwegii. Sowa to niezwykle interesujący ptak. Tajemniczy. Coś, co z pewnością spodoba się młodzieży. Może podniesie liczbę zwiedzających, rozumie pani?

Mia z trudem powstrzymała się od śmiechu. Szczerze wątpiła w to, by dzisiejsza młodzież pozwoliła się oderwać od ekranów komputerów tylko dlatego, że w Muzeum Historii Naturalnej pojawiła się wyjątkowa kolekcja norweskich sów.

– Rozumiem – przytaknęła. – Świetny pomysł. Fantastyczna myśl.

– Dziękuję – powiedział Olsen. – Pewnie chciałaby pani zobaczyć miejsce zdarzenia? A może zechce pani obejrzeć całą wystawę, skoro już nas pani

odwiedziła?

– Z przyjemnością. – Mia ruszyła za kustoszem.

– Pierwszą gablotę zatytułowaliśmy *Pod powierzchnią morza* – oznajmił Olsen, kiedy najwyraźniej dotarli do początku słynnej wystawy. – Jak pani widzi, jest tu kur diabeł, węzyna, makrela, śledź, żarłacz szary...

Mia nie bardzo mogła się już skupić, bo nagle ogarnęło ją poczucie, że to strata czasu. W myślach wciąż wracała do wizyty u Sebastiana Larsena. Nie miała jeszcze czasu, żeby przetrwać wszystkie informacje, które przekazał jej antropolog. Sekty. Zakony. Senatorowie i najwyżsi kapłani. Jakieś mroczne rytuały. Tu, w Norwegii? Nie potrafiła w to uwierzyć.

– Gablotę numer dwa nazwaliśmy *Ptasią górą* – ciągnął Olsen, ale Mia słuchała jednym uchem. – Mamy tu kormorana czubatego, nurzyka zwyczajnego, alkę krzywonosą...

Nie mogła się uwolnić od myśli, że w tym, co mówił Larsen, jednak coś jest.

O.T.O. Thelema. „Czyni wedle swej woli będzie całym Prawem”. Może to jakieś wygłupy, banda niegroźnych szaleńców? Ale miała w pamięci Camille ułożoną w pentagramie ze świec i ten straszny film, więc może jednak...

– A tu mamy gablotę numer pięć – kontynuował Olsen, lecz teraz Mia czuła, że już dłużej tego nie wytrzyma.

Zmarnowany czas.

– A gdzie jest gablota z sowami?

– Stoi pusta – wyjaśnił kustosz. – Obok są dzikie renifery, więc...

– Nie, wydaje mi się, że wystarczy. – Mia się uśmiechnęła.

Tor Olsen spojrzał na nią zaskoczony.

– Jeśli nie ma czego oglądać w związku z sowami, to chyba już sobie pójdę.

– Już?

– I tak dowiedziałam się bardzo dużo. Pan ma imponującą wiedzę. I bardzo mi pan pomógł.

– Aha. No dobrze – zgodził się kustosz.

W drodze do wyjścia Mia spojrzała w róg sali i dostrzegła kamerę.

– Filmujecie wszystkich odwiedzających?

– Owszem, ale niestety wyłącznie w godzinach otwarcia.

– A włamania dokonano nocą?

– Przecież mówiłem o tym, kiedy zgłaszałem kradzież. Nie zapoznała się pani z raportem? Przyszedłem do pracy jak zwykle, o siódmej piętnaście,

i kiedy...

– Po prostu chciałam się upewnić – weszła mu w słowo Mia. – Więc nie ma żadnego nagrania?

– Niestety. – Kustosz wyprowadził ją z sali muzealnej.

– Dużo macie odwiedzających?

– Może nie tak dużo, głównie klasy szkolne i grupy. Większość przychodzi obejrzeć ogród botaniczny. Jest naprawdę wyjątkowy. I zdarza się, że zaglądamy też tutaj.

– Klasy szkolne? – podchwyciła Mia. – Prowadzicie jakiś rejestr tych odwiedzin?

– Owszem – potwierdził Olsen. – Ale to Ruth się w tym orientuje.

Ogród Botaniczny. Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet. Rośliny. Kwiaty. Może to strzał na oślep, ale chyba warto spróbować?

– A nie ma jej tu teraz?

– Nie, wyjechała na Wyspy Kanaryjskie. Cierpi na reumatyzm i ubezpieczyciel opłaca jej wyjazdy. Wie pani, ciepło jest dobre dla stawów.

– Czy może pan poprosić Ruth po jej powrocie, żeby przesłała mi listę klas, które odwiedziły muzeum w okresie przed włamaniem? – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła wizytówkę.

– Wraca w poniedziałek. Oczywiście, przekażę – zapewnił kustosz i spojrzał na wizytówkę.

Nagle szeroko otworzył oczy.

– Jednostka do spraw zabójstw? Ale...

– Liczę, że albo pan, albo Ruth się odezwiecie – przerwała mu Mia.

Siwowłosy kustosz ostrożnie kiwnął głową, tym razem patrząc na Mię zupełnie inaczej niż poprzednio. Kiedy schodziła ze schodów, kierując się do bramy, dosłownie czuła jego wzrok na plecach.

Zmarnowany czas.

Powinna była go poświęcić na ważniejsze sprawy. Spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia. Po dziwnej rozmowie w gabinecie Muncha udało jej się trochę odpocząć. Opuściła pokój bardzo poirytowana, ale po pewnym czasie doszła do wniosku, że może szef ma rację, bo rzeczywiście czuła się zmęczona. Przespała się więc kilka godzin w domu, a potem przyszła tutaj. Bezsensowna strata czasu. Była zła na siebie. Kiedy wsiadła do samochodu, zadzwonił telefon.

– Słucham, Mia.

– Tu Holger.

Już po jego głosie poznała, że coś się wydarzyło.

– Coś nowego?

– Owszem – natychmiast odparł Munch. – Kim i Curry trafili w dziesiątkę u tych ogrodników. Paulus Monsen i jedna z tamtejszych dziewczyn, Benedikte Riis.

– Co z nimi?

Munch przez chwilę się nie odzywał, ale Mia słyszała, że coś dzieje się w tle.

– Już jadą na przesłuchanie. Resztę załatwimy na miejscu.

– Na Grønland?

– Tak.

– Zaraz będę. – Mia natychmiast włożyła kluczyk do stacyjki.

Mia ostrożnie zamknęła za sobą drzwi do małego pomieszczenia, z którego Curry już obserwował Muncha i Kima Kolsø siedzących w pokoju przesłuchań naprzeciwko Paulusa Monsena. Chłopak z ciemnymi lokami wyglądał trochę tak, jakby spadł z księżyca, oczy miał rozbiegane.

– Co się dzieje? – Mia usiadła na krześle obok Curry’ego.

– Chcesz poznać krótką czy długą wersję?

– Krótką. – Mia nie odrywała wzroku od pomieszczenia za szybą.

– Już mieliśmy wracać, kiedy na podwórzu pojawił się ten chłopak, za nim dziewczyna. Sprawiał wrażenie bardzo zirytowanego, a ona wyglądała na zapłakaną. Miała czerwone oczy i była roztrzęsiona...

– To mi wygląda na długą wersję – wtrąciła Mia z uśmiechem.

– Ha, ha – obruszył się Curry.

Prezentował się lepiej niż ostatnio. Może trochę ochłonął po sytuacji z Sunnivą i znów odżył w nim prawdziwy policjant.

– No i co?

– Paulus przyznał się do uprawy marihuany w szklarni i do romansu z Camillą Green.

– Aż tak?

– No.

– Dlaczego nam o tym wcześniej nie powiedział? Potrafił się z tego jakoś wytłumaczyć?

– Miała mniej niż szesnaście lat, kiedy to się zaczęło – wyjaśnił Curry. – Niezły gość, co? – Nachylił się bliżej szyby, jakby chciał uważniej przyjrzeć się chłopakowi. – Podrywa dziewczyny, które nie mają ukończonych szesnastu lat, wabi je do szałasu, odurza narkotykami i wykorzystuje.

– Do szałasu?

– Tak, mieli coś w rodzaju miłosnego gniazdka. Na samym skraju posiadłości.

– Byliśmy tam już?

– Technicy już działają. – Curry z powrotem się wyprostował.

– Nie bardzo wiem, co mogę więcej powiedzieć – wymamrotał chłopak

w pokoju przesłuchań.

Mia przyciszyła dźwięk, żeby wysłuchać dalszego ciągu opowieści Curry'ego.

– A co z tą dziewczyną? Z Benedikte?

– Siedzi teraz w pokoju B.

– Ktoś już z nią rozmawiał?

Curry pokręcił głową.

– A o co chodzi z nią? Dlaczego ją tu przywieźliście?

Mia sięgnęła do kieszeni po pastylkę odświeżającą i popatrzyła na Paulusa, który siedział zupełnie nieruchomo.

– Obwiniają się nawzajem.

– O zabójstwo? – spytała zaskoczona Mia.

Curry potwierdził.

– W grę wchodzi zazdrość. Coś w rodzaju trójkąta miłosnego. Na podwórzu zaczęli się szarpać, musieliśmy oboje skuć. Od tej pory mało co powiedzieli.

– Więc jaki jest plan?

– Plan? – zdziwił się Curry.

– Tak. Co o tym myślimy? Co na to Munch?

– Na razie przesłuchania. – Curry wzruszył ramionami. – Najpierw on. Potem ona. Potem pewnie znów on.

– A nie oboje równocześnie?

– Nie. Munch chciał, żeby trochę posiedziała sama. Czekanie zawsze budzi w nich lęk.

– To prawda – przyznała Mia. Zaraz potem wstała z krzesła, wyszła na korytarz i zapukała do drzwi sąsiedniego pokoju.

Kim Kolsø jej otworzył.

– Zmienimy się na trochę? – spytała.

– Okej. – Kolsø ją wpuścił.

– Jest godzina szesnasta zero pięć – powiedział Munch do dyktafonu. – Śledczy Kim Kolsø opuszcza pokój, wchodzi Mia Krüger.

Mia powiesiła skórzaną kurtkę na oparciu krzesła i usiadła.

– Cześć, Paulus. Jestem Mia Krüger – przedstawiła się i wyciągnęła rękę nad stołem.

Chłopak odprowadził wzrokiem wychodzącego Kima, potem nerwowo spojrzał na Mię i w końcu ostrożnie uściśnął jej dłoń.

– Paulus Monsen.

– Bardzo mi miło. – Mia się odchyliła. – Nie mieliśmy okazji spotkać się wcześniej, ale dużo już o tobie słyszałam. Podobno jesteś bardzo dobry w tym, co robisz. Wszyscy cię wychwalają...

– Słucham? – zmieszał się chłopak.

– Świetnie sobie radzisz w pracy – ciągnęła Mia. – Chyba przyjemnie słyszeć, że wszyscy dobrze o tobie mówią.

– Hm... No tak, dziękuję. – Paulus rzucił nerwowe spojrzenie Munchowi, który najwyraźniej nie był równie miły.

– No i zacznę od tego, że te narkotyki, te rośliny w ogóle nas nie obchodzą. To nie nasz interes, rozumiesz? Trochę marihuany, kilka krzaczków, o rany, to mogłoby się przytrafić każdemu.

Mia poczuła na sobie karcący wzrok Muncha, ale w ogóle się tym nie przejęła.

– W porządku? – Uśmiechnęła się do chłopaka, który wciąż sprawiał wrażenie tak samo zdezorientowanego. Jeszcze raz zerknął na Muncha, ale widać było wyraźnie, że czuje się o wiele lepiej, kiedy patrzy na Mię.

– Rzeczywiście, to było tylko kilka roślin – przyznał cicho.

– Tak jak mówiłam, w ogóle nas to nie obchodzi. Serio, to nic nie znaczy.

Zauważyła, że chłopak trochę się rozluźnił. Lekko odchylił się na krześle i przeczesał palcami włosy.

– Uprawiałem tylko na własny użytek. Żaden handel, chociaż pewnie tak myśleliście.

– Nie przejmuj się.

Munch już chciał się włączyć, ale Mia pod stołem lekko szturchnęła go w bok.

– Trochę poważniejsze natomiast jest to... – Mia udała, że się zastanawia.

Zapadła cisza na tyle długa, że chłopak znów zaczął się denerwować.

– Co?

– No wiesz, Benedikte... – Mia zawiesiła głos.

– Co mówiła Benedikte? – spytał Paulus.

Mia wzruszyła ramionami i lekko uniosła brwi.

– Co za suka! – krzyknął nagle Paulus. – Powiedziała, że to ja zabiłem Camillę? – Z oczu sypały mu się teraz iskry. – Ona kłamie! – Paulus poderwał się z krzesła. – Uwierzcie mi!

– Siadaj! – nakazał Munch surowo.

Chłopak usiadł i zakrył twarz rękami.

– Musicie mi uwierzyć. Rany boskie, ta cholerna Benedikte! To kompletna wariatka, idiotka! Ja ją...

– Też zabijesz? – dokończył spokojnie Munch.

– Co? – Chłopak patrzył na nich teraz oczami rozszerzonymi strachem.

– Zabijesz Benedikte, tak jak zabiłeś Camillę?

– Co? Nie, na miłość boską, nie zabiłem Camilli! Przecież już mówiłem!

– A nie przyznałeś się do winy? – ciągnął Munch. – Nie dlatego tu jesteś?

– Przyznałem się? Do niczego się nie przyznałem! Tylko do tych roślin!

Znów spojrzał na Mię, szukając u niej pomocy, ona jednak milczała, pozwalając, żeby Munch kontynuował.

– Uwiodłeś Camillę Green, kiedy nie miała jeszcze ukończonych szesnastu lat. Odurzałeś ją w tym swoim szałasie i uprawiałeś z nią seks, tak należy to rozumieć?

– Nie. – Paulus znów wbił wzrok w stół.

– Więc nie byłeś w związku z Camillą? – włączyła się Mia przyjaźnie. – Nie byliście kochankami?

– Tak, ale...

– Ale co?

– Inaczej, niż on powiedział. – Ruchem głowy wskazał na Muncha.

– A jak?

– W jego ustach to zabrzmiało tak ohydnie.

– Seks z małoletnią po odurzeniu jej... – zaczął Munch, ale Mia go powstrzymała.

– No to jak było między tobą a Camillą?

– Było... pięknie – powiedział Paulus cicho.

– Lubiłeś ją?

– Kochałem – odparł chłopak. Mia zauważyła, że Paulus walczy teraz ze łzami.

– A ona ciebie?

Paulus chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, jakby sam nie był jej pewien.

– Tak mi się wydawało – wymamrotał w końcu.

– Ale...

– Camilla była wyjątkowa. Chciała żyć własnym życiem. Miała bardzo w o l n ą duszę. Rozumie pani? – Na chwilę uniósł wzrok, ale nie patrzył na Muncha, a jedynie na Mię, błagalnym spojrzeniem. – Niech mi pani uwierzy,

nie zabiłem jej. Nigdy bym jej nie skrzywdził. Kochałem ją, skoczyłbym za nią w ogień.

– Ale ona cię nie chciała, dlatego mimo wszystko się na to zdecydowałeś – wyrwał się Munch.

Mia skarciła go wzrokiem i z rezygnacją pokręciła głową. Mia Krüger miała wiele szacunku do swojego szefa, ale według niej Holger niekiedy wybierał zbyt prostą drogę.

– Nie. – Paulus znów bardziej zamknął się w sobie.

– Wspomniałeś o czymś moim kolegom, jeszcze w gospodarstwie – zaczęła Mia ostrożnie. – To mnie zaciękało.

– O czym? – spytał Paulus, nie patrząc na nią.

– Rozumiem, że oskarżyłeś Benedikte o zabicie Camilli, czy to się zgadza?

Znów zapadła cisza, zanim chłopak odpowiedział.

– Tak tylko rzuciłem. Z wściekłości.

– Na Benedikte?

– Tak.

– Dlaczego?

– Przyszła do mnie do szałas. – Chłopak znów uniósł wzrok. – Zaczęła bredzić, że jesteśmy parą, że ktoś musi się o mnie troszczyć. Cieszyła się, że Camilli już nie ma, bo dzięki temu będziemy mogli być razem. I że właśnie dlatego wysłała tamtego esemesa.

– Jakiego esemesa? – natychmiast zareagował Munch.

– Słucham? – Paulus jakby przestał być obecny.

– Jakiego esemesa? – powtórzył Munch.

– Tego z telefonu Camilli.

– Benedikte miała telefon Camilli?

Mia zerknęła na Muncha, który odpowiedział jej równie zaskoczonym spojrzeniem.

– Znalazła go w pokoju Camilli już po jej zniknięciu – wytłumaczył Paulus, wyraźnie wyczerpany.

– Wyjaśnijmy to sobie do końca – powiedział Munch. – O jakim esemesie mówimy?

Paulus potarł ręką czoło.

– Wysłała wiadomość do Helene, że wszystko jest w porządku.

– Z telefonu Camilli?

Paulus powoli skinął głową.

– Wściekłem się, kiedy mi o tym powiedziała. Cholernie się wkurzyłem. Wcale nie myślę, że Benedikte ją zabiła. Przepraszam. Benedikte to wariatka, ale czegoś takiego nigdy by nie zrobiła.

– Tłumaczyła, dlaczego wysłała tę wiadomość? – spytała Mia.

– Żeby nikt nie szukał Camilli.

– Bo gdyby zniknęła na zawsze, moglibyście być razem?

– Chyba tak – mruknął chłopak, mówienie przychodziło mu z wyraźnym trudem.

– Wydaje mi się, że w tym miejscu zrobimy przerwę. – Munch spojrzał na Mię, która to zaakceptowała.

– Głodny jesteś, Paulus? Chcesz coś do jedzenia? Do picia? – spytała.

Chłopak z kręconymi włosami lekko wzruszył ramionami i nie patrząc na nich, odpowiedział:

– Może hamburgera. I colę. Ostatnio mało jadłem. Właściwie od czasu...

Widzieli, że teraz już naprawdę z trudem panuje nad łzami.

– Godzina szesnasta trzydzieści dwie. Przesłuchanie Paulusa Monsena zakończone – oznajmił Munch i wyłączył dyktafon.

Miriam Munch stała na ulicy pod kamienicą z czerwonej cegły, walcząc z lekkimi wątpliwościami. Wcześniej miała taką pewność, podjęła decyzję, w ogóle nie było żadnej kwestii. Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś takiego, co czuła poprzedniego wieczoru, ale po śniadaniu z Johannesem do głowy zaczęły jej się sączyć inne myśli. Johannes nie był ich głównym powodem. Myślała przede wszystkim o córce. Biedna mała Marion, jak ona to przyjmie? Przecież nie zrobiła nic złego. Czy tej cudownej sześciolatce musi zawalić się świat tylko dlatego, że jej mama się zakochała?

Miriam zerknęła na zegarek, który dostała w prezencie, i znów poczuła wyrzuty sumienia. Johannes wszystko tak pięknie zorganizował. Zwolnił się z pracy, przygotował wspaniałe śniadanie. Co prawda miał ku temu swoje powody, chciał kupić jej przychylność i zgodę na wyjazd do Sydney. Ale mimo wszystko. Popatrzyła w górę budynku, na mieszkanie, w którym nie tak dawno nocowała.

Ósma. O tej godzinie miało się zacząć zebranie w sprawie gospodarstwa Atlantis, laboratorium położonego w gminie w Hurum, wykorzystującego zwierzęta do nielegalnych testów. Ciągle jeszcze miała czas, żeby się wycofać. Przecież nie musiała tam iść. Mogła wsiąść do tramwaju i wrócić na Frogner. Ubrać się, umalować, wyjść z Johannesem do restauracji. Nie, na to akurat było już za późno, bo wziął nocny dyżur. Ale mogła przynajmniej pojechać samochodem do matki i zabrać Marion. Obejrzeć razem z małą jakiś film, o Królownie Śnieżce albo Śpiącej Królownie, jedną z tych bajek o księżniczkach, które jej córka mogła oglądać w nieskończoność. Niemal poczuła ciepło ciała dziewczynki leżącej obok niej pod kocem na kanapie. Małe paluszki sięgające do miski z popcornem i przejęte, pełne naiwności niebieskie oczy wpatrzone w ekran.

„Nie jedz tego jabłka, to trucizna!”

Miriam uśmiechnęła się do siebie i z kieszeni kurtki wyjęła papierosa. Zapaliła go, starannie owinęła szyję szalikiem.

Ta akcja?

Jeszcze kilka lat temu nawet przez myśl by jej nie przeszło, że nie powinna

w tym uczestniczyć. Miriam Munch nienawidziła niesprawiedliwości. Wstrętnych ludzi na wysokich stanowiskach wykorzystujących innych, żeby zarobić jeszcze więcej, wszystko jedno, czy na ludziach, czy na zwierzętach. Uwielbiała tamten czas, kiedy działała w Amnesty International. Lubiła wstawać rano i czuć, że robi coś wartościowego, że pomaga. Ale potem urodziła się Marion. Miriam miała wtedy zaledwie dziewiętnaście lat i nie była pewna, czy udźwignie rolę matki, dlatego cały swój czas poświęciła córce.

Niech to szlag.

Muszą być, do cholery, jakieś granice.

Gospodarstwo Atlantis. Bezbronne zwierzęta pozamykane w klatkach, codziennie narażone na ból tylko dlatego, że ktoś, kto już i tak miał za dużo pieniędzy, pragnął mieć ich jeszcze więcej.

Chciała tego.

Miriam Munch wyrzuciła niedopałek i szybkim krokiem weszła do mieszkania na trzecim piętrze.

– Cześć. – Ziggy z uśmiechem otworzył jej drzwi. – Zacząłem już myśleć, że może jednak nie przyjdiesz.

– Spóźniłam się? – Miriam odwiesiła kurtkę i szalik na wieszaku w przedpokoju.

– Nie. – Wprowadził ją do pokoju. – Co prawda zaczęliśmy o siódmej, ale to bez znaczenia.

– Wydawało mi się, że mówiłeś o ósmej.

– To nie ma znaczenia – powtórzył Ziggy i zwrócił się do niedużej grupy osób zebranych w pokoju: – Mówię do wszystkich, którzy jeszcze nie znają Miriam. To Miriam Munch. Przyłączy się do nas w poniedziałek. Wiem, niektórych zdziwi, że bierzemy na akcję kogoś nowego, ale zapewniam, że Miriam jest jedną z nas, a potrzebujemy wszelkiej pomocy, prawda?

– Cześć – przywitała się Miriam.

– Cześć.

– Witamy.

– Miło cię poznać.

– Cześć, Miriam. – Julie wstała, żeby ją uściskać. – Fajnie, że będziesz z nami.

– I ja się cieszę. – Miriam usiadła na podłodze obok przyjaciółki.

– To ja ją poleciłem, więc możecie wierzyć, że jest w porządku. – Chłopak

w okrągłych okularach, z którym rozmawiała wtedy w kuchni, uśmiechnął się teraz do niej z nieco głupią miną, jakby przepraszał, może za to, że próbował ją podrywać, nie wiedząc, kim jest.

– To chyba nie do końca prawda, Jacob – wtrącił Ziggy.

– Nie? Mówiłem, że jest córką samego Holgera Muncha, więc musimy ją wciągnąć do grupy. Będziemy mieć informacje z pierwszej ręki.

– Tak, tak, Jacob, to twoja zasługa, że Miriam jest z nami. Wielkie dzięki – śmiał się Ziggy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Jacob lekko się uklonił.

– Ale mówiąc serio, chyba nie będzie z tym kłopotów? – spytał chłopak w islandzkim swetrze. Stał oparty o okno z rękami założonymi na piersi. Minę miał poważną. Miriam widziała go na imprezie zorganizowanej przez Julie, ale nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

– Z czym? – zdziwił się Ziggy.

– Z tym, że jest spokrewniona z policjantem.

– Nie, nie – powiedział Ziggy. – Ona jest...

– Dziękuję ci, Ziggy, ale sama potrafię się bronić – odezwała się Miriam i nagle znów znalazła się na środku pokoju, czując zwrócone na siebie oczy wszystkich. Wcale tego nie planowała, lecz zdecydowanie, które napłynęło na ulicy, ciągle w niej tkwiło i kazało jej zareagować. – No tak, hm. – Uśmiechnęła się i już trochę pożałowała, ale nie było drogi odwrotu, więc wzięła głęboki oddech i ciągnęła: – Mam na imię Miriam. Cześć wszystkim.

– Cześć, Miriam.

– Witaj.

Dookoła same uśmiechnięta twarze, z wyjątkiem tego chłopaka w islandzkim swetrze, który wciąż mrocznie na nią patrzył.

– Nie wiem, ilu spośród was kręciło się po Blitzu, w każdym razie ja tam zaczynałam, kiedy miałam piętnaście lat. Demonstrowałam przeciwko nazistom i rasistom, pracowałam w Amnesty, a teraz działałam w Towarzystwie Ochrony Zwierząt. Przypinałam się łańcuchem przed parlamentem, kopnął mnie w głowę policyjny koń i założono mi piętnaście szwów. Walczyłam w obronie praw kobiet i chociaż szczerze mówiąc, niewiele wiem o tym, co zamierzacie, a raczej zamierzamy zrobić tym razem, to zamykanie zwierząt w klatkach, bez względu na powód, budzi we mnie taką wściekłość, że właściwie...

Miriam zabrakło słów. Stała ze szklanką, nie wiedziała, co mówić dalej.

– To nie było konieczne, Miriam – podsumował Ziggy. – Ufamy ci. Ale i tak dziękujemy.

– To ja ją poleciłem i jest już z nami – obstawał przy swoim Jacob.

Miriam z powrotem usiadła. Trochę jej było głupio z powodu tego przesadnego wystąpienia, ale chyba dobrze wypadła. Julie pogładziła ją po plecach, a chłopak w islandzkim swetrze wreszcie się do niej uśmiechnął. Uniósł szklankę i z uznaniem pokiwał głową, trochę w ramach przeprosin.

– Okej, no to omówiliśmy już system alarmowy. – Ziggy zatarł ręce i rozejrzał się po pokoju. – Czy ktoś ma jakieś pytania, zanim przejdziemy dalej?

– No i co o tym myślisz? – spytał Munch.

Właśnie przeniósł jedno piwo i jedną wodę mineralną przez Justisen, starając się nie rozlać, i postawił szklanekę przed Mią.

– O przetrzymaniu ich przez noc?

– Tak.

– Nie bardzo wiem. – Mia spokojnie wypła łyk, usiłując ukryć przed Munchem, jak wielką ma ochotę na piwo.

Już od blisko doby nie łyknęła żadnej tabletki i czuła, że potrzebuje piwa, aby odpędzić niepokój, który ogarniał jej ciało.

– Nie wydaje mi się to konieczne.

– Więc nie wierzysz, że to któreś z nich?

– Nie – odparła Mia. – A ty?

– To przecież możliwe.

– Co?

– Może niepotrzebnie wszystko komplikujemy. – Munch powiesił kurtkę na sąsiednim krześle.

– Jak to?

– Jeśli spróbujemy przez moment zapomnieć o sposobie, w jaki dokonano tego zabójstwa, to mamy wyraźny motyw.

Mia ze spokojem wypła kolejny łyk.

– Zazdrość tej Benedikte?

– Owszem – potwierdził Munch. – W dodatku niepozbawiona przyczyny. Nie odniosłaś takiego wrażenia?

– Jasne, jasne. – Mia pokiwała głową. – Ale nie zrobiłaby tego w taki sposób. Nie byłaby zdolna do czegoś takiego. Nawet gdyby chciała się pozbyć Camilli, to po co by ją układała w pozycji, w jakiej ją znaleźliśmy?

– Rozumiem, ale jednak.

– Nie wydaje mi się takim typem. Przeczulona. Roztrzepana. A to zostało zrobione z premedytacją, zaplanowane ze szczegółami. Zabójstwa z zazdrości rzadko takie bywają.

Nie przejęła się, że tym razem łyk piwa był trochę większy. Doba bez

tabletek zaczynała wyraźnie dawać się we znaki.

– Ale nie można tego wykluczyć – upierał się Munch.

Mia patrzyła na niego, zastanawiając się, dlaczego Holger ciągle chce pozostawić otwartą możliwość, że osobą, której szukają, jest Benedikte Riis albo Paulus Monsen. Sama wyraźnie widziała, że to żadne z nich. To po prostu dwoje młodych ludzi, którzy wpakowali się w naiwny i niegroźny trójkąt. Do takiego wniosku doszła już po kilku minutach przesłuchania, ale Munch mimo wszystko nie chciał odpuścić.

– Wiem, wiem, zwyczajnie sobie tego nie wyobrażam. Jaki miałby być jego motyw? Seks z nieletnią? Kilka sadzonek marihuany w szklarni? Co by to miało być twoim zdaniem?

– Może jedno i drugie. – Munch popił wody mineralnej.

– Powiedzieć ci, co o tym myślę? – Mia opróżniła szklankę do dna.

– Tak?

– Według mnie było dokładnie tak, jak powiedzieli. Benedikte Riis miała niezdrowy stosunek do Paulusa. Trochę ją rozumiem, bo to ładny, obdarzony charyzmą chłopak. Pojawia się Camilla, a Paulus woli ją od tamtej. Zakochuje się. Zostają parą. Potem Camilla znika. Benedikte znajduje jej telefon, wysyła esemesa, że z Camillą wszystko w porządku, żeby nikt jej nie szukał. Dzięki temu może mieć chłopaka tylko dla siebie.

– Czyli dokładnie tak, jak mówili?

– Tak sądzę. – Mia zamachała na kelnera, wskazując jednocześnie pustą szklankę.

– No to dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

Mia lekko się uśmiechnęła.

– To ty chcesz o tym rozmawiać, nie ja.

– Więc uważasz, że powinniśmy ich wypuścić już dzisiaj?

– Może przydałaby się jeszcze jedna runda rozmów. Może jutro zdradzą coś istotnego dla sprawy. Chociaż szczerze w to wątpię.

Podziękowała grzecznie kelnerowi, który przyniósł nowe piwo.

– Czyli wierzysz, że wyrzuciła telefon do śmieci i go nie znajdziemy?

Mia przysunęła szklankę do ust. Już się zdecydowała, nie weźmie więcej tabletek. Chociaż miała świadomość, że to będzie trudne, bo bardzo odczuje ich brak. To przecież dzięki nim pozbywała się z głowy tych obrazów.

Nagiego wykręconego ciała w lesie.

Cienia na ścianie.

Koszmaru, który na chwilę pozbawił ją kontaktu z rzeczywistością.

„Wydaje mi się, że chorujesz przez swoją pracę”.

To zło.

Ten mrok.

Na szczęście czuła, że piwo pomaga.

– A w Muzeum Historii Naturalnej nic ciekawego? – spytał Munch, pociągając łyk swojej wody.

– Pudło – odparła Mia. – Co u Ludviga? Z tą peruką? Z tym specjalistycznym sklepem?

– Tam też nic – westchnął Munch. – Peruka nie została kupiona u nich. Ale podobno jest jeszcze jeden taki sklep. Ludvig spróbuje skontaktować się z nim jutro.

– Okej. – Mia pokiwała głową.

– Więc co myślimy? – spytał Munch.

– O czym?

– Jeśli to żadne z tych dwojga, których przymknęliśmy...

– Helene Eriksen. Dwoje nauczycieli. Jedna z siedmiu pozostałych dziewcząt.

– Anders Finstad jest skreślony z listy?

– Według mnie tak.

– Czyli ktoś z gospodarstwa ogrodniczego?

– A ty jak sądzisz?

Munch znowu westchnął i na chwilę umilkł, a Mia zrozumiała, dlaczego tak uparcie trzyma się tej ewentualności, że sprawcą zabójstwa jest jedno z tych dwojga młodych, których przez kilka godzin przesłuchiwali. Właściwie nic innego nie mieli. Tyle informacji, tyle materiału, pióra, świece, film, a mimo to wciąż błądzili po omacku. A Munch tego nie lubił.

– Ciągle nie ma żadnych konkretnych śladów z miejsca zdarzenia?

Szef z rezygnacją pokręcił głową.

– Żadnych odcisków butów, które dałoby się wykorzystać. Żadnego DNA z ciała Camilli.

– Nie była w ciąży, prawda?

– Co? Według Vika nie. A dlaczego pytasz?

Munch spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Przez ten pentagram – wyjaśniła Mia. – Trochę się temu przyglądałam. Znaczeniom, które się w nim kryją.

– I co?

– Wydaje mi się, że coś musi w tym być. Ułożono ją w takiej pozycji z jakiegoś powodu, nie uważasz? Chyba że ktoś próbuje nas wprowadzić w błąd.

– Wiem, wiem – zniecierpliwiał się Munch. – Coś znalazłaś? Jakiś związek z ciążą?

– No, może niedokładnie, ale pamiętasz, w jaki sposób ułożono jej ręce?

– Tak.

– Wskazujące dwa wierzchołki pentagramu.

– Wiem. No i co?

– One mają znaczenie – tłumaczyła Mia. – Pięć punktów: dusza, woda, ogień, ziemia i powietrze.

– Aha. Tylko jaki to ma związek z ciążą?

– Podobno istnieje jeszcze inna warstwa znaczeniowa.

Mia widziała, że Munch przestaje jej słuchać.

– Tak? To znaczy nie ziemia, woda i te inne rzeczy, które wymieniłaś?

– Dusza, woda, ogień, ziemia, powietrze – powtórzyła Mia. – Ale głębsza symbolika mówi, że punkty wskazane przez taki układ rąk mają inne znaczenie.

– Jakie?

– Symbolizują matkę. I narodziny.

– Naprawdę? – Munch zmarszczył brwi. – Ale ona przecież nie była w ciąży.

– Wiem, pomyślałam tylko, że w tym mimo wszystko może coś być. Potrzebuję trochę czasu, żeby się w to zagłębić. Może znajdę coś interesującego. Coś, co miałoby związek ze wszystkim innym, co odkryliśmy. Miałam zamiar gdzieś się zaszyć i poszukać.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co chcesz. Bylebyś tylko miała włączony telefon. – Munch włożył budrysówkę. – Muszę już iść, trochę odpocząć. Ciągłe nie tracę wiary, że jutro uda nam się wyciągnąć coś więcej z tych dwojga. Wracamy jedną taksówką?

Mia po wyrazie jego oczu poznała, że to nie jest pytanie. W Holgerze obudził się ojciec i postanowił przypilnować, żeby miała odpowiednio dużo czasu na odpoczynek.

– Byłoby super, bo cholernie chce mi się spać. – Mia udała, że ziewa. Wstała i włożyła kurtkę.

Mia Krüger czekała, aż czerwone tylne światła taksówki znikną jej z oczu, po czym nasunęła czapkę na uszy i ruszyła w stronę Hegdehaugsveien. Nie ciągnęło jej do zimnego, prawie pustego mieszkania. Na moment dotknęła kluczy, które miała w kieszeni, ale uznała, że to bez sensu; i tak by teraz nie zasnęła, potrzebowała jeszcze jednego drinka. Czegoś mocniejszego. Musiała zniknąć.

Piątkowy wieczór w Oslo. Ciaśniej owinęła się kurtką i z pochyloną głową ruszyła przez ulice. Nie miała siły stawić czoła posyłanym jej spojrzeniom, tej normalności, której nigdy nie mogła stać się częścią. Po tygodniu pracy ludzie chcieli się cieszyć wolnym czasem. Ze wszystkich stron otaczały ją grupki wystrojonych, wesołych, hałaśliwych osób, bez żadnych najmniejszych nawet zmartwień. Mia skinęła głową bramkarzowi stojącemu w drzwiach Lorry. Na szczęście nie był to ten, który powalił na ziemię Curry'ego. W lokalu było prawie pełno, ale stolik w samym rogu, gdzie tak lubiła się ukrywać, okazał się wolny. Uznała to za niemal symboliczne. Zamówiła guinnessa z jägermeisterem i usiadła na czerwonej kanapie. Wszyscy pozostali byli z kimś, ona w kącie sama, poza światem. Uśmiechnięte twarze, szklanki w rękach, ludzie w towarzystwie przyjaciół, a ona sama w kącie, z poczuciem odpowiedzialności za nich wszystkich.

Uspokój się.

Wychyliła jägermeistera i popiła go łykiem guinnessa.

Użalasz się nad sobą?

Nie, do jasnej cholery, musi w końcu wziąć się w garść. To do niej niepodobne. Wyjęła z torebki notes i długopis, położyła je przed sobą na stoliku. Kim była? Czy nie Mią Krüger? Jak mogła siedzieć tu ze spuszczoną głową? Do diabła, są jakieś granice! Otworzyła notes i odszukała czystą kartkę. Psycholog. To jego wina.

„Wydaje mi się, że chorujesz przez swoją pracę”.

Fucking bullshit! Żałowała teraz, że w ogóle się zgodziła na tę terapię. Pozwoliła jakiemuś durniowi, by przedostał się do jej głowy, przekonał ją, że naprawdę jest z nią coś nie tak. Owszem, utrzymywała dystans podczas

wszystkich tych wizyt, mówiła „tak” i „nie” w odpowiednich momentach, ale mimo wszystko to się w nią zakradło.

Przekonanie, że coś z nią jest nie tak.

Rozgrzana ciepłem alkoholu podjęła decyzję. Niech sobie myślą, co chcą. Mikkelson, Mattias Wang, nawet Munch, ona i tak ma pełną świadomość tego, kim jest, i bez względu na to, jak bardzo będą się starali zmanipulować jej myśli, racja jest po jej stronie.

Do diabła!

Ściszone głosy poszeptujące z lewa i z prawa osłabiły ją, ale teraz, do jasnej cholery, dość już tego. Skinęła na kelnera, wskazując na pusty kieliszek jägermeistra, i już za chwilę stanął przed nią nowy.

Co oni, do diabła ciężkiego, wiedzą o tym, jak to jest być Mią Krüger. Kolejna wiadomość od psychologa Mattiasa Wanga. „Czy mam wyznaczyć następną wizytę?” Oczy Muncha nad stolikiem. „Wydaje mi się, że potrzebujesz odpoczynku”. Stało się to dla niej jasne jak słońce. Pozwoliła im przeniknąć do własnej głowy, zwątpiła w siebie. Ale już dosyć. Na więcej nie pozwoli.

Lekko się uśmiechając, wypiła łyk guinnessa i odłożyła długopis na biały papier.

Czysta kartka.

To ważne. Trzeba spojrzeć na wszystko od nowa.

Silna. Znów poczuła swoją siłę. Czy sprawił to alkohol, czy coś innego, akurat w tej chwili nie miało żadnego znaczenia. Dopiła guinnessa dokładnie w momencie, gdy postawiono przed nią kolejną szklanekę, i odgrodziła się od hałasu knajpy. Długopis zaczął szybko biec po papierze.

Camilla. Wybrana. Matka. Narodziny. Siedemnaście lat. Roztrzepana. Samowolna. Pióra. Sowa? Śmierć? Uduszona. Dlaczego uduszona? Dlaczego coś zacisnęło się wokół jej szyi? Oddech? Oddech to życie? Ręce. W lesie? Dlaczego byłaś bez ubrania?

Mia wypiła wielki łyk ciemnego piwa, w ogóle już nie zauważając świata dookoła. Na górze nad notatkami napisała słowo „Rytuał”, a potem przeniosła długopis na następną stronę notesu i również na samej górze napisała „Piwnica”. Jednym łykiem opróżniła kieliszek z likierem i znów zbliżyła długopis do papieru.

Ciemno. Mrok. Zwierzę? Co z tym zwierzęciem? Dlaczego jesteś zwierzęciem? Jedzenie. Karma dla zwierząt. Dlaczego nie dostajesz

jedzenia, Camillo? Kto na ciebie patrzy? Dlaczego na ciebie patrzy? I dlaczego nie masz peruki, kiedy biegasz w kołowrotku? Kiedy on cię obserwuje. Dlaczego przygląda ci się takiej, jaka jesteś? Kiedy jesteś sobą? Bez peruki? Dlaczego jesteś sobą w piwnicy? Inaczej niż wtedy, kiedy leżysz w lesie?

Zamachała, prosząc o następną kolejkę, chociaż jeszcze nie dopiła guinnessa. Opróżniła szklankę idealnie w porę, gdy wylądowała przed nią nowa. Przysunęła kieliszek z jägermeisterem do ust i odchyliła się na czerwonej kanapie, żeby chwilę przyglądać się temu, co napisała.

Coś w tym było.

Cholera, że też pozwoliła sobie grzebać w głowie. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

W tym zdecydowanie coś było.

Nieświadomie wsunęła końcówkę długopisu do ust.

Jedna strona: leżysz przed nami, nowa, inna. W lesie. Na posłaniu z piór. Chroniona? Nowo narodzona? Druga strona: jesteś zwierzęciem w piwnicy, biegasz w kołowrotku, musisz się pokazywać. Czy musisz się pokazywać, Camillo? Czy musisz pokazać, co potrafisz?

Mia przerzuciła kartkę w notesie i znów zaczęła wodzić po niej długopisem.

Matka. Chciałaś zostać matką, Camillo? Chciałaś mieć dziecko? Wybrana. Dlaczego byłaś wybraną? Miałaś być matką? Matką dziecka?

Mia wyczuła, że przy jej stoliku ktoś stanął. Uznała, że to zapewne kelner, więc oddaliła go gestem, bo miała jeszcze co pić, ale ta osoba się nie ruszyła.

– Mia Krüger? – usłyszała pytanie i chociaż nie chciała, to mimo wszystko oderwała wzrok od swoich zapisków.

– Tak?

Stał przed nią jakiś chłopak. W czarnym garniturze i odprasowanej białej koszuli, w wielkiej czapie naciągniętej na głowę.

– Jestem zajęta – oświadczyła Mia.

Chłopak ściągnął czapkę, odsłaniając szopę włosów. Czarnych, z białym pasem pośrodku.

Mia poczuła narastającą irytację. Wpadła na jakiś trop, coś musiało się w tym kryć. Była już blisko, rozwiązanie leżało gdzieś tutaj, na kartkach, które miała przed sobą.

– Jestem Skunks – oznajmił chłopak.

– Słucham?

– Nazywają mnie Skunks. – Uśmiechnął się krzywo. – Ciągłe jesteś zajęta?

Sunniva Rød miała popołudniowy dyżur i czuła się bardziej zmęczona niż zwykle. Ostatnio źle spała. Przewracała się w łóżku z boku na bok, dręczyły ją dziwne sny. Właściwie nie bardzo rozumiała dlaczego. Może dlatego, że przestał dzwonić? Początkowo wydzwaniał bez przerwy, telefon za telefonem, esemes za esemesem. A potem głucha cisza. Kompletnie nic. Czyżby Curry'emu coś się stało? Miał jakiś wypadek? Może powinna zadzwonić i sprawdzić? Westchnęła i weszła do ostatniego pokoju, który jej został przed zakończeniem pracy. Torvald Sund. Szalony proboszcz. Zwykle przed otwarciem drzwi dawała sobie dwie sekundy na wyrównanie oddechu, uspokojenie się, ale tym razem była zbyt zmęczona, nie miała siły o tym myśleć, chciała tylko wrócić do domu i się przespać.

Weszła do środka i lekko drgnęła, widząc, że proboszcz siedzi, ma szeroko otwarte oczy i dziwnie się uśmiecha. Trochę jakby na nią czekał.

– Już niedługo umrę – oznajmił.

– Nie wolno tak mówić, panie Torvaldzie. – Sunniva podeszła do nocnej szafki, żeby zabrać talerze po obiedzie przyniesionym przez obsługę kuchni, ale zobaczyła, że proboszcz nie tknął jedzenia. – Nie jest pan głodny? Nie chce pan jeść? – spytała. Nieprzyjemnie się czuła w tym pokoju i chciała skierować rozmowę na zwykłe, codzienne problemy.

– W niebie nie będę potrzebował jedzenia. – Pastor uśmiechnął się, wciąż nie odrywając od niej oczu.

– Proszę tak nie mówić. Ma pan przed sobą jeszcze wiele pięknych dni.

– Niedługo umrę – powtórzył, tym razem bardziej zdecydowanie. – Ale to nic nie szkodzi, bo jednak pójdę do nieba. Bóg powiedział, że mogę odpokutować za swoje uczynki.

Sunniva zaczęła zbierać talerze.

„Nie pójdę do nieba”.

„Zgrzeszyłem”.

„Pójdę do nieba”.

„Mogę odpokutować za swoje uczynki”.

Sunniva Rød szanowała poglądy innych ludzi. Obojętne jej było, w co

wierzą, w Boga, Allacha, Buddę czy leśne elfy. Poza tym w tej chwili czuła się zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Dlaczego Curry nie zadzwonił? Czy coś się stało?

Podniosła tacę i ruszyła z nią przez pokój.

– Proszę mnie wysłuchać! – zażądał pastor stanowczo.

W oczach Sunnivy pojawiła się wręcz desperacja.

– Muszę posprzątać, panie Torvaldzie – wyjaśniła, siląc się na uśmiech. – Poza tym niedługo schodzę z dyżuru. Przyjdzie ktoś inny, więc wszystko będzie dobrze.

– Nie – zaprotestował głośno stary człowiek, unosząc zakrzywiony palec. – To musisz być ty!

Sunniva znów drgnęła, lekko przestraszona, zatrzymała się na środku z tacą w rękach.

Szalony proboszcz.

Nie, nie miała więcej siły. Chciała już tylko do domu.

– Bardzo proszę – usłyszała, będąc przy samych drzwiach. – Nie chciałem krzyczeć, niech mi Bóg wybaczy, ale to musi iść tą drogą. To ty jesteś posłanniczką.

Sunniva odwróciła się i spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią błagalnie, złożył nawet dłonie.

– Bardzo proszę!

– Czego mam wysłuchać? – spytała Sunniva, wzdychając.

– Wielkie dzięki – powiedział staruszek, widząc, że Sunniva odstawia tacę na stolik przy drzwiach i z powrotem podchodzi do jego łóżka. – Obaj ci dziękujemy, i Bóg, i ja, posłanniczko.

Uniósł ręce do nieba, coś przy tym mamrocząc.

– Dlaczego jestem posłanniczką, panie Torvaldzie? Co mam przekazać? I komu?

Pastor znów się do niej uśmiechnął.

– Początkowo tego nie rozumiałem, ale potem się dowiedziałem, kim jesteś.

– Kim jestem? Przecież pan to wie, panie Torvaldzie. Znamy się od dawna.

– O nie, nie. – Stary człowiek lekko zakasłał. – Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy usłyszałem, jak inne siostry rozmawiają.

– Co pan chce powiedzieć?

– O, wiesz, poszeptują między sobą, kiedy zmieniają mi pościel. Wydaje im się, że Torvald nie ma uszu, że nie jest nawet człowiekiem. Pojawił się tu

wyłącznie po to, by umrzeć, więc na pewno nie rozumie, co mówią, kiedy rozmawiają o Sunnivi.

– Och! – zdumiała się Sunniva. – A cóż one o mnie mówią?

Nagle zainteresowało ją, co stary pastor ma do powiedzenia, i prawie zapomniała o zmęczeniu.

– Właśnie wtedy zrozumiałem, że to ty jesteś posłanniczką – oświadczył uszczęśliwiony staruszek i na moment jakby odpłynął.

– Co one o mnie mówią? – powtórzyła Sunniva, przywołując go z powrotem.

– O, nic strasznego. Tylko to, że nie poślubisz tego policjanta. Że on pije i że traci wasze pieniądze na hazard.

– O, do jasnej cho... – Sunniva ugryzła się w język. Mimo wszystko pracowała w jedynym miejscu w Norwegii, w którym za przeklinanie wylatywało się z pracy, więc nauczyła się panować nad językiem. Ale złość w niej wezbrała. – Jak one śmia...

– Cicho, cicho, kochana, to tylko wyszło na dobre. – Pastor się uśmiechnął.

– Jak to możliwe...

– Czyli to prawda? On jest policjantem?

– Owszem, to się zgadza.

– Dzięki ci, Boże! A więc naprawdę pójdę do nieba. – Staruszek z uśmiechem klasnął w pomarszczone dłonie.

– Panie Torvaldzie, nie wiem, czy... – westchnęła Sunniva, lecz pastor jej przerwał:

– Tak wielki grzech można naprawić jedynie wielkim dobrym uczynkiem.

– Nie wiem...

– Tak mówi Pismo, czyli Słowo Boże – ciągnął pastor, nie zwracając na nią uwagi.

Sunniva miała wrażenie, że stary człowiek znów popada w obłąd, lecz mimo wszystko coś w jego oczach mówiło jej, że jest inaczej. Nigdy do tej pory nie widziała, by był aż tak przytomny.

– A więc mam być posłanniczką – powiedziała. – Co mam przekazać?

– Czytałaś gazety? – spytał staruszek, ciągle patrząc trzeźwo.

– To znaczy?

– Widziałaś ofiarne jagnię w kręgu zła?

Sunniva musiała się chwilę zastanowić, nim zrozumiała, o czym on mówi. Zapewne chodziło mu o dziewczynę znaną w lesie na skraju półwyspu

Hurumlandet. Gazety ostatnio nie pisały prawie o niczym innym. Naga. Udużona. Rytualne zabójstwo. Sunnive ciarki przeszły po plecach na samo wspomnienie.

– I co z nią? – spytała znów zaciekawiona.

– Wiem, kto to był – oświadczył proboszcz.

– Kim była ta dziewczyna?

– Nie. – Wyraźnie się zirytował, że Sunniva za nim nie nadąża.

– A więc kto?

– Niech się stanie wola Boża. – Pastor z zadowoleniem kiwnął głową.

– O czym pan właściwie mówi, panie Torvaldzie? – spytała Sunniva.

Staruszek złożył ręce na piersi i na chwilę zamknął oczy, jakby w głowie odbywał jeszcze jakąś rozmowę. W końcu znów uniósł powieki i uśmiechnięty popatrzył na Sunnive.

– Wiem, kto ją zabił.

Młody człowiek, który usiadł przy jej stoliku, miał inteligentne spojrzenie, sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie, lecz jego wygląd był mimo wszystko jedynie czymś w rodzaju fasady, więc Mia Krüger nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Biała koszula i czarny garnitur, pasujące raczej do biznesmena, pozostawały w ostrym kontraście do niezwykle ekstrawaganckich włosów. Już rozumiała, skąd się wzięło jego przezwisko, Skunks, a jednak nie potrafiła wyrobić sobie o nim zdania.

Zazwyczaj dobrze sobie z tym radziła, bo znała się na ludziach, potrafiła ich rozszyfrować, ale od tego chłopaka biło coś, z czym nigdy wcześniej się nie zetknęła. W pewnym sensie przypominał przebranego modela z plakatu, jakby chciał być kimś wyjątkowym; ubrał się tak, aby wyróżnić się z tłumu, chociaż właściwie nie miał w sobie nic wyjątkowego, jednak już po kilku minutach zrozumiała, że się pomyliła.

Uświadomiła sobie, że on po prostu gwizdze na wszystko, bo kompletnie nie obchodzi go zdanie innych. Był sobą, a jeśli ktokolwiek miał coś przeciwko temu, to niech idzie do diabła.

Skunks podniósł szklankę z piwem do ust i uśmiechnął się do Mii. Nie wiedziała, czy przemawia przez nią wypity alkohol, ale pierwszy raz, odkąd pamiętała, poczuła, że z tym facetem mogłaby... tak...

Nie dokończyła myśli, tylko dopiła piwo, przybrała maskę policjantki i odłożyła na bok przybory do pisania.

– Czyli nie jesteś zajęta?

Może jego uroda była nieco zbyt wyzywająca, ale Mia czuła, że jej to nie przeszkadza.

– W zasadzie jestem. – Znów skinęła na kelnera.

– A ja w zasadzie nie robię takich rzeczy – oznajmił Skunks. Pierwszy raz oderwał od niej wzrok i wyjrzał przez okno.

– Jakich? – spytała Mia.

– Nie rozmawiam z policją. – Znów popatrzył jej w oczy.

– To już wiem. Gabriel wyraźnie dał nam to do zrozumienia.

– A tak, Gabriel – westchnął Skunks i wypił łyk piwa. – *He went over to*

the dark side...

Mia Krüger nie była zbyt obyta w świecie nerdów, ale nawet ona zrozumiała to nawiązanie do *Gwiezdných wojen*.

Darth Vader i Luke Skywalker.

Luke, give yourself to the dark side...

– Według niego to ty przeszedłeś na ciemną stronę mocy – powiedziała, kiedy kelner postawił przed nią na białym obrusie świeżą porcję napojów.

– Tak?

– Przecież to ty jesteś bandytą, a Gabriel nam pomaga.

– Zależy, jak się na to spojrzy.

– Jasne – uśmiechnęła się Mia i wypła łyk guinnessa.

– Mówiłem już, że nie robię takich rzeczy.

Skunks zdjął marynarkę i ostrożnie powiesił ją na oparciu krzesła.

– Czyli jakich?

– Nie gadam z policją – powiedział młody haker.

– To dlaczego tu jesteś? – spytała Mia.

– Nazwijmy to sumieniem. A raczej przede wszystkim ciekawością.

– Ciekawością?

Skunks się uśmiechnął.

– Jesteś dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem.

– Czyli jaka?

Trochę kręciło jej się w głowie, sporo przecież wypła. Starła się jednak kontrolować sytuację.

– A może już z tym skończymy i przystąpimy do rzeczy?

Skunks spojrzał na nią, a Mię znów ogarnęło to wrażenie, że gdyby nie była w pracy, gdyby ten młody człowiek, który tak nagle się przed nią pojawił, nie miał fundamentalnego znaczenia dla sprawy, angażującej ją tak głęboko, to...

Postanowiła tego nie roztrząsać.

– Oczywiście – zgodziła się szybko.

– A więc dwie rzeczy. – Skunks znów popił piwa.

– Słucham.

– Po pierwsze: miejsce, w którym znajdował się ten serwer.

– Ten, na którym znalazłeś film?

– Owszem. Ale najpierw musisz uświadomić sobie jedno: nic nie wiesz i nic nie umiesz.

– Doprawdy? – zdziwiła się Mia.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało pogardliwie, chodzi mi o sprawy techniczne. Wiem, że jesteś najlepsza w swojej dziedzinie, ale przyjmijmy na moment, że ja jestem najlepszy w swojej, okej?

– Gabriel też jest świetny – zauważyła Mia.

Skunks się uśmiechnął.

– Owszem, Gabriel jest świetny, ale za grzeczny. Wiesz, kto to jest *white hat hacker*?

– Nie – odparła Mia.

– A wiesz, kto to jest *black hat hacker*?

Pokręciła głową, chociaż już się domyślała.

– Okej. – Skunks opróżnił szklanekę. – Wypijemy jeszcze kolejkę?

Potwierdziła, więc dał znać kelnerowi.

– Stańto na hakerach w białych i czarnych kapeluszach. – Mia wróciła do tematu.

– To właściwie nieistotne.

– No dobrze, więc gdzie znalazłeś ten film? Gdzie był ten serwer?

– Nie da się tego stwierdzić z całą pewnością.

– Dlaczego?

– Oni przecież zawsze się ukrywają. Jak dobrze znasz się na komputerach?

Mia na razie zostawiła napoje nietknięte.

– Powiedzmy, że w ogóle się na tym nie znam. Spróbuj mi to wytłumaczyć.

– Serwer, na którym znalazłem film – Skunks pociągnął kolejny łyk – mówił, że jest w Rosji.

– Mówił?

– Ale wcale tam nie był. – Chłopak z nastroszonymi włosami się uśmiechnął. Mia zauważyła, że alkohol zaczął już na niego działać. – Słyszałeś o lustrach? O *mirrors*? O kopiach serwerów? O fikcyjnych adresach IP?

– Nic. – Mia koncentrowała się teraz wyłącznie na swoich kartkach i długopisie.

– Serwery można ukryć.

– Więc nie wiesz, gdzie go znalazłeś?

– I tak, i nie. Wszędzie zostają ślady, bez względu na to, jak próbuje się je maskować. A ta resztką, którą znalazłem u nas w kraju, wskazywała na jeden z domów w dzielnicy St. Hanshaugen.

– Tam znajdował się serwer? W Oslo, na St. Hanshaugen? To tam znalazłeś ten film?

Mia wciąż wstrzymywała się z pić.

– Ullevålsveien sześćdziesiąt jeden – potwierdził Skunks. – Sprawdziłem to. Kiedyś był tam sklep z książkami.

– Sklep?

– Ze starymi książkami.

– Ale?

– No właśnie. Kiedyś był. Ale teraz nic już nie ma.

– Sprawdzałeś?

– O ile mogłem się zorientować, dawniej mieścił się tam antykwariat ze starymi książkami dotyczącymi okultyzmu. No wiesz, sataniści i tak dalej. – Uśmiechnął się krzywo znad szklanki.

– I co, został zlikwidowany? Nic tam nie ma?

– Zupełnie pusto. – Skunks powoli pokiwał głową. – Ale...

– Tak?

– Ślady nie były całkiem wyraźne. Możliwe, że to kolejna zmyła, rozumiesz? Nie wiadomo, czy ten serwer w ogóle tam był.

– Rozumiem – powiedziała Mia. – A to drugie?

– Co?

– Mówiłeś, że są dwie rzeczy. O pierwszej powiedziałeś, a ta druga?

Skunks odstawił szklankę na biały obrus.

– No właśnie. I to jest najgorsze.

Skunks był już pijany, chociaż wcale tak dużo nie wypił. Mia nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć.

– Co?

– Widziałaś ten film, tak? – Nachylił się nad stolikiem. – Wiecie już, co to jest? Policja już odkryła, czym to jest naprawdę?

– O co ci chodzi? O to, czym naprawdę jest ten film?

– Tak. – Kiwnął głową.

– Nie wiem, może jeszcze tego nie stwierdziliśmy.

Znów podszedł do nich kelner, sygnalizując, że to ostatnia szansa na nową kolejkę, ale Mia go odprawiła.

– Ten film, dziewczyna chodząca w kołowrotku, widzieliście to?

Haker o czarno-białych włosach naprawdę już odpływał. Widząc to, Mia ucieszyła się, że sama w porę przestała pić.

– Oczywiście. Więc jaka jest ta druga rzecz?

Na sali zaczęły przygasać światła.

– Co? – Skunks miał mętne oczy.

– Ta druga rzecz – napierała Mia. – Jeśli umiejscowienie serwera było jedną rzeczą, to co jest drugą?

– To nie jest film – z trudem wymówił słowa.

– Co przez to rozumiesz?

– To nie jest film – powtórzył Skunks, patrząc jej w oczy.

– Ale jak to, to przecież był film?

– Nie. To fragment *live feed*.

– Czego? – spytała Mia.

– *Live feed*. Transmisji na żywo.

– Wyjaśnij mi to.

Skunks oderwał oczy od stolika i z powagą popatrzył na Mię.

– Oni ją wystawili w sieci. Pokazywali ją.

Podszedł kelner, oznajmiając, że zamykają, więc goście muszą wracać do domu.

– To była transmisja na żywo – powtórzył Skunks. – Ktoś ustawił kamerę i puścił obraz w sieci. Trwało to dłuższy czas. Pewnie na tym zarobił.

– Ale jak to? – dopytywała się Mia. Zobaczyła, że w ich stronę idzie bramkarz.

– Pora spać – oznajmił.

– Jak cię znajdę? – spytała Mia Skunksa, kiedy wyszli z lokalu i stali na chodniku na Hegdehaugsveien.

Młody haker włożył marynarkę i naciągnął na uszy czapkę. Akurat podjechała wolna taksówka.

– Nie znajdziesz mnie. – Puścił do niej oko.

– No ale...

– Na Tøyen – rzucił taksówkarzowi, usiadł z tyłu i zamknął drzwi samochodu.

Na lotnisku w Zurichu sześćdziesięciodwuletni finansista Hugo Lang przesiadł się ze swojego prywatnego samolotu do białego bentleya, który już czekał, by odwieźć go do domu. Podróż do eleganckiej willi nad brzegiem niewielkiego jeziora Pfäffikersee zajęła nieco ponad dwadzieścia minut, podczas których Hugo Lang nie zamienił ani słowa z kierowcą, bo starzejący się Szwajcar nigdy nie rozmawiał ze służbą.

Tytułowanie Hugona Langa finansistą można by uznać za przesadę, ponieważ człowiek ten cały swój majątek otrzymał w spadku, a w swoim życiu nie przepracował ani dnia. Jego ojciec, magnat stalowy Ernst Lang, który zmarł siedem lat wcześniej, był jednym z odnoszących największe sukcesy biznesmenów w Europie i niektórzy pewnie się spodziewali, że to syn przejmie jego dzieło, ale Hugo posprzedawał wszystkie spółki. Zatrzymał sobie zamek w Szwajcarii, posiadłość na Bermudach, kilka mieszkań w Nowym Jorku, Paryżu, Londynie i Hongkongu, lecz poza tym ponad stuletnia rodzinna firma Lang Krupp i wszystkie spółki córki znajdowały się teraz w obcych rękach. Ci, którzy niczego nie odziedziczyli, wujowie, ciotki i członkowie dalszej rodziny, robili co w ich mocy, aby nie dopuścić do sprzedaży, w mediach wrzało, wstrząśnięci krewni wstąpili nawet na drogę sądową, lecz Hugo Lang i tak zrobił, co chciał. Opinie innych ludzi nie interesowały go w najmniejszym stopniu.

Zaczekał, aż kierowca otworzy mu drzwi, i wszedł do okazałego domu, nie poświęcając ani jednego spojrzenia służącym, którzy wzięli od niego płaszcz i kapelusz. Nigdy nie zniżył się do tego, by komuś ze służby spojrzeć w oczy. Dostatecznie dobrze im płacił za dyspozycyjność dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie widział najmniejszego powodu, by poświęcać im uwagę. Poza tym miał ważniejsze sprawy, a ten konkretny dzień wydawał mu się jednym z najważniejszych już od dawna.

Od zawsze był kolekcjonerem, ale dopiero gdy po śmierci ojca odziedziczył wszystkie jego pieniądze, naprawdę mógł mieć to, czego pragnął. Ojciec był skąpcem, lecz teraz nie miało to już żadnego znaczenia, bo Hugo Lang wreszcie był sam sobie panem. Jego matka zmarła na wylew krwi do mózgu,

kiedy miał czternaście lat, ale Hugo nigdy za nią nie tęsknił. Ernst Lang umarł na białaczkę. Konał długo w swoim zamku, do którego dobudowano całe skrzydło tylko do jego dyspozycji, zamieniając je niemal w szpital. Hugo od czasu do czasu tam zaglądał, ale nie z ochoty czy współczucia dla starego człowieka, tylko ze strachu, że temu staremu idiocie nagle wpadnie do głowy pomysł oddania swoich pieniędzy komuś innemu.

Po śmierci ojca Hugo pozbył się wszystkiego, co mogło mu przypominać o rodzicach. Fotografii, ubrań, portretów na ścianach. Nie widział powodu, by je zatrzymać, a miejsca potrzebował dla swoich kolekcji. Nigdy nie kochał rodziców, więc czemu miałyby przechowywać te rupiecie we własnym domu?

W licznych garażach wokół dziedzica stały jego samochody. Stracił już rozeznanie, ile ich naprawdę jest, i nie jeździł nimi często, ale cieszyło go samo ich posiadanie, dotykanie, patrzenie na nie, świadomość, że należą do niego. W kolekcji znajdowały się między innymi hennessey venom GT, porsche 918 spyder, ferrari F12berlinetta, aston martin vanquish i mercedes CL65 AMG coupé. Zwykle bezpośrednio po podróży takiej jak ta od razu szedł do garaży, żeby pogłaskać przynajmniej niektóre auta. Ale dzisiaj było inaczej.

Dzisiaj miał ważniejsze sprawy.

Zazwyczaj przechodził też przez pokój urządony jak akwarium, ale tym razem nie oglądał również swoich drogich ryb. Ruszył prosto do gabinetu, usiadł w głębokim fotelu, włączył komputer i poczuł, że serce pod koszulą bije mu mocniej. Nie zdarzało się to często. Hugo Lang nigdy szczególnie niczym się nie emocjonował. Jedynie czasem, kiedy coś sobie kupował, czuł pewną ekscytację. Tak jak wtedy, kiedy zdobył najdroższy w owym czasie na świecie znaczek pocztowy, szwedzkie złote trzy szylingi z 1885 roku, istniejący tylko w jednym egzemplarzu. Licytował go potajemnie i wygrał aukcję za blisko dwadzieścia milionów koron; właśnie wtedy poczuł lekkie mrowienie w ciele, ale i ono szybko minęło. Dzień później sprawił sobie skrzynkę drogiego wina Domaine Leroy Musigny Grand Cru, aby ponownie tego zaznać, ale niewiele mu z tego przyszło.

Ale to było coś zupełnie innego.

Nie odczuwał takiego drzenia od... Może nigdy? A może wtedy, kiedy ujrzał sumy na swoich kontach po sprzedaży całego majątku. Ale nawet to nie mogło się mierzyć z tym, co miał teraz.

Hugo Lang wstał, przebył długą drogę po podłodze z włoskiego marmuru,

żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz, po czym wrócił do komputera. Palce mu drżały, gdy wystukiwał na klawiaturze sekretny adres strony internetowej.

Minął ponad tydzień od czasu, kiedy młoda Norweżka w kołowrotku zniknęła z ekranu, i już mu jej brakowało. Kazał przenieść do gabinetu swoje łóżko i tu podawać sobie wszystkie posiłki, dzięki temu cały czas spędzali razem. W nocy, gdy nie mógł zasnąć, zdarzało się, że podchodził jeszcze bliżej i dotykał monitora. Tak przyjemnie było być blisko niej. Odkąd zniknęła, nie mógł odzyskać równowagi.

Hugo Lang oglądał wcześniej inne rzeczy. Jeśli się miało pieniądze i wiedziało, gdzie szukać, zawsze było coś do obejrzenia, ale rzadko coś prawdziwego. Z daleka potrafił wyczuć, że jest świadkiem przedstawienia. No ale to?

To było prawdziwe.

Ogłoszenie znalazł kilka miesięcy wcześniej. W miejscu, które często odwiedzał. W najmroczniejszym zakątku sieci. A najbardziej podobała mu się jego ekskluzywność.

„Five highest bidders only”.

Jedynie pięć osób. Hugo Lang nie lubił się dzielić z innymi i chętnie miałby dziewczynę tylko dla siebie, ale pięć to i tak nieźle, oprócz niego jeszcze tylko czterech innych. Był w stanie to zaakceptować, przynajmniej dopóki nie wiedział, kim są. No i oczywiście tak było, podobnie jak tamci nie mieli pojęcia o nim.

Norweżka zniknęła. Tęsknił za nią, ale dziś miała zostać wybrana nowa. Sześćdziesięciodwulatowski palce drżały tak, że z trudem trafiał we właściwe klawisze. Uśmiechnięty odchylił się na wielkim fotelu i poczuł, że serce bije mu jeszcze odrobinę szybciej, kiedy strona internetowa się załadowała i ukazała na wielkim monitorze zawieszonym na ścianie.

Prawie całkiem czarne tło i tylko krótki tekst po angielsku.

„Who do you want?”

„Who will be the chosen one?”

Pod spodem dwa zdjęcia. Dwie młode Norweżki.

Poczuł emocje tak wielkie, że ledwie mógł usiedzieć. Na czoło wystąpił mu pot, musiał wytrzeć okulary w koszulę, aby odczytać nazwiska pod zdjęciami.

Dwie młode Norweżki. Jedna blondynka. Druga brunetka.

„Isabella Jung”.

„Miriam Munch”.

Tak bardzo tęsknił za tamtą, ale przecież niedługo pojawi się nowa. Jedna z tych dwóch. Hugo Lang już czuł, że podobają mu się obie.

Namyślał się przez chwilę, po czym kliknął w jedno z dwóch zdjęć, zamknął stronę internetową, wstał z fotela i poszedł do garderoby przebrać się do obiadu.

CZEŚĆ VI

Mia Krüger skręciła przed biały dom i wysiadła z samochodu w poczuciu, że coś jej nie pasuje. Tamto nieoczekiwane spotkanie poprzedniego wieczoru. Ciągle miała w głowie tego hakera, Skunksa, który według Gabriela nienawidził policji. Pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. W pewnym sensie ją zafascynował. Zmusił do zdjęcia maski podejrzliwości, którą przecież zawsze nosiła. Na moment zdołał ją oślepić, ale w powrotnej drodze do domu i kiedy siedziała w swoim pokoju nad zapiskami, zaczęło ją nachodzić nieprzyjemne wrażenie. W tym wszystkim było coś dziwnego. Właściwie dlaczego się pojawił? Dlaczego ją odnalazł? Co wiedzieli o tym chłopaku? Nie znali nawet jego prawdziwego imienia. Wiedzieli jedynie, że odkrył ten film. Przypadkiem? Na jakimś tajemniczym serwerze? Który teraz nagle z niewyjaśnionego powodu nagle zniknął?

Pokręciła głową i sięgnęła do kieszeni po telefon.

– Słucham, Ludvig Grønlie.

– Cześć, mówi Mia.

– Cześć, Mio, gdzie jesteś?

Rozejrzała się, zerknęła na biały dom, przed którym stała, położony gdzieś na odludziu. Chyba tak właśnie należało to opisać. Odnalezienie go zajęło jej tyle czasu, że zaczęło się ściemniać. Prawie już się poddała, nim w końcu natrafiła na odchodzącą w bok drogę, ukrytą tak starannie, że można by sądzić, że ktoś zamaskował ją celowo.

– Na wsi – odpowiedziała Mia.

– Gdzie? – dopytywał się Grønlie.

– Tylko coś sprawdzam. – Mia nie chciała się tłumaczyć. – Mógłbyś mi w czymś pomóc?

– Oczywiście. Czego potrzebujesz?

– Chciałabym, żebyś zbadał pewien adres.

– Jaki?

– Ullevålsveien sześćdziesiąt jeden.

– A co chcesz wiedzieć?

– W zasadzie wszystko, do czego uda ci się dotrzeć.

- Aha. Byłoby prościej, gdybym wiedział, czego mam szukać. No ale...
- *Sorry*. Ten adres po prostu wypłynął wczoraj. Najbardziej interesuje mnie coś w rodzaju księgarni na parterze, takiej, no wiesz, ze starymi książkami.
- Antykwariat?
- Właśnie.
- Dobrze, zobaczę, co mi się uda znaleźć – powiedział Ludvig.
- Dzięki. – Mia z powrotem schowała telefon do kieszeni i znów zaczęła się rozglądać.

Nieduży biały domek. Po drugiej stronie podwórza czerwona szopa. Poza tym tylko las. Pokryte szronem drzewa rosące gęsto jedno przy drugim. Żadnych dźwięków. Kto mógł mieszkać w takim miejscu? Tu przecież niczego nie było. Mia przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do drzwi, chociaż wiedziała, że nikogo nie zastanie.

Jim Fuglesang.

Mężczyzna w białym kasku rowerowym. To on tu mieszkał. W małym białym domku otoczonym wielkimi drzewami, w kompletnej głuszy. Może nawet wyglądałoby to idyllicznie, gdyby nagle pojawił się chłopaczek z procą i ktoś krzyknął „Emiil!” jak na filmie nakręconym według książki Astrid Lindgren. Ale teraz okolica równie dobrze mogła stanowić scenerię jakiegoś horroru.

Klaustrofobia.

Naprawdę była dziewczyną z miasta. Czuła to teraz wyraźnie. Już dwa razy w ciągu krótkiego czasu odwiedziła te okolice. Półwysep Hurumlandet. Była w gospodarstwie ogrodniczym, w którym mieszkali ludzie. I w klubie jeździeckim, w którym również dobrze się czuła. Ale tutaj?

Tu nikogo nie było. Naprawdę nikogo. Żadnego odgłosu życia.

Chory na głowę. Znów zabrany do Dikemark. Nie da się z nim rozmawiać. Już podczas tamtego przesłuchania czuła, że nie jest to człowiek, którego szukają. To nagłe przyznanie się do winy. Zaburzony psychicznie, który wbił sobie do głowy, że popełnił morderstwo. Oczywiście nie mogli potraktować go poważnie, więc natychmiast go wypuścili. Mia wykreśliła go od razu, ale później przyszło jej do głowy coś innego. A jeśli on jednak jest sprawcą? Gdyby sama chciała wywinąć się policji, to czy nie zachowałaby się właśnie tak? Kto podejrzewałby wariata w białym kasku rowerowym udającego, że nie wie, o czym mówi? Trochę podobnie było też ze Skunksem. Nikt nie żywiłby podejrzeń wobec chłopaka zawsze stroniącego od policji, który nagłe

podejmuje współpracę, bo tak mu nakazuje „sumienie”.

Chory skurwiel.

Zaczęła szukać dzwonnka przy drzwiach, ale nic takiego nie znalazła, więc zamiast tego zapukała. Nikt nie odpowiedział. Tak jak się spodziewała. Jim Fuglesang. Przebywał w szpitalu Dikemark, odurzony lekami, pewnie ciągle w kasku rowerowym. Dla zachowania pozorów jeszcze raz przysunęła dłoń do białych drzwi i mocno zastukała, czując, że nadciąga coraz większy niepokój.

Kto właściwie tutaj mieszka?

Jaki człowiek decyduje się tak żyć?

W takiej głuszy?

W środku lasu?

W całkowitej ciszy?

Mia wsunęła ręce do kieszeni skórzanej kurtki, odczekała kilka minut, aż nabrała całkowitej pewności, że nikt jej nie otworzy, po czym spokojnie stanęła z powrotem na podwórzu i po pokrytej szronem trawie przeszła na werandę na tyłach domu.

Otwarcie drzwi zajęło jej ledwie chwilę. Ostrożnie wemknęła się do domu, ściszone głosem spytała: „Halo, czy ktoś tu jest?”, ale wciąż nikt się nie odzywał. Przynajmniej to jedno było prawdą. Jim Fuglesang pozostawał zamknięty w Dikemark. Miała cały ten dom dla siebie. Oczywiście działała nielegalnie, ale takimi drobiazgami Mia Krüger przestała się przejmować już dawno temu. Munch, rzecz jasna, musiał dbać o procedury, składać wnioski o nakaz przeszukania, którego wydanie przez tę cholerną biurokrację zawsze ciągnęło się całymi dniami, przynajmniej wtedy, kiedy nie mieli ku temu konkretnej podstawy. Tym razem może i by ją znaleźli, ale Mii i tak nie chciało się czekać.

Po cichu przeszła przez pokój i odnalazła na ścianie przełącznik światła.

Pomieszczenie, które się przed nią objawiło, wyglądało mniej więcej tak, jak je sobie wyobrażała. Porządek. Czysto. Wyraźnie było widać, że mieszka tu samotny mężczyzna. Mia nie zastanawiała się długo, wiedziała bowiem, czego szuka. Jim Fuglesang musiał kontrolować wszystko, co go otaczało, aby przetrwać dzień. Po co inaczej dorosły mężczyzna chodziłby w kasku rowerowym pod dachem? Aby to zrozumieć, nie trzeba było kończyć psychologii. Dlatego też zaraz znalazła to, czego szukała. Albumy z fotografiami. Równiutko ustawione na półce. Liczyła, że w środku wszystko również będzie jak najstarannie rozmieszczone i oznakowane.

„Lubisz fotografować?”

„Tak”.

Nie trzeba też było wielkiej spostrzegawczości, żeby zauważyć, że zdjęcia martwych zwierząt, które pokazał im Jim Fuglesang, miały na odwrocie resztki kleju. Starego zaschniętego kleju. Te fotografie miały zatem wcześniej swoje miejsca w albumie.

Brązowe tanie segregatory z plastiku ustawione w rzędzie na dolnej półce. Pierwszy z roku 1989. Ostatni z 2012. Wyjęła te najstarsze, zabrała na beżową kanapę i zaczęła przeglądać z rosnącym współczuciem. Na żadnym zdjęciu nie było człowieka. Drzewa. Wiewiórka. Schody. Karmnik dla ptaków. Zawsze oznaczone datą. „Śliczna papuzka, 21 lutego 1994”. „Na brzozie pojawiły się zielone listki, 5 maja 1998”. Otrząsnęła się ze smutku i zaczęła szybciej przerzucać karty albumu. Szukała bowiem prostej rzeczy. Pustych miejsc. Takich miejsc w albumach, z których usunięto fotografię. Nie potrzebowała dużo czasu na ich znalezienie. „Martwy kot, 4 kwietnia 2006”. „Biedny pies, 8 sierpnia 2007”. Sześć lat temu. I pięć. Tak dawno? W odstępnie roku? Dlaczego...

Ciąg myśli zakłóciło jej nagłe rozświetlenie mroku spowijającego podwórze. Światło pojawiło się na moment i zaraz zgasło. Nie słyszała nadjeżdżającego samochodu, ale nie miała najmniejszych wątpliwości.

Ktoś był na zewnątrz.

Zareagowała błyskawicznie. Odstawiła albumy na półkę, wymknęła się na werandę i stanęła za węglem domu, zaciskając usta, żeby nikt nie usłyszał jej oddechu.

Tak tu było cicho.

Słyszała bicie własnego serca.

Słyszała własny oddech.

Kto, u diabła, mieszka tak daleko od ludzi?

A potem ta nagła myśl:

Dlaczego, do pioruna, nie wzięła ze sobą pistoletu?

Nieuzbrojona, sama na takim pustkowiu.

Oczywiście, taki miała nakaz. Nie nosić broni. Policjanci w Oslo nie noszą broni, chyba że należą do oddziału szturmowego lub mają u z a s a d n i o n e powody. Mia Krüger w zasadzie nie lubiła broni, ale w ciągu ostatniego roku doszło do pewnych wydarzeń, które zmieniły jej nastawienie. Zawsze wybierała glocka, wypróbowała kilka różnych modeli, glocka 17,

standardowy element uzbrojenia, ale miała też glocka 26, lżejszy pistolet, łatwiejszy do ukrycia przy sobie. Teraz w niczym nie mogły jej pomóc, bo nie miała żadnego i czuła się trochę jak idiotka.

Samochód na podwórzu.

Usłyszała, że ktoś wysiada z auta, a potem puka do drzwi. Najpierw raz, potem drugi. Gość. Ktoś przyjechał do Jima Fuglesanga w odwiedzinach. Odetchnęła głębiej, po czym szybko wyłoniła się zza węgła i ujrzała zaskoczoną brodatą twarz. Uruchomił się w niej instynkt policyjny. Wzrokiem przeskanowała okolicę. Mężczyzna na schodach, mniej więcej osiemdziesiąt kilogramów, w płaszczu, biały samochód dostawczy na podwórzu. Dwa miejsca z przodu. Puste siedzenie pasażera. Szybki rzut okiem we wszystkich kierunkach. Żadnych innych ruchów. Wyglądało na to, że mężczyzna na schodach jest sam. Chyba wręcz przeraził się na jej widok.

– Kim pani jest? – wyjąkał.

– Dzień dobry, przepraszam. – Mia zmusiła się do uśmiechu i ruszyła w jego stronę. – Jestem Mia Krüger z policji w Oslo. Szukam Jima Fuglesanga. Czy on tutaj mieszka?

– Hm. Tak – odparł brodac.

– No to najwyraźniej nie ma go w domu – powiedziała ciągle uśmiechnięta Mia.

– Aha. Policja? Czy Jim zrobił coś złego?

– Nie, nie, to tylko rutynowa kontrola.

Mężczyzna na schodach ciągle nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia wywołanego widokiem obcej osoby w tym miejscu.

– Jestem Henrik – przedstawił się. Wskazał swój dostawczak, a Mia dopiero teraz zauważyła logo na boku.

„Sklep spożywczy w Hurum”.

– Od czasu do czasu dostarczam mu żywność, a ponieważ od kilku dni się nie pokazywał, pomyślałem, że może nie wychodzi z domu, więc...

– Dobrze go pan zna? – przerwała mu Mia.

– Dobrze jak dobrze, po prostu od lat jest moim klientem. Jest dość... no cóż... szczególną osobą i czasami potrzebuje pomocy.

Mia rozejrzała się w pośpiechu. Światło dzienne szybko zniknęło. Przeklęta pora roku. Przyjechała tu nie tylko, by zajrzeć do albumu z fotografiami, miała też do załatwienia inną, równie ważną sprawę. Postanowiła odnaleźć drogę nad jeziorko, tam, gdzie Fuglesang zrobił zdjęcia.

– Wygląda na to, że nie ma go w domu. – Mia wzruszyła ramionami.

– On chyba nie ma... jakichś... kłopotów?

– Nie. Chodzi jedynie o... o wypadek samochodowy. Sprawdzamy, czy sąsiedzi czegoś nie widzieli.

– Ojej. – Zmartwiony brodacz zszedł ze schodów. – Wypadek? Ktoś został ranny?

– Nie, nikomu nic się nie stało. – Mia zirytowana rozejrzała się dokoła.

Światło nagle całkiem zniknęło, zupełnie jakby ktoś je zgasił.

Do diabła!

– Mogę w czymś pomóc? – spytał mężczyzna. – Wszystkich tu znam. Gdzie to się stało?

– To pana sklep? – Mia wskazała na samochód.

– Tak.

– Henrik... a dalej?

– Henrik Eriksen, ja...

– Zadzwoń, jeśli będę miała jakieś pytania, dobrze?

Znow się uśmiechnęła.

– Tak, oczywiście. Podać pani numer?

– Znajdę w razie potrzeby. – Mia kiwnęła głową i wsiadła do swojego samochodu.

Zawróciła na niewielkim podwórzu i ruszyła wąską drogą.

Przeklęty zmrok.

Będzie musiała tu kiedyś wrócić, ale teraz przynajmniej już wiedziała, gdzie to jest.

Zdążyła wyjechać na główną szosę, kiedy zadzwonił jej telefon.

– Słucham.

– Tu Ludvig.

– Tak?

– Prosiłaś, żebym sprawdził ten adres.

– I co znalazłeś?

– Niewiele. W budynku są głównie mieszkania, a na parterze lokale użytkowe.

Nareszcie przy drodze pojawiły się latarnie i Mia od razu poczuła się spokojniejsza. Powrót do cywilizacji.

– Jakiś antykwariat?

– Nie, nic takiego nie znalazłem.

Niech to szlag.

Znów powróciło tamto paskudne uczucie niepewności wywołane wczorajszym nieoczekiwanym spotkaniem. Chłopak wziął się nie wiadomo skąd. Oszukał ją. Ten haker. Skunks.

Niech to piekło pochłonie!

– Dziękuję ci, Ludvig – powiedziała Mia i przyspieszyła, kierując się z powrotem w stronę centrum.

Isabella Jung siedziała na łóżku w swoim pokoju, ciągle w kurtce, i czuła, że serce bije jej mocno. Ktoś wsunął jej pod drzwi kolejną kartkę. Ten sam charakter pisma co poprzednio.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy? Tylko Ty i ja”.

Właśnie wróciła z odwiedzin u ojca. Oglądała jego nowe, przydzielone mu przez gminę mieszkanie we Fredrikstad. Dawno się nie widzieli, dlatego tak się cieszyła, ale wyszło trochę inaczej, niż to sobie wyobrażała. Tata niewiele się odzywał. Był w dziwnym humorze. Isabella czuła wręcz, że sprawia kłopot, chętnie więc wróciła do gospodarstwa.

Uśmiechnęła się, delikatnie pogładziła palcem białą kartkę.

„Spotkasz się ze mną?”

Oczywiście, że się spotka.

Zrozumiała już, że to od niego. Od razu gdy dostała pierwszy liścik, który wisiał na jej drzwiach. Paulus. Widziała przecież jego oczy, kiedy pokazywał jej orchidee. Nie bardzo pamiętała, czy już wtedy odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem, ale później, gdy tylko nadarzyła się okazja, już tak na niego patrzyła.

Te piękne oczy, które się do niej uśmiechały. Usta tłumaczyły, jak i kiedy należy podlewać rośliny, jaka ziemia jest najlepsza dla azalii, ale oczy mówiły zupełnie coś innego. Początkowo w ogóle nie mogła pojąć, po co robić z tego taką wielką tajemnicę, ale wkrótce się domyśliła. Nie miała jeszcze szesnastu lat i to był powód. Była za młoda. Zakazana miłość. Ale wcale przez to nie mniej ekscytująca.

Isabella Jung miała zaledwie piętnaście lat, lecz od dziecka czuła się dorosła. Wiek w ogóle jej nie obchodził. To przecież tylko jakaś niemądra liczba lat. Ale rozumiała go, jasne, że go rozumiała. On był już po dwudziestce. Straciłby pracę, może nawet poszedł do więzienia, dlatego starała się wszystko ukrywać. Tak samo jak on. Nigdy się nawet nie dotknęli. Nawet nie uściskali. Tylko te spojrzenia. Jego patrzące na nią oczy i jej odpowiedź.

Ale w końcu pojawiła się tamta kartka.

„Podobasz mi się”.

I teraz ta druga.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy? Tylko Ty i ja”.

Isabella pogładziła te słowa palcami, trochę zagubiona. Ledwie wróciła do gospodarstwa, a już dotarła do niej wieść, że policja zabrała Paulusa i Benedikte Riis. Doszło do jakiejś kłótni na podwórzu, policjanci skuli oboje i od tamtej pory nie było o nich żadnych wieści. Zaniepokojona Isabella od razu poszła do Helene, ale kierowniczka nie chciała z nią rozmawiać.

– Jestem trochę zajęta, przyjdź później, dobrze?

– Ale ja tylko...

– Później, Isabello.

Oczywiście miało to związek z Camillą Green, co do tego wszystkie były zgodne, ale żadna tak naprawdę nie wiedziała, co się dzieje. Kilka dziewcząt twierdziło, że słyszało, jak Benedikte mówi, że to Paulus ją zabił, co rzecz jasna było kłamstwem. Wszyscy wiedzieli, jaka jest Benedikte. Nie można jej ufać. Potrafi powiedzieć wszystko, byle tylko ściągnąć na siebie uwagę. To oczywiste, że Paulus nie zrobił nic złego.

Ktoś nagle zapukał do drzwi jej pokoju i zaraz zajrzała Cecilie.

– Śpisz? – spytała ostrożnie szczuplutka dziewczyna.

– Nie, nie, wejdź. – Isabella uśmiechnęła się do niej i szybko ukryła liścik pod poduszką.

– Słyszałaś coś więcej? – Cecilie usiadła obok niej na łóżku.

– Nie, nic, przecież dopiero przyjechałam. A ty?

– Krążą różne plotki – wymamrotała Cecilie łamiącym się głosem, a Isabella zauważyła, że przyjaciółka wcześniej płakała.

– Nie słuchaj plotek. – Isabella objęła roztrzęsioną dziewczynę.

– Jedne mówią, że to Benedikte zabiła Camillę Green – powiedziała Cecilie. – A inne, że Paulus. Pomyśl tylko, a jeśli to prawda?

Isabella pogładziła ją po głowie, próbując uspokoić. Bardzo polubiła Cecilie. Szybko nabrała do niej sympatii. Wszystkie dziewczyny w gospodarstwie miały trudną przeszłość, ale o tym, czego doświadczyła Cecilie, zanim tutaj trafiła, nie dało się nawet myśleć. Podobnie jak sama Isabella, również Cecilie pierwszy raz znalazła się w miejscu, w którym mogła czuć się bezpiecznie.

Ale teraz poczucie bezpieczeństwa zniknęło i Isabella dobrze rozumiała przyjaciółkę. Sama też czuła wielki niepokój. Wszyscy ci dziennikarze.

Policja. Idylla została zakłócona.

– Oczywiście, że to nieprawda – zapewniła Isabella.

– Tak uważasz? – Cecilie spojrzała na nią z naiwnością w oczach.

Były w tym samym wieku, lecz Isabellę niekiedy ogarniało wrażenie, że jest prawie matką tej drugiej dziewczyny. Cecilie miała ciężkie życie. Spotkało ją mnóstwo zła od niedobrych ludzi. Isabella знаła okrutne szczegóły, ale w tej chwili nie mogła o nich myśleć. Musiała skupić się na czymś innym.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy?”

Oczywiście, że tak. Oczywiście, że spotka się z Paulusem. Wiedziała przecież o tym sekretnym miejscu. O szałasie na samym skraju gospodarstwa. Wiedziała także o uprawianej przez niego marihuanie, ale nikomu o tym nie powiedziała. W ogóle jej to nie obchodziło.

– Paulus nikogo nie zabił – oświadczyła zdecydowanie.

– Benedikte też?

– Jasne, że nie.

– Na pewno? Przecież jest taka niedobra.

Cecilie ciągle nie była przekonana.

– Owszem, niedobra, ale do tego głupia. Nawet gdyby próbowała, i tak by jej nie wyszło, prawda?

Ku swej radości Isabella zobaczyła, że Cecilie próbuje się uśmiechnąć.

– Rzeczywiście, jest głupia.

– Pamiętasz, jak byliśmy w Muzeum Historii Naturalnej, a ona spytała, dlaczego tam nie ma małp? – Isabella się roześmiała. – I dlaczego wszystkie zwierzaki stoją nieruchomo?

Teraz Cecilie uśmiechała się już szeroko.

– Jej się wydawało, że jesteśmy w zoo!

– No właśnie. – Cecilie roześmiała się w głos. – Jak można być takim głupim?

– Prawdziwa idiotka!

– Nie cierpię złych ludzi. – Cecilie mocniej się do niej przytuliła.

Isabella czasami odnosiła wrażenie, że Cecilie jest jak siedmiolatka i pragnie być przez cały czas obejmowana.

– Nie bój się, będę się tobą opiekować. – Isabella znów pogładziła chudziutką przyjaciółkę po włosach.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka zajrzała zdyszana Synne.

– Wrócili!

– Kto?

– Paulus i Benedikte. Wrócili! Właśnie przyjechali. Radiowozem. Poszli prosto do gabinetu Helene.

On wrócił.

Isabella poczuła, że serce podskoczyło jej w piersi.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy? Tylko Ty i ja”.

Piętnastolatka się uśmiechnęła.

Oczywiście, że tak.

Nie mogła się już doczekać.

Holger Munch odwiesił budrysówkę w przedpokoju, zdjął buty, po czym ruszył prosto do łazienki i otworzył apteczkę. Sięgnął po pudełko z tabletkami na ból głowy, położył dwie na języku i popił wodą. Dopiero potem przeszedł do salonu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Po spotkaniu z Mią w Justisen był tak zmęczony, że od razu położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Wiercił się pod kołdrą, wreszcie musiał wstać. Niespokojnie krążył po mieszkaniu, aż w końcu się ubrał i zaczął chodzić ulicami na mrozie, ze wzrokiem wbitym w ziemię i w kapturze naciągniętym na głowę.

Ten nagły ból głowy. Ucisk w skroniach i za oczami. W trakcie rozmowy z Benedikte Riis kilka razy pociemniało mu w oczach, jakby ktoś uderzył go w głowę kijem bejsbolowym. Bez najmniejszego ostrzeżenia przed oczami pojawiły mu się gwiazdy, a w ustach poczuł smak metalu. Musiał na chwilę wyjść z pokoju i opłukać twarz zimną wodą. Spędził w łazience kilka minut, nim jako tako doszedł do siebie. *Migrena?*

Holger Munch nie był najzdrowszym człowiekiem na świecie, miał tego pełną świadomość, ale głowa dotychczas mu nie dokuczała. Zegar nad kuchennym blatem pokazywał, że dochodzi trzecia. Środek nocy. Niech to szlag. Nie czuł się już śpiący. Tylko ten piekielny ból głowy. Stał przez chwilę nieruchomo, czekając, aż zaczną działać tabletki. Czyżby naprawdę stawał się za stary na tę pracę? Miał pięćdziesiąt cztery lata, za kilka dni pięćdziesiąt pięć, to przecież żaden wiek. A może?

Przeszedł do kuchni, włączył czajnik elektryczny i zajrzał do lodówki. Jedzenie. Z tym otyły śledczy nigdy nie miał żadnych problemów, ale tym razem, gdy rozglądał się po półkach, wyjątkowo nie znalazł nic, na co miałby apetyt. W końcu z szafki nad zlewem wyjął kubek, zaczekał, aż woda się zagotuje, a potem poszedł z herbatą do salonu i stanął przy półce z płytami.

Coś smacznego do jedzenia, muzyka w tle, a on zmienia kanały telewizyjne przy wyłączonym dźwięku. Zwykle tak odpoczywał. Porządkował myśli, uwalniał się od dnia, który minął. To było trochę jak medytacja. Dobry posiłek. Muzyka. Obrazy świata migające na ekranie. Tym razem jednak nie pasowała mu żadna płyta. Osunął się na kanapę, wypił trochę herbaty, ból

powoli zaczynał ustępować. Za oknami panowała całkowita ciemność. Środek nocy, świat spał, ale on nie potrafił znaleźć spokoju. Mieszkanie nagle wydało mu się takie puste. A przecież starał się, jak potrafił, chciał stworzyć na Thereses gate prawdziwy dom i do tej pory nie zwrócił uwagi, że otaczające go przedmioty sprawiały wrażenie martwych. Juka w rogu. Zdjęcia Miriam i Marion nad kanapą. Półka z płytami CD pokrywająca całą ścianę za telewizorem. Po prostu sam siebie oszukiwał. Przekonywał się, że to dom, ale wcale tak nie było, bez względu na to, jak bardzo starał się w to uwierzyć. To po prostu magazyn, nic poza tym. Miejsce pobytu.

Miejsce czekania na...

Nie dokończył tej myśli, tylko poszedł do łazienki po kolejne dwie tabletki. Starał się udawać, że nie widzi obrączki, którą ściągnął z palca i schował do apteczki. Wrócił do kuchni i otworzył lodówkę, ciągle nie mając na nic ochoty. Znowu stanął przy półce z płytami, kolejny raz nie znajdując nic, czego chciałby posłuchać.

Już kierował się z powrotem na kanapę, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Munch na chwilę znieruchomiał, zanim w ogóle dotarło do niego, co to za dźwięk. Rzadko go ktoś odwiedza. Odgłos był dla niego wręcz obcy. W dodatku w środku nocy? To musi być jakaś pomyłka. Pewnie jakiś spóźniony imprezowicz wcisnął niewłaściwy guzik. Dzwonek jednak się powtórzył. A potem jeszcze raz.

Zirytowany Munch w końcu podszedł do domofonu.

– Słucham?

– Cześć, Holger, tu Mia.

– Co?

– Mia. Mogę wejść na górę?

Nagle powróciło to wrażenie gwoźdźcia wbijanego w skroń.

– Jesteś tam, Holger?

Musiał mocno wziąć się w garść, żeby odpowiedzieć.

– Wiesz, która godzina? Co się stało?

Mia przyszła do niego. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Zawsze byli sobie bliscy, ale spotykali się poza domem.

– Skunks. – Głos Mii zatrzeszczał w domofonie.

– Co masz na myśli?

– Tego hakera.

– Słucham? – Holger oparł się o ścianę.

– Wydaje mi się, że ktoś nas nabiera. Mogę wejść czy nie?

– Jest środek nocy!

Munch przyłożył dłoń do czoła.

– Wiem, ale musimy porozmawiać – upierała się Mia na dole.

– O czym?

– O Gabrielu.

– O Gabrielu? Co ci chodzi po głowie?

– Skunks. – Mia zaczynała się już niecierpliwić. – Wydaje mi się, że to on.

– Ten haker?

– Tak.

Na chwilę zapadła cisza, Munch usiłował pozbierać myśli.

– Co Gabriel może mieć z tym wspólnego? – mruknął.

– Wpuścisz mnie czy nie?

– Tak, tak, oczywiście. – Munch zebrał się na tyle, by uruchomić przycisk zwalniający zamek w drzwiach na dole.

Chłopczyk leżał pod kołdrą, wpatrzony w kalendarz, który wisiał na ścianie obok jego łóżka. Ledwie panował nad emocjami, cały jakby zmienił się w jeden ogromny uśmiech. Wielki dzień. Czekali na niego tak długo. Mama mu o nim mówiła, on usiłował liczyć, kiedy nadejdzie, ale brakowało mu palców. Czekał od lata, a może nawet dłużej. Na ten wielki dzień. Kiedy wszystko będzie... No tak, właściwie nie wiedział, co się stanie, ale był pewien, że to będzie coś wspaniałego, wspanialszego niż Słońce i Księżyc, nawet niż narodziny Ziemi. Podciągnął cienką kołdrę pod samą brodę i znów spojrział na kalendarz. Chociaż mama kazała mu spać, to jednak nie mógł. Grudzień 1999. Tak było napisane na kartce z kalendarza. Rok miał ten właśnie numer, 1999. Ale nie to było takie emocjonujące, tylko następna kartka. Ta, na którą zabroniono mu patrzeć, dopóki nie wybijie dwunasta. I tak ukradkiem zerknął. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Styczeń 2000. Aż trudno sobie wyobrazić. 2000. Chłopiec uśmiechnął się do siebie i poczuł, że palce u stóp same mu się podwijają, zwykle tak się działo, gdy cieszył się z czegoś tak bardzo jak teraz. Palce się zwijały, a potem jakby podskakiwały razem z nogami, rękami i całą resztą ciała, aż po uszy, które robiły się wtedy bardzo gorące. I to było takie przyjemne, bo w pokoiku panowało lodowate zimno. Grudzień. Dojmujący chłód. Stać ich było jedynie na piec w salonie. Piec drogo kosztował. Drewno także. Chłopiec na ogół sypiał w ubraniu i w czapce, ale i w skarpetkach czuł palce podwijające się z radości.

Wielki dzień. Nowe tysiąclecie. Nie do wiary! Jak to możliwe, by jeden dzień miał takie znaczenie? Jak kilka minut na zegarze mogło aż tyle zmienić? Jeden ruch wskazówek, no i bęc, bum, hura! Wskazówki usuną wszystko, co głupie i niemądre, nadejdzie wielki dzień. Ten dzień, na który cieszyli się od dawna. Znów usiłował liczyć na palcach, ale ciągle mu ich brakowało. Zresztą niełatwo je było wszystkie odnaleźć w grubych rękawiczkach, które musiał włożyć w takie zimno.

Chłopiec miał w pokoiku na ścianie zegar, ale ten zegar nie pokazywał właściwej godziny, bo baterie wyczerpały się już jakiś czas temu, a nowe dużo kosztowały, dlatego stale było pięć po czwartej. Wiedział, że to nieprawda,

dlatego próbował liczyć od chwili, kiedy mama kazała mu się położyć w swoim pokoju. Zegar w salonie pokazywał wtedy pięć po ósmej, a sekundy liczyło się tak: sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy. Po pięciuset kilkudziesięciu kompletnie się jednak pogubił i stwierdził, że najlepiej będzie leżeć w łóżku i czekać, aż mama po niego przyjdzie i ogłosi, że to już.

Wielki dzień.

Wprawdzie nie wiedział, co się wtedy stanie, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie to coś wielkiego. Bo w obecnym tysiącleciu nikt nie mógł żyć, ono było opętane przez złe duchy i działo się tyle zła, na które nic nie dało się poradzić, należało jedynie czekać, aż minie. Ale jego koniec miał nadejść już wkrótce i chociaż chłopiec nie całkiem wiedział, co się wydarzy, to miał nadzieję, że mama będzie weselsza, bo przecież od tak dawna cieszyła się na ten dzień.

Mocniej naciągnął czapkę na uszy, starając się nie wypuścić spod cienkiej kołdry ani odrobiny ciepła.

„Piwnica jest za duża” – mówiła zwykle mama.

Odpowiadała tak, kiedy pytał, dlaczego w domu przez cały czas jest tak zimno.

„Twój ojciec nie miał całkiem dobrze w głowie, ale dom potrafił zbudować. Dobrze wiedział, co nadejdzie. Rozumiał, że będziemy potrzebować miejsca, by się ukryć, kiedy huknie, kiedy nadejdzie zagłada świata. Ale trochę się pomylił. Tu powinno być więcej domu, a mniej piwnicy, bo kiedy ziemia marznie, chłód przenika przez podłogę, rozumiesz?”

Niewiele pojmował z tego, co mama mówiła o tacie, nigdy go nie widział, ale i tak zawsze kiwał głową, bo mama nie lubiła, kiedy za bardzo ją wypytywał. Wiedział, że tata istniał naprawdę, bo to on zbudował dom. Nie widział taty na własne oczy, ale mama nie potrafiła niczego zbudować, więc to musiała być prawda. Czasami myślał sobie, że tata jest trochę taki jak tatuś Pippi Pończoszanki, że jest bardzo dobry, ale nie wolno mu tu być, ponieważ jest piratem na wyspie Kurrekurredukt, lecz pewnego dnia się zjawi, z wielką brodą, bardzo wesoły. No ale na razie tak się jeszcze nie stało. Chłopiec nie powiedział o tym mamie i nie mówił tego głośno nawet sobie, że ów wielki dzień oznacza być może właśnie powrót taty. Właśnie to się stanie. Tata nagle pojawi się w drzwiach, przyniesie mnóstwo skarbów i złota, porwie mamę na ręce i tralala! zakręci się z nią w kółko i przywiezie podarunki ze wszystkich

stron świata, a wśród tych podarunków będzie piec, specjalnie dla niego, żeby już więcej nie marzył w swoim małym pokoiku, w którym nigdy nie było ciepło, a już szczególnie w grudniu, tak jak teraz.

Dużo rozmyślał o tym, czym może być ten wielki dzień. Miał nadzieję, że tata wróci, ale to przecież nie było pewne, więc sporządził listę. Nie pokazał jej mamie, bo wiedział, co mama myśli o tym, że on wypytuje, że czegoś chce, tylko schował listę pod poduszkę, a było na niej siedem rzeczy, które jego zdaniem mógł przynieść ten wielki dzień.

Przez chwilę miał ochotę wyjąć listę i jeszcze raz na nią zerknąć, ale przecież mama powiedziała, że ma się położyć, spokojnie czekać, mimo że zegar w salonie wskazywał zaledwie pięć po ósmej.

„Wielki dzień”.

Napisał to dużymi literami na górze kartki. Pisać nauczył się zupełnie sam i był z tego bardzo dumny. Nauczył się też liczyć. Odczytywać godzinę na zegarze. Składać litery. Bez niczyjej pomocy. I dobrze się stało, bo nie chodził do szkoły jak Pippi. Początkowo nie rozumiał, co jest napisane na wszystkich rzeczach, które go otaczały: z tyłu na opakowaniu płatków kukurydzianych, na tubce pasty do zębów, z boku na kartonie z mlekiem i w tych trzech książkach, które miał u siebie w pokoju. Najpierw widział jedynie dziwaczne znaczki, prawie jak rysunki, ale pewnego dnia, kiedy mamy nie było w domu, nagle zaczęły mu się układać w głowie. Nie wiedział, jak to się stało, ale znaczki miały jakiś związek ze słowami wychodzącymi z ust mamy, kiedy mówiła, i z jego ust, kiedy jej odpowiadał. Początkowo wydawało mu się, że słowa istnieją tylko w powietrzu, ale potem nagle zrozumiał, że znajdują się też na przedmiotach, na które patrzył.

„Dobranoc”.

„Mleko”.

„Styczeń”.

„Mydło”.

„Możesz wygrać”.

„Annika”.

„Tommy”.

„Możesz wygrać podróż do Disneylandu”.

Później wziął długopis i sam zaczął zapisywać słowa na kartce, a odkrycie, że może to robić, było niemal równie fantastyczne jak leżenie pod kołdrą i czekanie na ten wielki dzień. Aż trudno było uwierzyć, że słowa

wydobywające się z ust można literami zapisać na papierze, i to za pomocą zwykłego długopisu.

Chłopiec mimo wszystko postanowił wstać, żeby się trochę rozruszać i rozgrzać nieco krew, bo ani ubranie, ani cienka kołdra już nie pomagały, przemarzył do szpiku kości, a przy każdym oddechu z jego ust unosiła się para, chociaż był w domu.

Owszem, tata zbudował ten dom, ale chociaż potrafił budować domy i pomyślał o miejscu, w którym będą mogli się schronić, kiedy świat ulegnie zagładzie, to mama miała chyba też trochę racji, mówiąc, że piwnica jest za duża. W pokoju nie dawało się wytrzymać, nie pomagało leżenie pod kołdrą w ubraniu. W pewnej chwili pomyślał, że może jednak przenieść się do salonu, tam, gdzie był piec, ale ostatecznie tego nie zrobił. Jeśli w ogóle czegoś się w życiu nauczył, to tego, jak ważne jest, żeby nie złościć mamy.

Podszedł do szafy i wyjął z niej sweter, ten robiony na drutach, w ludowy wzór. To był jego najlepszy strój i mógł go wkładać jedynie na urodziny albo kiedy wychodził z domu, ale mimo wszystko wciągnął go na ubranie i wrócił pod kołdrę. Jeszcze raz spojrzął na kalendarz. 1999, zły rok. Poczuł, że już nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł przerzucić kartkę.

Styczeń 2000.

Nowe tysiąclecie.

Wcale nie był niegrzeczny. Zawsze robił to, co mu kazano. Ale mama przecież nie mówiła, że ma nie wyjmować tej swojej listy, tylko powiedziała, że ma się położyć, prawda?

Ściągnął rękawiczki, wyjął kieszonkową latarkę i wysunął listę spod poduszki. Lekko się uśmiechnął.

WIELKI DZIEN

Chciałbym:

1. Żeby mama była zadowolona.
2. Żeby tata wrócił i trochę zmniejszył piwnicę.
3. Móc wychodzić z domu.
4. Przestać ciągnąć mamę za włosy, kiedy ją czeszę.
5. Chodzić do szkoły.
6. Móc powiedzieć mamie, że znam litery i cyfry, że umiem czytać i pisać na kartce, i żeby ona się nie rozłościła.
7. Mieć przyjaciela, tak jak Tommy i Annika.

Wiatr nadciągnął nagle, zapukał w ściany i na tym nie poprzestał, zaczął się

wdzierać przez nieszczelne okna, dmuchał mu lodem w twarz, w ten odsłonięty kawałeczek między czapką a brzgiem kołdry.

Chłopiec jeszcze raz się zastanowił, czy nie wstać i nie pójść do salonu, gdzie był piec, bo tak przyjemnie się tam siedziało, kiedy się czuło, jak w ciepłe płonącego drewna odtają palce, ale znów tego nie zrobił, bo mama tak przykazała.

Chłopiec nie miał wokół siebie żadnych innych ludzi, nigdy ich nie było, miał tylko mamę.

Kiedy wychodziła, musiał zostawać w domu sam. Czasami mijały dni, zanim wróciła, ale to nie miało znaczenia, bo mama była dla niego wszystkim.

Tak lubił czesać jej piękne jasne włosy przy ogniu. Pomagać jej się umyć w trudno dostępnych miejscach. Mydlić gąbką tam, gdzie sama nie sięgała. Chłopczyk uśmiechnął się teraz, całkowicie zapominając o swoim smutku, bo właściwie chciał mieć na swojej liście dwadzieścia punktów, a doszedł zaledwie do siedmiu, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Wielki dzień.

Nieświadom tego, co się z nim dzieje, przymknął oczy na tyle, że odpłynął, wyrwał się z zimnego pokoju i na trochę zapadł w sen, a kiedy się obudził, zrozumiał, że chociaż zegar na ścianie ciągle wskazywał pięć po czwartej, rok 1999 już się skończył.

Teraz nastał rok 2000.

Wielki dzień.

Musiało tak być. Mama po prostu zapomniała go obudzić. Zrzucił kołdrę i wybiegł z lodowatego pokoju. Uśmiechnięty przeszedł przez salon do pokoju mamy. Niemądra mama. Z całą pewnością zasnęła i zapomniała go zbudzić w ten wielki dzień.

Otworzył drzwi do sypialni i znieruchomiał.

Z belki na suficie zwisał sznur.

Pod pętlą zaciśniętą na jej szyi zwisało nagie ciało z długimi jasnymi włosami. Nieruchome kończyny, sina twarz. Oczy szeroko otwarte, a usta wyglądały tak, jakby nie mogły mówić.

Chłopiec przysunął sobie krzesło, ostrożnie na nim usiadł i z nadzieją zaczął wpatrywać się w nagie ciało zwisające z sufitu.

W milczeniu czekał, aż mama się obudzi.

Pulsujący ból głowy na szczęście znów trochę odpuścił i Munch, tłumiąc ziewnięcie, postawił przed Mią kubek herbaty.

– Nic więcej nie masz? – spytała.

– To znaczy?

– Czegoś mocniejszego?

– Jest środek nocy, Mio. Nie możemy załatwić tego jutro?

– Nie, to ważne. – Mia trochę bełkotała, Munch zauważył, że jest nieźle wstawiona, choć w pewnym sensie również podniecona i czujna.

Jego śliczna koleżanka nie zdjęła nawet butów ani kurtki, tylko tak jak stała, usiadła na kanapie i popatrzyła na niego z tym wyrazem oczu, który widział już tyle razy wcześniej. Coś skojarzyła. Zawsze pozostawało dla niego tajemnicą, w jaki sposób Mia dochodzi do swoich wniosków, ale nauczył się już ufać temu spojrzeniu.

– Przecież wiesz, że nie piję. – Ziewnął.

– Wiem, wiem, ale może jednak. – Mia skinieniem głowy wskazała półkę pod płytami CD.

Żartobliwe prezenty od jednostki. Na każde urodziny. Dajmy abstynentowi coś drogiego, czego nigdy nie wypije. Na półce stało osiem nieotwartych butelek whisky z etykietami, które nic mu nie mówiły i którymi w ogóle się nie interesował.

– Częstuj się – powiedział Munch, ale pokręcił głową, kiedy Mia wstała po butelkę i ją otworzyła.

– Masz jakąś szklanę?

Munch poszedł do kuchni i wyjął z szafki szklanę. Przypadkiem zawadził wtedy wzrokiem o uśmiechniętą buźkę naklejoną na drzwi lodówki i nagle uprzytomnił sobie, że o czymś zapomniał.

Miriam do niego dzwoniła.

A jemu w tym wszystkim wyleciało z głowy, że ma oddzwonić. Niech to szlag. Przecież zdecydował, że będzie inaczej. Miał w większym stopniu poświęcić się rodzinie, być bardziej obecny w życiu najbliższych. Zaniósł szklanę do salonu i dopiero teraz zorientował się, że Mia nieprzerwanie

mówi.

Co się dzieje z moją głową?

– Rozumiesz? – spytała Mia, napełniając szklanę.

– Co? – spytał Munch.

– Słuchasz mnie czy nie?

– Nie bardzo. – Munch usiadł. – Jesteś pewna, że nie możemy omówić tego jutro?

– On do mnie przyszedł.

– Kto?

– Daj spokój, Holger. Czy ty już śpisz? Skunks. Podszedł do mnie w Lorry.

– Skunks? – powtórzył zaskoczony Munch.

– Nie wiadomo, skąd się wziął. – Mia uśmiechnęła się i wypila łyk. – Niewidzialny, prawda? Chyba tak mówił o nim Gabriel?

Munch przytaknął.

– Niemożliwy do odnalezienia. Nie ma z nim kontaktu. *Live feed* – tak powiedział.

– Słucham?

– Ten film, który dostaliśmy. Z uwięzioną Camillą. Mówił, że to nie tylko nagranie, że to był przekaz na żywo.

– Na żywo? – Munch się trochę rozbudził.

– Owszem. Mówił, że ustawiono na nią kamery i pokazywano ją w sieci.

Miesiącami.

– Rany boskie. – Munch poczuł mdłości.

– Perwersja, prawda?

– Cholera, pewnie, że tak.

– Ale nie to chciałam ci powiedzieć. – Mia sobie dolała.

A więc zamiast iść do domu, wybrała się do Lorry i najwyraźniej sporo wypila. Znów przyłożyła szklanę do ust i opróżniła ją niemal do dna.

– Mio, ja...

– Nie, nie, posłuchaj – nie pozwoliła sobie przerwać. – Skąd można wiedzieć takie rzeczy? Skąd można wiedzieć, że to nie filmik, tylko *live feed*? Chyba że...

Teraz uśmiechnęła się już szeroko i popatrzyła na Holgera niemal całkiem przytomnie, chociaż tyle już w siebie wlała.

– Chyba że samemu brało się w tym udział? – podsunął Munch.

– No właśnie.

– O, do diabła!
– Prawda?
– On się po prostu pojawił?
– Tak. Dosłownie wziął się z powietrza.
– I myślisz, że ma wyrzuty sumienia? Że to ten, o kogo nam chodzi?
– Tak. – Mia pokiwała głową.
Muncha nagle opuściło całe zmęczenie.
– I co z tym zrobimy? – spytała Mia.
– Znajdziemy go. Przesłuchamy. Sprawdzimy, czy istnieje podstawa do postawienia zarzutów.
– Nie to mam na myśli.
– A co?
– Co zrobimy z Gabrielem?
– A co znów z nim?
– Oni się przyjaźnią.
– Uważasz, że Gabriel wie więcej, niż mówi?
Mia wzruszyła ramionami.
– A ciebie nie dziwi, że Gabriel nie powiedział nam, kim jest ten Skunks i gdzie możemy go znaleźć?
– Mio... – zaczął Munch.
– Nie, posłuchaj mnie! Nagle pojawia się film. Nie wiadomo skąd. Jak długo właściwie znamy Gabriela? Sześć miesięcy?
– Mio, nie sądzisz chyba, że...
– Mówię serio, Holger. Za tym coś się kryje – przerwała mu Mia. Dopięła i znów sobie nalęła.
– No tak, ale...
– Słuchaj, co mówię, Holger. Skunks coś wie. Wydaje mi się, że całkiem sporo. A jeśli Skunks coś wie, to sądzę, że wie to również Gabriel. Musimy z nim o tym porozmawiać, ale ostrożnie. Właśnie dlatego chciałam się teraz z tobą zobaczyć, kapujesz?
Zamyślony Munch kiwnął głową.
– Najlepiej będzie, jeśli ty to zrobisz – oświadczył w końcu.
– Co?
– Porozmawiasz z Gabrielem. Jutro. Lubi cię. Skłoń go, żeby powiedział, co wie.
Znów poczuł ten smak metalu w ustach. Uczucie gwoźdźcia wbijanego

w skroń.

– Okej. – Mia wypięła do dna.

– Tylko nie przy wszystkich, dobrze?

– No tak, jasne.

– Mamy ogólny briefing o dziesiątej, więc może potem.

– Okej. – Mia wstała.

– Więc przypuszczasz, że to on? – spytał Munch, kiedy już stali w przedpokoju.

– Skunks?

– Tak.

– W każdym razie mam wrażenie, że coś w tym jest.

– No dobrze, tylko delikatnie. – Munch otworzył jej drzwi.

– Z Gabrielem?

– Tak.

– No pewnie – powiedziała Mia i uśmiechnięta ruszyła na dół po schodach.

Gabriel Mørk przez cały briefing nie mógł się pozbyć dziwnego uczucia. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Jego podejrzenia się potwierdziły, kiedy bezpośrednio po odprawie Mia poprosiła, żeby przyszedł do jej pokoju.

– O co chodzi? – spytał zdziwiony, gdy kazała mu zamknąć za sobą drzwi.

Patrzyła na niego wzrokiem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział, podejrzliwym i zarazem zaciekawionym, lekko przekrzywiła przy tym głowę, trochę tak, jakby usiłowała czytać mu w myślach.

– O co chodzi? – powtórzył Gabriel. Wysunął sobie krzesło i usiadł.

– Muszę cię o coś spytać – zaczęła Mia. – A ty musisz być wobec mnie najzupełniej szczery.

– Szczery? – Uśmiechnął się. – Dlaczego miałbym nie być szczery?

Mia wyjęła z kieszeni kurtki pastylkę odświeżającą i położyła ją na języku, wciąż nie odrywając oczu od Gabriela.

– Skunks – powiedziała.

– Co z nim? – Gabriel wzruszył ramionami.

– Jak bardzo właściwie się przyjaźnicie?

Powoli zaczęło do niego docierać, że jednak chodzi o to, czego bał się kilka dni wcześniej. Skunks wyłonił się z niebytu i zaraz znów zniknął, a Gabriel nie miał przecież pojęcia, gdzie go szukać.

– Co masz na myśli?

– To, o co spytałam. – Mia ciągle na niego patrzyła.

Rozmowa nagle zaczęła przypominać przesłuchanie i Gabriel poczuł, że ani trochę mu się to nie podoba.

– Dawniej byliśmy dobrymi przyjaciółmi – powiedział.

– Jak dobrymi?

– Bardzo dobrymi. Do czego właściwie zmierzasz?

– Ale już nie jesteście?

– Nie, już nie jesteśmy – westchnął Gabriel. – O co ci chodzi, Mio? Czy ty mnie o coś oskarżasz?

– Nie wiem. – Mia znów lekko przechyliła głowę. – A mamy o co?

My?

Gabriel poczuł lekką irytację. Rozmawiali o nim. Munch, ona, może ktoś jeszcze.

– Szczerze mówiąc, naprawdę nie wiem, gdzie on jest. – Gabriel rozłożył ręce. – Możliwe, że wychodzę na idiotę, ale nie rozumiem, dlaczego mielibyście mi coś zarzucać.

– Więc nie widziałeś go od dawna?

– Od lat. Nagle się ze mną skontaktował.

– I już się nie przyjaźnicie?

– Nie.

– A co się stało?

Gabriel nagle poczuł, że ma tego dość. Już wcześniej był zmęczony. Ostatnio źle sypiał, te obrazy nie wychodziły mu z głowy, chociaż starał się o nich zapomnieć. Wychudzona dziewczyna klęcząca na podłodze. Napis na ścianie za jej plecami. Cień sylwetki pokrytej piórami. Aż drżał na samo wspomnienie.

– Posłuchaj – powiedział głosem, w którym zabrzmiał gniew większy, niż zamierzał. – Wiem, że jestem tu nowy, nie tak dobry w tej robocie jak pozostali, ale staram się, jak mogę. Gdybym wiedział, gdzie on jest, tobym powiedział. Myślisz, że nie próbowałem? Myślisz, że nie wysunąłem czułeków? Nie wierzysz? Ale nie mam żadnego odzewu. A wiesz dlaczego? Bo Skunks nie chce zostać odnaleziony. Bo...

Urwał. Musiał się trochę uspokoić, czuł, że krew zaczyna w nim wrzeć.

– Bo co? – spytała Mia.

– A jak ci się wydaje?

– Bo zajmuje się rzeczami, które nie tolerują światła dziennego?

– No właśnie. – Gabriel znów rozłożył ręce. – I co teraz? Uważacie, że w tym uczestniczę? Naprawdę? Cholera, Mio, tak cię lubię, ale na to sobie nie pozwolę. Harowałem jak szalenciec od samego...

Mia przerwała mu gestem uniesionej ręki.

– *Sorry*, Gabriel. – Patrzyła już teraz łagodniej. – Po prostu musiałam sprawdzić.

– Co sprawdzić? – spytał z irytacją.

– *Sorry* – powtórzyła i wyglądało na to, że mówi szczerze.

– Niech cię diabli, Mia! Zachowałeś się paskudnie.

– Przepraszam.

Wstała z krzesła i przysiadła tuż przed nim na brzegu biurka.

– Co ty sobie myślałaś? Co w y myśleliście? O czym rozmawialiście? O tym, że Gabriel i Skunks razem knują? Że starzy hakerzy kręcą interes na boku? Zamykają dziewczyny w piwnicach? Mówisz serio, Mia? Aż mi się rzygać zachciało. – Gabriel był tak wściekły, że ledwie nad sobą panował. Czegoś podobnego nigdy by się nie spodziewał. Jak mogli tak o nim pomyśleć? Czy ona w ogóle miała pojęcie, jak dumny jest z tego, że włączono go do grupy?

– Gabriel... – zaczęła Mia. Przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. W pewnej chwili miał nawet wrażenie, że chce go uściskać. Miała taką minę, jakby naprawdę było jej przykro. – Czasami zdarza mi się mylić – powiedziała, nie odsuwając ręki. – Czasami działam za szybko, zapominam pomyśleć. Możesz mi to wybaczyć? Nie sądziłam, że masz z tym coś wspólnego, ale...

– Ale co?

– Czasami, kiedy kogoś lubimy, staramy się go chronić, prawda?

– I uznałaś, że chronię Skunksa?

– Mniej więcej – odparła Mia z żalem.

– Po pierwsze – zaczął Gabriel – uważam, że Skunks sam świetnie daje sobie radę. Po drugie, nie jesteśmy już przyjaciółmi. Po trzecie, bez względu na to, czy bylibyśmy przyjaciółmi, czy nie, gdybym podejrzewał, że jest zamieszany w coś, nad czym my... tak, mówię my, bo naprawdę czuję się członkiem grupy... w coś, nad czym pracujemy, to niczego bym nie ukrywał. Co ty sobie o mnie myślisz, Mia? Wydawało mi się, że my dwoje możemy...

– Gabriel. – Mii naprawdę było teraz przykro. – Mówię serio. Popełniłam błąd. To oczywiste, że jesteś członkiem naszej grupy. Wszyscy cię tu uwielbiają i uważają, że doskonale się spisujesz. Pracujesz z nami zaledwie od pół roku, a już nie możemy się bez ciebie obyć. Nie rozumiesz, że właśnie tak na to patrzemy?

– Najwyraźniej nie.

– No dobrze. Postaw się przez chwilę na moim miejscu – poprosiła Mia.

– I co?

– Nie wiadomo, skąd pojawia się film. Pewien haker natknął się na niego p r z y p a d k i e m. Na serwerze, który nie wiadomo gdzie się znajduje. Przekazuje to swojemu dawnemu kumplowi, który pracuje w policji. Ten kumpel n i e m a p o j ę c i a, gdzie go szukać. Co byś zrobił na moim miejscu? Nie próbowałbyś przyjrzeć się temu bliżej?

Gabriel chwilę się zastanawiał. W końcu przyznał, że Mia ma trochę racji.

– No i co? – Mia się uśmiechnęła. – W porządku? Rozumiesz już? Rozumiesz dlaczego? Możemy uznać sprawę za niebyłą?

– Okej. – Gabriel też leciutko się uśmiechnął. – No to z kim rozmawiałaś?

– O czym?

– O tym, że twoim zdaniem nie mówię prawdy.

– Tylko z Munchem. Uważał, że się mylę, tyle ci mogę powiedzieć.

– Naprawdę?

– Po prostu czasami za prędko działałam. I wszyscy cię tu lubią. Czy to jest dostateczne wyjaśnienie?

– Okej. – Gabriel kiwnął głową.

– To dobrze. Czy już mogę z tobą porozmawiać o tym, o czym tak naprawdę chciałam?

– Mów.

– On sam się do mnie zgłosił.

– Kto?

– Skunks.

– Serio? Nie, to niemożliwe. Nienawidzi policji.

– Nie żartuję – powiedziała Mia. – Siedziałam w Lorry, a on nagle przede mną stanął.

– Nic z tego nie pojmuję. – Gabriel był szczerze zdziwiony.

– Dziwne, prawda?

– Bardzo.

– I ja tak pomyślałam. Powiedział mi sporo rzeczy, które chyba tylko ty możesz mi wyjaśnić. Przyjrzymy się temu?

– Pewnie – zgodził się Gabriel.

– No to dobrze. Przyniosę sobie tylko kawę. Ty też chcesz?

– Owszem, poproszę. – Gabriel poczuł, jak bardzo ucieszyło go ciepłe, pełne zaufania spojrzenie, które Mia posłała mu, wychodząc z pokoju.

W łóżku, w którym te obce twarze kazały mu spać, było o wiele cieplej. Przebywał tu od kilku dni i wciąż nie wiedział, gdzie się znajduje ani kim są ci ludzie, ale zapewniali go, że jest już bezpieczny i że nie musi się bać.

Chłopiec nie całkiem rozumiał, o co im chodzi, ale nakarmili go, z czego bardzo się cieszył, bo długo nic nie jadł.

Te obce twarze wydawały się miłe, ale też dość głupie. Nie rozumiały na przykład, że ściany w ich domu są bardzo cienkie, więc słyszał wszystko, co o nim mówią, kiedy już się położył. Mama zawsze powtarzała, że powinien uważać na ludzi, bo ludzie mają dwie twarze i nie można im ufać. Zrozumiał teraz, że miała rację, bo ci obcy mówili inne rzeczy do niego, kiedy był w pokoju, a inne, kiedy siedzieli za ścianą i sądzili, że ich nie słyszy.

„To niesłychane, chore”.

„Przetrzymywała go w tej chacie przez dziesięć lat”.

„Nigdy nie poznał innych dzieci”.

„Znaleźli go zupełnym przypadkiem”.

„O Boże”.

„Siedział przy niej ponad tydzień”.

„Był taki wygłodzony”.

Usiłował pojąć, o czym mówią, nie był przecież głupi i wiedział, że to o nim, ale nie bardzo rozumiał, co to wszystko może znaczyć. Nie pojmował też, dlaczego nie ma mamy. Ci, którzy przyszli, zdjęli ją z sufitu, a on tak się cieszył, że znów się z nią zobaczy, ale najwyraźniej nie była jeszcze na to gotowa. W każdym razie zapowiadało się, że czekając na nią, będzie musiał zostać tutaj.

U tych obcych, którzy mieli dwie twarze i którym nie mógł ufać. Obcy byli głupi, ale mieli dobre jedzenie. I bardzo ciepłe pokoje. No i to, co podobało mu się najbardziej. Książki. Niewiarygodnie dużo książek. Nie tylko Pippi. Nie wiedział, że na świecie istnieje aż tyle książek. Pochłaniał jedną po drugiej. Ciągłe nie miał ich dość. Litera na kartkach pobudzały go do śmiechu, do rozmyślań, do podróżowania myślą w różne fantastyczne miejsca, w których nigdy wcześniej nie był.

A potem, kiedy już minął pewien czas, kazali mu rozmawiać z mężczyzną z cienkim wąsikiem, który był z zawodu, jak mu powiedzieli, psychologiem. Ten człowiek okazał się taki, jak mówiła mama – zgniły od środka, ale na zewnątrz się uśmiechał. Pozwolił mu jeść landrynki leżące w miseczce na stole między nimi, prawdopodobnie po to, żeby go do czegoś nakłonić, bo tak robią ludzie, ale on mimo to jadł te cukierki, takie pyszne, i kiwał głową, kiedy psycholog o coś pytał.

Ten człowiek opowiadał mu o czymś, co nazywa się „śmierć”. Mówił, że mama odeszła i już nigdy nie wróci. Chłopiec początkowo ani trochę w to nie wierzył, ale mijały miesiące i w końcu zaczął uważać, że może mimo wszystko jest w tym trochę prawdy. Czekał przecież już tak długo i ciągle miał nadzieję, że kiedy następnym razem wyjrzy rano spod ciepłej kołdry i otworzy oczy, zobaczy mamę, ale ona nie przychodziła. Ta „śmierć” najwyraźniej rzeczywiście istniała i mama zamierzała u niej zostać na dłużej. Jak długo, nie wiedział. Nie miał też odwagi pytać, bo za każdym razem gdy tylko otworzył usta, czy to do którejś z pań przynoszących jedzenie, czy do psychologa od landrynek, tak dziwnie na niego patrzyli.

Jakby był głupi.

Nie mówili tego głośno, ale on to i tak poznawał po ich oczach. Uważali, że nie docierają do niego najprostsze rzeczy, które podobno tak łatwo zrozumieć. Przestał więc pytać, nauczył się zamiast tego kiwać głową. Uśmiechać się i kiwać głową. Zawsze ich to cieszyło. Dwie twarze. Mama przecież mówiła, że ludzie na zewnątrz noszą maskę. A ściany w tym domu były ciągle tak samo cienkie, lecz ponieważ on nie mówił, jaki jest w środku, słowa zza ściany z czasem zaczęły się zmieniać.

„Zaskakująco dobrze sobie radzi”.

„Aż przyjemnie patrzeć”.

„Wygląda na to, że już zapomniał, przez co przeszedł”.

„Niewiarygodny koszmar, trudno sobie to wyobrazić”.

„Zamknięty sam z szaloną matką w chacie przez dziesięć lat”.

„Ale teraz wszystko idzie ku dobremu”.

„Widzieliście, jaki on bystry? Ile czyta?”

„Słyszałaś, co mówi Nils?”

„Nie, a co?”

„O laptopie”.

„Ale co?”

„Przecież on nie widział na oczy komputera. Nie wiedział, co to jest, a teraz cały czas go używa. Nils mówił, że jeszcze nigdy nie spotkał kogoś, kto by się tak szybko uczył”.

„Dzięki Bogu”.

„O tak, to prawda”.

Mieszkał tu już rok, po kilka razy przeczytał wszystkie książki znajdujące się w tym domu, również te przeznaczone, jak twierdziły twarze, tylko dla dorosłych. Pewnego dnia zawieziono go samochodem w inne miejsce, w którym znajdowało się tyle książek, że na ich widok prawie zemdłał. Książki były wszędzie, od podłogi po sufit. Pozwolono mu nawet zabrać kilka do domu, do swojego pokoju. Dostał też małą kartę ze swoim nazwiskiem, a starsza pani za kontuarem, również miła tylko na zewnątrz, mówiła, że może wypożyczać tyle książek, ile będzie chciał, i wracać w to miejsce tyle razy, ile zapagnie.

Nie mówić brzydko o mamie.

Dwa razy już prawie doszło do tego, że ten, który w nim siedział, wyszedł przez usta, żeby ich poznać. Podrapać do krwi i kazać im odwołać te paskudne słowa, które powiedzieli o mamie. Ale zdołał go powstrzymać. Dwie twarze. Świetnie sobie poradził. Nic nie odkryli.

„Ach, jaki on miły”.

„Prawda, że kochany?”

Tak mówiły głosy zza ściany. I chciał, żeby tak brzmiały. Nie lubił tych innych słów, które docierały do niego przez pierwsze noce, kiedy jeszcze nie wiedział, gdzie jest. Drżał wtedy pod kołdrą, chociaż właściwie było mu ciepło.

Ale czuł się tutaj całkiem dobrze.

Głównie z powodu książek.

I innych dzieci.

Chociaż nie od początku. Najpierw z tymi dziećmi było tak jak z dorosłymi twarzami, ale z czasem, kiedy zrozumiał, co ma robić, żeby nie być sobą, tylko się uśmiechać i nie pokazywać swojego wnętrza, zrobiło się o wiele lepiej.

Ale najbardziej fascynował go komputer.

To mężczyzna o imieniu Nils pierwszy pokazał mu ten spory plastikowy klocek, w którym po włączeniu otwierał się zupełnie nowy świat.

„Nigdy wcześniej nie widziałeś komputera? Serio?”

Chłopiec poczuł wtedy, że narosła w nim złość zaraz wydobędzie się na

powierzchnię, ale na zewnątrz zdołał zachować maskę. A potem wybaczył temu Nilsowi, bo książki, owszem, były wspaniałe, ale komputer to coś zupełnie innego. Poza tym głos Nilsa miło brzmiał również zza ściany.

„Cholera, ale ten chłopak ma łeb”.

„No właśnie, czy to nie wspaniałe? Wychować się w takich warunkach i tak świetnie sobie później radzić?”

„Ale ja mówię serio”.

„Z czym?”

„Słyszeliście o Beethovenie?”

„To znaczy?”

„Podobno Beethoven, kiedy tylko zobaczył fortepian, to od razu zrozumiał”.

„Co zrozumiał?”

„Normalnie trzeba się tego uczyć, ale Beethoven tylko spojrzął na fortepian, a potem usiadł i od razu zaczął grać. Natychmiast pojął, co to jest”.

„O czym ty mówisz, Nils?”

„Przecież on, do cholery, nigdy w życiu nie widział komputera”.

„Biedak. Tyle czasu w zamknięciu. Co za koszmar!”

„Kiedy tylko go włączyłem, a on przy nim usiadł, od razu, przysięgam, od razu pojął, jak to działa”.

„Tak się cieszę, że wszystko z nim w porządku”.

„No tak, ale czy nie rozumiecie, że ten chłopiec jest zupełnie wyjątkowy?”

Minęły dwa lata. Chłopiec poznał wszystkie smaki landrynek. I chociaż dzieci pojawiały się i odchodziły, cieszył się, że może przebywać w ich towarzystwie. Zrozumiał też, że ta śmierć to ważna osoba, która przetrzymuje mamę i mama zostanie u niej, dopóki nie będzie gotowa na powrót. Z czasem poczuł się w tym miejscu prawie jak w domu. Oczywiście nie tak jak z mamą, ale jednak. Głosy za ścianą przestały już źle o nim mówić. Dzieci na podwórzu chciały grać w piłkę albo wspinać się po drabinkach. Równie dobrze więc mógł w tym miejscu czekać, aż śmierć zakończy sprawę z mamą. W nocy spał już lepiej. Codziennie rano budził się wesoły.

Aż do tego dnia, gdy nagle na podwórzu przed domem zajechał samochód, a do niego podeszła jedna z tych kobiecych twarzy.

– Chciałabym, żebyś kogoś poznał.

– Tak?

– Będziesz miał nowy dom.

Nie bardzo zrozumiał te słowa.

– Dzień dobry – odezwała się nagle jasnowłosa kobieta, która wysiadła z obcego auta.

– Dzień dobry. – Podał jej rękę i ukłonił się tak, jak go nauczono.

– Jestem Helene – przedstawiła się uśmiechnięta. – Helene Eriksen.

– Wejdziemy do środka, żebyśmy mogli się lepiej poznać? – spytała opiekunka z domu.

No i weszli do środka. Na stole stały drożdżowe bułeczki, a on dostał do picia sok. Później ta nowa pani z poważną miną położyła mu rękę na ramieniu.

– Naprawdę bardzo się cieszymy, że staniesz się teraz częścią naszej rodziny.

Chłopiec nie rozumiał, co się dzieje, a ten, który w nim siedział, gniewnie wyszczerzył zęby. Ale mimo wszystko pozwolił mu się do niej uśmiechnąć. Twarzą, którą nauczył się nosić na zewnątrz.

Mia Krüger zaniósła filiżankę z kawą do stolika, a po drodze zgarnęła jeszcze gazetę. Chwilę poprzeczowała strony, ale tytuły wywoływały w niej przygnębienie, więc ją odłożyła, postanawiając raczej skupić się na czymś pozytywnym. Na przykład na smaku cortado. I na tym, że już za pierwszym razem trafiła w dziesiątkę. Trudno zwracać się o pomoc do innych jednostek, ale śledczy z Kripos był nastawiony bardzo życzliwie, wręcz się ucieszył, że się z nim skontaktowała.

„Policja nie ma śladu”.

„Kto zabił Camillę Green?”

Zawsze gdy przeglądała tabloidy, ogarniało ją uczucie, że to coś w rodzaju walki. Policja przeciwko sprawcy. W pewnym sensie dość dziecinne podejście. A jeśli nie udawało się go ująć szybko, to o wszystko obwiniano policjantów. Najbardziej jednak nienawidziła chyba tego uwielbienia dla przestępców. Bez względu na to, jak strasznej zbrodni się dopuścili, poświęcano im aż tyle miejsca. Mia wypłała jeszcze jeden łyk kawy i nagle lepiej zrozumiała Muncha i sposób, w jaki traktował tych wszystkich dziennikarzy. Sama właściwie nigdy nie miała z nimi problemu, chociaż prześladowali ją, gdy zastrzeliła Markusa Skoga. Musiała się ukrywać w hotelu na Majorstuen. Czy te pismaki, do diabła, nie rozumiały, że stanowią część problemu? Że istnieją ludzie gotowi na wszystko, byle tylko ich nazwisko stało się sławne?

Mark Chapman, ten, który zastrzelił Johna Lenona.

Żeby zobaczyć swoje nazwisko w gazetach.

John Hinckley, ten, który strzelał do Ronalda Reagana.

Żeby zaimponować aktorce Jodie Foster.

Jak można się tak nie orientować? Czy dziennikarze nie rozumieją swojej roli?

„Rytualne zabójstwo wciąż nierozwiązane”.

„Policja bezsilna”.

Starła się nie patrzeć na tytuły, ale przyciągały jej wzrok. Odłożyła gazetę, ale siedzący wokół niej ludzie trzymali inne w rękach. Zwykli ludzie, którzy

wyszli na lunch, przekonani, że prasa pisze całą prawdę.

Mia nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka, ale rozpoznała go bez najmniejszego problemu, kiedy tylko stanął w drzwiach i rozejrzał się po lokalu. Właściwie równie dobrze mógłby mieć na piersi wizytówkę.

Kripos.

Wydział przestępczości cyfrowej.

Widząc ją, mężczyzna w garniturze skinął głową i podszedł do stolika z wyciągniętą ręką.

– Robert Larsen. – Przedstawił się i usiadł.

– Mia Krüger.

– Cieszę się, że wreszcie się spotykamy – zaczął z uśmiechem. – Niezwykły splot okoliczności, że zadzwoniłaś właśnie dzisiaj.

– To znaczy?

– Kristian Karlsen. – Larsen lekko się uśmiechnął.

– Skunks?

– Owszem, Skunks – odparł śledczy, dając znak kelnerce, że prosi o to samo, co ma Mia.

Z aktówki wyjął tekturową teczkę i położył ją na stole przed Mią.

– Przyznam, że zaskoczył mnie twój telefon. Już od pewnego czasu Skunks pojawiał się na naszych radarach, ale nie sądziłem, że sprawy zaszły tak daleko.

– Co masz na myśli?

– Zabójstwo – powiedział Larsen. – Co prawda sporo na niego zebraliśmy, ale do tej pory nic nie wskazywało na coś takiego.

– Tak jak mówiłam, niewiele jeszcze wiemy – wyjaśniła Mia. – Ale warto sprawdzić.

– Rozumiem. – Śledczy z Kripos puścił oko. – *Top secret*, tak?

Mia poczuła lekką antypatię do tego człowieka, ale starała się jej nie okazać.

– No to co macie?

– Kristian Karlsen – chrząknął Larsen i otworzył swoją teczkę. – Haker. *Black hat*. Obiło ci się o uszy to określenie?

Mia kiwnęła głową. Skunks sam użył tych słów, więc je sprawdziła. Istnieją różni hakerzy. Gabriel był, zdaje się, tym w białym kapeluszu. Czyli dobrym.

– A słyszałaś o grupie Anonymous? O LulzSec?

– O Anonymous słyszałam.

– No tak, są teraz sławni – powiedział Larsen, kiedy kelnerka przyniosła mu kawę. – Wyrośli z forum internetowego o nazwie 4chan. Słyszałaś o nim?

– Nic a nic – przyznała Mia z uśmiechem, czując, że obiera słuszną drogę.

Lepiej udawać, że wie jak najmniej, chociaż Gabriel sporo jej wyjaśnił o działaniu Internetu. Ale ten facet sprawiał wrażenie człowieka, który lubi się przechwalać swoją wiedzą, ona zaś w tej chwili nie miała nic przeciwko temu, interesowała ją jedynie zawartość leżącej na stole teczki.

– Wolisz krótszą wersję czy dłuższą? – spytał Larsen.

– Raczej krótszą – odparła Mia.

– No dobrze. Forum internetowe 4chan. Właściwie banda młodych idiotów. Ludzi, którzy nigdzie nie pasowali. Aż do momentu, kiedy zrozumieli, że jest ich wielu.

Wypił łyk kawy.

– No i?

– Zrozumieli, że faktycznie mają władzę. Chociaż to w przeważającej mierze chłopaczki, czternasto-, piętnastoletnie, gdyby zechcieli, mogliby zatrzymać cały świat.

– Nie bardzo rozumiem.

– Na przykład zakłócić ruch lotniczy, oświetlenie ulic, działalność banków, dostawy wody. Mówię serio, wszystko to jest teraz skomputeryzowane, nic już nie ma na papierze. Teraz rozumiesz?

– Oczywiście – Mia pokiwała głową.

– A DDoS? – spytał Larsen.

– Co?

– Ataki DDoS, słyszałaś coś o tym?

– Nie, zupełnie nic.

Elegancki mężczyzna w garniturze wydał się z tego bardzo zadowolony.

– Atak DDoS. *Distributed Denial of Service*. Rozproszona odmowa usługi. Właśnie dlatego na niego wsiedliśmy. Na tego twojego Kristiana Karlsena czy, jak wolisz, na Skunksa. – Jeszcze popił kawy i uśmiechnął się.

– A co to jest?

– DDoS?

– Tak.

Ubrany w garnitur śledczy z Kripos nawet nie starał się ukryć satysfakcji, że może jej coś wytłumaczyć.

– Krótko mówiąc, oznacza to wysyłanie ekstremalnej liczby zapytań do

jakiejś strony internetowej, tak wiele, że strona nie może wydzielić z obsługą i w końcu pada.

– Zapytań?

– Mam to ująć prościej?

– Chętnie – powiedziała Mia.

– No dobrze. Słyszałaś o WikiLeaks, prawda?

– Tak.

– USA. Po tej całej sprawie z Julianem Assange'em niektóre firmy postanowiły zastopować przelewanie pieniędzy na konto tej witryny. Zrobiły tak Visa, MasterCard, PayPal. Zero kasy dla WikiLeaks, rozumiesz?

– No i?

– Wiesz, jak zareagowali?

– Kto?

– Hakerzy. Anonymous. Zaatakowali te serwery. Te wielkie firmy. Atakiem DDoS. Wysłali tyle zapytań do jednej strony równocześnie, że strony padły. Musiały zawiesić działalność. Visa i cała reszta. Kompletnie wyłączone z obiegu.

– Aha, rozumiem. – Mia zerknęła na teczkę. – Ale co to ma wspólnego ze Skunksem?

– Przypuszczamy, że Kristian Karlsen to jedna z osób u nas w kraju odpowiedzialna za te ataki. FBI poprosiło nas, abyśmy dopilnowali, żeby został za to ukarany.

– Czyli macie konkretne dowody?

– Na co?

– Na to, że Skunks, to znaczy Kristian Karlsen, brał w tym udział?

– Prawie na sto procent. – Larsen znów sięgnął po filiżankę.

– Więc nie jesteście całkiem pewni?

– Jesteśmy, ale chwilowo odpoczywamy. – Larsen puścił do niej oko.

– Jak to?

– Musisz zrozumieć, że ci ludzie potrafią się świetnie ukrywać. Mam na myśli ukrywanie w sieci.

– Ale wiecie, gdzie on jest?

– W realu?

– No tak.

– Jasne. Od dawna mamy go pod obserwacją.

– Więc wiecie, gdzie Skunks przebywa?

– Raczej słabo byśmy działali, gdybyśmy nie wiedzieli, prawda?

– To znaczy, że mogłabym dostać...

Zanim Mia dokończyła zdanie, Larsen podsunął jej jakąś kartkę.

– On tam jest? – spytała, patrząc na zapisany adres.

Mężczyzna w garniturze kiwnął głową.

– Jesteś mi winna przysługę. – Przysunął filiżankę do ust i znów puścił do niej oko.

– Oczywiście. – Mia się uśmiechnęła. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Będiesz mnie na bieżąco informować?

– Oczywiście.

– Zadzwonisz?

– Jasne. Jeszcze raz dziękuję. – Mia dopiła swoją kawę, szybko wyszła z kawiarni, zaraz potem wyjęła telefon i zadzwoniła do Muncha.

Miriam Munch wracała samochodem z lotniska Gardermoen, z Marion na tylnym siedzeniu. Miała wyrzuty sumienia, czuła się nieuczciwa, ale i tak poszło lepiej, niż się spodziewała. Przede wszystkim dlatego, że trochę się spóźnili. Johannes musiał wręcz biec do kontroli bezpieczeństwa, więc nie było czasu na długą ceremonię pożegnalną.

– Nie daj się zjeść rekinom – powiedziała ojcu Marion, mocno go ściskając.

– Obiecuję, że się postaram. – Johannes się uśmiechnął i ledwie zdążył szybko pocałować Miriam.

Pomachały mu na pożegnanie. Marion na chwilę posmutniała po rozstaniu z ojcem, ale teraz wydawała się całkowicie pogodzona z sytuacją. Może głównie dlatego, że Miriam złamała jedną ze swoich zasad i pozwoliła córeczce oglądać film na iPadzie w aucie.

Jeszcze ciągle mogła zmienić decyzję, odwołać swój udział w jutrzejszej akcji. Nie musiała więcej widywać się z Ziggym. Lecz chociaż w teorii miała wybór, i tak wiedziała, że jest za późno. Pociąg odjechał już z peronu. Nie dało się go zatrzymać. Nie zdecydowała się jeszcze powiedzieć o tym Johannesowi, bo to popsułoby mu cały wyjazd, a nie chciała odbierać mężowi tej radości, ale po powrocie zamierzała mu wszystko wyznać.

Czuła, że szczerść pod wieloma względami przyniesie jej ulgę. Nie będzie musiała już grać. Spojrzała we wsteczne lustro i zobaczyła, że jej cudowna córka śmieje się z czegoś, co widzi na ekranie, i sumienie znów lekko zaczęło ją gryźć, ale prędko je zagłuszyła.

Marion nie stanie się żadna krzywda.

Tego była całkiem pewna.

– Idę do babci? – spytała dziewczynka, kiedy zorientowała się, że zatrzymały się przed białym domem na Røa.

– Tak. – Miriam wysiadła z samochodu i pomachała matce, która już czekała na schodach.

– Hura! – Marion błyskawicznie odpięła pas bezpieczeństwa.

– Obyło się bez problemów? – Marianne Munch wzięła od córki szkolny

plecak wnuczki i torbę przygotowaną przez Miriam.

– Tak, musieliśmy się spieszyć, ale zdążyliśmy.

– Mogę włączyć telewizor, babciu? – Nie czekając na odpowiedź, Marion pobiegła prosto do domu.

– Do środy? – spytała matka, patrząc na Miriam.

– Tak. To możliwe czy...?

– Oczywiście. Dobrze, że możesz pomóc Julie – powiedziała matka, a Miriam znów poczuła wyrzuty sumienia. Musiała jednak skłamać, nie mogła przecież wyjawić matce, co naprawdę zamierza.

Nielegalna akcja.

Była pewna, że matka w zasadzie by ją poparła, ale na spotkaniu została pouczona, że ma niczego nie zdradzić.

„Nikt nic nie mówi. Nikomu”.

Gdy padły te słowa, wyczuła na sobie wzrok wielu osób, zwłaszcza Geira, który początkowo z takim sceptycyzmem podchodził do jej udziału w akcji.

Drobne białe kłamstwo. Musi z tym żyć.

– A poza tym wszystko u niej w porządku? Bardzo dawno jej nie widziałam.

– Tak, ale sama wiesz, jaka jest Julie. Niesłychanie wrażliwa. Ale to tylko zawód miłosny. Na pewno jakoś to przeżyje.

– Wiem, chociaż to nie są łatwe chwile. Dobrze, że ma ciebie. – Matka lekko pogładziła Miriam po policzku. – Przekaż jej moje pozdrowienia i powiedz, że musi mnie któregoś dnia odwiedzić.

– Dobrze, pozdrowię ją.

– Pożegnasz się z mamą? – krzyknęła Marianne w głąb korytarza i Marion zaraz przybiegła, żeby uściskać Miriam.

– Wobec tego widzimy się w środę. – Miriam ruszyła do samochodu.

– Nie zapomnij pozdrowić Julie. – Matka pomachała na pożegnanie i weszła do domu.

Mia Krüger stała razem z Munchem za szybą w pokoju przesłuchań. Nie opuszczała jej paskudne wrażenie, że całkowicie się pomyliła. Młody haker z czarno-białymi włosami siedział zupełnie nieruchomo. Patrzył na nich. Wiedział, że tam stoją, chociaż ich nie widział, i trwał tak przez cały czas, spokojny, znieruchomiały, milczący. Od chwili gdy go tu przyprowadzili blisko dobiegł temu.

– Ciągle nic? – spytała Anette Goli, dołączając do nich.

– Nic – westchnęła Mia.

– Cały czas powtarza to samo?

– Dokładnie to samo. – Munch podrapał się w brodę.

– I dalej nie chce adwokata?

– Twierdzi, że go nie potrzebuje. – Mia przeniosła wzrok na młodego chłopaka, który wciąż siedział w tej samej pozycji, z oczami skierowanymi na nich.

– W pewnym sensie ma rację. – Anette Goli usiadła.

– I nic nie ma na jego komputerach? – spytał Munch.

– Nic – odparła Anette. – Przed chwilą rozmawiałam z technikiem, niczego tam nie znajdują. Mówił o tym nie bez podziwu.

– Dlaczego? – spytała Mia.

– Bo tam nic nie ma – odparła jasnowłosa prokurator, rozkładając ręce.

– Coś przecież musiało być – zdziwił się Munch.

– Ale nie ma. – Anette pokręciła głową. – Komputery są czyste.

– To znaczy?

– Nie ma na nich nic. I nie chodzi mi o to, że nie ma nic, co wskazywałoby, że jakkolwiek maczał w tym palce. Są zwyczajnie opróżnione.

– Dziwne – przyznał Munch.

– Pozwoliłam sobie spytać Gabriela, jak to możliwe. Mam nadzieję, że nie powiedziałam nic złego, bo nie był w najlepszym humorze. Coś mu się stało?

– Mój błąd – przyznała Mia. – Trochę za mocno go przycisnęłam. Ale przepraszam. Liczę, że mu przejdzie.

– Aha – domyśliła się Anette. – Ponieważ zna Skunksa, a nie wiedział,

gdzie go szukać, zrobiłaś z niego współwinnego, mam rację?

Mia wychwyciła uszczypliwość w jej głosie, ale postanowiła się tym nie przejmować. Miała aż za dużo problemów.

– Naprawię układ z Gabrielem. Już go przeprosiłam.

– To dobrze. – Anette ciężko westchnęła. – Bo ta koncepcja jest chyba zbyt wymyślna, prawda?

Mia zorientowała się, że jasnowłosa prokurator policji patrzy na Muncha.

– O czym mówisz? – spytała lekko poirytowana Mia.

– Dlaczego właściwie on tu siedzi? – Anette skinieniem głowy wskazała młodego hakera, który ciągle się nie poruszył.

– To on zgłosił się z tym filmem – przypomniał Munch.

– Żeby nam pomóc – zauważyła Anette.

– Być może – powiedział Munch. – Ale...

– I co powiedział Gabriel? – przerwała mu Mia.

– O czym?

– O tym, że na komputerach znalezionych w domu Skunksa nic nie było.

– Zareagował podobnie jak technik, z którym rozmawiałam – odparła Anette. – Nie krył podziwu.

– Czy ktoś może mi to wyjaśnić? – westchnął Munch, odwracając się do nich. – Wiem, że jestem z innej epoki, i przepraszam, że trzeba mi to tłumaczyć jak dziecku, ale dlaczego jego komputery były puste? I dlaczego to zaimponowało technikom?

Patrzył raz na jedną, raz na drugą, nie kryjąc zdezorientowania.

– Zaimponowało im to, ponieważ są nerdami. – Mia nie odrywała oczu od sąsiedniego pokoju.

– A to oznacza...

– Mają dla niego szacunek – wyjaśniła Mia. – Skunks najwyraźniej przygotował się na dzień, w którym ktoś zrobi nalot na jego bunkier. Tak jak zrobiliśmy to my. Miał system kasujący całą zawartość komputerów.

– A to imponuje, ponieważ...? – Munch ciągle miał pytajniki w oczach.

– Ponieważ nie jest proste – wyjaśniła Anette.

– Okej – powiedział w końcu Munch. – Na czym więc w końcu stoimy?

– Nie mamy nic – odparła Anette. – Jedyne przypuszczenia. – Lekko skinęła głową Mii, minę miała niezbyt zadowoloną.

– I to, że on przyszedł do nas z tym filmem.

– Co nam to daje? – spytał Munch.

– Nie rozumiem?

– Jak długo możemy go trzymać? Co robimy dalej?

– Bez wątpienia zna swoje prawa. – Pani prokurator zerknęła na młodego hakera. – Jeśli dobrze was rozumiem, to podał jedynie nazwisko, datę urodzenia i adres.

Mia kiwnęła głową.

– I to nie raz – westchnął Munch.

– Jak wiecie, według prawa ma obowiązek podać tylko te informacje – ciągnęła prokurator policji. – Ten młody człowiek świetnie to rozumie. Po czterech godzinach powinniśmy mu przedstawić zarzuty i wtedy mamy dwadzieścia cztery godziny na doprowadzenie go do sądu, żeby go tymczasowo aresztował...

– Znamy się na swojej robocie – przerwała jej nie bez irytacji Mia.

– Ponieważ zatrzymaliśmy go w niedzielę – podjęła Anette, nie przejmując się tą uwagą – czyli w dzień wolny od pracy, moglibyśmy zatrzymać go dłużej, gdybyśmy przedstawili mu zarzuty, czego nie zrobiliśmy wczoraj, gdyż w zasadzie nie możemy mu zarzucić nic oprócz tego, że nam pomógł. A kiedy ostatnio sprawdzałam, nie uważano tego za przestępstwo, raczej przeciwnie. Chwilowo to my łamiemy prawo. I to w każdej mijającej minucie.

Anette wskazała na zegarek, żeby podkreślić swoje słowa. Mia poczuła złość, ale doskonale wiedziała, że prawniczka ma rację.

– Więc nie postawimy mu zarzutów?

Munch spojrzał na Mię.

– Nie mamy o co – zauważyła Anette.

– A fałszywe zeznania? – podsunęła Mia.

– To znaczy?

– Powiedział, że znalazł ten film na serwerze znajdującym się w antykwariacie przy Ullevålsveien. Grønlie sprawdził, że ten antykwariat nie istnieje.

– A kiedy złożył te fałszywe zeznania? – Anette Goli przybrała teraz prokuratorowski ton.

– Przecież wiesz – stwierdziła Mia. – Siedziałam w Lorry...

– Zeznawał więc w stanie nietrzeźwym? Śledczej również pozostającej pod wpływem alkoholu? Bez obecności towarzyszącego mu adwokata? obrońca powie: „Wskazuję także, Wysoki Sądzie, że oskarżony jest abstynentem i zwykle nie bierze alkoholu do ust, ale akurat tego wieczoru mój klient...”.

– Dobrze, dobrze. – Munch podniósł ręce.
– Nie mamy na niego absolutnie nic – obstawała przy swoim Anette.
– Co powiedziałaś? – spytała Mia.
– Że nie możemy mu postawić żadnych zarzutów – powtórzyła Anette.
– Nie, nie to. Mówiłaś, że nie pije alkoholu. Skąd to wiesz?
– Gabriel mi powiedział.
– No to dlaczego...? – Mia znów zapatrzyła się w młodego hakera. –
Wyrzuty sumienia – mruknęła.
– Co? – dopytywał się Munch.
– Nie pije? To dlaczego wlewał w siebie piwo za piwem, jakby w życiu nie
robił nic innego?
– Nic na niego nie mamy – jeszcze raz powtórzyła Anette.
– Wyrzuty sumienia – powiedziała Mia.
– Musimy go wypuścić – upierała się prokurator. – To jakiś absurd. On tu
siedzi tylko dlatego, że Mia coś c z u j e. Naprawdę wiem, że jesteś świetna
w tym, co robisz, ale tym razem dalibyście spokój. Holger? – Spojrzała na
Muncha. – Przetrzymanie go jest bezprawne. Jeśli zechce, może nas
oskarżyć.
– A co powiedzieli ci z Kripos?
– Też nie mogą zarzucić mu nic konkretnego – westchnęła Anette. –
Trzymają go na swojej liście i tyle. Gdyby mogli go za coś zwinąć, dawno by
to zrobili.
– Jesteś tego pewna? – spytała Mia, nie patrząc na Anette.
– Czego?
– Że on normalnie nie pije.
– Gabriel tak powiedział. – Anette przewróciła oczami. – Dlaczego miałyby
kłamać? – Znów spojrzała na Muncha i rozłożyła ręce. – Przecież ten chłopak
do nas przyszedł z filmem, na który gdzieś trafił, pomógł nam w śledztwie,
siedzi tu już za długo, nie mamy podstaw do postawienia mu żadnego zarzutu.
Kripos też nic na niego nie ma, chłopak jest zupełnie czysty. Halo, Holger!
– On ma z jakiegoś powodu wyrzuty sumienia – upierała się Mia. – Dajcie
mi pięć minut.
– Holger – mówiła dalej Anette. – Nie mamy żadnego powodu, żeby...
Mia nie usłyszała końcówki tego zdania, bo już wyszła. Otworzyła drzwi do
sąsiedniego pomieszczenia, w którym Skunks wciąż siedział z rękami na
kolanach, równie sztywno jak wtedy, gdy go tu wprowadzili.

– Cześć. – Mia usiadła na krześle naprzeciwko niego.

Skunks spojrział na nią.

– Nie włączysz nagrywania? Jest osiemnasta zero pięć, kontynuujemy przesłuchanie. Obecni w pokoju: Mia Krüger...

– Nie. – Mia podparła głowę na rękach, opierając się łokciami o stół.

– Nazywam się Kristian Karlsen – powiedział cierpkim głosem młody haker. – Urodziłem się piątego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Mój obecny adres to...

– Już to mówiłeś, Skunks. Wiem, że dobrze znasz prawa, które ci przysługują. – Odchyliła się i spojrzała na niego. Haker z czarno-białymi włosami wytrzymał jej wzrok, ale ciągle się nie poruszał. – Posłuchaj...

– Nazywam się Kristian Karlsen... – zaczął znów, ale Mia mu przerwała.

– Okej, Skunks, mój błąd, w porządku? Pomyliłam się.

Haker ani drgnął, a Mia też milczała, czuła bowiem, że coś się za tym wszystkim kryje, tylko nie wiedziała co.

Przyszedł do niej.

Znalazł ją w Lorry.

Pił, chociaż normalnie nie tyka alkoholu.

– To się nie będzie liczyło, jeśli nie włączysz nagrywania – oświadczył Skunks. – Chyba że mają magnetofon tam za szybą. Ale to i tak nic nam nie da, bo z tego, co wiem, każdy przesłuchiwany...

– Okej, Skunks. – Mia znów mu przerwała i dotknęła ręką czoła. – Nie postawimy ci żadnych zarzutów, nie mamy podstaw. Według mojej koleżanki, która tam siedzi – wskazała na szybę – jesteś raczej bohaterem. Pomogłeś nam w śledztwie. Bez ciebie pewnych rzeczy nigdy byśmy się nie dowiedzieli, tak?

Siedzący przed nią chłopak dalej się nie ruszał i nie odrywał od niej oczu.

– Pomyliłam się, Skunks, okej? Zgoda?

– Nazywam się Kristian Karlsen...

– Przecież już powiedziałam, że się pomyliłam – przerwała mu znów Mia. – Przepraszam. Okej? Czasami, i to nawet często, nie za bardzo wszystko mi tu działa. – Popukała się w skroń. – Dzisiaj już raz udało mi się bezpodstawnie napaść na kolegę, bardzo zdolnego i oddanego pracy. Znów popełniłam błąd, ale ja tylko...

Urwała na moment.

– Musisz włączyć nagrywanie – przypomniał Skunks.

– Powiem ci, co myślę, a ty nie musisz w ogóle nic mówić. Ale postaraj się

mnie zrozumieć, dobrze?

Skunks patrzył na nią z obojętną miną.

– Powiem ci, jak to wygląda z mojej strony – ciągnęła Mia. – Znajdujemy w lesie nagą dziewczynę. Zabitą. Ktoś ją udusił. Ktoś ułożył ją na posłaniu z piór. W pentagramie ustawionym ze świec. Ktoś potraktował tak człowieka. Młodą osobę. Która miała całe życie przed sobą. I to mnie dręczy tak, że nie mogę spać, rozumiesz, Skunks? Takie jest moje życie. Na tym polega moja praca. Chodzi mi o to, żeby ten zwyrodnialec, któremu wydaje się, że może zrobić z piękną młodą dziewczyną, co mu się żywnie podoba, i ujdzie mu to na sucho, poniósł za to karę. O niczym innym nie myślę, odkąd się obudzę rano, dopóki nie zasnę wieczorem, rozumiesz?

Mia dosłownie wyczuwała przez ścianę, co myśli sobie Munch, i spodziewała się, że szef w każdej chwili może wejść i to przerwać, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Owszem, nie mogli postawić Skunksowi żadnego zarzutu, prawo było po jego stronie, ale za jego zachowaniem mimo wszystko coś musiało się kryć.

Znów spojrzała na młodego hakera i zobaczyła, że w kamiennej masce, którą przybrał w ciągu ostatniej doby, pojawiły się drobne szczeliny.

– Musisz włączyć nagrywanie, jeśli... – znów zaczął Skunks, ale nie dokończył zdania, bo Mia weszła mu w słowo:

– Okej, okej. Nie uważam, że ty to zrobiłeś. Nie mamy żadnych podstaw, żeby przedstawić ci zarzuty, a nasi technicy nie kryją podziwu, że w jakiś sposób udało ci się wyczyścić wszystkie komputery, ale mnie to głównie obchodzi. Hip, hip, hurra, może i jesteś najlepszym hakerem na świecie, ale mnie jest to najzupełniej obojętne.

Młody chłopak nie reagował.

– Wydaje mi się – ciągnęła Mia – że bezpośrednio nie miałeś z tym nic wspólnego. Nie potrafiłbyś nikogo skrzywdzić w taki sposób, to oczywiste.

Skunks wciąż się nie odzywał.

– Przypuszczam natomiast, że z jakiegoś powodu dręczy cię sumienie i właśnie dlatego do mnie przyszedłeś. Tam, w Lorry, trochę się zastanawiałam, jak to możliwe, żeby młody chłopak upił się tak szybko, a teraz dowiedziałam się, że w ogóle nie pijesz. To wiele tłumaczy.

Haker wciąż siedział z zamkniętymi ustami, ale Mia zauważyła, że jego wzrok się zmienił.

– Dlatego mnie odszukałeś. Początkowo nie mogłam zrozumieć, jak mnie

znalazłeś, ale potem uświadomiłam sobie, że to przecież bardzo proste. Cała nasza jednostka ma telefony powiązane ze sobą, GPS i tak dalej, a dla ciebie włamanie się do naszego systemu to drobnostka, możesz śledzić nas wszystkich. No ale dlaczego tak nagle się upiłeś i koniecznie chciałeś ze mną rozmawiać?

Chłopak wciąż milczał.

– Uważam, że było tak – kontynuowała Mia. – Najpierw znalazłeś ten film i zareagowałeś mdłościami, jak my wszyscy. Ale potem...

Urwała na chwilę, patrząc na niego. Skunks nie miał już w oczach poprzedniej twardości.

– A potem zrozumiałeś, że jednak coś cię z tym łączy. Nie sądzę, żebyś wcześniej wiedział, o co chodzi. Nie zdawałeś sobie sprawy, że zapłacono ci za zrobienie czegoś, co miało być wykorzystane w taki sposób. Nie mam pojęcia, jak te rzeczy się nazywają i czym się od siebie różnią, Java script, flash, programowanie, ledwie potrafię obsłużyć własną pocztę elektroniczną. Ale ty się na tym znasz, prawda? Jesteś najlepszy. Nasi technicy biją ci brawo, nie mogąc wyjść z podziwu. Może jakiś czas temu ktoś, przypuszczam, że nie masz nawet pojęcia kto, zapłacił ci za zrobienie czegoś. Mam rację? Za napisanie jakiegoś programu, jakiegoś kodu umożliwiającego wysyłanie *live feed* w świat do tej części sieci, która dla mnie jest czarną magią. I może właśnie to nagle sobie uświadomiłeś. Że zostałeś wciągnięty w tę zabawę, chociaż wcale tego nie chciałeś. Dlatego się upiłeś, mimo że nie tykasz alkoholu, i przyszedłeś do mnie. Przecież nienawidzisz autorytetów. Nigdy nie zaświtałoby ci w głowie, żeby pomagać policji. Ale odszukałeś mnie i w zasadzie chciałeś mi o tym powiedzieć, prawda? Wyznać, że zrobiłeś dla kogoś coś, co umożliwiło funkcjonowanie tego świństwa. Zapłacili ci. Ale ktoś cię oszukał. Dlatego przyszedłeś? Jestem blisko, Skunks? Dlatego się do mnie zgłosiłeś?

Chłopak z biało-czarnymi włosami patrzył na nią wzrokiem, którego nie potrafiła odczytać.

– Nazywam się Kristian Karlsen. – Skunks wbił spojrzenie w stół. – Urodziłem się piątego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Mój obecny adres to...

Otworzyły się drzwi i do pokoju przesłuchań wszedł Munch.

– Możesz iść – oznajmił. – Nie usłyszysz żadnych zarzutów. Przepraszam, że przetrzymaliśmy cię dłużej, niż powinniśmy. Gdybyś mógł nam jeszcze

w czymś pomóc, będziemy wdzięczni. Wiesz, gdzie nas szukać.

Mia patrzyła, jak młody haker wstaje i idzie do drzwi. Gdy wychodził, zatrzymał się na moment i jeszcze raz na nią spojrzął. Przez sekundę myślała, że coś powie, ale zamknął usta i ruszył dalej.

– Mio? – Munch spojrzął na nią. – Mogę cię prosić na słówko?

Mia Krüger wolno wstała z krzesła i wyszła za swoim okrągłym szefem z pokoju przesłuchań.

CZEŚĆ VII

Mia wsiadła do samochodu prawie zaraz po przebudzeniu, ale rozjaśniło się, dopiero kiedy podjechała pod cmentarz. Właściwie powinna być na porannym briefingu, ale poprosiła o zwolnienie z niego, na co Munch natychmiast przystał. Chciała mieć dla siebie zaledwie kilka godzin, szef wyraźnie jednak dał jej do zrozumienia, że może sobie wziąć tyle wolnego, ile będzie potrzebowała. Mogło się wydawać, że jej zachowanie poprzedniego dnia utwierdziło dobrodusznego szefa we wcześniejszym przekonaniu, że nie jest całkiem zdrowa. Że mimo wszystko nie powinna była wracać do pracy.

Wysiadła z samochodu, z tylnego siedzenia wzięła kwiaty i wolnym krokiem ruszyła w kierunku grobów. Najpierw uprzątnęła grób babci. Potem rodziców. Największy bukiet zachowała na koniec. Stała przy szarym nagrobku z uczuciem zawsze towarzyszącym jej w tym miejscu. Z uczuciem głębokiej żałoby, z którą nie mogła sobie dać rady.

Sigrid Krüger.

Siostra, przyjaciółka i córka.

Urodzona 11 listopada 1979. Zmarła 18 kwietnia 2002.

Minęło już ponad dziesięć lat, a ona wciąż czuła niechęć do życia. Wszyscy powtarzali, że takie odczucia z czasem stają się słabsze, blakną, bo czas leczy rany. Ale z nią było inaczej. Tęskniła za siostrą równie mocno jak tamtego dnia, kiedy znalazła ją w brudnej piwnicy na Tøyen.

Usunęła martwe, zmarznięte kwiaty i wstawiła nowe do wazonu przy nagrobku. Uklękła przy nim i zaczęła uprzątać gałązki i zwiędłe liście. Pod palcami czuła chłód trawy. Ta zima przyszła za wcześnie i stawała się z każdym dniem bardziej dotkliwa. Robiło się coraz ciemniej. Tak jak coraz mroczniejsze były myśli Mii. Może zespół radziłby sobie lepiej bez niej? Przecież podjęła już decyzję, że rozstanie się z tym wszystkim, prawda?

Była tylko człowiekiem, więc dlaczego miałyby po prostu się nie poddać? Jej ciało i umysł działały jedynie dzięki sztucznej stymulacji alkoholu i tabletek. Poprzedniego wieczoru znów otworzyła słoiczek i pozwoliła, by małe białe przyjaciółki ukołysały ją do snu, umęczoną przesłuchaniem. Kręcąc głową, Anette Goli posłała jej pogardliwe spojrzenie mówiące: „Wydaje mi

się, że powinnaś wrócić do tego psychologa”, nawet Holger coś mamrotał pod nosem, a potem zostawił ją samą na korytarzu.

„Tak, tak, dobrze, odpocznij sobie, Mio. Weź sobie tyle wolnego, ile będziesz potrzebowała”.

Postanowiła się poddać. W domu, w pustym mieszkaniu, nie miała już siły dłużej próbować zachowywać się jak normalny człowiek. Pozytywnie patrzeć na życie. Odstawić tabletki. Jeśli miała ochotę z czymś skończyć, to ze wszystkim, ale po prostu nie wiedziała, jak to zrobić. Większość tabletek połknęła tamtego dnia, kiedy Holger nagle zapukał do drzwi, i nie zdążyła zdobyć nowych w odpowiedniej ilości. Wystarczało ich na sen, na spiłowanie kolców w ciele. Owinęła się kocem na balkonie, światła miasta tańczyły jej przed oczami, aż wreszcie stały się tak niewyraźne, że nie wiedziała już, czy śpi, czy nie. W końcu wróciła do mieszkania z policzkami zaczerwienionymi od mrozu, zmarznięta na zewnątrz, ale rozgrzana w środku, a jej ostatnią myślą przed zaśnięciem było: *Już idę, Sigrid.*

Mimo wszystko jednak się obudziła, w samotności ciemnego mieszkania, ale nie mogła tam dłużej zostać. Chciała być z nimi. To tutaj było jej miejsce.

Wstała i spojrzała na grób przed sobą. Byliby wszyscy razem. Uśmiechnęła się teraz. Myśl, która wcześniej nie przyszła jej do głowy, wyraźnie ją uspokoiła. Rodzice leżeli w jednym grobie. Oczywiście. Jakaż ona głupia. Powinna spocząć razem z Sigrid.

Sigrid i Mia Krüger.

Królowna Śnieżka i Śpiąca Królowna.

Urodzone 11 listopada 1979.

Razem na zawsze.

„Jakie tabletki zażywasz?”

Psycholog. Mattias Wang. Jedno z pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać.

„Teraz są nowe leki, które jak sądzę, mogłyby ci pomóc. Poczłabyś się o wiele lepiej. Gdybyś tylko chciała iść w tym kierunku”.

Ale nie interesowała jej poprawa samopoczucia. Czy ci wszyscy ludzie tego nie rozumieli? Dlaczego to takie trudne do pojęcia? Chciała po prostu zniknąć. I podjęła decyzję. Opuściła świat. Znalazła sobie idealne miejsce. Hitrę. Wyspę na otwartym morzu, gdzie niebo zdawało się znikać w wieczności. Ale zjawił się Munch i ściągnął ją z powrotem. Rozwiązała tamtą sprawę. Ciągle jednak nie była wolna. Teraz ją zawiesili, czując się poniekąd jej rodziną,

mimo przekonania, że jeśli tylko wróci do pracy, wszystko być może się ułoży. Ale nie chciało.

To teraz jasne, prawda?

Nie tylko dla niej, lecz również dla wszystkich innych.

To spojrzenie, które posłała jej Anette. Wyraz oczu Muncha, kiedy mówił, że może wziąć sobie tyle wolnego, ile będzie potrzebowała.

Mia w głęboko naciągniętej na uszy czapce stała przy grobie ze spokojem, jakiego nie odczuwała od dawna. Od czasu tamtych skał na Hitrze, kiedy podjęła decyzję.

„Chodź, Mio, chodź”.

Dom. Coś w rodzaju domu. Dostrzegą to coraz wyraźniej, stojąc przy pokrytym szronem nagrobku. Koniec z tym. Próbową, ale najwyraźniej nie umiały sobie poradzić. Straciła swoje zdolności. Zdolność pomagania. Zdolność zagładania w myśli zbrodniarzy. Zdolność zrozumienia, dlaczego ktoś ułożył niewinną piękną dziewczynę nagą w lesie na posłaniu z piór w otoczeniu świec. To już nie było jej zadanie. Została z niego zwolniona. Nie musiała dłużej w cierpieniu przeżywać nocy w zimnym mieszkaniu, w zimnym mieście. Dadzą sobie radę bez niej.

„Weź sobie tyle wolnego, ile będziesz potrzebowała”.

Czy będzie za nimi tęsknić? Pewnie tak. Ale w czym jej to pomoże? W czym pomoże rozwiązanie tej sprawy? Przecież będą następne. Ściągnęli ją z Hitry, żeby pomogła, a ona wykonała zadanie, ale to i tak niczego nie powstrzymało, prawda? Kolejne okrucieństwa. Powinna teraz skupić się na sobie, na tym mroku, który zawsze jej towarzyszył, a który babcia kazała jej zwalczać.

Zakłęła w duchu. Nie podobała jej się słabość, która ją naszała. Zachowywała się jak nie ona. Nie trafiła ze Skunksem. Zrobiła z siebie idiotkę na oczach innych. Ale przecież właściwie takie rzeczy ani trochę jej nie obchodziły. Nie dbała o to, co pomyślą o niej ludzie.

W domu. Nareszcie spokój.

Sigrid i Mia Krüger.

Urodzone 11 listopada 1979.

Będzie musiała zatroszczyć się o nowy nagrobek, na którym znajdą się właściwe słowa.

Razem na zawsze.

To ona stawiała wszystkie trzy nagrobki. Cztery pogrzeby. Cała jej rodzina. Wszyscy ci, których kochała. Zadbą o nich i teraz też wiedziała, do kogo

powinna zadzwonić, by przygotował właściwy napis.

Zmarzniętymi palcami sięgnęła do kieszeni po telefon. Akurat w tej chwili zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer. Odebrała odruchowo, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

– Tak?

Nieznajomy głos na drugim końcu linii. Musiała się skupić, żeby zrozumieć słowa. Dzwoniła jakaś starsza pani z tej rzeczywistości, którą Mia przed chwilą zdecydowała się opuścić.

– Mówi Ruth Lie. Czy rozmawiam z Mią Krüger?

– Tak, to ja.

– Pracuję w Muzeum Historii Naturalnej na Tøyen. Jak rozumiałam, chciała pani, żebym się z panią skontaktowała.

– Jak nazwisko? – Mia żałowała, że odebrała telefon.

– Lie – ciągnęła kobieta. – Muzeum Historii Naturalnej. Starszy kustosz Olsen dał mi pani wizytówkę. Chciała pani chyba dowiedzieć się czegoś o szkolnych wycieczkach, która nas odwiedziły.

Myśli zawirowały Mii w głowie, ale w końcu ułożyły się na swoich miejscach. Sekretarka Tora Olsena z muzeum przy Ogrodzie Botanicznym, dziwaka, któremu wydawało się, że policja zajmuje się wszystkimi włamaniami.

– A tak, oczywiście, dzień dobry – powiedziała Mia. – Czym mogę służyć?

– Mamy to. Tak, tak, mamy. – Ruth Lie była chyba bystrzejsza niż jej szef.

– Co macie? – spytała Mia.

– Czy ja rozmawiam z właściwą osobą? Z Mią Krüger?

Na chwilę się oddaliła, jakby sprawdzała wizytówkę, którą Mia zostawiła roztargnionemu kustoszowi.

– Owszem, to ja – potwierdziła Mia.

– Podobno, chciała pani listę klas, które odwiedziły nas ostatnio.

– Owszem, tak. – Mia wzięła się w garść.

– Mam tu przed sobą wypisane wszystkie wycieczki z ostatniego roku. Czy jakaś szkoła szczególnie panią interesuje?

– Ta przy Gospodarstwie Ogrodniczym Hurumlandet – odparła Mia, bardziej już nad sobą panując.

– Aha, Helene – zaszczębiotała starsza pani w słuchawkę.

– Byli u was jej podopieczni?

– Tak, odwiedzają nas co roku. Trochę się różnią od innych klas, ale Helene

naprawdę robi dobrą robotę. Zawsze cieszę się na ich wizytę. Wie pani, ta młodzież tak dużo przeszła, a Helene potrafi z nią tyle zdziałać. Naprawdę cieszę się za każdym razem, kiedy dzwoni.

– Więc was odwiedzili?

– Tak, przychodzą każdego lata – odparła Ruth Lie. – Oglądają nasz ogród. Była tu pani?

Mia w milczeniu kiwnęła głową.

– Halo?

– Tak, tak, byłam. To znaczy, odwiedzili was całkiem niedawno?

– Trzeciego sierpnia. Przychodzą tu co roku, już mówiłam. Zawsze na początku sierpnia. Pan Olsen wspominał, że pytała pani o nagrania z monitoringu.

– Owszem.

– Chodzi o to włamanie, prawda?

– Oczywiście – potwierdziła Mia. – O sowie pióra.

– Tak się cieszę, że ktoś wreszcie się tym zajął. Sama pani wie, jaka jest policja. Tyle tych włamań. Ludziom zaczyna się wydawać, że mogą robić, co im się żywnie podoba.

– Tak, tak, rozumiem. No i?

– Z czym? – spytała Ruth Lie.

– Macie...

– Nagrania wszystkich, którzy odwiedzają muzeum. Rzecz jasna nie w nocy, bo na to nas nie stać, ale w godzinach otwarcia nagrywamy wszystkich.

– Nagraliście również tę klasę z Hurumlandet?

– Oczywiście. Sądzicie, że to mógł zrobić ktoś od nich?

– Słucham?

W telefonie znów na chwilę zapadła cisza, jakby Ruth Lie wciąż nie wierzyła, że rozmawia z właściwą osobą.

– Że to ktoś z grupy Helene ukradł sowy?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Mia znów musiała panować nad sobą.

– Mam szczerą nadzieję, że nie, ale kto wie? To przecież nie jest zwyczajna klasa, prawda?

– No nie – mruknęła Mia.

– Czy mam je pani przesłać?

– Co?

– Nagrania z monitoringu. Z tego dnia, kiedy nas odwiedzili.

Mia poczuła, że właściwie ma ochotę się rozłączyć. Ta natrętna rzeczywistość w jej uchu. Niech to wszystko szlag trafi. Podjęła decyzję, a oni namówili ją do powrotu. Zrobiła to, co do niej należało, i od tamtej pory żyła w mieszkaniu przypominającym zamrażarkę. Rozmawiała z psychologiem, starała się być normalna, nie dla siebie, tylko po to, by mogli ją wykorzystać do tego, do czego jej potrzebowali.

– Halo – ponaglił znów głos w słuchawce.

– Byłabym wdzięczna, gdyby je pani przesłała. Ale nie do mnie, tylko do mojego kolegi, Ludviga Grønliego.

– To żaden problem – zapewniła Ruth Lie. – Ma pani adres e-mailowy?

Mia odszukała potrzebne informacje w telefonie i podała je kobiecie z muzeum.

– Znakomicie. Zaraz się tym zajmę. Porozmawiam z technikiem, który odpowiada za nagrania.

– Świetnie. Bardzo pani dziękuję.

– Cieszę się, że mogę w czymś pomóc – zakończyła rozmowę Ruth.

Mia popatrzyła na telefon i postanowiła go wyłączyć. Nie miała już żadnego powodu, żeby dalej być na linii. Kontakt ze światem. Koniec z tym. Koniec i tyle.

Razem na zawsze.

Już położyła palec na przycisku w górnej części aparatu i miała wykonać ostatni ruch, ale telefon znów zadzwonił.

Zapatrzyła się w wyświetlacz.

„Curry”.

Odrzuciła połączenie, ale nic z tego nie przyszło, bo po kilku sekundach jego przezwisko znów pojawiło się na ekranie.

Westchnęła i odebrała.

– Słucham.

– Gdzie jesteś? – rzucił z przejęciem zdyszany Curry. Sapał, jakby przebiegł maraton.

– W Åsgårdstrand – odpowiedziała Mia obojętnym tonem.

– Dlaczego nie było cię na briefingu?

Nie odezwała się, więc Curry ciągnął:

– Przed chwilą zadzwoniła do mnie Sunniva. Musisz przyjechać.

Mia pokręciła głową. Curry i Sunniva. Nieszczęsny romans. Curry znów przegrał pieniądze, a dziewczyna od niego odeszła, tym razem na dobre. Nie

miała siły dłużej tkwić w tym związku.

– Posłuchaj... – zaczęła, ale podekscytowany buldog nie przestawał mówić:

– Nie o to chodzi – oświadczył, jakby odczytał jej myśli. – Próbowала do mnie dzwonić już od kilku dni, ale nie odbierałem telefonu, bo chciałem...

Na drzewie siedziały dwie wrony. Mia wpatrywała się w nie, a głos Curry'ego dalej rozbrzmiewał w jej uchu. Wrony wyglądały tak spokojnie. Dwa ptaki na cmentarnym drzewie. Wkrótce w grobie tuż pod nimi będą leżały dwie dziewczyny. Uśmiechnęła się do siebie lekko, kiedy wrony zerwały się i pofrunęły w stronę bladego październikowego słońca.

– Słucham? – ocknęła się nagle, kiedy dotarło do niej, co powiedział kolega.

– Wiem, wiem – ciągnął równie przejęty Curry. – To brzmi cholernie głupio, ale ja jej wierzę. Sunniva nie ma powodu, żeby wymyślać coś takiego. Znam ją, Sunniva nigdy by...

– Powtórz to jeszcze raz – przerwała mu Mia, czując, że powoli wraca do rzeczywistości.

– Jakiś pastor, pacjent w tym domu opieki, znał ich, kiedy byli mali – dyszał Curry z daleka. – Znał Helene Eriksen. Ona ma brata – zaczął mówić jeszcze bardziej niewyraźnie, z trudem układając słowa we właściwej kolejności. – Chciał wyznać grzechy, podobno jest bliski śmierci. Bredził coś o tym, że nie pójdzie do nieba, jeśli nie odpokutuje.

– Helene Eriksen ma brata, który leży na łożu śmierci?

– Nie, nie on, tylko ten pastor. Posłuchaj, nie możesz po prostu przyjechać? Czekają tam na nas. Nie mam siły spotkać się z nią sam.

– Pogubiłam się – przyznała Mia.

– Z czym?

– Musisz mówić spokojniej. Spróbuj jeszcze raz.

– On ich znał, kiedy byli mali – powtórzył Curry.

– Kogo?

– Helene Eriksen. I jej brata. To ma coś wspólnego z sektą w Australii. A on dostał pieniądze. Musiał odpokutować za grzechy.

– Curry! – Mia próbowała uspokoić kolegę, ale bezskutecznie.

– Wrócił do domu chory.

– Pastor?

– Ten brat! Poprzestawiało mu się w głowie.

– Curry!

– Czekaają na nas, chcą, żebyśmy przyjechali...

– Curry! – powtórzyła Mia, tym razem już bardzo surowo, i wreszcie zdołała uspokoić podnieconego buldoga.

– Co?

– Czy nie mieliśmy już tego dosyć?

– Czego? – zdumiał się Curry.

– Przypadkowych osób, które nagle przyznają, że ją zabiły.

– O czym ty mówisz?

Mia westchnęła. Żałowała, że w ogóle odebrała telefon. Że nie zdążyła wyłączyć komórki.

– Ten Fuglesang w rowerowym kasku. Bóg jeden wie, ile jeszcze osób do nas dzwoniło. Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest, ale gdy pojawia się sprawa jak ta, ludzie nagle koniecznie chcą wyznać swoje grzechy, przecież o tym wiesz. A kto teraz? Jakiś pastor na łożu śmierci? Daj spokój!

– On znał szczegóły – oświadczył Curry, ale Mia czuła, że znów przestaje ją to obchodzić.

Dość już tego, ani słowa więcej.

– Oni podobno dostali pieniądze. – Curry się nie poddawał. – Zaraz po powrocie do kraju. Jako coś w rodzaju rekompensaty. Helene Eriksen otworzyła to gospodarstwo ogrodnicze, a jej brat, kiedy wyzdrowiał, kupił sklep spożywczy.

Mia słuchała go tylko jednym uchem. Wrony odleciały, cmentarz wokół niej był zupełnie pusty.

– Pogadaj o tym z Munchem – westchnęła.

– On jest w paskudnym humorze. Coś się między wami wydarzyło?

– Posłuchaj, Curry... – zaczęła Mia, czując, że naprawdę nie ma na to siły.

– To wygląda całkiem dorzecznie – Curry nie ustępował. – Zadzwoń do mnie i mów mi jednym tchem przez dziesięć minut. O Boże, już samo to, że w ogóle zatelefonowała...

W głowie Mii coś się działo, a Curry dalej gadał swoje.

– Co powiedziałaś? – spytała, nagle przytomniejąc.

– Że musimy to sprawdzić.

– Nie, nie to. Helene Eriksen. Ona ma brata?

– Podobno tak. Ten człowiek prowadzi sklep spożywczy w okolicy, ale ja...

Jim Fuglesang.

– No bo dlaczego miałyby dzwonić, przecież wiesz, w ogóle nie chce ze mną rozmawiać...

Biały samochód dostawczy na podwórzu.

– Wszystko jedno, chyba warto to sprawdzić. Porozmawiać z tym pastorem, przecież i tak nie mamy nic innego...

Spojrzenie tego brodacza.

Na takim pustkowiu.

Przyjechał dostarczyć żywność.

Mały domek, na którego wspomnienie ciarki przechodziły jej po plecach.

– Znajdź Muncha! – rzuciła szybko i puściła się biegiem po wysypanej żwirze alejce.

Logo na boku samochodu.

Sklep spożywczy w Hurum.

– Co? – krzyknął Curry.

– Sprowadź Holgera, niech się z nami spotka!

– Myślisz, że coś w tym jest?

Mia już szukała w kieszeni kluczyków do samochodu.

– Gdzie ona pracuje?

– W Fundacji Świętej Heleny. To prywatny dom opieki w...

– Wyślij mi adres. – Mia wsiadła do auta.

– To znaczy, że przyjedziesz?

– Już jadę. Ściągnij Muncha. Natychmiast!

Mia się rozłączyła, włożyła kluczyk do stacyjki, koła zabuksowały na żwirze, kiedy wcisnęła gaz. W lusterku widziała, jak piękny cmentarz znika jej z oczu.

Isabella Jung siedziała w swoim pokoiku i czuła łaskotanie w brzuchu. Jeszcze nie teraz, ale już niedługo. Niedługo się to stanie. Ubrała się ładnie. Zamiast spodni z dziurami włożyła sukienkę, umalowała się, spędziła przed lustrem kilka godzin. Może jej wygląd nie miał zbyt wielkiego znaczenia, ale zdecydowała, że tak będzie lepiej. Wyszczotkowała włosy. Uśmiechnięta zakręciła się w kółko, podziwiając swoje odbicie.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy? Tylko Ty i ja. O czwartej za szafasem. Czy jesteś moją wybraną?”

Piętnastoletnia dziewczyna wprost nie mogła uwierzyć, że to prawda. To było jak sen. Wszystkie te lata. W Hammerfest z mamą. U tych wszystkich rodzin, u których nie czuła się dobrze. Przez cały czas cichy głosik z tyłu głowy powtarzał jej: *Przyjdzie taki dzień. Przyjdzie taki piękny dzień, Isabello. Wszystko się ułoży.*

W ogóle się na to nie zanosilo. Ani trochę. Tyle razy złościła się na ten głos. Okłamywał ją, oszukiwał, mówił takie rzeczy wyłącznie po to, by lepiej się poczuła. Na Oddziale Zaburzeń Odżywiania w Szpitalu Ullevål prawie porzuciła już nadzieję, znalazła w kuchni nóż i zraniła się w skroń. Mówili później, że jest szalona, ale to była nieprawda. Zrobiła to, aby uciszyć ten głos, by go ukarać. Tyle jej obiecywał, a tylko kłamał i oszukiwał. Ale w końcu okazało się, że to prawda. Prosiła głos o wybaczenie już kilka dni po przyjeździe tutaj. Do Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet. Głos miał rację. Z czasem odzyskała spokój i poczucie bezpieczeństwa. Własny pokój. Kwiaty. Helene, przy której czuła się fantastycznie. Jakby była coś warta. Przepraszam, powtarzała wielokrotnie, leżąc wieczorem w łóżku.

Przepraszam, miałeś rację.

A głos jej wybaczył.

Już jest dobrze, ale będzie jeszcze lepiej.

Zrozumiała teraz, o co mu chodziło. Znow stanęła przed lustrem. Uśmiechnęła się do siebie i wygładziła białą sukienkę.

O czwartej za szafasem.

Policzki jej pałały. Usiadła na łóżku, ale znow musiała wstać. Jeszcze dwie

godziny. O Boże, dlaczego wskazówki poruszają się tak wolno? Za wolno. Kilka razy przeszła się po pokoju, raz w jedną, raz w drugą stronę, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Będzie dobrze, mówił głos. Jeszcze tylko dwie godziny.

Isabella Jung pokiwała głową i spokojnie usiadła na łóżku. Żałowała, że nie słuchała tego głosu przez cały czas, tak jak powinna.

Teraz się ułoży.

Będzie dobrze.

Zamknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie, co ją spotka.

Za szłaśsem.

Już za kilka godzin.

Piętnastolatka położyła głowę na poduszce i z uśmiechem podciągnęła nogi, ostrożnie, żeby nie wygnieść białej sukienki.

Munch zaciągnął się papierosowym dymem i poczuł, że ma problemy z zebraniem myśli. Ból głowy. Gwóźdź w skroni. Cały dzień łykał tabletki, ale bez żadnego efektu. Poprzedni dzień był okropny. To urządzone przez Mię przedstawienie w pokoju przesłuchań. Anette Goli, która wytknęła mu łamanie wszelkich zasad, przetrzymywanie Skunksa tylko na podstawie przeczuć Mii. Dostrzegł w oczach Anette wyrzut.

Nie jesteś dobrym szefem.

Nasunął kaptur budrysówki na głowę i odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego, kiedy ból w skroni uderzył z nową siłą. Munch musiał aż zamknąć oczy i głęboko oddychać w oczekiwaniu, aż ustąpi. Co to, u diabła, jest? Owszem, nie był w najlepszej formie i dobrze o tym wiedział, ale nigdy wcześniej tak się nie czuł. No, może raz, już ponad piętnaście lat temu, kiedy stracił ojca. Tir na przeciwnym pasie ruchu, pijany kierowca. W poprzedzających wypadek dniach ten sam gwóźdź w skroni. Niczym fizyczna zapowiedź, że wkrótce stanie się coś strasznego. Oczywiście Munch nie wierzył w takie rzeczy. To był świat Mii, nie jego. Przecież zawsze był realistą. Słońce wschodziło na wschodzie, a zachodziło na zachodzie. Światem rządziły prawa fizyki. Składało się nań to, co widział, nic więcej.

Stał z zamkniętymi oczami, dopóki ból nie zaczął powoli łagodnieć, i znów zaciągnął się dymem akurat w chwili, kiedy Mia ukazała się w wielkich drzwiach okazałego budynku. Prywatny dom opieki dla bogaczy, wśród których najwyraźniej znajdowali się wierzący w istnienie innego świata i umiejący wymyślić rozmaite bajdy, byle tylko móc w spokoju iść na spotkanie z wyimaginowanym zbawicielem.

– Wszystko z tobą w porządku? – spytała Mia, zapinając kurtkę.

– Słucham? Tak, tak – odparł Munch.

Uśmiechnięta Mia z emocji przestępowała z nogi na nogę.

– No i co?

– Z czym? – spytał Munch.

– Myślisz, że on mówi prawdę?

– A ty jak sądzisz? – Munch spojrzał na nią, ale w zasadzie nie musiał

pytać.

Wyraźnie było widać, że Mia w przeciwieństwie do Muncha nie ma najmniejszych wątpliwości, że historia, którą przed chwilą usłyszeli, jest prawdziwa.

– Na pewno wszystko z tobą w porządku? – spytała ze zmartwioną miną.

– Co? Tak, jasne. – Korpulentny śledczy kiwnął głową i rzucił papierosa na ziemię.

Gwóźdź w skroni nie dokuczał mu już tak bardzo. Munch wyjął nowego papierosa i zapalił, odrywając się od miejsc, w których przebywał myślami. Od tira na niewłaściwym pasie ruchu. Od spojrzenia Anette Goli.

– Na co czekamy?

– Więc ty mu wierzysz?

– Dlaczego mielibyśmy mu nie wierzyć?

– Nie zamierzam być adwokatem diabła – westchnął Munch. – Ale czy to nie zbyt wyrafinowane?

– Do cholery, Holger! Musisz podchodzić do tego aż tak negatywnie? To na ogół moja rola.

Munch zaciągnął się dymem i podsumował z krzywym uśmiechem:

– Na początku lat siedemdziesiątych do pastora zgłasza się jakaś para, która chce się pobrać. Ale nie mogą zostać małżeństwem, ponieważ ona ma dzieci z poprzedniego związku, a jego ojciec, bogaty armator, nie życzy sobie, by spadkobierca imperium wprowadził do rodziny obcą krew?

– Owszem – kiwnęła głową Mia.

– Więc wysyłają dzieci do Australii?

– No tak.

– Serio, Mio? Następnie matka ginie w tajemniczym wypadku samochodowym, a pastorowi płacą za trzymanie języka za zębami? Kilka lat później dzieci zostają sprowadzone z powrotem, a ten milioner...

– Miliarder – poprawiła go Mia. – Carl-Sigvard Simonsen.

– Okej. Ten miliarder daje im pieniądze w ramach zadośćuczynienia. Ona kupuje za to gospodarstwo, gdzie może pomagać dzieciom, które miały równie ciężkie życie jak ona? A on sklep spożywczy? Daj spokój, Mio!

– A dlaczego nie?

– To jakiś kolejny Fuglesang.

– Nie, Holger! Do stu piorunów!

– Przecież go widziałas, prawda? Ten człowiek w zasadzie pożegnał się

z tym światem. Już dawno przeniósł się do krainy demencji. Odpuśćmy sobie. Pracujmy nad innymi tropami.

– Czyli? – spytała Mia.

Munch zrozumiał, że Mia zaczyna się irytować.

– Nad peruką – powiedział. – Nad tym hakerem Skunksem. Zgadza się z Anette. Uważam, że ciągle jeszcze możemy coś wyciągnąć z tego filmu. On musi skądś pochodzić. I jeszcze tatuaż. Obrońcy zwierząt. Ta sprawa z pastorem to ślepy tor, Mio. Naprawdę daj sobie z tym spokój.

– Ja go widziałam – oświadczyła Mia, patrząc na niego surowo.

– Kogo?

– Tego brata.

– No ale...

– Widziałam go. U Jima Fuglesanga.

– Tego w kasku?

Mia potwierdziła.

– Czy Fuglesang nie leży otumaniony lekami w Dikemark?

– Owszem, ale byłam u niego w domu.

– Kiedy?

– To bez znaczenia – odparła Mia ze złością. – Ale on tam był.

– Kto?

Munch wyrzucił niedopałek i już chciał zapalić kolejnego papierosa, kiedy drzwi wejściowe znów się otworzyły i wyrżał zza nich Curry.

– Znów się ocknął. Gada jak najęty. Chyba powinniście tego posłuchać.

Munch spojrział na Mię.

– Raczej zrezygnujemy – oświadczył.

– Przestań! – uniosła się Mia.

– Nie. – Munch znów sięgnął po papierosy. – Zajmiemy się tym, co zgromadziliśmy do tej pory. Kolejny briefing o szóstej. Dajmy spokój tej błazenadzie.

– Holger, jak możesz! – obruszył się Curry. – Musicie tego posłuchać.

– Nie – zdecydował Munch stanowczo i wyjął z kieszeni kluczyki.

– On mówi, że ten brat lubił przebierać się za sowę! – warknął buldog na schodach.

Munch się zatrzymał i poczuł na sobie wzrok Mii.

– Lubiał nosić pióra na ciele. Jak pastor mógłby wymyślić coś takiego? – dokończył Curry.

– Holger? – odezwała się Mia.

Munch spojrzał na nią, schował kluczyki z powrotem do kieszeni i szybko ruszył po schodach za ciemnowłosą koleżanką.

Isabella Jung cieszyła się, że włożyła gruby sweter, bo za szłaśem było zimno. Wciągnęła też rajstopy. Może niezbyt ładnie to wyglądało, ale przecież jesień tak nagle przeszła w zimę, a nie mogła stawić się na spotkanie kompletnie przemarznięta.

„O czwartej za szłaśem”.

Ale była już piąta, a on się nie pojawił. Schowała dłonie w rękawach swetra i pożałowała, że nie włożyła czapki. Na ogół nie przejmowała się swoją fryzurą, ale tego dnia uznała, że wygląd może być ważny, dlatego zostawiła czapkę w pokoju.

Godzina spóźnienia.

To akurat nie było zbyt miłe. Nie przystoi dżentelmenowi. Żeby czas szybciej płynął, myślała trochę o tacie. Nie tak dawno dostała od niego e-maila. Wyjechał na południe Europy. Z kumplami. W e-mailu oczywiście tego nie napisał, ale ona i tak wiedziała, co to za wyjazd. Pojechali pić. Od czasu do czasu robili sobie takie wycieczki. Gdy któryś akurat dostał zasiłek albo obstawił właściwego konia w zakładach, zamawiali bilety lotnicze do Hiszpanii i zostawali na Południu, dopóki wszystkiego nie przepili. Tam alkohol był tańszy, bilet lotniczy szybko się zwracał. Dowiedziała się tego już jako mała dziewczynka.

W tych krótkich okresach, gdy pozwalano jej mieszkać razem z ojcem we Fredrikstad, często przysłuchiwała się im przez ścianę. Niezbyt hałasowali. Po prostu siedzieli i gadali przy kieliszku. Czasami puszczała muzykę, kiedy indziej grali w karty. Zdarzało jej się słyszeć brzęk tłuczonej szklanki albo odgłos czegoś upadającego w przedpokoju, gdy ktoś szedł do toalety, ale żaden nie próbował jej dokuczać. Ojciec tego pilnował. Ten, kto ośmielił się wejść do pokoju Isabelli, nie miał więcej wstępu do domu. Rano często po nich sprzątała, chyba że ktoś leżał na kanapie lub na podłodze w salonie, wtedy zostawała w swoim pokoju albo wychodziła na spacer. Ale jeśli nikogo nie było, sprzątała. Chciała, żeby wszystko ładnie wyglądało, kiedy tata się obudzi. Ważne, żeby być dżentelmenem. Ojciec i jego koledzy wiele o tym rozmawiali. Trzeba przytrzymywać drzwi kobietom, okazywać uprzejmość,

nie spóźnić się.

Jej tajemniczy wielbiciel nie był zbyt punktualny.

O siódmej nie mogła dłużej wytrzymać. Było po prostu za zimno. Uszy miała całkiem czerwone i ledwie mogła poruszyć palcami. Trochę się też zezłościła. Dlaczego napisał, że chce się z nią spotkać w tajemnicy, a potem nie przyszedł? Przecież wiedziała, że jest na terenie gospodarstwa, widziała go na własne oczy.

Im dłużej o tym myślała, tym większa ogarniała ją złość. Po co w ogóle tu siedzi i marznie? Dość już tego.

Wstała z pniaka, na którym przysiadła, i zdecydowanym krokiem ruszyła przez las. Zrobiło się całkiem ciemno i trochę strasznie, ale już wkrótce ujrzała światła podwórza i wtedy szło się jej o wiele lżej.

Postanowiła, że wygarnie mu wszystko prosto w oczy.

Isabella Jung miała dopiero piętnaście lat, ale nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Była twardsza od wielu chłopaków, nie godziła się na takie traktowanie.

Akurat znalazła się w kręgu światła na podwórzu, kiedy ujrzała Paulusa pospiesznie wychodzącego z głównego budynku.

Idealnie się złożyło.

Chłopak z ciemnymi lokami włożył puchówkę i ruszył w jej stronę.

– Gdzie się podziałeś? – spytała Isabella ostro, zatrzymując go.

– Co? – zdumiał się Paulus.

– Dlaczego nie przyszedłeś?

– Słucham? Nie mam czasu – oświadczył i próbował ją wyminąć, ale go zatrzymała. – Co ty wyprawiasz, Isabello?

– To. – Wyjęła z kieszeni kartkę.

„Spotkasz się ze mną? W tajemnicy? Tylko Ty i ja. O czwartej za szłaśsem? Czy jesteś moją wybraną?”

– Napisałeś to i nie przyszedłeś? W ogóle nie miałeś zamiaru przyjść? Chciałeś mnie tylko nabrać? Taki z ciebie facet?

– Co? – Paulus zdumiał się jeszcze bardziej.

– To nie od ciebie? – Isabella podsunęła mu kartkę pod nos, drugą ręką mocno przytrzymując go za puchówkę.

– Nie – odparł Paulus. – Skąd! Co ty sobie o mnie myślisz?

Do dziewczyny powoli docierało, że się pomyliła. Oszukał ją ktoś inny. Poczula rumieniec wypełzający na policzki, zaczerwieniła się i puściła kurtkę

Paulusa.

– *Sorry* – powiedziała. – Ja tylko...

– Posłuchaj, nie mam czasu. – Paulus ani nie zrozumiał, ani nie przejął się tym, co mówiła.

– Coś się stało? – spytała Isabella.

– Aresztowali Helene.

– Co ty mówisz?

– I Henrika, jej brata.

– Ale dlaczego? Za co?

– Za zabójstwo Camilli Green – wydusił z siebie, patrząc na nią z powagą.

– Ale...

– *Sorry*, naprawdę się spieszę – mruknął Paulus i ruszył dalej.

Piętnastolatkę zostawił samą na podwórzu.

Helene Eriksen miała zupełnie białą twarz i była tak roztrzęsiona, że kiedy Mia z Munchem weszli do niedużego pokoju przesłuchań, aż podskoczyła.

– On nic nie zrobił. Musicie mi wierzyć! – powiedziała błagalnie, zrywając się z krzesła.

– Dzień dobry – powitała ją Mia. – Lepiej, żeby pani usiadła, bo zostaniemy tu przez pewien czas.

– Ale ja... Musicie mi uwierzyć. – Spojrzała na Muncha.

Zwykle tak dumna szefowa Gospodarstwa Ogrodniczego Hurumlandet była teraz cieniem samej siebie i wręcz rozpaczliwie wpatrywała się w Muncha, zanim w końcu całkiem wyzuta z sił osunęła się na krzesło i zasłoniła twarz rękami.

– Źle to wygląda dla was obojga – stwierdził Munch, siadając obok niej.

– Dla mnie też? – przeraziła się Helene. – Przecież nic nie zrobiłam!

– Ale podejrzewa pani, że on zrobił? – spytała Mia.

– Co? Nie, Henrik nie zrobił absolutnie nic! Na miłość boską, jest łagodny jak baranek. Nigdy nikogo by nie skrzywdził. Nie obchodzi mnie, co wam powiedzieli ludzie, musicie mi uwierzyć!

– A co nam powiedzieli? – Mia zachowywała spokój.

Zerknęła na Muncha, a potem na dyktafon stojący z boku na stole, ale Munch dyskretnie pokręcił głową.

– Gdzie on jest? – spytała zrozpaczona Helene.

– Kto?

– Henrik.

– Pani brat siedzi w sąsiednim pokoju i czeka na adwokata.

– On nie potrzebuje żadnego adwokata – oświadczyła Helene. – Przecież mówię wam, że nic nie zrobił.

– Adwokat jest mu bezwzględnie potrzebny – podkreślił Munch ze spokojem. – Zaleciliśmy to pani bratu, bo w ciągu kilku godzin zostanie mu postawiony zarzut zabójstwa Camilli Green. Jeszcze dzisiejszego wieczoru sąd zdecyduje o jego tymczasowym aresztowaniu.

– Niech pani zrozumie, mamy pewność – powiedziała Mia. Znowu spojrzała

na Muncha i na dyktafon, ale szef ciągle kręcił głową.

– Musicie mi uwierzyć, on nie zrobił nic złego! – Helene Eriksen z trudem panowała nad łzami. – Nie interesuje mnie, co ludzie wam powiedzieli. Musicie mnie wysłuchać, błagam. Poza tym nie było go w domu, był...

– A jak pani myśli, co mogli nam powiedzieć ludzie? – przerwała jej Mia.

Po chwili milczenia jasnowłosa kobieta zaczęła mówić:

– O piórach. Ludzie niekiedy bywają straszni. Przeklęte plotki. Dlaczego nie pilnują własnego nosa? Złości mnie to tak, że...

– Że mogłaby pani kogoś zabić?

– Co? – Helene spojrzała na Mię. – Nie, oczywiście, że nie, ja tylko...

– Uczestniczyła pani w tym? Czy tylko pomagała mu w ukryciu zbrodni? – spytał Munch.

– Słucham?

– To przecież pani brat – powiedziała Mia. – Więc to najzupełniej zrozumiałe. Byliście sobie bardzo bliscy po tym wszystkim, co razem przeszliście w dzieciństwie.

– Doprawdy... – wydusiła z siebie Helene Eriksen. – W niczym mu nie pomagałam.

– A więc zrobił to sam?

– Henrik nic nie zrobił. Nie słyszycie, co mówię?

– Ale wiedziała pani, że... sama nie wiem, jak to określić... że lubi przebierać się za ptaka?

– To było już tak dawno temu. Przekłeta wieś! Wszystkie te plotkary. Czasami mam serdecznie dość wszystkiego. Człowiek próbuje pomagać innym, a oni...

– Więc już z tym skończył?

– Z czym?

– Z przebieraniem się za ptaka – wyjaśniła Mia.

– O Boże, mówiłam przecież...

– Jak dawno?

– Lata temu. Nie zdarzyło się to od czasu...

– Przyznaje więc pani, że lubił nosić pióra? – chciał potwierdzenia Munch.

– Tak, ale to było dawniej, już mówiłam!

– Czy to się skończyło przed czy po tym, jak sprowadzono was z Australii?

Helene Eriksen przez chwilę milczała, jakby myślami musiała odbyć podróż do czasów, o których tak bardzo pragnęła zapomnieć.

– Nie od razu po powrocie – odparła z namysłem. – Potrzebował pomocy, rozumiecie? Skrzywdzono go tam. To nie była jego wina. Ale przecież nie jest zabójcą z tego powodu, że jacyś przekłęci szaleńcy nas tam więzili, wmawiali nam najróżniejsze rzeczy i karali za każdy najmniejszy drobiazg! Jestem z niego dumna, tyle wam powiem!

Helene Eriksen lekko wyprostowała się na krześle i na chwilę powróciła kobieta, którą spotkali pierwszy raz w gospodarstwie ogrodniczym.

– Po tym wszystkim, co musiał przejść, tak świetnie sobie poradził. Jestem z niego dumna. Mało kto zdołałby osiągnąć to co on. To najlepszy człowiek, jakiego znam. Zrobiłabym dla niego wszystko.

– I zrobiła pani? – spytała Mia.

– Słucham?

– Kiedy pani zrozumiała, że to on zabił Camillę? – włączył się Munch.

– Co? – wykrztusiła Helene. – Nie słuchacie, co mówię?

– Nie, Holger. – Mia spojrzała na Muncha. – Nie tak należało sformułować to pytanie.

– A jak? – Holger patrzył na Mię, omijając wzrokiem Helene Eriksen.

– Powinieneś spytać, kiedy zaczęła p o d e j r z e w a ć, że to jej brat zabił dziewczynę.

– O, przepraszam za pomyłkę. – Munch znów zwrócił się do Helene: – Kiedy zaczęła pani podejrzewać, że to Henrik zabił Camillę Green?

– Nie wiem. – Jasnowłosa kobieta nerwowo zabębniła palcami o stół. – Chodzi panu o to, kiedy pierwszy raz pomyślałam, że...

– Kiedy w ogóle zaczęła pani wiązać tę sprawę z Henrikiem? – uzupełnił ostrożnie Munch.

– Oczywiście wtedy, kiedy pojawiło się to zdjęcie w gazetach. Zobaczyłam ziemię pokrytą piórami i... – zaczęła Helene niepewnie, spoglądając to na Muncha, to na Mię. – No wiecie, zdjęcie miejsca, w którym leżała Camilla.

– Dlatego że on z tym nie skończył od razu po powrocie z Australii? – drążyła Mia, ale bardzo spokojnie.

– To znaczy?

– Nie przestał przebierać się za ptaka?

– Takie rzeczy nie mijają z dnia na dzień. Czy macie świadomość, jak nas traktowano? Przez co Henrik musiał przejść? Zamykali go w ziemiance. Wiele razy. Byliśmy niemal królikami doświadczalnymi. Miałam trzy lata, kiedy tam przyjechaliśmy, a Henrik pięć. Wiecie, co musieliśmy znieść? Wierzyliśmy, że

to wszystko prawda. Rozumiecie? Dziwi was, że od tego można zachorować? Dziwi was, że człowiek szuka miejsca schronienia we własnej głowie?

– Więc to nie minęło od razu? – spytał Munch. – Robił to dalej?

– Na miłość boską, jestem z niego taka dumna! Tak się cieszę, że się z tym uporał.

– To bardzo wzruszające. – Mia Krüger wyjęła kopertę, którą do tej pory trzymała w wewnętrznej kieszeni kurtki. – I w normalnych okolicznościach serdecznie bym wam obojgu współczuła.

Otworzyła kopertę i położyła na stole przed Helene Eriksen fotografię.

Camilla Green.

Naga, ułożona na ziemi w lesie.

Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

Mia znów spojrzała na Muncha, który skinieniem głowy dał znak, żeby włączyć dyktafon.

– Jest osiemnasta dwadzieścia pięć. Obecni w pokoju przesłuchań: szef jednostki z Mariboegate trzynastcie Holger Munch, śledcza Mia Krüger oraz...

Helene Eriksen miała zupełnie białą twarz, kiedy tu weszli, ale na widok zdjęcia, które położyła przed nią Mia, jeszcze bardziej pobiadła.

– Proszę podać nazwisko, datę urodzenia i obecny adres.

– Słucham?

– Nazwisko, data urodzenia i obecny adres. – Mia wskazała dyktafon.

Minęło kilka sekund i Mia musiała powtórzyć prośbę jeszcze raz, zanim jasnowłosa kierowniczka gospodarstwa ogrodniczego zdołała otworzyć usta.

– Helene Eriksen, dwudziesty piąty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet, trzydzieści cztery osiemdziesiąt dwa Tofte.

Słowa powoli wydobywały się z pobielających warg. Oczy wciąż nie mogły się oderwać od tego straszego zdjęcia.

– Ma pani prawo do korzystania z pomocy obrońcy – pouczyła ją Mia. – A jeśli nie stać pani na zatrudnienie adwokata, zostanie przydzielony...

Nie dokończyła, bo rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała Anette Goli. Gestem wywołała Muncha na korytarz.

– Co się stało? – spytał, kiedy zamknął za sobą drzwi.

– Mamy problem – powiedziała Anette. – Przyszedł jego adwokat.

– I co?

- Nie było go w kraju.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – Munch zmarszczył czoło.
- Henrika Eriksena nie było wtedy w kraju.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – powtórzył Munch.
- Ona ma dom na wsi we Włoszech. Spędza tam każde lato.
- Nie rozumiem.
- Henrik Eriksen. Nie było go w kraju, kiedy to się stało.
- O, do diabła!
- I co z tym zrobimy? – spytała jasnowłosa pani prokurator.
- Ty i Kim – oświadczył po namyśle Munch.
- Co?
- Standardowe przesłuchanie. Wyciągnijcie z niego tyle, ile się da. Przez powiedzmy... dwadzieścia minut. I znów się tu spotkamy.
- Okej – kiwnęła głową Anette, a Munch czym prędzej wrócił do pokoju przesłuchań.

Gabriel Mørk siedział w swoim pokoju przy Mariboës gate i nie bardzo umiał określić, w jakim jest humorze. Mia przysłała mu kilka esemesów z przeprosinami, ale nie potrafił zapomnieć o tym, co go spotkało. Naprawdę mogli wierzyć, że miał z tym coś wspólnego?

– Gabriel? – Głos od drzwi wyrwał go z zamyślenia.

– Tak, słucham.

– Znajdziesz dla mnie kilka minut? – spytał Ludvig Grønlie. – Przydałby mi się bystry umysł.

– Jasne. – Młody haker poszedł za starszym policjantem korytarzami do jego pokoju.

Siedziba jednostki była prawie pusta. Taka sytuacja utrzymywała się przez cały dzień. Oprócz nich dwóch jeszcze tylko Ylva żuła gumę wpatrzona w ekran komputera, wszyscy pozostali byli w komendzie na Grønland.

– O co chodzi? – spytał Gabriel, stając za obrotowym krzesłem, na którym usiadł Grønlie.

– O film, który mi przesłano – wyjaśnił Ludvig.

– Aha.

– Z Muzeum Historii Naturalnej, kojarzysz?

– Co?

– Najwyraźniej nie. – Grønlie się uśmiechnął.

Starszy śledczy dwa razy kliknął w ikonę na pulpicie i na ekranie pojawił się czarno-biały film.

– Co oglądamy? – zaciekał się Gabriel.

– A więc w ogóle o tym nie słyszałeś? – Grønlie odwrócił się i spojrzał na niego.

– Nie – przyznał Gabriel.

Na nagraniu widać było grupę ludzi wchodzących do jakiejś galerii albo muzeum.

– Cholerna Mia, czasami chodzi wyłącznie własnymi ścieżkami.

– Co to jest?

– Ogród Botaniczny na Tøyen. Młodzież z Gospodarstwa Ogrodniczego

Hurumlandet na wycieczce klasowej. W Muzeum Historii Naturalnej.

– Aha – powiedział tylko Gabriel.

Obraz drżał, migotał. Widać było, że to nagranie z monitoringu. Grupę ludzi powitał mężczyzna z siwymi nastroszonymi włosami i wskazał im drogę na schody.

– Tutaj wszystko jest w porządku. – Ludvig kliknął dalej. – I tutaj też.

Gabriel z zainteresowaniem wpatrywał się w monitor.

– Ale tu nagle... Jak myślisz, co widzisz?

Na filmie grupka weszła do sali z gablotami, w których znajdowały się wypchane zwierzęta.

– Czy to cię trochę nie dziwi?

– Co? – spytał Gabriel.

– Odrobinę cofnę. – Ludvig przewinął do tyłu. – Tutaj. – Wcisnął stop. – Widzisz?

Gabriel wpatrywał się w obraz, ale w końcu z rezygnacją pokręcił głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– No to zrobię wydruk. – Starszy śledczy wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze.

Gabriel poszedł za Grønliem do pomieszczenia z drukarką, a potem do sali briefingowej.

Ludvig powiesił wydrukowane zdjęcie na tablicy obok innych znajdujących się już tam zdjęć.

– Tutaj widać prawie wszystkich, prawda? – Grønlie wskazał fotografię. – Tu mamy Helene Eriksen, to jest Paulus Monsen, a to Isabella Jung.

Gabriel śledził ruch jego palca, kiwając głową.

– Ale kim, u diabła, jest ten człowiek?

Ludvig puknął w jedną z twarzy na zdjęciu. Nigdy wcześniej jej nie widział. Młodego chłopaka w okrągłych okularach, który w przeciwieństwie do pozostałych osób z grupy nie patrzył na zwierzęta w gablotach, tylko stał ze wzrokiem utkwionym w kamerę.

– To raczej nikt znajomy – stwierdził Gabriel.

– No właśnie, czy to nie dziwne? Zobacz, tu mamy wszystkich, prawda? Nauczyciele, Eriksen, Monsen, dziewczyny. Ale ten chłopak?

Gabriel spojrział na tablicę, na której Ludvig już wcześniej powiesił zdjęcia wszystkich mieszkańców i nauczycieli z gospodarstwa ogrodniczego, ale wśród zdjęć nie było tej nowej twarzy.

– I dlaczego patrzy prosto w kamerę?

– Rzeczywiście dziwne – przyznał Gabriel.

– No właśnie. Przecież to wycieczka klasowa. Wszyscy patrzą na zwierzęta, bez względu na to, jak bardzo może ich to nudzić. A ten tutaj wpatruje się w kamerę, jakby chciał...

– Sprawdzić, gdzie ona jest – dokończył Gabriel.

– Możliwe, że już się urodziłem zbyt podejrzliwy, dlatego chciałem, żeby pomógł mi ktoś taki jak ty. Sądzisz, że coś może w tym być?

Gabriel dalej wgapiał się w zdjęcie na ścianie. We wpatrzone w niego oczy za okularami, niemal zaskoczone. A wszyscy pozostali w grupie mieli wzrok skierowany na to, co wskazywał palec siwowłosego przewodnika.

– *Shit!* – zaklął, nie odrywając oczu od chłopaka w koszuli.

– Nie mamy go wśród tych zdjęć na ścianie, prawda? Nie widzisz go tutaj?

Grønlie wskazał fotografie twarzy wszystkich osób związanych z Gospodarstwem Ogrodniczym Hurumlandet.

– Z całą pewnością nie – odrzekł Gabriel.

– Więc to nie ja zaczynam się starzeć? Niczego nie przeoczyłem? – Ludvig się uśmiechnął.

– Po co innego miałby patrzeć w kamerę... – zaczął Gabriel.

– ...jeśli nie po to, żeby stwierdzić, gdzie ją zainstalowano – dokończył Grønlie.

– Sądzisz, że to może mieć związek z włamaniem, z tą kradzieżą sów?

– Ty też tak uważasz? – spytał starszy policjant.

– Zdecydowanie.

Gabriel niemal zhipnotyzowany wpatrywał się w nieznaną twarz.

Młody chłopak w jasnej koszuli i okrągłych okularkach.

– Coś w tym musi być, chyba się nie mylę.

– Na pewno nie – przyznał młody haker. – Na pewno nie, Ludvig.

– Dzwonię do Mii – rzucił Grønlie i wybiegł z pokoju po telefon.

Chłopiec uważał to nowe miejsce za dziwne i upłynęło trochę czasu, nim przywykł do wszystkich nowości, w końcu jednak poczuł się lepiej. Nie mieli tu aż tak wielu książek, ale ściany były grubsze, więc wieczorami nie słyszał, żeby ktoś o nim rozmawiał. A ta, która wszystkim tutaj rządziła, też była dość sympatyczna. Miała na imię Helene. Nie patrzyła na niego tak dziwnie jak ludzie w poprzednim miejscu. Traktowała go jak pozostałą młodzież, która tu mieszkała. Bo w tym miejscu nie było dzieci, ale jemu to w niczym nie przeszkadzało. I tak najbardziej lubił być sam.

Mieszkało tu siedmioro innych wychowanków, ale oprócz niego tylko jeden chłopiec, Mats, jego polubił. Mats trochę przypominał mu mamę, bo stale powtarzał, że świat jest zły, a ludzie mają przestawiane w głowach. Mats lubił się malować, chociaż trochę inaczej niż mama, bo malował oczy na czarno, miał też polakierowane na czarno paznokcie. Mats właściwie lubił wszystko, co czarne. Nosił wyłącznie czarne ubrania, a w pokoju na ścianie miał plakaty zespołów, również ubranych w czerń, z czarnym makijażem i bransoletkami nabijanymi ćwiekami. Metal. Tak nazywała się muzyka, którą grały te zespoły. Chłopiec niewiele się odzywał, głównie słuchał, kiedy siedzieli u Matsa w pokoju i kolega puszczał muzykę, pokazywał i objaśniał. Istniało wiele różnych rodzajów muzyki metalowej, speed metal i death metal, a także to, co go najbardziej fascynowało: black metal. Chłopcu niezbyt podobała się ta muzyka, za dużo w niej było wrzasków, ale lubił opowieści, zwłaszcza te związane z black metalem, o grupach składających w ofierze kozły, które na scenie stawiały krzyże z nagimi ludźmi, wyśpiewywały o szatanie i śmierci.

Po roku przebywania w tym miejscu chłopiec poniekąd zaczął czuć się jak w domu. Oczywiście nie tak, jak przy mamie, ale tu było lepiej niż poprzednio. Gospodarstwo Ogrodnicze Hurumlandet. Mieli szklarnie, uczył się pielęgnowania roślin i kwiatów. Poza tym lubił też szkołę; był młodszy od pozostałych, ale o wiele zdolniejszy. Często się zdarzało, że nauczyciel po lekcji brał go na bok.

„Już to skończyłeś? Chyba będziemy musieli ściągnąć jakieś nowe książki”.

Lubił wszystkie przedmioty. Angielski, norweski, matematykę, wiedzę o społeczeństwie, geografii. Za każdym razem kiedy otwierał nową książkę, to jakby otwierał się przed nim nowy świat, a on nie miał tego nigdy dość. Spośród nauczycieli szczególną sympatią darzył Rolfa. To on najbardziej go chwalił. Dawał mu specjalne zadania, których nie dostawali inni, i zawsze się uśmiechał, kiedy chłopcu udawało się je rozwiązać. To Rolf załatwił mu własny komputer, a nie wszyscy je tu mieli. Przez pewien czas chłopiec prawie nie spał, jakby sen nie był mu potrzebny, bo tylu rzeczy chciał się nauczyć. Często całą noc spędzał przy komputerze, obłożony książkami, nie mogąc się już doczekać na kolejne zadania.

Ale za najprzyjemniejszy uważał czas spędzony z Matsem. Dziewczyn starała się unikać jak ognia. One były takie, jak mówiła mama: na zewnątrz uśmiechnięte, a w środku nieszczerze i złe. Dlatego bezpieczniej było trzymać się od nich z daleka. Mats też nie lubił dziewczyn. Właściwie Mats nie lubił niczego oprócz muzyki metalowej. Nawet książek, chyba że opowiadały o rozmaitych rytuałach, o krwi i szatanie. I o tym, co zrobić, żeby ktoś powstał z martwych.

– Helene jest głupia – oświadczył Mats pewnego wieczoru, kiedy siedzieli u niego w pokoju.

Chłopiec się z nim nie zgadzał. Uważał, że Helene jest najmilszą osobą, jaką poznał, odkąd zabrali go z domu. Ale nie zaprotestował. Nie chciał dyskutować z Matsem, bał się, że kolega już nigdy nie zaprosi go do siebie.

– Za to jej brat jest fajny.

– Henrik? Ten ze sklepu?

– Tak. – Mats się uśmiechnął.

– Dlaczego jest fajny?

– Wiedziałeś, że byli kiedyś w sekcie?

– Nie – odparł chłopiec, niepewny, czym jest sekta, ale ponieważ Mats cały czas się uśmiechał, uznał, że to najpewniej coś dobrego.

– W Australii – ciągnął Mats. – W dzieciństwie. Ta sekta nazywała się The Family. Eksperymentowała na dzieciach. Dzieciom wmawiano, że matką ich wszystkich jest jedna kobieta, miała na imię Anne. Wszystkie dzieciaki musiały nosić identyczne ubrania i takie same fryzury. Faszzerowali je lekami, dostawały anatensol, haloperidol, tofranil. Nawet LSD. Wyobrażasz to sobie? Dzieciaki zamykane w małych ciemnych pomieszczeniach, zupełnie same, miały odloty na LSD!

Chłopiec, który przestał być dzieckiem i prawie zaliczał się już do młodzieży, nie słyszał wcześniej żadnej z tych nazw. Ale Mats dużo wiedział o lekach. Miał tabletki, które powinien zażywać codziennie, i chociaż czasami ich nie brał, to był bez wątpienia ekspertem od lekarstw.

– Oboje kompletnie zwariowali. Pomieszało im się w głowach – kontynuował Mats z uśmiechem. – Zwłaszcza bratu Helene, Henrikowi. Myślał, że jest sową.

– Sową?

– Ptakiem śmierci.

Chłopiec, który przestał już być dzieckiem, z zafascynowaniem wysłuchiwał opowieści kolegi. O tym, jak Henrik, ten ze sklepu spożywczego, który wydawał się zupełnie normalnym człowiekiem, przyklejał sobie pióra do ciała i w oddalonym szałasie odprawiał rytuały. Zabijał ptaki i wskrzeszał zmarłych.

– Dawno temu, ale to wszystko prawda – mówił Mats. – Teraz podobno jest już całkiem normalny, ale przez jakiś czas był na kompletnym odjeździe. Tak samo jak ty.

– Jak ja?

Chłopiec nie zrozumiał, o co chodziło Matsowi.

– Tak, tak jak ty. Przecież ty przez całe życie byłeś zamknięty z matką w domu bez ludzi. Jak można mieszkać z takim chorym babskiem? Zresztą jesteście do siebie podobni. Wyglądasz na idiotę i jesteś chory na głowę, a mnie się to podoba. Pieprzyć wszystkich normalnych. Cholera, sowa! Przyklejać sobie pióra, nieźle, co?

Chłopiec niewiele poczuł wtedy, w pobliżu bagien, kiedy Mats pokazał mu, jak się wskrzesza zmarłych. Wyjęli z gniazda ptaka, Mats go udusił sznurówką, a potem ułożył w pięcioramiennej gwiazdzie ze świec i zaczął głośno odczytywać dziwne słowa z jednej z swoich książek.

Niewiele wtedy czuł.

Kiedy go zabił.

Nożem ukradzionym z kuchni. Patrząc na umalowane na czarno oczy, które coraz szerzej się otwierały, kiedy krew płynęła i wsiąkała w ciemne błoto, czuł przede wszystkim ciekawość.

Mats usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł już mówić, a w końcu nie mógł się już ruszyć.

– Nie wolno tak brzydko wyrażać się o mamie – oświadczył chłopiec.

Żadnych uczuć. Jedynie nieco ciekawości. Mats wreszcie przestał oddychać. Czy mu się nie zamknęły, chociaż już nie żył. Śmierć? Właściwie lekkie rozczarowanie.

Z tego, co zrobili z ptakiem, też nie był zadowolony.

Najpierw przetoczył ciało Matsa do dziury, w której stała woda, i patrzył, jak znika w czarnym błocie. Ptaszka poniósł przez las i zakopał w ładnym miejscu, wśród kwiatów w świetle słońca przeświecającego przez liście drzew. Zrobił krzyż z patyków, nie taki odwrócony jak na plakatach w pokoju Matsa, tylko zwyczajny jak na cmentarzach. Wieczorem, kiedy już wsunął się pod kołdrę, wciąż walczył z rozczarowaniem. Żałował, że odprawiony przez nich rytuał nie przyniósł efektu.

To samo uczucie powróciło kilka lat później. Był już wtedy nastolatkiem, a nauczyciele wciąż go chwalili. Nie było już wśród nich Rolfa, ale pozostali dalej podsuwali mu książki, z których inni uczniowie nic by nie zrozumieli. Dostał też motorower i mógł nim jeździć, dokąd chciał. Oczywiście od razu pojechał do domu. Do mamy. Wewnątrz śmierdziało, szyby były powybijane i najwyraźniej mieszkały tam zwierzęta, więc zaczął sprzątać. Kiedy nie siedział w klasie albo nie zajmował się pielęgnacją roślin, wsiadał na motorower. Po kilku miesiącach dom znów zaczął wyglądać przyzwoicie.

To samo uczucie. Jak wtedy z tym ptakiem. Uznał, że ptak był za mały, więc znalazł kota. Zrobił to w ten sam sposób jak z Matsem. Pamiętał o świecach i użył tych samych słów, ale ona ciągle nie wracała. Potem spróbował jeszcze z psem. Lecz i to nie poskutkowało.

Sowa. Ptak śmierci.

Kupił w sklepie klej, a w sąsiednim gospodarstwie, w którym zaopatrywali się w jajka, nabierał w kurzych kłatkach piór. Nasmarował się klejem, przytwierdził pióra do skóry, a łapy psa ułożył według wskazówek Matsa, żeby pokazywały właściwe punkty na pentagramie. Posłużył się szkicami z jego książek. Ale i to nie podziałało.

Wieczorem po zabiciu psa nie czuł się dobrze. Leżał w łóżku i nie mógł zasnąć. Pies miał takie piękne oczy. Kot też. Długo wpatrywał się w sufit, aż w końcu się zdecydował. To nie mogą być zwierzęta. Mama też tak mówiła. To ludzie są zgnili. Zwierzęta są w porządku. Po prostu żyją w przyrodzie. Zwierzętami należy się opiekować. One nigdy nikogo nie krzywdzą.

To musi być człowiek.

Żeby zadziałało.

*Lustrzane odbicie.
Mamy.*

Miriam Munch stała na ulicy przed mieszkaniem na Oscars gate na Frogner i czuła, że nie bardzo już wie, kim jest. Najpierw była zbuntowaną nastolatką z zerowym kontem, która wraz z przyjaciółmi walczyła na demonstracjach z konną policją. Później została panią doktorową, z mieszkaniem w najlepszej dzielnicy Oslo, w domu z bramą, do której wejścia pilnowały kamery, i z widokiem na ambasadę Niemiec z balkonu, a stan finansów pozwalał jej na spełnienie prawie każdej zachcianki. Kim była teraz? Nerwowo zaciągnęła się dymem z papierosa i poczuła lekkie ściskanie w brzuchu.

Czarny strój. Kominiarka w plecaku. Prawie już zapomniała, jakie to uczucie, ale wspomnienia dawnych akcji przeciwko władzy powróciły do niej w mieszkaniu Ziggy'ego dość szybko.

Nareszcie znów czuła, że żyje. Że jest elementem czegoś ważnego. Oczywiście poczucie bezpieczeństwa na Frogner i świadomość, że Marion może spokojnie bawić się w ogrodzie, że nie znajdzie igieł od strzykawek czy nie zostanie obrabowana w drodze do szkoły, były bardzo ważne.

Ale gdy chodziło wyłącznie o nią...

Już dawno nie czuła się tak dobrze.

Nie zapaliła kolejnego papierosa, tylko rozejrzała się za samochodem, który wkrótce powinien się pojawić.

Wiarygodne wytłumaczenie dla rodziny ustaliła z przyjaciółką.

Julie zerwała z facetem.

Potrzebuje duchowego wsparcia.

Żaden problem.

Mimo wszystko sięgnęła po papierosa i zdążyła wypalić prawie całego, zanim samochód, na który czekała, wyjechał zza rogu i zatrzymał się tuż przed nią.

Wyrzuciła niedopałek i wsiadła uśmiechnięta.

– Wszystko w porządku? – spytał Jacob.

– Oczywiście – odpowiedziała Miriam. – A gdzie Ziggy?

– Pojechał z Geirem. Wyruszyli piętnaście minut temu.

– Aha.

– To co, jedziemy? Na pewno?

– Cieszę się. – Miriam się uśmiechnęła, zapięła pasy, a chłopak w okrągłych okularach wrzucił bieg, ruszył w stronę Uranienborgveien, a potem wziął kurs na Hurumlandet.

Mia Krüger wstawiła białą plastikową filiżankę do automatu, wcisnęła guzik i patrzyła, jak to, co udawało kawę, wypływa z wyraźnie przestarzałej maszyny. Pokręciła głową, ale musiała się z tym pogodzić. Ten automat znajdował się najbliżej. Poniosła filiżankę z gorącym napojem przez korytarz do pokoiku, gdzie Anette Goli i Kim siedzieli razem z Munchem, który miał wyjątkowo mroczne spojrzenie.

– No dobrze – powiedział Munch. – Anette?

Mia przyłożyła filiżankę do ust i wypiała łyk, ale musiała odstawić ją na stół. Kawa smakowała jeszcze gorzej, niż wyglądała.

– Tak jak mówiłam... – Anette spojrzała na Kima Kolsø.

– Henrika Eriksena nie było w kraju – potwierdził Kim.

– Co? – zdumiała się Mia.

– Latem. W tym czasie, kiedy dziewczyna zniknęła – uzupełnił Kolsø.

Mia spojrzała na Muncha.

– Ma dom w Toskanii – wyjaśniła Anette Goli. – Spędza tam co roku trzy letnie miesiące. Nie było go w kraju.

Mia znów spojrzała na Muncha, który lekko wzruszył ramionami.

– Ma żelazne alibi – podsumował Kim. – Nie było go tutaj, kiedy to się stało.

– To znaczy...

– Cholera. – Mia się zamyśliła. – Facet okleja się piórami, wydaje mu się, że jest ptakiem... – Zerknęła na Muncha, który znów tylko wzruszył ramionami i dotknął dłonią skroni.

– Adwokat mówi – podjęła Anette – że może przedstawić pięciu świadków, którzy potwierdzą, że spędził we Włoszech całe lato.

– Niech to szlag! – zaklęła Mia.

– Nie było go w kraju. Nic na niego nie mamy – powtórzyła Anette.

– Ale przecież Helene Eriksen już wszystko potwierdziła. Chodzi mi o te pióra. O sektę, w której byli. No i o to, że pomieszało mu się w głowie. Chciał być sową. Dajcie spokój, nie rozumiem, co...

– Nie było go w kraju – upierała się Anette.

- Przebywał w Toskanii – zawtórował jej Kim Kolsø.
- Przecież mógł tu przylecieć!
- Nie mógł – zaprzeczyła Anette. – W ogóle się stamtąd nie ruszał.
- Skąd mamy taką pewność?

Anette podsunęła Munchowi jakąś kartkę.

Szef spojrział na nią i pokiwał głową.

– Co to jest? – spytała Mia.

– Rejestr jego rozmów telefonicznych – westchnął Munch, przesuwając kartkę dalej po stole.

– To nie on – oświadczył Kim Kolsø.

– Do diaska, Holger! – Mia nawet nie spojrziała na podsunięty wyciąg. – Pióra! Sowa! Przecież ona to wyraźnie powiedziała!

Munch tylko trzymał się obiema rękami za skronie.

– Mówiła, że pomieszało mu się w głowie, więc, do cholery, przestańcie pieprzyć. Holger?

– Jesteście pewni? – odezwał się w końcu Munch.

– Na sto procent – oświadczyła Anette.

– Nie było go tutaj – powtórzył Kim.

Mia poczuła ogromne rozczarowanie. W kieszeni znów zawibrowała jej komórka, chyba po raz setny w ciągu ostatniej godziny. Tym razem ją wyjęła i spojrziała na wyświetlacz.

– No to co robimy? Musimy ich wypuścić?

Mnóstwo telefonów od Ludviga Grønliego. I ememes ze zdjęciem.

„Dlaczego nie odbierasz telefonu? Kim jest ten chłopak? Widzisz jego spojrzenie? Patrzy w kamerę”.

– Nie mamy wyboru – przyznała Anette Goli. – Możemy jeszcze trochę potrzymać Helene Eriksen, bo ona przecież p r z y p u s z c z a ł a, że mógł to zrobić jej brat, ale co nam to da?

– Okej – zdecydował Munch. – Wypuszczamy ich.

Zdjęcie młodych ludzi w grupie. W miejscu, w którym była. W Muzeum Historii Naturalnej. Oczy wszystkich skierowane na przewodnika pokazującego jakiegoś zwierzaka w gablocie. Tylko jedna osoba nie patrzy w tamtą stronę. Młody chłopak w okrągłych okularach i białej koszuli. Z zaciekawieniem wpatruje się wprost w obiektyw kamery.

– Więc kończymy? – spytał Munch.

– Możemy przetrzymać ich przez noc, jeśli chcemy – odparła Anette.

– Potrzebuję jeszcze kilku minut rozmowy z Helene Eriksen – oznajmiła Mia.

– Po co? – zainteresował się Munch.

– Chcę się dowiedzieć, kto to.

Podawała Munchowi telefon. Szef zmrużył oczy i znów złapał się za głowę.

– Co to za zdjęcie?

– Z monitoringu w Muzeum Historii Naturalnej.

– Okej – zgodził się Munch. – Zatrzymamy ich przez noc.

– Dobrze się czujesz, Holger? – spytała Anette.

– Co? Tak, tak, oczywiście. Potrzebuję tylko... Trochę wody dobrze mi zrobi – mruknął Munch i wyszedł z pokoju.

Pozostała trójka popatrzyła po sobie.

– Czy on jest chory? – spytała Anette.

Kim Kolsø wzruszył ramionami.

Mia wróciła do pokoju przesłuchań, gdzie Helene Eriksen siedziała pochylona nad stołem, z głową opartą na rękach.

– Kto to jest? – spytała Mia bez wstępów, kładąc przed nią swoją komórkę.

– Słucham? – wymamrotała Helene.

– Kim jest ten chłopak? – Mia wskazała fotografię przesłaną przez Ludviga.

Helene Eriksen wydawała się zupełnie nieprzytomna, a pytanie Mii w ogóle do niej nie dotarło.

– Kto?

– Ten chłopak. Na zdjęciu. Kto to jest?

Helene Eriksen wolno podniosła telefon i zaczęła się w niego wpatrywać, jakby nie mogła pojąć, na co patrzy.

– Byliście na wycieczce, prawda? W Muzeum Historii Naturalnej, w sierpniu.

– Skąd to pani ma? – wymamrotała Helene.

– Byliście tam?

– Owszem, ale dlaczego pani o to pyta?

– Kim jest ten chłopak?

Helene zmarszczyła brwi i spojrzała na Mię, a potem znów na fotografię.

– Ma pani na myśli Jacoba?

– On ma na imię Jacob?

– Tak – potwierdziła Helene. – Ale...

– Dlaczego był z wami na wycieczce, skoro nie jest jednym z mieszkańców

ani pracowników?

– Nie, to znaczy tak...

– Dlaczego nie było go na żadnej z otrzymanych od was list?

– O czym pani mówi? – Helene ciągle wydawała się kompletnie zagubiona.

– Mieliśmy dostać listy wszystkich mieszkańców i wszystkich pracowników. A tego chłopaka nigdzie nie wymieniono.

– Jacob mieszkał z nami dawniej. – Jasnowłosa kobieta kiwnęła głową i znów spojrzała na zdjęcie. – Ale minęło już kilka lat.

– A mimo to był na tej wycieczce?

– Tak, często nas odwiedza. Jacob był najmłodszą osobą, jaka kiedykolwiek u nas zamieszkała. I jedną z tych, które mieszkały najdłużej. W zasadzie jest jak rodzina. Często do nas zagląda, i bardzo dobrze, wszyscy ogromnie go lubią. Pomaga nam przy komputerach i nie bierze za to pieniędzy, więc nie jest pracownikiem, ale...

– Przy komputerach? Zna się na tym?

– Jacob? O tak! – Helene wreszcie lekko się uśmiechnęła. – To geniusz, cudowne dziecko. Aż trudno uwierzyć po tym, przez co przeszedł.

– Jak ma na nazwisko? – Mia usiłowała ukryć przed Helene Eriksen narastające podniecenie.

– Jacob?

– Tak.

– Marstrander.

– Jacob Marstrander – powtórzyła Mia.

– Tak. – Helene znów się wystraszyła. – Nie myślicie chyba, że...?

Światła przy drodze E18 miały w sobie coś pięknego. Miriam nie bardzo wiedziała dlaczego, ale zawsze je lubiła. Przypuszczalnie wiązały się z jej wspomnieniami z dzieciństwa, z widokiem z tylnego siedzenia należącego do rodziny starego volvo, gdy jechali w odwiedzinach do babci i dziadka. Ciepły żółty blask latarni. Odgłos kół na asfalcie. Miękkie głosy z przednich siedzeń. Mama i tata. Dźwięk radia w tle i żartobliwe przekomarzanie się, bo mama chciała słuchać jazzu, a tata muzyki klasycznej. Poczucie bezpieczeństwa, które pewnego dnia tak nagle zniknęło, lecz teraz powróciło, rozgrzewając ją od środka.

– Jeszcze kawy? – Jacob podsunął okrągłe okulary nieco wyżej.

– Na razie mi wystarczy. – Miriam się uśmiechnęła i wypła łyk z metalowego kubka. Musieli być przytomni, akcja mogła się przeciągnąć na całą noc.

– Wziąłem dwa termosy.

Jeszcze trochę podkręcił ogrzewanie w samochodzie.

Ciągle panował dojmujący chłód, prawie jak zimą, chociaż był zaledwie październik. Ale Miriam czuła ciepło w środku. Oparła głowę o zagłówek i znów przesunęła wzrok na latarnie. Przypomniała sobie dzieciństwo, wszystko wówczas było takie niewinne i piękne. Palce mamy delikatnie gładzące tatę po włosach. Uśmiechy, które jej posyłał. Naiwna wiara, że to nigdy nie minie, że zawsze będzie tak dobrze. Miriam dopiła kawę i niemal senna uśmiechnęła się do siebie. Z każdą mijaną latarnią powracały wspomnienia tamtych cudownych przejażdżek. Ostatnio sporo myślała o swoim dzieciństwie. O tym, jak będąc nastolatką, nie mogła się już doczekać, kiedy dorośnie i zacznie sama o sobie decydować, zapomni o wszystkich zasadach i będzie całkiem wolna. Ale teraz zdarzało jej się marzyć o powrocie do tamtych czasów. Żałowała, że wtedy nie miała świadomości, jak jest cudownie. Uśmiechnęła się jeszcze raz i dołała sobie kawy z termosu.

– Czy to nie dziwne? – spytał Jacob.

– Co takiego?

Miriam uniosła opadające powieki.

– To, że człowiek czasami czyni gruntowne przygotowania, które okazują się zupełnie niepotrzebne.

Chłopak w okrągłych okularach spojrzał na nią uśmiechnięty, ale jego twarz wyglądała dziwacznie. Miriam widziała ją jak przez mgłę.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie, nie całkiem.

Wypiła jeszcze łyk kawy.

Wiedziała, że nie może zasnąć i musi mieć jasną głowę. Akcja mogła się przeciągnąć, może nawet na całą noc, a ją już zaczęła dopadać senność. Niedobrze. Znow więc popiła kawy.

– Na przykład z tą kawą – podjął Jacob. – Bo mam też colę i wodę mineralną, gazowaną i niegazowaną, na wypadek gdybyś nie chciała kawy.

Miriam nie rozumiała, o czym on mówi. Znow oparła głowę na zagłówek i zapatrzyła się w latarnie. Ich światło wydawało się bardziej żółte i cieplejsze, niż je zapamiętała. Billie Holiday, to jej zawsze chciała słuchać mama. Poczła nagle, że musi się koncentrować na trzymaniu kubka, który zaczął wyslizgiwać jej się z palców.

– Ale ty się od razu zgodziłaś na kawę, więc cała reszta w zasadzie poszła na marne. – Jacob się roześmiał. – Mogłem poświęcić ten czas na inne sprawy, rozumiesz?

Miriam z wysiłkiem skierowała wzrok na niego, ale jego twarzy już nie dostrzegła.

– Kiedy... dojedziemy... na miejsce? – wymamrotała. – Do... reszty?

Zadanie tego pytania zajęło jej mnóstwo czasu.

– Będą musieli poradzić sobie bez nas.

– Dla... dlaczego?

– Bo my mamy ważniejsze sprawy do załatwienia, prawda?

Chłopak w okrągłych okularach odwrócił się i znow na nią spojrzał.

Ale Miriam Munch już tego nie widziała.

Zasnęła.

CZEŚĆ VIII

Sześćdziesięciodwuletni Szwajcar Hugo Lang czuł się prawie tak, jakby był dzieckiem. Ogarnęło go cudowne podniecenie, tak silnych emocji nie przeżywał od czasu, gdy po raz pierwszy ujrzał na ekranie tamtą poprzednią dziewczynę.

We dwoje. Dziewczyna w piwnicy i on. Dwoje samotnych ludzi, którzy na siebie trafili. Nigdy wcześniej nie odczuwał takiego zaspokojenia. Stworzeni dla siebie, by być razem. Głaskał ją po włosach, kiedy spała, uśmiechał się, kiedy biegła w kołowrotku, szło jej znakomicie, dzięki temu z góry sypało się jedzenie. A potem tak nagle zniknęła. Tęsknota za nią była w nim jak czarna dziura. Usiłował zrekompensować sobie ten brak, założył szklarnię z orchideami i rzadkimi gatunkami kolibrów, sporo go to kosztowało i przez pierwsze dni czuł się nawet nieźle, ale już wkrótce żal odezwał się z nową siłą.

Ale powróciła. Nie ta sama, ale prawie. Już zdążył ją polubić. Może nawet bardziej niż tę poprzednią, która przecież mimo wszystko go porzuciła.

Hugo Lang uśmiechnął się i przysunął krzesło bliżej wielkiego ekranu.

Miriam Munch.

Początkowo jej nazwisko wydało mu się dziwne, ale potem śmiał się trochę z samego siebie, bo przecież nie miało żadnego znaczenia. To była jego przyjaciółka, schwytana tylko dla niego, żeby mogli być razem. R a z e m. Pierwszego dnia trochę go irytowała, bo nic nie robiła. Po prostu siedziała. Palce delikatnych dłoni, obejmujące szczupłe ciało, drżały jak liście osiki. Prawie nie zamykała oczu, zdezorientowanych, przerażonych, jakby nie pojmowała, co się dzieje. No i płakała. Po białych policzkach płynęły jej łzy. I jeszcze to rozpaczliwe walenie w drzwi czy w okna. W każdym razie niezbyt mu się to podobało. Siedział przecież w szlafroku, przy ogniu płonącym w kominku, trzymał w ręce kieliszek koniaku, więc te sceny były niepotrzebne, bo przez to nie mogli wspólnie cieszyć się przyjemnościami. Ale z czasem się uspokoiła i teraz było już dobrze.

Hugo Lang uśmiechnął się i delikatnie pogładził policzek widoczny na ekranie. Bardzo polubił tę poprzednią dziewczynę, nieco młodszą, z tatuażem,

i zdarzało mu się myśleć, że nic lepszego już go nie spotka, ale teraz, zaledwie po dwóch dniach, czuł, że woli tę od tamtej. Właściwie dziwne, że tak może być, no ale było.

Pierwszego dnia nie sprawowała się za dobrze.

Nie rozumiała. Nie wiedziała, co należy robić.

W końcu do tego zamkniętego pomieszczenia wszedł człowiek przystrojony w pióra i od tej pory robiła to, co powinna.

Biegała w kołowrotku.

Jadła to, co sypało się z góry.

Hugo Lang wypił kolejny łyk drinka i przysunął skórzany fotel jeszcze bliżej. Dotknął dłonią ekranu i lekko pogładził ją po włosach, a po chwili przyłożył do ekranu usta i ją pocałował.

Delikatnie, nie naruszając żadnej granicy.

W policzek.

Potem odchylił się w fotelu, uniósł szklankę jak do toastu, i dalej siedział uśmiechnięty.

Holger Munch popił tabletki na ból głowy wodą z kranu i ciężko oddychając, przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką.

Co, u diabła?

Opłukał twarz zimną wodą, nie mogąc pojąć, skąd bierze się ten nagły ból, który już od kilku dni pojawia się i mija, najwyraźniej nie chcąc całkiem ustąpić. Może lekarz mimo wszystko miał rację? Niezdrowy tryb życia. Więcej trenować. Mniej palić. Czy to dlatego?

Wytarł twarz rękawem swetra, z trudem łapiąc oddech, i liczył, że tabletki zaczną wkrótce działać. Pięciominutowa przerwa w briefingu. Czeka ją na niego. Niespokojni. Od czasu gdy wypłynęło to nazwisko.

Jacob Marstrander.

Munch początkowo miał wątpliwości, w tej sprawie było już tyle nagłych zwrotów, tylu podejrzanych. W końcu jednak nabrał całkowitej pewności. To tego chłopaka szukali.

Problem polegał na tym, że Jacob Marstrander zapadł się pod ziemię. Minęły już trzy dni i ciągle nic. Przewrócili do góry nogami jego mieszkanie przy Ullevålsveien, ale okazało się puste. Przeszukali biuro jego jednoosobowej firmy JM Consult, ale nie odkryli nic, co by im odpowiedziało, gdzie go mogą znaleźć.

Zwyrodnialec.

Przysunął usta do kranu i wypił jeszcze trochę wody. Tabletki wreszcie zaczęły działać. Ostatni raz spojrzął w lustro, pogładził twarz dłońmi, włączył uśmiech i spokojnie wrócił do sali briefingowej.

– Okej, na czym stanęliśmy? – spytał, zajmując miejsce przy ekranie. – Ludvig?

– Ciągle żadnych wieści z lotnisk – powiedział Grønlie. – Oczywiście mógł próbować uciec pociągiem albo samochodem. W każdym razie nie zarejestrowano żadnej próby przekraczania granicy.

– To znaczy, że wciąż jest w kraju?

– Tego nie wiemy – odparł Kim Kolsø. – Ale Interpol jest już powiadomiony.

- To dobrze – kiwnął głową Munch. – A zdjęcie Marstrandera?
- Poszło dziś rano do wszystkich gazet. Tak chciałeś, prawda? – spytała Anette Goli.
- Wspólnie to ustaliliśmy – przypomniał Munch.
- Ale nie wszyscy się z tym zgadzali – burknął Curry.
- Daj już spokój, Curry, nie zaczynaj od nowa – westchnęła Anette.
- Tak uzgodniliśmy – potwierdził Ludvig Grønlie.
- Ja uważam to za idiotyzm – dalej złościł się Curry. – To się powtarza za każdym razem. Publikujemy zdjęcie w mediach i padają nam linie telefoniczne, ponieważ tysiące dobrodusznych kretynów dzwoni, bo wydawało im się, że ktoś podobny czai się za garażem. Uważam...
- Kiedy ostatnio sprawdzałem, widziałem, że to ja kieruję tym śledztwem – odezwał się Munch surowo. – I wydałem polecenie opublikowania jego zdjęcia. Mam rację?
- Jasne – odparł Curry. – Ja tylko...
- Już jest w Internecie. – Ylva podniosła telefon.
- To dobrze. Mam nadzieję, że coś nam z tego przyjdzie.
- Munch poczuł, że ból głowy powoli wraca. Wypił łyk wody z butelki na stole.
- No a co poza tym? – Rozejrzał się po sali. – Gdzie Mia? – spytał zdziwiony.
- Dostała jakąś wiadomość, musiała coś załatwić. Przyjdzie później – wyjaśnił Grønlie.
- Co się stało?
- Nic nie mówiła.
- Aha – powiedział Munch zirytowany. Musiał teraz mocno się skoncentrować. – Trzy dni i ciągle nikt nie widział nawet cienia Jacoba Marstrandera. Niedobrze, kochani. Ktoś powinien coś wiedzieć. Ktoś go powinien zauważyć. Nie zarejestrowano jego samochodu opuszczającego miasto?
- Firmy pobierające opłaty drogowe niczego nie zgłosiły – poinformował Kim.
- A jego telefon?
- Według Telenoru był ostatnio używany w piątek u niego w domu – odpowiedział Gabriel Mørk. – Od tego czasu cisza.
- A komputer, który znaleźliśmy w siedzibie firmy?

– Wyczyszczony – westchnął Gabriel.
– Mówicie serio? – zdziwił się Munch. – Nie ma nic?
– Może jeszcze raz przycisnąć tych ogrodników? – podsunął Kim Kolsø. –
Byliśmy tam przedwczoraj, ale możliwe, że któraś z dziewcząt coś ukrywa.
– Warto spróbować – przyznał Munch. – Zajmiesz się tym?
Kim kiwnął głową.
– Jest jeszcze ulotka, którą znaleźliśmy – przypomniała delikatnie Ylva.
– Jaka?
– Obrońców zwierząt. „Zamknąć Løken Gård”.
– I co, znalazłaś coś?
– Nie, jeszcze nie. Ale to trochę dziwne...
Munch czuł zniecierpliwienie rosnące w rytm nawracającego bólu głowy.
– Sprawdź jeszcze raz – nakazał krótko. – Związek z tymi tam... Jak oni się
nazywają?
– Front Wyzwolenia Zwierząt.
– No właśnie. Próbuj, może coś znajdziesz w jakimś zakamarku. Trzy dni,
kochani. Naprawdę nie jest dobrze.
Znów sięgnął po wodę, gdy nagle zawibrowała komórka leżąca przed nim
na stole.
Marianne?
Przeprosił i szybko wyszedł na balkonik do palenia.
– Halo.
– Holger?
Od razu poznał po jej głosie. Po tylu latach.
Że coś jest nie tak.
– Holger, słyszysz mnie?
Głos Marianne drżał.
– Tak, tak, słyszę, Marianne. Coś się stało? – Sięgnął do kieszeni po
papierosa.
– Miałeś jakieś wiadomości do Miriam?
– Nie, od kilku dni z nią nie rozmawiałem. A co?
Na chwilę zapadła cisza.
– Nic, ja tylko...
– Stało się coś? – Munch zaciągnął się dymem.
– Wczoraj wieczorem miała odebrać Marion. A teraz nie mogę się z nią
skontaktować.

– To znaczy?
– Zajmowałam się Marion...
– Miriam zniknęła?
– Nie bardzo wiem... Nie chcę robić niepotrzebnego rabanu, ale nie wiedziałam, do kogo innego miałabym zadzwonić.
– Oczywiście, że do mnie.
– Na pewno?
– O Boże, jasne, że tak, Marianne. Chociaż na pewno nic się nie stało – próbował ją uspokoić. – Przecież wiesz, jaka potrafi być Miriam...
– Ona już nie ma piętnastu lat, Holger – przerwała mu Marianne. – Naprawdę się martwię. Miała być u mnie wczoraj wieczorem i nie ma z nią kontaktu.
– To na pewno tylko... – podjął Munch, ale była żona znów weszła mu w słowo:
– Ona mnie okłamała, Holger.
– W czym?
– Powiedziała, że będzie z Julie. Ale do Julie już dzwoniłam, zajęło mi trochę czasu, zanim to z niej wyciągnęłam, w końcu jednak przyznała, że to nieprawda.
– Co jest nieprawdą?
– Miriam poszła na akcję.
– To znaczy?
– Taką jak dawniej. Nielegalną. To, że ma wesprzeć Julie, było tylko wymówką.
Munch poczuł, że traci wątek.
– Na jaką akcję, Marianne?
– W końcu udało mi się to z niej wyciągnąć.
– Z kogo?
– Z Julie.
Munch ciągle nie potrafił wszystkiego poukładać.
– I co?
– Ona się znów zaangażowała.
– Kto?
– Miriam. Czy ty w ogóle mnie słuchasz, Holger?
Marianne przestała już nad sobą panować, ale Munch na szczęście zaczął dochodzić do siebie. Ból minął.

– Uspokój się, Marianne. – Mocno zaciągnął się dymem. – Na pewno nie ma się czym denerwować. Przeżywaliliśmy to już wcześniej. Cała ona. Buntownicza. Wiesz przecież, jaka jest Miriam. Zawsze chce...

– Do diabła, Holger, ona nie ma już piętnastu lat! Boję się! Miriam zniknęła. Słyszysz, co mówię?

– Spokojnie, Marianne. Oczywiście, że słyszę, co mówisz. Pojechała na akcję? Na jaką akcję?

– Obrońców zwierząt – wyjaśniła Marianne. – Gdzieś w Hurum. Ale miała wrócić wczoraj wieczorem.

– Spokojnie, opowiedz wszystko jeszcze raz od początku. Dokąd się wybrała?

– Julie powiedziała, że coś tam poszło nie tak, dlatego akcję przerwano. Trzy dni w ukryciu, tak uzgodnili, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

– To znaczy, że ona się ukrywa? – spytał zdezorientowany Munch.

– Nie, Holger. Miriam pojechała z tym chłopakiem, którego zdjęcie jest w Internecie.

– Z kim?

– Z tym, którego poszukujecie. W tej waszej sprawie.

Mimo że Marianne była tak daleko, i tak słyszał, że zaraz zabraknie jej sił.

– Z kim? – powtórzył Munch.

– Boję się, Holger – powiedziała Marianne słabym głosem.

– Miriam pojechała na akcję?

– Z tym chłopakiem, którego poszukujecie.

– Co ty mówisz? Z Jacobem Marstranderem?

– Tak – szepnęła Marianne.

Co, u diabła?

– Kiedy rozmawiałaś z Julie?

To nie może być prawda.

– Dwie minuty temu. Właśnie odłożyłam słuchawkę.

Jak to możliwe...? Co oni mieli...?

– I Julie potwierdziła, że pojechali razem samochodem?

Zniknęła. Trzy dni temu.

– To Julie mi o nim powiedziała. Mówiła, że się boi. Że coś musiało się stać. Oni też nie mogą się skontaktować ani z Miriam, ani z nim.

To niemożliwe.

– Czy Julie jest teraz w domu?

Mówić spokojnym głosem. Nie denerwować Marianne.

– Tak, na Møllergata. Pamiętasz, gdzie ona mieszka?

Miriam.

– Tak, tak, oczywiście, że pamiętam.

Front Wyzwolenia Zwierząt.

– Porozmawiasz z nią?

Do ciężkiej cholery!

– Oczywiście, Marianne. Rozłączę się i zaraz do niej zatelefonuję, dobrze? Zdzwonimy się za chwilę.

To niemożliwe.

Munch biegiem ruszył do sali briefingowej. Powitały go zdumione twarze.

– Curry, Kim, idziecie ze mną! – nakazał zdyszany.

Zdziwili się jeszcze bardziej.

– Dobrze.

– A do wszystkich innych: szukajcie wszelkich informacji na temat jakiejś akcji organizowanej przez obrońców praw zwierząt, która miała się odbyć w Hurum kilka dni temu. Front Wyzwolenia Zwierząt. Potrzebne mi wszystko, co tylko uda wam się znaleźć. Zaczynajcie od Julie Vik! Ona jest z nimi powiązana. Potrzebuję tego. Natychmiast.

– Czego mamy...? – zaczął Ludvig Grønlie, ale Munch już wybiegł.

Miriam Munch obudziła się z zimna. Zwinęła się w kłębek najciaśniej, jak mogła, i naciągnęła nieduży kocyk na drżące ciało. Po wielogodzinnym czółganiu się na rękach i kolanach wreszcie zasnęła wycieńczona, ale głód i zimno bijące od ścian znów wyrwały ją ze snu, przywołując z powrotem w ten koszmar. Ciągłe była w szoku, ciągle jeszcze nie rozumiała, co się dzieje, w jaki sposób się tu znalazła. Przecież siedziała w ciepłym samochodzie. Jechała E18. Myślała o rodzicach. O dzieciństwie. Kontrast z pomieszczeniem, w którym się teraz znajdowała, nie mógł być większy.

To jakiś żart. Taka była jej pierwsza myśl, kiedy największy szok minął. Żart. *Gdzie ona jest?* Lodowata podłoga. Ciemna piwnica. *Kto się tak z nią droczy?* Napis na ścianie. Dziwne wielkie koło. *Co poszło nie tak? Gdzie są pozostali?*

Nie zrozumiała, o co chodzi, nawet wtedy gdy zaskrzypiały drzwi i pojawiło się w nich pokryte piórami stworzenie. *To sen*, pomyślała, ciągle jeszcze śpię. Początkowo poczuła niemal ciekawość. Strach nadciągnął dopiero później. Najpierw rozglądała się wręcz zafascynowana. Ktoś zbudował dziwne pomieszczenie. Pod ziemią. W tym śnie zrobiła się bardzo mała. Jak Alicja w Krainie Czarów. Zmieniła się w zwierzątko. W tym wielkim kołowrotku mogła biegać. Na ścianie wisiała butla ze smoczkiem, z której mogła pić.

Nie, nie, nie.

Niedługo się obudzi.

To, co widzi, nie jest prawdą.

Może gdyby zaczęła myśleć o czymś przyjemnym?

O Boże.

Marion? Może gdyby zaczęła myśleć o Marion?

Ratunku.

Może wtedy by się obudziła?

Błagam.

Niech ktoś mi pomoże!

Miriam Munch zacisnęła oczy, starając się nie myśleć o głodzie.

O mdłościach. Zwymiotowała. W kącie. Po wyjściu z wielkiego koła. Piekły ją dłonie i kolana, ale postanowiła, że nie będzie więcej płakać. Próbowała przeżuć brązowe kulki, które wysypały się z otworu w ścianie. To miało być jej jedzenie. Przełknęła kilka, ale żołądek zaprotestował. Kawałeczki zwierzęcej karmy na zimnym cemencie. Nie chciała już więcej. Nie mogła tego jeść. Postanowiła, że nie będzie się ruszać, tylko tak leżeć skulona.

Gdyby nie było aż tak zimno.

Miriam z wysiłkiem usiadła i zaczęła chuchać na przemarznięte palce. Musiała wstać. Podniosła się powoli, poruszyła rękami i zeszywniałymi nogami, żeby pobudzić krążenie.

Była taka strasznie głodna.

Z ust buchnęła jej para, gdy ciepłym oddechem usiłowała ogrzać niemal zbieleiałe dłonie.

O Boże.

Już wkrótce powinna się obudzić.

Ratunku.

Mama, Marion, tata.

Niech ktoś mi pomoże.

Błagam.

Drgnęła, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich pokryta piórami postać.

– Jacob – powiedziała błagalnym tonem i w strachu cofnęła się w kąt.

– Źle się spisujesz – oświadczył chłopak z piórami, celując w nią pistoletem.

– Jacob, ja... – znów zaczęła Miriam, ale głos ją zawiódł. Z ust wydobyło się jedynie mamrotanie, które rozpląnęło się po zimnym pomieszczeniu.

– Cicho bądź! – krzyknął pokryty piórami chłopak. – Dlaczego nic ci nie wychodzi? Przecież ci tłumaczyłem, jak wszystko działa, i to nie raz. A ty i tak sobie nie radzisz. Przez jakiś czas dobrze się spisywałaś, i co, przestałaś rozumieć? Mam ci tłumaczyć wszystko od nowa?

Zrobił krok w jej stronę i uniósł pistolet na wysokość jej twarzy.

– Nie, bardzo proszę – wyjąkała, wyciągając ręce w górę.

– Taka jesteś głupia?

Oczy miał zupełnie czarne. Pokręcił głową, mocniej ściskając pistolet w pokrytej piórami dłoni.

– Dlaczego przez pewien czas ci wychodziło, a teraz już nie? Dlatego, że jesteś głupia?

– Nie – mruknęła ostrożnie.

– Musisz być głupia, bo to nie jest takie trudne. Uważasz, że jest?

– Nie, nie – wykrztusiła Miriam.

– A może myślisz, że ktoś przyjdzie i cię uratuje? Może któryś z twoich kochanków?

Wyszczrzył w uśmiechu zęby. Zajaśniały w pokrytej piórami twarzy.

– Albo twój tatuś? Tatuś policjant? Myślisz, że tatuś ocali swoją córeczkę? Miriam cała się już trzęsła.

– Tutaj nikt nie przyjdzie – ciągnął chłopak. – Może i oni są mądrzy, ale ja jestem mądrzejszy. Nigdy cię nie znajdą!

Znów się szeroko uśmiechnął ponad lufą pistoletu.

– Mógłbym cię zastrzelić na miejscu, ale to nie byłoby zbyt przyjemne dla publiczności, prawda?

Miriam nie rozumiała, o czym on mówi.

– To jest mój show. Wszystko sam wymyśliłem. Niezły, prawda? Trzeba być pomysłowym, przygotować przedstawienie, które będzie coś warte, coś zupełnie wyjątkowego, za co ludzie zechcą płacić, nie sądzisz?

Miriam ciągle nie mogła nic pojąć.

– Masz szczęście. – Chłopak w przebraniu z piór się uśmiechnął. Jeszcze kilka dni temu był po prostu Jacobem w okrągłych okularkach, ale teraz stał się kimś zupełnie innym, kogo Miriam nie poznawała. Wcześniej nie widziała tego straszego uśmiechu i zimnych, bezdusznych oczu. – Wielkie szczęście – ciągnął. – Jesteś teraz gwiazdą. Ludzie zapłacili miliony za możliwość oglądania twojego występu. A nie zostałeś nawet wybrana. – Lekko podrapał się w głowę pistoletem i nagle zaśmiał do siebie. – I co ty na to? Nie byłaś nawet wybrana, ta druga zdobyła trzy głosy. Oni wolą młodsze, rozumiesz? Ale to moje przedstawienie, prawda? Ja to wszystko wymyśliłem. Kołowrotek. Napis na ścianie. Dlaczego więc nie ja miałbym decydować? Wybrałem cię, bo mi się podobasz. Jesteś wyjątkowa. Twój ojciec jest policjantem. Czy to nie miłe z mojej strony, że wybrałem ciebie zamiast tej drugiej, chociaż to na nią głosowali?

Miriam lekko skinęła głową, mimo że wciąż nie miała zielonego pojęcia, o czym on mówi.

– Jacob... – zaczęła ostrożnie. Miała wrażenie, że w ustach ma papier ścierny.

– Nie, nie, nie – zaprotestował, patrząc na nią zimno, i znów wycelował

w nią pistolet. – Nie mówimy. Tylko słuchamy.

Miriam zamknęła usta i wbiła wzrok w podłogę.

– Przychodzę już ostatni raz – zapowiedział chłopak. – Masz teraz robić to, co ci kazałem. Bo jeśli nie, będę musiał sprowadzić tamtą drugą. Ludzie muszą dostać to, za co zapłacili, prawda?

– Tak – szepnęła Miriam, nie podnosząc oczu.

– Mam cię teraz zastrzelić czy będziesz robiła, co ci kazałem?

– Będę – powiedziała cicho Miriam.

Chłopak w piórach przez chwilę się namyślał, po czym opuścił pistolet i znów pokazał białe zęby.

– To dobrze.

Zaśmiał się do siebie, a potem zamknął ciężkie drzwi, zostawiając ją samą w zimnym, ciemnym pomieszczeniu.

Mia nie bardzo wiedziała dlaczego, ale czuła, że w tym białym domu na pustkowiu jest coś dziwnego. Już od czasu poprzedniej wizyty coś ją tu ciągnęło. Dom Jima Fuglesanga. Odludzie. Zmarznięte drzewa. Cisza. Ale nie taka, jaka ją uspokajała, jak na Hitrze, nad morzem, wśród krzyku mew. Inna cisza. Taka, w jakiej wyostrzały się zmysły. Jaka kazała jej się ostrożnie rozglądać, gdy wolnym krokiem szła od samochodu ku białemu domkowi. Tym razem wzięła ze sobą broń i dzięki temu była spokojniejsza. Poprzednim razem czuła się wręcz naga i trochę się bała, co zupełnie do niej nie pasowało. Po powrocie do domu nie mogła zrozumieć, skąd brał się ten strach, i to wzbudziło w niej jeszcze większą ciekawość; musiała tu wrócić, ale do tej pory nie znalazła czasu. Właściwie teraz też nie powinna tu przyjeżdżać, zważywszy na ostatnie wydarzenia, ale uznała, że kilka godzin jej nieobecności nie zaszkodzi śledztwu, a chciała skorzystać z dziennego światła.

Ruszyła w stronę białego domku, lecz zmieniła zdanie i wybrała wąską ścieżkę prowadzącą w głąb lasu. W domu przecież już była.

Czternaście minut przy dobrej pogodzie.

Jim Fuglesang zrobił zdjęcia. Kilka lat temu. Fotografie wkleił do albumu. Zdjęcie kota. I psa. Zwierzęta umieszczono w pentagramie ze świec na posłaniu z piór.

A poza tym ona, Mia, różniła się od innych ludzi i po prostu nie potrafiła wyjaśnić tej dziwnej siły, która ciągnęła ją z powrotem w to miejsce na bezludziu. Tym razem jednak jej przecucia miały niewielkie znaczenie. Przecież Jim Fuglesang zrobił zdjęcia miejscom bezpośrednio związanym z zabójstwem Camilli Green. I te miejsca musiały się znajdować gdzieś w pobliżu.

Szesnaście minut z powrotem.

Poprzednim razem, gdy tu była, zdążyła się zorientować, że do domu prowadzi zaledwie jedna droga, a dalej jest ścieżka do lasu. Oczywiście Jim mógł zrobić te zdjęcia w każdym innym miejscu, uznała jednak, że warto spróbować. Czternaście minut przy dobrej pogodzie, szesnaście z powrotem. Uważała, że ten opis musi dotyczyć miejsca, które mężczyzna w białym

rowerowym kasku dobrze znał. *Przy dobrej pogodzie.* Znał tę trasę. Bywał w tamtym miejscu, również kiedy pogoda nie dopisywała. Z powrotem. Z powrotem, czyli chyba do domu, prawda? Czternaście minut w jedną stronę. Powrót o dwie minuty dłużej. Z górki tam. Pod górkę z powrotem. Uznała, że na pewno miał na myśli tę właśnie trasę.

Ścieżkę nad jeziorko.

Cholera, dlaczego tak się denerwuję?

Przecież nigdy niczego się nie bała.

Cztery białe kamienie.

Drgnęła przestraszona, gdy las przed nią nagle się otworzył i ujrzała skraj ciemnego leśnego jeziora. Cztery białe kamienie ułożone równo przy czymś, co kiedyś mogło być pomostem. A serce zabiło jej jeszcze mocniej, gdy dostrzegła łódź, kiedyś zapewne nową, lecz już przegniłą i do połowy zatopioną w wodzie.

Czerwona łódź wiosłowa. Białe litery na samej górze spróchniałej burty.

Maria Theresa.

Mia Krüger podniosła wzrok i kilkaset metrów dalej po drugiej stronie jeziorka zauważyła niewielki budynek. Nieduży dom. Zszarzały, jakby wiatr i deszcz zmyły ze ścian cały kolor. Okna zabite. Niezamieszkanie. Opuszczony. Ale...

Z kieszeni skórzanej kurtki wyjęła telefon.

Z komina unosił się dym.

Czternaście minut przy dobrej pogodzie.

Szesnaście minut z powrotem.

Cztery białe kamienie.

Czerwona łódź.

Maria Theresa.

Cholera!

Drżącymi palcami wybrała numer Muncha, ale komórka nie chciała jej słuchać.

Nie ma zasięgu.

Niech to szlag!

Spróbowała jeszcze raz, wyciągnęła rękę z telefonem w górę, cofnęła się kilka kroków od jeziorka w stronę zrujnowanego pomostu, ale ciągle nic. Zaklęła cicho pod nosem. Schowała telefon do kieszeni i stanęła, oceniając teren, aż w końcu wybrała biegnącą wzdłuż brzegu ścieżkę w lewo.

Szare deski opuszczonego domu.

Dym z komina.

Drzewa, które nie chciały jej dalej przepuścić.

Koniec ścieżki.

Trudno dostępny teren.

Gałęzie na twarzy.

Ciągle brak zasięgu.

Kurwa mać.

Serce mocno waliło jej pod kurtką, kiedy Mia dotarła wreszcie do opuszczonego szarego domu po drugiej stronie jeziora.

Okna zabite deskami.

Zamknięte.

Stare zielone volvo.

Przemknęła przez malutkie podwórze i ostrożnie zajrzała przez okno do wnętrza auta. Termos. Kilka butelek z napojami. Czarna torebka.

Nachyliła się, delikatnie otworzyła drzwi i wsunęła się na siedzenie pasażera. Czarna damska torebka na podłodze. Chusteczki higieniczne, szminka, portfel. Prawo jazdy ze zdjęciem ślicznej młodej dziewczyny, która z powagą patrzy w obiektyw.

Mia zszokowana wpatrywała się w tę fotografię.

Miriam?

Co to, u diabła, ma znaczyć?

Miriam Munch klęczała na zimnej posadzce w piwnicy i usiłowała przeżuć kawałeczki, które wysypały się z otworu w ścianie. Karma dla zwierząt. Kiedy chłopak pierwszy raz zmusił ją do ich zjedzenia, zwymiotowała i postanowiła, że już nigdy nie weźmie tego paskudztwa do ust. Ale dłużej nie mogła wytrzymać. Była strasznie głodna. Organizm domagał się pożywienia. Prawie zemdląła w wielkim kołowrocie. Musiała się poruszać na czworakach, żeby zaczął się kręcić. Na rękach porobiły jej się pęcherze, a kolana krwawiły. Ale musiała zapełnić czymś żołądek, inaczej by zniknęła. Czowała, że jeśli czegoś nie zje, umrze w tej zimnej piwnicy.

Podniosła kilka kulek z podłogi i położyła je na języku. Starła się nie myśleć o tym, co wkłada do ust, tylko spokojnie próbowała je rozgryźć. Potem wsunęła usta pod szyjkę wielkiej butelki z wodą i popijając, przełknęła. Tym razem żołądek nie zaprotestował. Na szczęście.

Wsunęła do ust kolejną porcję, powtórzyła cały proces. Gryzła najstaranniej, jak mogła, próbując zająć myśli czymś innym. Znowu popiła wodę z poidła i połknęła.

Ratunku.

Ciaśniej owinęła się kocem i zamknęła oczy. Zapadła się w siebie. To na pewno tylko sen, w rzeczywistości znajdowała się zupełnie gdzie indziej. W domu. Przy stole nakrytym do śniadania. Marion właśnie się przebudziła, pachniało świeżo zaparzoną kawą. Rozespana córeczka nie chciała zdjąć piżamy. Nie chciała wstawać. Nie chciała iść do szkoły, tylko siedzieć u niej na kolanach. Dookoła nie było żadnych robaków, żadnych żuków pełzających po cementowej podłodze ani lodowatego chłodu ciągnącego od ścian. Działo ogrzewanie podłogowe. Marion zażyczyła sobie, żeby związać jej włosy w koński ogon. Johannes uśmiechał się do nich obu, nigdzie nie wyjeżdżał. Do żadnej Australii. Byli tylko we troje i cały dzień mieli spędzić razem w domu. Mieli wolne. Zamierzali obejrzeć film i jeść popcorn.

Dlaczego nikt nie przychodzi?

Ratunku.

Błagam.

Miriam nie zauważyła otwierających się drzwi, a pokrytego piórami chłopaka usłyszała dopiero, gdy przed nią stanął.

– Zmiana planów – oznajmił.

– Co? – Miriam nie chciała dać się wyrwać z ciepła domowej kuchni, którą miała pod powiekami.

– Wstawaj! – Chłopak obudził ją kopniakiem.

Usiadła i mocniej owinęła się kocem.

– Nastąpiła zmiana planów – powtórzył. – Wiedziałem, że powinienem być wziąć tę drugą. Ty się do niczego nie nadajesz. Wszystko popsułaś.

Miriam powoli otworzyła oczy. Zobaczyła rękę z wycelowanym w nią pistoletem i drugą ściskającą coś innego. Blond perukę.

– Ale jeszcze możemy zdążyć – powiedział. – Zmierz to.

Miriam nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Włóż ją. Chcę zobaczyć, czy pasuje.

– Jacob, tak cię proszę... – próbowała Miriam, ale nie wiedziała, czy słowa w ogóle wydobyły się z jej ust.

– No, wkładaj! – rzucił chłopak ze złością, podając jej perukę. – Nie doceniłem ich. Moje zdjęcie? Ciekawe, jak mnie znaleźli?

– O czym ty mówisz? – spytała Miriam, wciąż jednak nie słyszała własnych słów.

– Wkładaj!

Powoli wciągnęła perukę na głowę. Chłopak przyjrzał jej się z ukosa.

– Jesteś podobna – ocenił. – To dobrze. A więc wysiłki nie poszły na marne.

Miriam próbowała odpowiedzieć, ale bez efektu.

– Nie martw się o mnie – powiedział chłopak. – Dam sobie radę. Trochę to wszystko za wcześnie, bo zapłacili za trzy miesiące, ale trudno. Było tylko udało nam się zrobić to, co musimy. Zgodzisz się ze mną?

– A co... co zamierzasz? – spytała Miriam, tym razem na głos, bo chłopak w piórach zareagował, patrząc na nią z zainteresowaniem.

– Zabić cię. A czego się spodziewałaś?

Miriam nie zdołała odpowiedzieć.

– Chciałem trochę się z tym wstrzymać, ale ponieważ zamieścili moje zdjęcie w Internecie, lepiej mieć to już za sobą, zanim ktoś się tu zjawi, prawda? – Uśmiechnął się przelotnie. – Chodź już. – Lekko pogłaskał ją po głowie okrytej peruką. – Wszystko przygotowałem.

Mia Krüger wolno wysunęła się z samochodu i wyjęła pistolet z kabury pod pachą. Tym razem była uzbrojona. Na szczęście. Przyszła tu wiedziona przecuciem. Dom Jima Fuglesanga. Zdjęcia. To jego mamrotanie podczas przesłuchania. Cztery białe kamienie. Czerwona łódź. Opuszczony dom na drugim brzegu ciemnego leśnego jeziora. Kryjówka Jacoba Marstrandera. Inaczej być nie mogło. Ale...

Miriam?

Nie potrafiła tego ze sobą powiązać.

Miriam Munch?

Z Jacobem Marstranderem?

Co, u diabła, ona tu robi?

Mia zgięła się wpół, żeby być jak najmniejsza, i odsunęła się od samochodu, nie odrywając oczu od drzwi starego domu.

Dym z komina. Ale żadnych oznak życia w środku. Starając się pozostać niewidoczna, zaczęła się rozglądać za miejscem, w którym mogłaby przywrócić do życia swoją komórkę. Może jakaś polana? Nie wypuszczając z ręki glocka, wyjęła telefon z kieszeni, ale ciągle nic.

Brak zasięgu.

Zakłęta w duchu, z irytacją myśląc o wszystkich reklamach, którymi operatorzy telefonii komórkowej stale wypełniali eter, przekonując o fantastycznym zasięgu ich sieci. Lekko ubrane dziewczęta na górskich szczytach, roześmiani chłopcy na nartach wodnych daleko od brzegu. Gdzie ten zasięg, kiedy tak go potrzebuje? Uniosła telefon, ale nie złapał połączenia.

Cholera.

W pewnej odległości dostrzegła niewielkie wzgórze i ruszyła w tamtą stronę, cały czas obserwując dom.

Jeszcze kilka metrów i nagle jej iPhone ożył. Zasięg. Nie, złudzenie. Ale jednak się pojawił. Znow zniknął. Do diabła ciężkiego...

Wybrała numer Muncha.

Nie.

Lepiej do Ludviga.

Niech to szlag.

I nagle się połączyła.

– Słucham, Grønlie.

– Tu Mia – syknęła. – Słyszysz mnie?

– Halo? – odezwał się Ludvig Grønlie gdzieś z daleka.

– Słyszysz mnie? – powiedziała Mia na tyle głośno, na ile miała odwagę.

– Mia, to ty? Jesteś tam? Holger jest...

– Pieprzyć Holgera! – krzyknęła, kiedy głos Ludviga znów zanikł. – Znalazłam Marstrandera. I z jakiegoś powodu jest tu Miriam. Musisz...

– Halo – powtórzył Grønlie.

– Słyszysz, co mówię, Ludvig?

– Jesteś tam, Mio?

– Jestem, do jasnej cholery! Ustal moją pozycję GPS. Odszukaj mój telefon! Znalazłam Marstrandera! Jestem pewna! I z jakiegoś powodu...

– Mio, nie słyszę cię – powtarzał z daleka Grønlie.

– Ustal moje położenie, Ludvig! Zrozumiałeś? Znajdź mnie, mam...

– Halo?

– Ludvig?

– Jesteś tam, Mio?

– Do jasnej cholery! – zakłęła Mia głośno i dlatego nie usłyszała kroków na zmrożonej trawie. – Dotarło do ciebie, Ludvig?

– Halo, Mio!

– Namierz mnie, Ludvig! Przez GPS! – powtórzyła Mia zrozpaczona i zdążyła się odwrócić akurat w momencie, gdy upierzona ręka już sunęła ku jej twarzy.

Instynktownie uniosła ramię. Żeby się osłonić. Przed tym, co ku niej nadciągało. Przed cieniem.

Metal na zmarzniętych palcach rozpaczliwie próbujących chronić głowę.

– Mia?

Pytanie dobiegło z telefonu leżącego daleko. Już nie przy niej. I znów odgłos przedmiotu sunącego ku niej w powietrzu. Tym razem ze znacznie większą siłą. Ledwie zauważyła ten uśmiech, kiedy jej ręka się poddała, a metal uderzył w skórę i kość.

Zimno.

Usłyszała ten dźwięk.

Ktoś na podwórzu.

Odgłos łamanych palców.

Miriam.

Potem pojawił się ból.

Ze spętanymi rękami.

Krew ze skroni zalewająca oczy i usta.

Zawiązane oczy. Blond peruka.

Telefon w trawie dalej mówił. Wykrzykiwał jej imię. Gdzieś daleko.

– Mio, jesteś tam?

Nie bój się, Miriam.

Ciężki metal znów szybujący w powietrzu.

Przypilnuję cię.

Po raz trzeci.

Będzie dobrze, Miriam.

Ale potem...

Czwarty raz.

Nie zdołała dłużej zachować przytomności.

Po bladych policzkach dziewczyny płynął strumień łez. Holger Munch nie widział jej od wielu lat i nie wiedział, co zrobić, żeby przestała płakać.

Zamknij się.

Musiał ugryźć się w język, żeby nie krzyknąć.

Zamknij się, do cholery, i wyjaśnij mi, o co chodzi.

– Julie – zaczął spokojnie, uśmiechając się do dziewczyny. – Wszystko będzie dobrze. Uspokój się. Na pewno niedługo ich znajdziemy.

– Nie... nie wiedziałam... – zaszlochała Julie.

– Oczywiście, to nie twoja wina. Ale ważne, żebyś nam powiedziała wszystko, co wiesz. Więc zastanów się, spróbuj nam pomóc.

Curry i Kim Kolsø stali z tyłu jak dwa znaki zapytania, ale mądrze nic nie mówili.

– Wszystko źle poszło! – załkała Julie, wreszcie formułując coś, co przypominało pełne zdanie.

– Co poszło źle? – Munch delikatnie poklepał ją po ręce.

– Cała akcja – szepnęła Julie, patrząc wprost na niego pierwszy raz, odkąd wszedł do mieszkania przy Møllergata.

– Miriam brała w niej udział?

– Słucham?

– W akcji w obronie zwierząt. Uczestniczyła w tym?

– Tak. – Dziewczyna ukradkiem zerknęła na dwóch śledczych, którzy stali oparci o ścianę za plecami Muncha.

– Dlaczego? – spytał Munch, ale natychmiast zrozumiał, że to niewłaściwe pytanie.

– Jak to? – spytała Julie.

– Jacob Marstrander. – Munch jeszcze raz delikatnie poklepał ją po ręce. – Chciałbym wiedzieć, skąd się znacie? Jak Miriam poznała tego Jacoba?

– Nie rozumiem. – Julie otarła łzy.

– Tak tylko pytam – tłumaczył Munch najspokojniej, jak potrafił. – Po prostu nie słyszałem, że ma takiego znajomego...

– Poznała go przez Ziggy'ego – wyjaśniła Julie.

– Ziggy’ego? – powtórzył Munch.

– Przez Ziggy’ego Simonsena. Zna go pan?

– Nie.

– To on powiedział, że... No tak... On się przecież przyjaźni z Jacobem.

Wie pan, kim jest Ziggy? Czy ona coś panu mówiła?

Julie Vik całkiem już się pogubiła.

– Tak, tak – powiedział Munch.

– Pan nie wie, kto to jest, prawda?

– Wiem, wiem...

– Mówiła, że panu powie. – Julie otarła twarz rękawem swetra. – Nie powiedziała?

Munch przez ramię posłał szybkie spojrzenie Curry’emu i Kimowi Kolsø, którzy pokiwali głowami.

Nowe nazwisko.

Ziggy Simonsen.

Curry już sięgnął po telefon i wyszedł z pokoju.

– O czym miała mi powiedzieć? – spytał ostrożnie Munch, gładząc dziewczynę po ramieniu.

Łzy przestały jej już płynąć i patrzyła na niego niemal lekko zaintrygowana.

– O niej i o Ziggy. Nie wspominała panu?

– Nie – odparł Munch i poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni.

– Wobec tego ja też nie powinnam nic mówić. – Dziewczyna spuściła wzrok.

– Julie – poprosił Munch.

Telefon znów się odezwał.

– No nie wiem. – W oczach Julie ponownie wezbrały łzy.

– Muszę wiedzieć to co ty – oświadczył Munch nieco bardziej surowo, niż zamierzał. – Jacob i Miriam się znają, a oboje zaginęli. Rozumiesz, że to dla nas ważne?

Kolejny odgłos telefonu. Tym razem nie w jego kieszeni, gdzieś dalej.

– Tak, ale... – Julie nie dokończyła.

– Holger – odezwał się Kim, ale Munch zbył go machnięciem ręki.

– Miriam i Jacob. Wiesz, gdzie oni są?

– Holger – powtórzył Kim, lecz Munch znów go zignorował.

– Ja tylko...

– Munch! – Tym razem Kim położył mu rękę na ramieniu.

- Co? – syknął zirytowany szef, kiedy Kim Kolsø podał mu swoją komórkę.
- Holger?
- Nieoczekiwany głos Ludviga Grønliego w uchu.
- Słucham – warknął Munch.
- Mia – powiedział Ludvig.
- Co z nią?
- Znalazła ich.
- Co???
- Miriam. I Marstrandera.
- Co ty...
- Wiemy, gdzie są.
- Kto?
- Holger, czy ty mnie słuchasz? Znaleźliśmy ich!
- Munch wstał.
- Gdzie?
- Dzięki jej telefonowi. Zadzwoiła do mnie i kazała mi się namierzyć GPS-em. Widziała ich. Ona ich znalazła. Słyszysz, Holger? Mamy ich! Znamy dokładną pozycję. W Hurum. Oni tam są, Holger. Znaleźliśmy ich!
- Załatw mi helikopter! – rzucił Munch, już kierując się do drzwi.
- Co? – zdumiał się Grønlie.
- Już idziemy. Załatw mi pieprzony helikopter! Natychmiast! Będziemy za trzy minuty!
- Na Grønland? – spytał Kim.
- Szybciej niż wszyscy diabli! – krzyknął Munch i biegiem puścił się po schodach.

Ból dłoni był prawie nie do wytrzymania. Nie wiedziała, na jak długo straciła przytomność.

Mia Krüger otworzyła oczy i z trudem zaczęła się podnosić, instynktownie chroniąc rękę przy piersi. Usiłowała zrozumieć, gdzie jest. Zimno. Pokryta szronem ziemia. Ciało protestowało, ale i tak zmusiła je do posłuszeństwa. Zachwiała się, więc spuściła głowę i powoli wracała do rzeczywistości.

Miriam.

Szła, kierując się tajemniczymi wskazówkami Jima Fuglesanga. Fotografie. Cztery białe kamienie. Czerwona łódź. Znalazła ten opuszczony dom. Zrozumiała, na co natrafiła, kiedy było już za późno. Jacob Marstrander. Razem z nim Miriam? Brak zasięgu w komórce. Zbyt poirytowana, by zachować dostateczną ostrożność. Zaatakował ją od tyłu. Niespodziewane uderzenia w głowę. Na szczęście podniosła rękę.

Niech to cholera.

Zrobiła krok do przodu, ale szybko zrozumiała, że nie ma pełnej kontroli nad ciałem. Głowa usiłowała coś jej przekazać, ale nogi nie chciały słuchać. Potknęła się na zmrożonym wrzosie i znów poczuła przeszywający ból. Zmiażdżył jej rękę. Nie mogła nią poruszyć. Jedno oko też nie funkcjonowało jak należy. Krew. To krew miała w ustach.

Amatorka.

Z trudem znów się podniosła i stanęła zdezorientowana, próbując dojść do siebie.

Pistolet?

Osunęła się na kolana, ale jakoś wstała. W oczach miała mroczki. Przypomniła już sobie tamte ciosy w głowę. Zdołała się uchronić przed najgorszym, ale dlatego jej lewa ręka w ogóle nie funkcjonowała.

Zrobiła kilka kroków, nie wiedząc do końca, w którą stronę się porusza. Glock? Czy zabrał jej pistolet?

Miriam.

On ją pojmał. Ten chłopak z piórami.

Dlaczego...?

Znów się potknęła, poleciała twarzą na ziemię, ale udało jej się wstać. Lewą rękę wsunęła pod kurtkę. Chyba wszystkie palce połamane. Tak się broniła przed ciosami. Dzięki temu jeszcze żyła. Na jak długo straciła przytomność?

Włożyła prawą rękę za pasek spodni i mocno zamruwała, chcąc pozbyć się krwi, która zalała jej oczy. Lewą powieką nie dawało się poruszyć. Ale prawym okiem widziała. Mniej więcej wiedziała już, gdzie jest. Glock 17. Zabrał go. W każdym razie pistoletu nie było w zasięgu wzroku. Oblało ją jednak gorąco, kiedy wyczuła kolbę za paskiem spodni.

Kolbę tego małego. Glocka 26. Raz już była na tym pustkowiu i czuła się wtedy jak naga, a że nie chciała, by to się powtórzyło, tym razem na wszelki wypadek wzięła dwa pistolety. Wyciągnęła teraz ten mniejszy i zaczęła się rozglądać. Dom. Samochód. Ścieżka prowadząca dalej w głąb lasu.

Jacob Marstrander.

Wsunęła lewą rękę głębiej pod kurtkę, jakby chciała schować ból za pazuchę, i ruszyła naprzód w kierunku, w którym jak sądziła, poszli.

Co, u diabła, robi tutaj Miriam?

Szary zrujnowany dom.

Drzwi otwarte na oścież.

Nie w środku.

Droga nad jezioro.

Z powrotem do domu Fuglesanga.

Nie.

Ścieżka.

Odbezpieczyła glocka i trzymając go przed sobą, ruszyła naprzód ku prześwitowi w lesie za domem, gdzie przypuszczalnie zniknęło tamtych dwoje. Nogi nareszcie jej słuchały.

Jak długo była nieprzytomna?

Kilkaset metrów dalej musiała nagle walczyć z mdłościami. Wszystko chciało się z niej wydostać. Oparła się o drzewo.

Właściwa droga, Mio.

Zdołała powstrzymać wymioty i ruszyła dalej. Teraz szła już nieco pewniej. Ciągle musieli gdzieś tutaj być, on oklejony piórami, Miriam ze związanymi rękami i zasłoniętymi oczami. Mia drżącą ręką uniosła glocka, zmuszając stopy do ruchu, i nagle ich dostrzegła.

Prześwit między drzewami.

Miriam na kolanach.

Przed czymś, co...?

Nie widziała tego wyraźnie, ale i tak pojęła, co to jest.

Miejsce ofiarne.

Świece ustawione w pentagram. Rozsypane na ziemi pióra.

Jasna cholera.

Mia rozejrzała się szybko i zrozumiała, że dalej nie może podejść. Zobaczyłyby ją. Szybko podjęła decyzję, zboczyła ze ścieżki i osłonięta drzewami ostrożnie przedarła się na brzeg polany.

Otwarta polana.

On coś robił.

Bez ubrania.

Coś na szyi.

Naga Miriam klęczała na polanie z rękami związanymi z przodu.

Mia ostrożnie przesunęła się między drzewami, żeby lepiej widzieć. Uniosła glocka na wysokość oczu, ale ręka jej drżała. Lufa wskazywała to na bestię w piórach, to na Miriam.

Co on wyprawia?

Trochę bardziej do przodu. Tylko cicho.

Polana nie była duża. Mia się rozejrzała. Umysł nareszcie zaczął działać na tyle, by mogła się zorientować w sytuacji. Ścieżka, którą przyszła. Drzewa w półkolu. Miriam. Dalej perspektywa jej się nie zgadzała. Musiała mrugać.

Urwisko.

Przygotował miejsce ofiarne na polanie na samym skraju urwiska.

Niech to diabli.

Zaczęła wolno czołgać się między drzewami, a jej ciało nareszcie się obudziło. Lewą dłoń miała pogruhotaną, lewe oko zalepione krwią przypuszczalnie spływającą ze skroni, ale to nie miało już znaczenia. Najważniejsze, że się poruszała. Że funkcjonowały i ciało, i głowa. Pełzła powoli, stale się zbliżając, i patrzyła, jak przebrany w pióra chłopak wstaje, podchodzi do nagiej dziewczyny i coś chwyta.

Sznur na jej szyi.

Udużona. Ułożona w kręgu świec.

Mia podczołgała się jeszcze bliżej i zdecydowała, że musi działać, bo inaczej on zabije Miriam. Znow uniosła glocka na wysokość oczu, ale ciągle nie miała pewności, w co celuje.

Nagle spod nieba dotarł jakiś dźwięk. Chłopak poderwał się instynktownie i ze zdumieniem patrzył w chmury.

Warkot.

Helikopter.

A więc jednak dostali wiadomość.

Znaleźli ją.

I co z tego?

Film z wydarzeń, które teraz nastąpiły, Mia Krüger miała odtwarzać w głowie co noc przez kolejne tygodnie.

Z głową na przepoconej poduszce. Budząc się z krzykiem.

W zwolnionym tempie.

Przystrojony w pióra chłopak ze zdumieniem patrzący w niebo w poszukiwaniu źródła tego dźwięku, który rozerwał ciszę w lesie.

Miriam wstaje.

Naga. Ze związanymi rękami.

Helikopter.

Odgłos pomocy.

Odgłos wolności.

Mia rusza biegiem.

Z glockiem uniesionym przed sobą wyskakuje na polanę.

Nie, nie!

– Miriam!

Przystrojony w pióra chłopak, zdumiony tym wszystkim. Wciąż nie pojmuje, co się dzieje. Helikopter. Mia nagle ku niemu podbiega i widzi swój pistolet w jego rękach. Tego glocka, którego wcześniej jej zabrał.

– Miriam!

Filmu ciąg dalszy:

Gołe nogi spieszące ku odgłosowi niosącemu wolność. Ku brzegowi urwiska.

Nie, Miriam, nie!

Helikopter już widoczny wyraźnie. Chłopak z piórami celuje pistoletem w Mię, ale ona nie zwraca uwagi na kule walące o ziemię przy jej stopach. Nie sądziła, że ma w sobie tyle siły.

– Miriam!

Mia, biegnąc przez polanę, podnosi pistolet na wysokość oczu. Odgłos śmigła, mechanicznego zwierzęcia unoszącego się nad brzegiem przepaści.

Zniknęła jej z oczu.

Poza krawędzią.

Człowiek w piórach, jego oczy wyrażające najwyższe zdumienie, kiedy Mia wreszcie zdołała wycelować i opróżnić magazynek.

– Miriam!

Pistolet wypadł ze zbielejących palców, kiedy chłopak osunął się na zmrożoną ziemię.

Nie widziała oczu Muncha siedzącego w metalowej bestii ze śmigłem, ale domyślała się ich wyrazu, kiedy patrzył, jak naga dziewczyna leci w powietrzu.

Widziała za to, jak trzy ostatnie kule trafiają w cel.

Spojrzenie, którego nie potrafiła nazwać.

Drgające pióra.

W końcu znieruchomiały.

Półprzytomna ruszyła do brzegu urwiska, wychyliła się i zobaczyła leżące na dnie przepaści dziwnie wygięte białe ciało.

Miriam.

Mia osunęła się na kolana, nie mogąc już dłużej walczyć ze sobą. Pistolet wypadł jej z ręki.

Nie.

Błagam.

Dźwięk helikoptera ucichł.

Kochana Miriam.

Odpłynęła.

CZEŚĆ IX

Śnieg zaczął padać, jakby zapowiedziało go bicie kościelnych dzwonów. Był 22 grudnia, a gazety już od wielu dni spekulowały, że w tym roku nie będzie białego Bożego Narodzenia. Zaczęło jednak sypać, wielkie białe płatki leciały z nieba niemal w rytm ciężkich uderzeń dzwonów starego kościoła na Aker. Pogrzeb. I już niedługo święta. Mia Krüger nie potrafiła sobie wyobrazić gorszej sytuacji, kiedy przytrzymując kurtkę, szła szybko między nagrobkami ku wrotom kościoła.

Wszyscy się stawili. Kim. Curry. Mikkelson. Anette. Ludvig Grønlie. Ciemne garnitury, ciemne płaszcze, mroczne twarze. Pochylone głowy. Nigdzie nie widziała Muncha. Przypuszczalnie stał w środku. To przecież on był najbliższą osobą. Zapewne załatwił trumnę. Wieńce. „Dziękujemy za wszystko”. Ostatnie pożegnanie od kolegów i przyjaciół. Mia nie rozmawiała z nim od blisko dwóch miesięcy, ale domyślała się, że właśnie tak musiało być. A kiedy rdzawoczerwone drzwi kościoła się otworzyły i żałobnicy powoli zaczęli wchodzić do środka, uzyskała potwierdzenie. Dostrzegła jego plecy z przodu i głowę pochyloną tuż przy pokrytej kwiatami białej trumnie.

Ceremonia była prosta, ale piękna. Mia nigdy nie była religijna, nie pojmowała, dlaczego niektórzy tak potrzebują wiary w istnienie czegoś potężniejszego od nich samych, dlaczego muszą gromadzić się w starym budynku na niewygodnych siedzeniach i słuchać pastora opowiadającego o tym, jak Bóg troszczy się o swoje owieczki i zaprasza wszystkich do swego królestwa, ale podczas tej krótkiej uroczystości mimo wszystko poczuła, że ten rytuał jest właściwie bardzo piękny. Zgromadzeni w bólu. Ostatnie pożegnanie.

Organy. Kilka słów pastora. Przemowa Muncha, który wydawał się wzruszony, ale wyglądał znacznie lepiej, niż się spodziewała.

Mogło być o wiele gorzej.

Przyłapała się na tej myśli, gdy mijало ją sześciu mężczyzn z trumną na ramionach. Wśród nich Munch i Mikkelson.

To mogła być Miriam.

Później, kiedy trumnę złożono w ziemi, trochę się tego wstydziła.

Niewielka grupa ludzi. Głównie dawni koledzy z pracy. Zaledwie kilka nieznanomych twarzy. Taki już był Per Lindkvist. Takie życie wybrał. Najpierw śledczy, dopiero potem człowiek. Miał siedemdziesiąt pięć lat i był dla Muncha niemal jak ojciec. Świetny policjant. Poświęcił wszystko dla pracy. Na emeryturze trochę się męczył, ale w każdym razie żył długo i miał takie życie, jakiego pragnął.

Mogło być o wiele gorzej.

Uścisk dłoni tu, skinienie głowy tam, kiedy żałobnicy powoli zaczęli się rozchodzić. Później miała być stypa w Justisen, z piwem i śpiewami, tak jak życzyłyby sobie tego Lindkvist, ale Mia nie miała siły, by brać w tym udział.

Znała go, choć niezbyt dobrze.

Legendarny policjant.

Bliski przyjaciel starszych członków ich grupy. Chciała jednak już tylko wrócić do domu. Do świąt zostały dwa dni. Musi spróbować jakoś to przetrwać. Przyszła tu, by okazać szacunek zmarłemu, ale miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Choć chwilę porozmawiać z Holgerem.

Po tym, co spotkało Miriam, szef poprosił wszystkich, żeby dali mu spokój, i Mia oczywiście to uszanowała.

Przez cały pogrzeb starała się trzymać z tyłu i podeszła do niego dopiero, kiedy został sam pod przysypanym śniegiem drzewem, w pewnej odległości od grobu.

– Cześć, Holger – powiedziała ostrożnie, nie podchodząc zbyt blisko, niepewna, czy w ogóle zgodzi się zamienić z nią kilka słów.

– Cześć, Mio. – Holger, wyraźnie zmęczony, skinął jej jednak głową, tym gestem dając znać, że chętnie z nią porozmawia.

– Jak się miewasz? – spytała Mia.

Wydawało jej się, że te słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach, ale nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

– Lepiej. – Munch się uśmiechnął.

– A Miriam? – spytała Mia ostrożnie.

Munch na moment przymknął oczy.

– Przeżyje, ale na razie nie chcą za dużo mówić.

– O czym?

– Ona jeszcze nie chodzi – odpowiedział dopiero po chwili. – I nie wiedzą, czy kiedykolwiek stanie na nogi. Ale zaczęła mówić. Pojedyncze słowa.

A wczoraj mnie poznała.

– To świetnie. – Mia nie miała pewności, czy to właściwy komentarz.

– Prawda?

Na dłuższy moment zapadła cisza. Patrzyli na spadające płatki śniegu.

– Interpol się włączył – zaczęła znów Mia. – Dopadli wszystkich pięciu. Wszystkich, którzy wykupili dostęp do przekazu. Jednego Francuza. Jednego bogatego Szwajcara. Zrobiła się z tego wielka sensacja. Nie wiem, czy widziałeś. Pokazywali nawet w CNN, *prime time* w Stanach. Nieźle pozamiataliśmy.

– Tak, tak, znakomicie – powiedział Munch takim tonem, jakby w ogóle jej nie słuchał.

– I jeszcze sprawa Simonsena, tego miliardera – ciągnęła Mia niepewnie. – Jego też przesłuchiwałam. Ta stara sprawa z Sandefjord, dzieci wysłanych do Australii, Helene Eriksen i jej brata. Zgadzało się wszystko, co mówił ten proboszcz. Ich matka nie była, zdaje się, w pełni zdrowa. To ona nakłoniła męża do odesłania dzieci, zależało jej na majątku. Zginęła w wypadku. Rozmawiałam z policją w Sandefjord, ale niewiele potrafili mi powiedzieć oprócz tego, że...

Munch już na nią nie patrzył. Papieros spalał mu się w palcach. Spojrzenie miał skierowane w głąb siebie.

– W każdym razie Simonsen, przynajmniej tak twierdził, kiedy dowiedział się, że dzieci mimo wszystko nie trafiły w bezpieczne miejsce, tylko do tej sekty, pomógł im finansowo. Dał im pieniądze. Jej na gospodarstwo ogrodnicze, jemu na sklep. Ci dwoje mówili prawdę...

Munch spojrzał na swoje palce i zobaczył, że papieros zgasł. Rzucił go na ziemię, pogrzebał w kieszeni kurtki i włożył do ust świeżego.

– Dowiemy się dopiero za jakiś czas – powiedział. – Ale oboje z Marianne mamy nadzieję, że będzie dobrze. Nic innego nam nie pozostaje.

Uśmiechał się teraz do Mii, ale wzrok miał nieobecny.

– Będzie mogła chodzić?

– Ja w to wierzę. Nie sądzisz, że to ważne? – Spojrzał na nią. – Że trzeba myśleć pozytywnie?

– Pewnie, że tak. – Mia poczuła się nieswojo.

– Ja w to wierzę – powtórzył Munch.

– Daj znać, jeśli będę mogła coś dla ciebie zrobić – powiedziała Mia, obciągając kurtkę. – I pozdrów ją ode mnie. Powiedz, że chętnie ją odwiedzę.

Minęło kilka sekund. Zapalona zapalniczka nie mogła trafić w końcówkę papierosa. Wielkie palce jakby zawisły w powietrzu.

– Dobrze, przekażę – odezwał się w końcu Munch. – Dobrze, Mio. Dziękuję, że przyszłaś.

Miała ochotę go uściskać, ale pożegnali się jedynie niezdarnym uściskiem ręki. Munch i tak myślami był już gdzie indziej. Mia nasunęła czapkę na uszy i ignorując spojrzenia, które czekały ją po drodze do furtki, ruszyła w stronę Bislett. Śnieg padał jeszcze gęściej.

Dwa dni do świąt. Obiecała sobie, że spróbuje. Ale teraz nie wiedziała już, czy da radę. Wigilia. W zimnym mieszkaniu. Sama. Kolejny raz. Nie mogła jednak zniknąć. Miriam w łóżku w szpitalu Ullevål. Sparalizowana. Ledwie mówiła. Nie, nie mogła tego zrobić Munchowi. Nie mogła zniknąć. Nie teraz.

Przeszła na drugą stronę ulicy, osłaniając twarz przed śniegiem, który sypał teraz wielkimi płatami. Białe Oslo. Uwielbiana przez wszystkich Wigilia. Mia ciężkim krokiem sunęła przez Sofies gate, w końcu wyciągnęła klucze z kieszeni.

Kobieta w czerwonej puchówce ledwie mignęła jej przed oczami. Mogło się wydawać, że nieznajoma stała na schodach już długo i tylko czekała na powrót Mii. Na jej widok przymocowała coś do klamki i zaraz zeszała z powrotem.

Zniknęła w śnieżnej zadymce.

[1](#) *Fuglesang* (norw.) – ptasi śpiew (przyp. tłum.).